

Autor - Strugaccy
Tytuł - **Przenicowany świat**

Część pierwsza

ROBINSON

Rozdział I

Maksym uchylił pokrywę włazu, wysunął się na zewnątrz i ostrożnie popatrzył w niebo. Niebo zwisało bardzo nisko i było jakieś surowe, pozbawione tej przejrzystej lekkości, która pozwalała się domyślać bezmiaru kosmosu i mnogości wypełniających go zaludnionych światów. To nie był nieboskłon, lecz prawdziwa biblijna opoka, twarda, nieprzenikliwa i równomiernie fosforyzująca. Miejscowy Atlas musiał być nie lada siłaczem! Maksym poszukał w zenicie dziury wybitej przez jego statek, ale dziury nie było. Były jedynie dwa wielkie czarne kleksy, rozplývające się niczym dwie krople tuszu wpuszczone do wody. Maksym otworzył właz i zeskokczył w wysoką trawę.

Powietrze było gęste i gorące. Pachniało kurzem, starym żelastwem, rozgniecionymi roślinami i życiem. Pachniało też śmiercią, dawną i niepojętą. Trawa sięgała do pasa, w pobliżu ciemniały zarośla jakichś krzewów i bezładnie sterczały smętne, pokrzywione drzewa. Było prawie widno, jak w księżycową noc na Ziemi, ale bez księżycowych cieni i zamglonego księżycowego błękitu. Wszystko było szare, zakurzone i płaskie. Statek stał na dnie ogromnej kotliny o łagodnych zboczach. Otaczający go teren wyraźnie się wznosił ku nieostremu, rozmytemu horyzontowi. Maksym ze zdziwieniem stwierdził, że tuż obok płynęła wielka i spokojna rzeka; płynęła na zachód.

Maksym obszedł statek wokół, przesuwając palcami po jego zimnym, lekko wilgotnym boku. Znalazł ślady uderzeń tam, gdzie się ich spodziewał. Głębokie wgniecenie pod pierścieniem indykacyjnym zjawiło się wtedy, kiedy statek nagle podskoczył do góry i przechylił się na bok tak gwałtownie, że autopilot "stracił głowę", i Maksym musiał pośpiesznie przejąć stery. Rozdarcie pancerza przy prawym wizjerze powstało dziesięć sekund później, kiedy statek stanął dęba i zzezowaciał. Maksym znowu popatrzył w niebo.

Czarnych kleksów już prawie nie było widać. Atak meteorytowy w stratosferze. Prawdopodobieństwo: zero całych, zero, zero... Ale przecież każde prawdopodobne wydarzenie musi wreszcie kiedyś nastąpić...

Maksym wsunął się do kabiny, przełączył sterowanie na samoremont, uruchomił autoanalizator i skierował się ku rzece. Przygoda. Fakt. Ale co dla nas znaczą takie przygody. Nuda. W GOZ-ie - Grupie Otwartego Zwiadu - nawet przygody są zrutynizowane. Atak meteorytowy, uszkodzenie ciała, atak promienisty, awaria przy lądowaniu...

Wysoka, łamliwa trawa szeleściła i chrzęściła pod nogami. Z jęklwym brzęczeniem nadleciała chmara jakichś komarów, pokręciła się koło twarzy i odleciała. Poważni, dorośli ludzie nie latają w Grupie Otwartego Zwiadu. Dorośli, poważni ludzie mają swoje własne poważne, dorosłe sprawy i w dodatku wiedzą, że te wszystkie obce planety są w gruncie rzeczy jednakowe i tak samo nużące. Jednostajnie nużące. Nużąco jednostajne... Co innego, jeżeli się ma dwadzieścia lat, jeżeli właściwie niczego porządnie się nie umie i na dobrą sprawę nie wie, co by się chciało umieć, jeżeli nie potrafi się cenić swego największego skarbu - czasu, jeżeli dominantą dwudziestoletniej osobowości, tak samo jak dziesięć lat temu, pozostaje nie głowa, lecz ręce i nogi; jeżeli, jeżeli, jeżeli... Wówczas proszę bardzo. Możesz wtedy wziąć katalog, otworzyć go na dowolnej stronie, dotknąć palcem dowolnego wiersza i lecieć przed siebie, odkrywać planetę, nazywać ją własnym imieniem, określać dane fizyczne, walczyć z potworami, gdy na takowe natrafisz, nawiązywać kontakty - jeśli jest z kim, zabawiać się w Robinsona - jeśli nikogo nie znajdziesz... Nie znaczy to przy tym wcale, że to wszystko zrobisz na darmo. Podziękują ci, powiedzą, że wniosłeś cenny wkład. Jakiś wybitny specjalista zaprosi cię na szczegółową rozmowę... Uczniowie, zwłaszcza trójkowicze z młodszych klas, będą na ciebie spoglądać z szacunkiem... Ale gdy spotkasz swojego nauczyciela, zapyta cię tylko: "Ciagle jeszcze jesteś w GOZ-ie?" i zmieni temat rozmowy, a jego twarz będzie wyrażać smutek i poczucie winy, gdyż czuje się odpowiedzialny za to, że nadal jesteś w GOZ-ie; ojciec zaś powie: "Hm..." i niepewnie zaproponuje ci posadę laboranta, mama powie: "Maksiu, przecież ty zupełnie nieźle rysowałeś w dzieciństwie...", a Oleg: "Jak długo można? Przestań się wreszcie wygłupiać!..."; Jenny natomiast: "Przedstawiam ci mojego męża". I co najgorsze - wszyscy będą mieli rację, wszyscy - oprócz ciebie. A ty wrócisz do centrali GOZ-u i starając się nie patrzeć na dwóch takich samych półgłówków szperających w katalogach przy sąsiednim regale weźmiesz kolejny tom, otworzysz go na pierwszej z brzegu stronie i tkniesz palcem...

Maksym stanął na skraju urwiska i obejrzał się. Poza nim poruszała się, prostowała przydeptana trawa, koślawe drzewa czerniały na tle nieba i świecił malutki krążek otwartego włazu. Wszystko wyglądało bardzo powszednio. No, dobrze - powiedział do siebie. - Od każdego według jego możliwości. Dobrze byłoby znaleźć cywilizację. Potężną, starożytną, mądrą i w dodatku ludzką...

Zszedł ku rzece.

Rzeka była istotnie wielka, powolna i gołym okiem było widać, jak opadała ze wschodu i wznosiła się ku zachodowi. (Refrakcja musi tu być potworna...) Było też widać, że drugi brzeg jest łagodny i porośnięty trzciną, a o kilometr w górę rzeki sterczą z wody jakieś słupy, krzywe belki i poskręcane kratownice, kosmate od pnączy. Cywilizacja - pomyślał Maksym bez szczególnego podniecenia. Dokoła wyczuwał wiele żelaza i jeszcze coś nieprzyjemnego, dusznego, a kiedy zaczerpnął garść wody, zrozumiał, że to radioaktywność, dosyć silna i zjadliwa. Rzeka niosła substancje promieniotwórcze i Maksym pojął, że z tej cywilizacji będzie niewiele pożytku, że z kontaktami lepiej w ogóle nie zaczynać, tylko zrobić standardowe analizy, że dwa razy chyłkiem oblecieć planetę wzdłuż równika i zbierać się do powrotu. Na Ziemi przekazać materiały zasępionym panom ze Służby Bezpieczeństwa Galaktycznego, którzy już wiele rzeczy w swoim życiu widzieli, a samemu jak najszybciej zapomnieć o wszystkim.

Strzepnął z obrzydzeniem palcami i wytarł je o piasek. Potem przykucnął i zamyślił się. Próbował wyobrazić sobie mieszkańców tej z pewnością niezbyt szczęśliwej planety. Gdzieś za lasami było miasto, z pewnością niezbyt piękne, brudne fabryki zanieczyszczające rzeki radioaktywnymi pomyjami, brzydkie cudaczne domy pod żelaznymi dachami. Dużo ścian, mało okien, brudne szczeliny pomiędzy domami zawałone odpadkami i truchłami zwierząt domowych, głęboka fosa wokół miasta i zwodzone mosty... Chociaż nie, to wszystko było przed fabrykami... No i ludzie. Spróbował wyobrazić sobie tych ludzi, ale nie zdołał. Wiedział tylko, że noszą bardzo dużo odzieży, że są po prostu zapakowani w grubą, szorstką tkaninę, a wysokie białe kołnierze obcierają im szyje. Potem zobaczył ślad na piasku.

Ślady bosych nóg. Ktoś zlął z urwiska i wszedł do rzeki. Ktoś o wielkich szerokich stopach, ciężki, krzywonogi i niezręczny. Niewątpliwie humanoid, ale u nóg miał po sześć palców. Postępując i sapiąc spełził z urwiska, przekuśtykał po piasku, zanurzył się z pluskiem w radioaktywnej wodzie, parszając popłynął na drugi brzeg i ukrył się w trzcinach.

Jaskrawoniebieski błysk rozświetlił wszystko dokoła niczym uderzenie błyskawicy i natychmiast nad urwiskiem zahuczało, zasyczało, zatrzeszczało. Maksym zerwał się na równe nogi. Z urwiska sypała się sucha ziemia, coś z niebezpiecznym świstem przemknęło po niebie i upadło pośrodku rzeki, wznosząc fontannę wody pół na pół z białą parą. Maksym zaczął biec pod górę. Wiedział już, co się stało, nie rozumiał jedynie, dlaczego, nie zdziwił się więc, kiedy w miejscu, gdzie dopiero co stał statek, zobaczył kłębiący się słup rozżarzonego dymu, który niczym gigantyczny korkociąg wwiercał się w fosforyzującą opokę nieba. Statek pękł, ceramitowy pancierz jarzył się fioletowo, wesoło paliła się trawa, płonęły krzewy i dymne ogniki przebiegały po koślawych drzewach. Wściekle gorąco biło w twarz, więc Maksym osłonił ją dłonią i zaczął się cofać wzdłuż urwiska, najpierw o krok, potem jeszcze o jeden, a później jeszcze i jeszcze. Cofał się nie odrywając łzawiących oczu od tej wspaniałej pochodni sypiącej purpurowymi i zielonymi iskrami, od tego niespodziewanego wulkanu, od bezsensownego szaleństwa rozpasanej energii.

Niby dlaczego nie? - pomyślał w rozterce. Zjawiała się wielka małpa, zobaczyła, że mnie nie ma, wlała do środka, podniosła pokład, sam co prawda nie wiem, jak to się robi, ale ona się domyśliła, widać te sześciopalczaste małpy są bardzo zmyślne - uniosła więc pokład... Co tam u diabła jest pod pokładem?! Słowem, znalazła akumulatory, chwyciła wielki kamień, co najmniej trzytonowy, zamachnęła się i trach!... Potężny musiał być małpizjon... Wykończyła mój statek swoimi brukowcami; dwa razy w stratosferze, no i teraz... Zdziwiająca historia... Nic podobnego zdaje się do tej pory nie było... A co ja właściwie mam teraz robić? W centrali oczywiście wkrótce się zorientują, że coś tu nie jest w porządku, ale na pewno nie pomyślą, że statek przepadł, a pilot ocalał... Co teraz będzie?

Obrócił się plecami do pożaru i poszedł, gdzie oczy poniosą. Pomaszerował szybkim krokiem wzdłuż rzeki. Wszystko dokoła było zabarwione na czerwono, a w przodzie miotał się na trawie jego cień. Z prawej strony zaczynał się las, rzadki i cuchnący zgnilizną. Trawa zrobiła się miękka i wilgotna. Dwa wielkie nocne ptaki poderwały się z hałasem spod jego nóg i nisko nad wodą pociągnęły na drugi brzeg. Pomyślał przelotnie, że ogień może go dopędzić i wtedy będzie musiał uciekać w pław, a to nie będzie przyjemne; czerwone światło nagle pociemniało i zaraz potem zupełnie zgasło. Zrozumiał wtedy, że urządzenia gaśnicze spełniły swój obowiązek z właściwą im solidnością. Wyobraził sobie nadtopione butle sterczące wśród płonących zgłiszcz rzygające ciężkimi kłębami pirogafów...

Spokojnie - pomyślał. Najważniejsze to nie tracić głowy. Mam czas. Właściwie mam masę czasu. Mogą mnie szukać w nieskończoność: statku nie ma, więc znaleźć mnie niepodobna. Zresztą dopóki nie zrozumieją, co się stało, zanim ostatecznie się nie przekonają, póki nie będą całkowicie pewni, mamie niczego nie powiedzą... A ja tymczasem coś wymyślę...

Minął niewielkie, chłodne grzędzawisko, przedarł się przez krzaki i znalazł się na drodze, na starej, popękanej betonowej szosie niknącej w lesie. Podeszedł do skraju urwiska stąpając po betonowych płytach i zobaczył kratownicę do połowy pogrążoną w wodzie, po drugiej zaś stronie rzeki przedłużenie drogi ledwie widoczne pod świecącym niebem. Przypuszczałnie był tu kiedyś most i przypuszczałnie ten most komuś bardzo przeszkadzał, tak bardzo, że go zwałił do wody. Maksym siadł na krawędzi urwiska, spuścił nogi i zaczął rozmyślać:

Najważniejsze znalazłem. Oto mam przed sobą drogę. Złą, toporną i w dodatku bardzo starą, ale w każdym razie drogę, a na wszystkich zamieszanych planetach drogi prowadzą ku tym, którzy je zbudowali. Czego mi brak? Głodny nie jestem. To znaczy chętnie bym coś zjadł, ale to sprawka zamierzchłych instynktów,

które zaraz stłumimy. Pić mi się zachce nie prędzej niż po upływie doby. Powietrza jest pod dostatkiem, choć prawdę mówiąc wolałbym, żeby w atmosferze było mniej dwutlenku węgla i promieniotwórczego brudu. Niczego przyziemnego więc nie potrzebuję. Potrzebuję natomiast niewielkiego, szczerze mówiąc prymitywnego nadajnika zeroprzestrzennego ze spiralną emisją. Co może być prostszego od prymitywnego nadajnika zeroprzestrzennego? Jedyne prymitywne zeroprzestrzenne akumulacje...

Zmrużył oczy i pod czaszką natychmiast pojawił się dokładny schemat nadajnika pracującego na pomiennikach pozytronowych. Gdyby miał odpowiednie części, zmontowałby go raz-dwa, nie otwierając nawet oczu. Kilkakrotnie przeprowadził w myśli tę operację, lecz kiedy otworzył oczy - nadajnika nadal nie było. Nie było w ogóle niczego. Robinson - pomyślał z niejakim dreszczykiem. Maksym Cruzo. Masz ci los - oprócz szortów bez kieszeni i trampki na nogach - niczego nie mam. Ale za to moja "wyspa" jest zaludniona... A jeżeli wyspa jest zamieszkała, to zawsze pozostaje nadzieja na zdobycie prymitywnego nadajnika zeroprzestrzennego. Usilnie myślał o nadajniku, ale nie bardzo mu to wychodziło. Ciągłe miał przed oczyma mamę, kiedy jej oświadczone: "Pani syn zaginał bez wieści", widział wyraz jej twarzy i widział ojca bezradnie pocierającego policzki, czuł, jak im jest źle i pusto... Nie - powiedział sobie. -- - O tym myśleć nie wolno. Wszystko jedno o czym, tylko nie o tym, bo inaczej niczego nie osiągnę. Rozkazuję i zabraniam. Rozkazuję nie myśleć i zabraniam myśleć. Kropka. - Podniósł się i poszedł przed siebie.

Las, początkowo rzadki i nieśmiały, stopniowo nabierał odwagi i coraz bliżej podchodził do szosy. Niektóre bezczelne młode drzewka rozłupały beton i rosły bezpośrednio na jezdni. Najwidoczniej droga miała dobre kilkadziesiąt lat, a w każdym razie od dziesiątków lat nikt z niej nie korzystał. Las po obu stronach gęstniał, stawał się coraz wyższy i zwarty. Gdzieś tam gałęzie drzew przeplatały się nad głową. Zrobiło się ciemno. Z gąszczy to z lewej, to z prawej dobiegały gardłowe odgłosy. Coś tam szeleściło, poruszało się, tupać. Raz nawet o jakieś dwadzieścia metrów przed nim coś krępego, ciemnego chykiem przebiegło drogę. Brzęczały komary. Maksymowi nagle przyszło do głowy, że okolica jest do tego stopnia zaniedbana i dzika, że ludzi w pobliżu może nie być, i że trzeba będzie do nich wędrować nawet kilka dni. Zamierzchnie instynkty przebudziły się znów i dały znać o sobie, ale Maksym czuł wokół siebie bardzo dużo żywego mięsa i wiedział, że z głodu nie zginie. Wiedział również, iż to wszystko będzie z pewnością niesmaczne, natomiast polowanie może okazać się interesujące. Ponieważ o sprawie najważniejszej zabronił sobie myśleć, zaczął wspominać, jak to oni z Peterem i gajowym Adolfem łowili zwierzynę. Polowali gołymi rękami, chytrą przeciw chytrą, rozum przeciw instynktowi, siła przeciwko sile. Trzy doby bez przerwy gnać jelenia przez wiatrołomy, dopędzić, chwycić za rogi i powalić na ziemię... Jeleni tu zresztą pewnie nie ma, ale nie było wątpliwości, że tutejsza dziczyzna jest jadalna: wystarczyło się zamyślić, odprężyć, a już komarzyska zaczynała kąsać jak wściekłe... To znaczy, że na tej planecie śmierć głodowa nie grozi. Nieźle byłoby zabłądzić i spędzić ze dwa lata na włóczędze po lasach. Poszukałby sobie człowiek kolegi - jakiegoś wilka albo innego niedźwiedzia - chodziłby sobie z nim na łowy, rozmawiał... W końcu by się to naturalnie znudziło, zresztą nie wygląda wcale na to, aby po tutejszych lasach można było z przyjemnością wędrować: tak wiele żelastwa poniewiera się dokoła, że aż nie ma czym oddychać... No i oczywiście trzeba najpierw zmontować nadajnik zeroprzestrzenny...

Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Gdzieś w głębi chaszczki rozległ się monotony głuchy łoskot. Maksym uprzytomnił sobie, że już dawno słyszał ten hałas, ale dopiero teraz zwrócił nań uwagę. To nie było zwierzę ani wodospad, to był mechanizm, jakaś barbarzyńska maszyna. Machina chrząkała, porykiwała, zgrzytała metalem i rozsiewała nieprzyjemne, rdzawe wonie. I się zbliżała.

Maksym pochylił się i wzdłuż pobocza bezszelestnie pobiegł jej naprzeciw. Nagle gwałtownie się zatrzymał. Z rozpędu o mało nie wskoczył na skrzyżowanie. Drogę pod kątem prostym przecinała inna szosa. Bardzo brudna, przeorana obskurnymi koleinami, pokryta sterczącymi odłamkami betonowej nawierzchni i bardzo, ale to bardzo radioaktywna. Maksym przykucnął i spojrzał w lewo. Łoskot silnika i metaliczne zgrzyty dobiegały stamtąd. Grunt pod nogami zaczął wibrować. Maszyna się zbliżała.

Chwilę później pokazała się. Była nieprzyzwoicie wielka, gorąca, smrodliwa, cała z nitowanego metalu. Potwornymi gąsienicami oblepionymi błotem miażdżyła drogę i nie mknęła, nie toczyła się, lecz parła do przodu brzęcząc obłuzowanymi blachami. Garbaty niechlujny stwór nafaszerowany surowym plutonem pól na pól z lantanowcami, tępy, groźny, bezradny i niebezpieczny minął skrzyżowanie i parł dalej chrzęszcząc i zgrzytając rozgniatanym betonem. Pozostawił za sobą chmurę rozpalonej duszności, skrył się w lesie i ciągle ryczał, wiercił się, porykiwał, aż wreszcie ucichł w oddali.

Maksym złapał oddech i odpędził komary. Był wstrząśnięty. Nigdy w życiu nie widział niczego równie idiotycznego i żalnego. Taak - pomyślał sobie. Promienników pozytronowych tu się nie zdobędzie. Popatrzył na ślady potwora i zauważył nagle, że poprzeczna szosa nie jest zwyczajną drogą, lecz przesieką, wąską szczeliną w lesie. Drzewa nie przysłaniały nieba jak na pierwszej drodze. Może go dopędzić? - pomyślał. Zatrzymać, wygasić kocioł... Wsłuchał się. W lesie rozległ się łomot i trzask. Potwór tarzał się w gąszczy, jak hipopotam w bagnie. Później łoskot silnika znów się zaczął przybliżać. Potwór wracał. Znów sapanie, ryk, fala smrodu, jazgot i pobrząkiwanie i oto maszyna mija skrzyżowanie i prze tam, skąd dopiero co przyszła... Nie - powiedział Maksym. - Nie chcę z nią zaczynać. Nie lubię złych zwierząt i barbarzyńskich automatów... Poczekał, aż potwór zniknie, wyszedł z krzaków, rozpędził się i jednym susem przesadził skażone skrzyżowanie.

Przez jakiś czas szedł bardzo szybko i głęboko oddychał uwalniając płuca od wyciewów żelaznego

hipopotama. Potem znów powrócił do kroku marszowego. Myślał o tym, co zobaczył w ciągu dwóch pierwszych godzin pobytu na swojej zaludnionej wyspie i próbował połączyć w jedną logicznie spójną całość wszystkie sprzeczne i przypadkowe obserwacje. Ale było to ponad jego siły. Ten świat wydawał się bajkowy, a nie rzeczywisty. Bajeczny był ten las zapchany starym żelastwem, bajkowe istoty gaworzyły w nim niemal ludzkimi głosami; stara, nie używana droga - niczym w baśni prowadziła do zaczarowanego zamku i niewidzialni, źli czarownicy starali się przeszkadzać człowiekowi, który trafił w te okolice. Na dalekich rubieżach obrzucili go meteorytami, a kiedy to nic nie dało - spalili statek, schwytali w pułapkę i poszczuli żelaznym smokiem. Smok okazał się jednak zbyt stary i głupi, czarownicy już pewnie spostrzegli swoje potknięcie i teraz szykują coś nowocześniejszego...

--- Słuchajcie - powiedział do nich Maksym. - Ja przecież nie mam zamiaru odczarowywać waszych zamków i budzić waszych śpiących królewien, chciałbym tylko zobaczyć się z którymś z was, wystarczająco potężnym, aby potrafił wyczarować mi promienniki pozytronowe...

Ale źli czarownicy nie chcieli o niczym słyszeć. Najpierw ułożyli w poprzek szosy ogromne zmurszałe drzewo, później zniszczyli betonową nawierzchnię, wykopali w ziemi ogromny dół i napełnili go promieniotwórczym blokiem, a kiedy i to nie pomogło, kiedy komary nie miały już siły kąsać, wtedy, już nad ranem, wypuścili z lasu zimną, złą mgłę. We mgle Maksymowi zrobiło się chłodno, więc zaczął biec dla rozgrzewki. Mgła była lepka, oleista, zalatywała mokrym metalem i zgnilizną. Wkrótce jednak zapachniało dymem i Maksym zrozumiał, że gdzieś w pobliżu płonie żywy ogień.

Wstawał świt i niebo zajaśniało już poranną szarością, kiedy zobaczył - w bok od drogi - ognisko i niską, kamienną budowlę, starą i porośniętą mchem, z zapadniętym dachem i pustymi, czarnymi oknami. Tubylców nie było widać, ale Maksym czuł, że są gdzieś w pobliżu, że niedawno tu byli i że prawdopodobnie wkrótce wrócą. Skręcił z szosy, przeskoczył przydrożny rów i zapadając się po kostki w gnijących liściach podszedł do ogniska.

Ognisko powitało go dobrym, pierwotnym ciepłem, przyjemnie łechcącym atawistyczne instynkty. Tu wszystko było zwyczajne. Można było nie witając się z nikim przykucnąć, wyciągnąć ręce nad ogniem i czekać w milczeniu, aż gospodarz tak samo bez słowa poda gorący kęs i gorący kubek. Gospodarza wprawdzie nie było, ale nad ogniem wisiał okopcony kociołek z ostro pachnącą strawą, a trochę dalej poniewierały się dwie kapoty z grubej tkaniny, brudny, opróżniony do połowy worek z szelkami, ogromne kubki z pogniecionej blachy i jeszcze jakieś inne żelazne przedmioty o niejasnym przeznaczeniu.

Maksym usiadł przy ognisku i ogrzał się patrząc w płomienie. Następnie wstał i wszedł do domu. Właściwie z całego domu pozostał jedynie kamienny zrąb. Przez połamane belki nad głową prześwitywało poranne słońce, na zgniłe deski podłogi strach było wejść, a po kątach rosły kępki malinowych grzybów. Grzyby były w zasadzie trujące, ale jeśli się je dobrze podpiecze, będzie je można bez obawy zjeść. Zresztą myśl o jedzeniu natychmiast zniknęła, kiedy Maksym dojrzał w półmroku pod ścianą czyjeś kości przemieszane z wypłowiałymi łachmanami. Zrobiło mu się nieprzyjemnie, odwrócił się, zszedł po zrujnowanych schodkach, złożył dłonie w trąbkę i wrzasnął na całe gardło: - Hop, hop, hop, sześciopalcząści! - Echo prawie natychmiast ugrzęzło we mgle pomiędzy drzewami. Nikt nie odpowiedział, tylko jakieś ptaszki nad głową zapiszczały zdenerwowanymi głosikami.

Maksym wrócił do ogniska, podrzucił parę gałązek do ognia i zajrzał do kociołka. Polewka kipiała. Rozejrzał się wokoło, znalazł coś w rodzaju łyżki, powąchał ją, wytarł trawą i znów powąchał... Potem ostrożnie zebrał szarawe szumowiny i strząsnął je na węgle. Zamieszał zupę, zaczerpnął z brzegu, podmuchał i spróbował. Okazała się całkiem niezła, coś w rodzaju polewki z wątroby tachorga, tylko bardziej ostra w smaku.

Maksym odłożył łyżkę, pieczołowicie, obiema rękami zdjął kociołek z ognia i postawił na trawie. Potem znów się rozejrzał i powiedział głośno: - Śniadanie gotowe! - Nie opuszczało go wrażenie, że gospodarze są gdzieś tuż obok, ale widział jedynie nieruchome, mokre od mgły krzewy i czarne, poskręcane pnie drzew. Słyszał zaś tylko potrzaskiwanie ognia i pracowite ptasie nawoływania. - No dobrze - powiedział na głos. - Róbcie, jak chcecie, a ja nawiązuję kontakt. - Bardzo szybko zasmakował w tej strawie. Czy to łyżka była zbyt wielka, czy też odwieczne instynkty wzięły górę, w każdym razie ani się spostrzegł, jak wychleptał trzecią część kociołka. Wówczas odsunął się z żalem od niego, usiadł, starannie wytarł łyżkę, ale nie wytrzymał i jeszcze raz zaczerpnął z samego dna tych apetycznych, rozplwających się w ustach brunatnych grudek przypominających trepangi, odsunął się zupełnie, znów wytarł łyżkę i położył ją w poprzek kociołka.

Wstał, zebrał kilka cienkich witek i wszedł do budynku. Ostrożnie stąpając po spróchniałych deskach i starając się nie patrzeć na szczątki pod ścianą zaczął zbierać grzyby. Wybierał najbardziej jędrne malinowe główki i nawlekał je na gałązkę. Warto by was posolić - myślał - posypać odrobiną pieprzu, ale to nic, dla pierwszego kontaktu i tak się nadacie. Zawiesimy was nad ogniskiem, wszystkie trucizny z was wyparują i będziecie smacznutki, że palce lizać... Staniecie się moim pierwszym wkładem w kulturę tej planety, drugim zaś będą promienniki pozytronowe...

Nagle w domu zrobiło się odrobinę ciemniej i Maksym od razu wyczuł, że ktoś na niego patrzy. Chciał się natychmiast odwrócić, ale się opanował, policzył do dziesięciu, wolno się wyprostował i z przygotowanym zawczasu uśmiechem obrócił głowę.

Z okna patrzyła nań długa, ciemna twarz z wielkimi ponurymi oczami i smętnie opuszczonymi kącikami warg. Patrzyła bez żadnego zainteresowania, bez wrogości i bez zadowolenia, patrzyła nie na człowieka z

innego świata, lecz jakby na nieposłuszne zwierzę domowe, które znów wlaźło, gdzie nie należy. Przez kilka chwil patrzyli na siebie i Maksym czuł, jak smętek promieniujący z tej twarzy wypełnia dom, zatapia las i całą planetę, cały otaczający świat i że wszystko dokoła staje się nagle szare i płaczące; że wszystko już było i będzie jeszcze wiele razy, że nie ma żadnej nadziei na wybawienie z tej szarej i płaczącej nudy. Potem w domu zrobiło się jeszcze ciemniej i Maksym odwrócił się ku drzwiom.

Stał w nich krępy człowiek całkowicie obrośnięty rudym włosem. Ubrany był w brzydki kraciasty kombinezon i swymi szerokimi barami zagradzał całe przejście. Spomiędzy bujnego rudego zarostu spoglądały na Maksyma kłujące niebieskie oczka, bardzo twarde, bardzo złe, a jednak jakieś wesołe; może zresztą tylko przez kontrast z płynącą od okna rozpaczliwą melancholią. Ten wóchacz najwidoczniej też nie pierwszy raz widział przybyszów z innych światów, a w dodatku zwykł był postępować z tymi uprzykrzonymi gośćmi ostro, szybko i zdecydowanie, bez różnych tam kontaktów i tym podobnych niepotrzebnych komplikacji. Z szyi zwisała mu na skórzanym pasie gruba metalowa rura o nader złowieszczym wyglądzie. Otwór tego narzędzia był skierowany prosto w żołądek Maksyma. Od razu było widać, że nigdy nie słyszał ani o najwyższej wartości, jaką jest życie ludzkie, ani o Deklaracji Praw Człowieka, ani o innych podobnie wspaniałych wynalazkach najwyższego humanizmu, ani też o humanizmie jako takim, gdyby zaś ktoś mu o tych rzeczach opowiedział - z pewnością by nie uwierzył.

Maksym nie miał jednak wyboru. Wyciągnął przed siebie witkę z nawleczonymi grzybami, uśmiechnął się jeszcze szerzej i powiedział z przesadną artykulacją: "Pokój! Przyjaźń!" Ponury osobnik zza okna zareagował na to hasło długim bełkotliwym zdaniem, po czym opuścił rejon kontaktu i sądząc z dobiegających z zewnątrz odgłosów zaczął podrzucać suche gałęzie do ogniska. Skołatuniona ruda broda niebieskookiego zaczęła się poruszać i z miedzianych kołtunów posypały się jazgotliwe, porykujące dźwięki przypominające Maksymowi do złudzenia hałas żelaznego smoka na skrzyżowaniu.

--- Tak! - powiedział Maksym energicznie kiwając głową. - Ziemia! Kosmos! --- Wskazał gałązką na zenit i rudobrody posłusznie spojrzał na zrujnowany strop. - Maksym! - kontynuował Maksym dotykając palcem własnej piersi. -- - Mak-sym! Nazywam się Maksym! - Aby nie było żadnych wątpliwości, walnął się w pierś niczym rozwścieczony goryl. - Maksym!

--- Machch-ssym! - wrzasnął rudobrody z dziwnym akcentem.

Nie spuszczać oczu z Maksyma wystrzelił przez ramię serię zgrzytających, jazgotliwych dźwięków, w których kilkakrotnie powtórzyło się słowo "Mach-sym", w odpowiedzi na co niewidzialny smętny osobnik zaczął wydawać przerażająco płaczące dźwięki. Rudobrody wytrzeszczył niebieskie oczy, rozwarł żółtozębą paszczkę i zarechotał jak szalony. Najwidoczniej coś go bardzo rozbawiło. Gdy się już do woli naśmiał, wytarł oczy wolną ręką, opuścił swoją śmiercionośną broń i dał Maksymowi nie pozostawiający wątpliwości znak głową: "No, wychodź!"

Maksym posłuchał, wyszedł na ganek i znowu wyciągnął ku rudobrodemu witkę z grzybami. Rudobrody wziął gałązkę, zaczął obracać na wszystkie strony, powąchał i wyrzucił.

--- O, nie! - sprzeciwił się Maksym. - Jeszcze będziecie palce lizać...

Pochylił się i podniósł gałązkę. Rudobrody się nie sprzeciwiał. Klepnął Maksyma po plecach, pchnął ku ognisku, nacisnął ramię, posadził i zaczął coś tłumaczyć. Ale Maksym nie słuchał. Patrzył na ponuraka, który siedział po drugiej stronie ognia i suszył jakąś wielką, brudną szmatę. Jedną nogę miał bosą. Bez przerwy poruszał palcami i tych palców miał pięć. Pięć, a wcale nie sześć.

Rozdział II

Gaj siedząc na brzeżku ławki pod oknem polerował mankietem godło na berecie i patrzył, jak kapral Waribobu wypisuje mu dokumenty podrózne. Kapral trzymał głowę przechyloną na bok, oczy wytrzeszczył, lewą rękę położył na stole przytrzymując blankiet z czerwoną obwódką, prawą zaś bez pośpiechu stawiał kaligraficznie litery. Nieźle mu to wychodzi - myślał Gaj z niejaką zazdrością. Stary zatrameniały przyk: dwadzieścia lat w legione i ciągle gryziopiórek. Patrzcie go, jak to gały wytrzeszcza... Zaraz jeszcze i jęzor wywali... Duma brygady... Nie mówiłem... Język też ma upaprany atramentem. Bywaj zdrow, Waribobu, ty stary kałamarzu, więcej się już nie zobaczymy. W ogóle to jakoś smutno mu stąd odjeżdżać: chłopaki się nieźle dobrały, panowie oficerowie też, no i sama służba pożyteczna, honorowa... Gaj pociągnął nosem i wyjrzał przez okno.

Za oknem wiatr niósł biały kurz po szerokiej, gładkiej ulicy bez chodników, wyłożonej starymi sześciokątnymi płytami; białe ściany długich, jednakowych domów administracji i personelu inżynierskiego; ulicą szła, osłaniając się przed kurzem i przytrzymując spódniczkę, pani Idoja, dama pulchna i reprezentacyjna, mężna kobieta, która nie zawahała się podążyć wraz z dziećmi za panem brygadierem w te niebezpieczne okolice. Wartownik przed budynkiem komendantury, nowicjusz w sztywnym prochowcu i berecie naciągniętym na uszy, poderwał się przed nią na bacność. Potem przejechały dwie ciężarówki z katorżnikami. Pewnie na szczepienia... Racja, w łeb go, niech się nie rozgląda: to nie wycieczka...

--- Jak ty się właściwie piszesz? - zapytał Waribobu. - Gaal? Czy może zwyczajnie Gal?

--- Nie, panie kapralu - powiedział Gaj. - Nazywam się Gaal.

--- Szkoda - powiedział Waribobu, ssąc w zadumie obsadkę. - Gdyby było można "Gal", jak raz by się zmieściło w linijce...

Pisz, pisz, gryziopiórku - pomyślał Gaj. - Nie ma co linijek oszczędzać. I to się nazywa kapral... Guziki zaśnieżone, ładny mi kapral. Masz dwie blachy, a strzelać porządnie się nie nauczyłeś, przecież wszyscy o

tym wiedzą...

Drzwi się otworzyły i do kancelarii szybkim krokiem wszedł pan rotmistrz Toot ze złocistą opaską dyżurnego na rękawie. Gaj poderwał się i stuknął obcasami. Kapral uniósł siedzenie, ale pisać nie przestał...

--- Aha... - rzekł pan rotmistrz zdzierając ze wstrętem z twarzy pochłaniacz kurzu. - Szeregowy Gaal. Wiem, wiem, porzucacie nas. Szkoda. Ale gratuluję. Mam nadzieję, że w stolicy będziecie służyć z równą gorliwością. --- Tak jest, panie rotmistrzu! - powiedział Gaj z takim przejęciem, że aż go w nosie zaszczytało. Bardzo lubił pana rotmistrza Toota, wykształconego oficera, dawnego profesora gimnazjum. Okazuje się, że i pan rotmistrz go wyróżniał.

--- Możecie usiąść - powiedział pan rotmistrz idąc za barierkę w kierunku swojego biurka. Na stojąco pobieżnie przejrzał papiery i chwycił słuchawkę. Gaj skromnie odwrócił się w stronę okna.

Na ulicy nic się nie zmieniło. W zwartym szyku podreptał na obiad jego własny drugi pluton. Gaj odprowadził go smutnym wzrokiem. Wejść zaraz do kantyny, kapral Serembesz rozkaże zdjąć berety, chłopaki rykną trzydziestoma gardzielami Dziękczynne Słowo, a nad kotłami unosi się już para, błyszczą miski i stary kumpel Doga jest gotów wypalić swój koronny kawał o żołnierzu i kucharce... Jak Boga kocham, szkoda odjeżdżać. Służba tu niby niebezpieczna i żarcie podłe, wciąż te same konserwy i klimat niezdrowy, ale mimo to... Tu w każdym razie wiesz na pewno, że jesteś potrzebny, tutaj własną piersią osłaniasz kraj przed złowrogim naporem z południa. Ilu tu już człowiek pochował przyjaciół. Za osiedlem jest cały zagajnik tyczek z zardzewiałymi hełmami... A z drugiej strony - stolica! Tam nie posła pierwszego z brzegu, a jeżeli już posyłają, to nie na wypoczynek... Tam podobno w Pałacu Chorążych widać wszystkie place ćwiczeń, tak że każdą zbiórkę obserwuje któryś z Płomiennych, to znaczy niekoniecznie obserwuje, ale zdarza się, że spojrzy od czasu do czasu. Gajowi zrobiło się gorąco: wyobraził sobie nagle, że wywołano go przed front plutonu, a on już przy drugim kroku się potknął i rąbnął nosem pod nogi dowódcy, zajazgotał automatem po kamiennym bruku, oferma jakaś, i w dodatku берет mu się nie wiadomo gdzie zapodział. Złapał powietrze i obejrzał się ukradkiem. Nie daj Boże! Taak, stolica! Wszyscy są pod ich okiem. Ale to nic, inni przecież jakos sobie radzą. W dodatku mieszka tam siostrzyczka Rada, narwany wuj ze swymi starożytnymi gratami i swoimi przedpotopowymi żółwiami. Ależ stęskniłem się za wami, moi wy kochani!...

Znowu wyrzwał przez okno i zaskoczony otworzył usta. Ulicą w kierunku komendantury szło dwóch facetów. Jednego znał. To był ryży pyskacz Zef, z tych szczególnie niebezpiecznych, starszy sto czternastego oddziału saperów, skazaniec zatrudniony przy oczyszczaniu trasy. A drugi wyglądał jak strach na wróble i to przeraźliwy. Chłop jak dąb, goły, młody, cały brązowy, zdrowy jak byk, ubrany tylko w jakieś krótkie spodenki z błyszczącego materiału. Zef niósł swoją armatę, ale nie wyglądało na to, żeby konwojował tego obcego. Szli obok siebie i obcy idiotycznie wymachując rękami bez przerwy coś Zefowi tłumaczył, a ten tylko parsknął i wyglądał na zbaraniałego. Jakiś dzikus - pomyślał Gaj. - Tylko skąd on się wziął na trasie? Może niedźwiedzie go wychowały? Bywały takie wypadki. Całkiem na to wygląda: o, jakie muskuły!...

Patrzył, jak ta para podeszła do wartownika. Zef ocierając pot z gęby zaczął coś tłumaczyć, a wartownik, nowicjusz przecież, nie zna Zefa i wypycha mu automat pod żebro, najwidoczniej każe odejść na regulaminową odległość. Goły chłopak na ten widok włącza się do rozmowy. Ręce mu aż latają, a twarz to ma już zupełnie dziwną: w żaden sposób nie można uchwycić wyrazu, słowo daję... No to cześć, teraz i wartownik zgłupiał. Zaraz podniesie alarm. Gaj się odwrócił.

--- Panie rotmistrzu - powiedział - melduję posłusznie, że tam starszy sto czternastego kogoś przyprowadził. Może raczy pan spojrzeć?

Pan rotmistrz podszedł do okna, popatrzył, brwi mu powędrowały na czoło. Pchnął ramę, wychylił się i krzyknął dławiąc się kurzem:

--- Wartownik! Przepuścić!

Gaj zamykał okno, kiedy w korytarzu zatupotało i Zef ze swym cudacznym towarzyszem wszedł boczkiem do kancelarii. Za nimi, popychając ich do przodu --- wpadł dowódca warty i jeszcze dwóch chłopaków ze zmiany czuwającej. Zef wyprężył się na baczność, odkaslnął i wytrzeszczywszy na rotmistrza bezwzrostnie niebieskie ślepią zachrypiał:

--- Melduję się starszy sto czternastego oddziału skazanych. Na trasie zatrzymano tego oto człowieka. Wszystko wskazuje na to, że jest nienormalny, panie poruczniku: żre trujące grzyby, nie rozumie ani słowa, gada niezrozumiale i chodzi, jak sam pan rotmistrz raczy zauważyć, nago.

Póki Zef meldował, zatrzymany szybko obiegał oczyma pomieszczenie, dziwnie i niesamowicie i uśmiechając się do wszystkich obecnych, a zęby miał białe jak cukier. Pan rotmistrz założył ręce do tyłu, zbliżył się i obejrzał go od stóp do głów.

--- Kim jesteście? - zapytał.

Zatrzymany uśmiechnął się jeszcze niesamowicie, postukał się dłonią po piersi i niezrozumiale powiedział coś w rodzaju "mach-sym". Dowódca warty zarżał, wartownicy zachichotali i pan rotmistrz też się uśmiechnął. Gaj nie od razu zrozumiał, o co chodzi, dopiero później przypomniał sobie, że w złodziejskim żargonie "mach-sym" znaczy "tyknął nóż".

--- Najwidoczniej to ktoś z waszych - powiedział rotmistrz do Zefa.

Zef pokręcił głową, wytrząsając ze swego brodziska kłęby kurzu.

--- Nie, panie rotmistrzu - powiedział. - Mach-sym to niby jego imię, bo tak się sam nazywa, a złodziejskiego żargonu nie rozumie. Więc to nie jest nasz.

--- Pewnie wyrodek - powiedział dowódca warty. Pan rotmistrz spojrział na niego zimnym wzrokiem. - Goły... - przejętym głosem wyjaśnił dowódca warty i zaczął się cofać do drzwi. - Czy mogę się odmeldować, panie rotmistrzu? - zapytał.

--- Możecie iść - powiedział rotmistrz. - Poślijcie tam kogoś po lekarza sztabowego, pana Zogu... Gdzieście go złapali? - zapytał Zefa.

Zef zameldował, że dzisiejszej nocy razem ze swoim oddziałem przeczesywał kwadrat 23/07, zniszczył cztery samobieżne stanowiska ogniowe i jeden automat o nieznanym przeznaczeniu, stracił dwóch ludzi przy wybuchu i wszystko było w porządku. Około siódmej rano do jego ogniska szosą biegnącą przez las nadszedł ten oto osobnik. Zauważyli go z daleka, obserwowali ukryci w krzakach, a później w sprzyjającym momencie zatrzymali. Zef wziął go początkowo za zbiega, później uznał, że to nie zbieg, lecz wyrodek i już miał zamiar strzelać, ale się rozmyślił, gdyż ten człowiek... W tym miejscu Zef niezdecydowanie poruszył brodą i zakonkludował: - Gdyż stało się dla mnie jasne, że to nie jest wyrodek.

--- Skąd ta pewność? - zapytał pan rotmistrz, a zatrzymany stał nieruchomo z rękami splecionymi na potężnych piersiach i spoglądał to na niego, to znów na Zefa.

Zef powiedział, że trudno mu to będzie wyjaśnić. Po pierwsze, ten człowiek niczego się nie bał i nie boi się nadal. Następnie: zdjął z ogniska polewkę i zjadł dokładnie trzecią część, tak jakby to zrobił prawdziwy kolega, a przedtem jeszcze krzyknął coś w kierunku lasu, widać przywoływał nas, wiedział, że jesteśmy w pobliżu. Dalej: chciał nas poczęstować grzybami. Grzyby były trujące, więc nie jedliśmy ich i jemuśmy nie pozwolili, jednakże on najwyraźniej chciał nas częstować, pewnie z wdzięczności. Co jeszcze: powszechnie wiadomo, że żaden wyrodek swymi danymi fizycznymi nie przewyższa normalnego cherlawego człowieka. Ten zaś po drodze do koszar zamęczył mnie niczym dzieciaka, szedł przez wiatrołomy jak po równym, przeskakiwał przez fosy i czekał na mnie po drugiej stronie i na dodatek nie wiedzieć czemu, pewnie chciał pokazać, jaki to z niego chwał, czy co? - brał mnie za ramię i przebiegał tak dwieście, trzysta kroków... Pan rotmistrz słuchał Zefa, całym swoim wyglądem demonstrując najgłębszą uwagę, ale ledwie Zef zamilkł, gwałtownie odwrócił się ku zatrzymanemu i szcękniętą mu prosto w twarz po chontyjsku:

--- Nazwisko? Stopień? Zadanie?

Gaj zachwyił się zręcznością chwytu, jednak zatrzymany najwidoczniej nie rozumiał również i po chontyjsku. Znowu wyszczerzył swoje wspaniałe zęby, poklepał się po piersi mówiąc: "Mach-sym" i mówiąc "Zef" wetknął palec w bok katorżnika. Później zaczął powoli mówić, wskazując to na sufit, to na podłogę, to znów zataczając rękami koła. Gajowi wydało się, że w tej przemowie rozpoznaje niektóre znajome słowa, ale słowa te nie miały nic wspólnego ani z sytuacją, ani też wzajemnie się ze sobą nie łączyły. Kiedy zatrzymany zamilkł, przemówił kapral Waribobu.

--- Moim zdaniem jest to sprytny szpieg chontyjski. Trzeba zameldować panu brygadierowi.

Pan rotmistrz nie zwrócił na niego żadnej uwagi.

--- Możecie iść, Zef - rozkazał. - Wykazaliście gorliwość. Będziemy o tym pamiętać.

--- Dziękuję stokrotnie, panie rotmistrzu! - wrzasnął Zef i już zrobił zwrot ku wyjściu, kiedy zatrzymany wydał nagle cichy okrzyk, przechylił się przez barierkę i chwycił stosik czystych blankietów leżących na stole przed kapralem. Stary pryk przestraszył się (ładny mi legionista), odskoczył i rzucił w dzikusa piórem. Dzikus zręcznie chwycił pióro w powietrzu, przysiadł na barierce i zaczął coś rysować na blankiecie, nie zwracając uwagi na Gaja i Zefa, którzy chwycili go za ramiona.

--- Puścić! - rozkazał pan rotmistrz i Gaj usłuchał z radością: utrzymać tego brązowego niedźwiedzia było równie trudno, jak zatrzymać czołg chwyciwszy go za gaśienicę. Pan rotmistrz i Zef stanęli po obu stronach zatrzymanego i patrzyli, co on tam smaruje.

--- Moim zdaniem to jest schemat świata - powiedział niepewnie Zef.

--- Hm... - mruknął pan rotmistrz.

--- No oczywiście! Tu w środku zaznaczył Wszechświatłość, a to jest Świat... A tu znów, jego zdaniem, my się znajdujemy.

--- Ale dlaczego wszystko jest płaskie? - z niedowierzaniem zapytał pan rotmistrz.

Zef wzruszył ramionami.

--- Niewykluczone, że to dziecięce widzenie świata... Infantyizm... Proszę spojrzeć! Pokazuje, jak się tutaj dostał.

--- Tak, możliwe... Słyszałem o takim szaleństwie...

Gajowi udało się wreszcie wcisnąć pomiędzy gładkie, twarde ramię zatrzymanego i rude, kolczaste kudły Zefa. Rysunek, który zobaczył, wydał mu się śmieszny. Tak dzieciaki z pierwszej klasy rysują Świat: w środku małeńkie kółeczko oznaczające Wszechświatłość, wokół niego duży okrąg wyobrażający Sferę Świata, a na okręgu tłusta kropka, do której wystarczy tylko dorysować rączki i nóżki, i będzie "to Świat, a to ja". Nieszczęśliwy wariat nawet Sfery Świata nie potrafił dobrze narysować, bo wyszedł mu jakiś owal. No jasne, nienormalny... W dodatku narysował przerywaną linię biegnącą gdzieś spod Ziemi: że niby tamtędy przywędrował.

Tymczasem zatrzymany wziął drugi blankiet i w przeciwległych narożnikach szybko nakreślił dwie małe Sfery Świata, połączył je przerywaną linią i narysował jeszcze jakieś znaczki. Zef gwizdnął z rezygnacją i powiedział do pana rotmistrza: - Czy mogę się odmeldować? - Ale pan rotmistrz nie zgodził się.

--- Hm... Zef - powiedział pan rotmistrz. - Zdaje się, żeście pracowali w... ee... psychiatrii.

--- Tak jest - odpowiedział po chwili Zef.

Rotmistrz przespacerował się po kancelarii.

--- Czy nie moglibyście... ee... jak by to powiedzieć... sformułować swego poglądu na temat tego osobnika? Zawodowy pogląd, jeśli się można tak wyrazić...

--- Nie wiem, panie rotmistrzu - powiedział Zef. - Zgodnie z wyrokiem nie mam prawa wykonywać zawodu.

--- Rozumiem - powiedział rotmistrz. - Tak jest w istocie. Pochwalam. Ale...

Zef wytrzeszczywszy niebieskie oczka stał wyprężony na baczność. Natomiast pan rotmistrz był najwyraźniej zmieszany. Gaj go doskonale rozumiał. Wypadek był poważny, państwowej wagi. (A nuż ten dzikus jest mimo wszystko szpiegiem.) A pan lekarz sztabowy Zogu jest oczywiście wspaniałym legionistą, świetnym oficerem, ale jednak zaledwie lekarzem sztabowym. Tymczasem rudy pyskacz Zef, zanim został przestępcą, nieźle znał swoją robotę i nawet był wielką znakomitością. Ale jego też można zrozumieć. Każdy chce żyć, nawet przestępca pokutujący za swoje zbrodnie. Prawo jest dla skazańców nieubłagane: najdrobniejsze przewinienie i egzekucja. Na miejscu. Inaczej nie może być, takie już są czasy, że miłosierdzie zamienia się w okrucieństwo i jedynie w okrucieństwie zawiera się prawdziwe miłosierdzie. Prawo jest nieubłagane, lecz mądre.

--- No cóż - powiedział pan rotmistrz. - Jak nie można, to nie można... Ale czy jako człowiek doświadczony...

- Zatrzymał się przed Zefem. - Rozumiecie? Nie jako psychiatra, lecz zwyczajnie, po ludzku, sądzicie, że to istotnie szaleniec?

Zef znów się zawahał.

--- Jako człowiek? - powtórzył. - No, oczywiście, że jako człowiek: człowiek może się przecież mylić... Tak więc jako zwyczajny człowiek jestem skłonny uważać, że jest to typowy wypadek rozdwojenia jaźni z wyrugowaniem i zastąpieniem rzeczywistego "ja" przez "ja" wymyślone. Tak samo po ludzku, kierując się doświadczeniem życiowym, radziłbym preparaty fleorowe i elektrowstrząsy.

Kapral Waribobu wszystko to ukradkiem zapisał, ale pana rotmistrza nie tak łatwo oszukać. Zabrał więc kapralowi kartkę z notatkami i wsunął do kieszeni munduru. Mach-sym znów zaczął mówić zwracając się to do pana rotmistrza, to do Zefa - czegoś biedak chciał, coś mu się nie zgadzało - ale wtedy otworzyły się drzwi i wszedł pan lekarz sztabowy. Wszystko wskazywało na to, że mu przerwano obiad.

--- Cześć, Toot - powiedział gderliwie. - O co chodzi? Pan, jak widzę, jest zdrow i cały. Bardzo mnie to cieszy. A co to za typ?

--- Katorżnicy schwytali go w lesie - wyjaśnił pan rotmistrz. - Podejrzewam, że to szaleniec.

--- To symulant, a nie żaden wariat - warknął pan lekarz sztabowy i nalał sobie wody z karafki. - Wyślijcie go z powrotem do lasu, niech tyra.

--- On nie jest nasz - sprzeciwił się pan rotmistrz - i nie wiemy w dodatku, skąd się wziął. Myślę, że w swoim czasie dostał się w łapy wyrodków, tam u nich zwariował i uciekł do nas.

--- Racja - mruknął pan lekarz sztabowy. - Trzeba zwariować, aby uciekać do nas. - Podszedł do zatrzymanego i od razu zaczął go chwycić za powieki. Ten niesamowicie wyszczerzył zęby i lekko go odepchnął. - No, no! - powiedział pan lekarz sztabowy chwytając go zręcznie za ucho. - Stój spokojnie, ty ogierze!...

Obcy usłuchał. Pan lekarz sztabowy wyrwał mu powieki, obmacał, pogwizdując, szyję i gardło zgiął i rozgiął rękę, potem posapując schylił się i uderzył go pod kolana, następnie sięgnął po karafkę i wypił jeszcze jedną szklankę wody.

--- Zgaga - oświadczył.

Gaj popatrzył na Zefa. Rudobrody stał z boku ze swą armatą przy nodze i z demonstracyjną obojętnością patrzył przed siebie. Pan lekarz sztabowy znów zabrał się do wariata. Obmacywał go, ostukiwał, zaglądał w zęby, ze dwa razy uderzył pięścią w brzuch, później wyjął z kieszeni płaskie pudełeczko, rozwinął kabel, włączył do gniazdka i zaczął przykładać pudełko do różnych części dzikusowego ciała.

--- Tak - powiedział zwijając kabel. - I przy tym niemy?

--- Nie - powiedział pan rotmistrz. - On mówi, ale jakimś niedźwiedzim językiem i tylko czasami używa naszych słów, w dodatku mocno zniekształconych. Nas nie rozumie. A to są jego rysunki.

Pan lekarz sztabowy przejrzał rysunki.

--- Tak, tak, tak - powiedział. - Zabawne... - wyrwał kapralowi z ręki obsadkę i szybko narysował na blankiecie kota, tak jak go rysują dzieci, z samych kresek i kółek. - Co ty na to powiesz, przyjacielu? - powiedział podając rysunek wariatowi.

Wariat nie namyślając się ani chwili zaczął drapać piórem i obok kota pojawiło się dziwne, porośnięte gęstym włosem zwierzę z ciężkim, nieprzyjemnym spojrzeniem. Takiego zwierzęcia Gaj nie znał, ale zrozumiął, że to już nie był dziecięcy rysunek. To było bycze, narysowane jak żywe, że aż strach było patrzeć. Pan lekarz sztabowy wyciągnął rękę po pióro, ale wariat odsunął się i narysował jeszcze jedno zwierzę, zupełnie już cudaczne: z ogromnymi uszami, pomarszczoną skórą i grubym ogonem zamiast nosa.

--- Pięknie! - wykrzyknął pan lekarz sztabowy klepiąc się po bokach.

A wariat nie mógł się uspokoić. Teraz rysował już nie zwierzę, ale najwyraźniej jakiś aparat, podobny do wielkiej przezroczywej miny. W środku miny bardzo sprytnie wyrysował siedzącego ludzika, postukał po nim palcem, a później tym samym palcem po swojej piersi i powiedział: "Mach-sym".

--- Tę banię mógł zobaczyć nad rzeką - powiedział Zef, który bezszelestnie podszedł do nich. - Taką samą

spaliliśmy tej nocy. Ale potworów... - pokręcił głową.
Pan lekarz sztabowy jakby dopiero teraz go zobaczył.
--- A profesor! - wykrzyknął z przesadną radością. - A ja się zastanawiałem, co to w kancelarii tak śmierdzi. Czy byłby pan tak uprzejmy, kolego, wygłaszać swoje głębokie sądy z tamtego kąta? Będę bardzo zobowiązany.
Waribobu zachichotał, a pan rotmistrz powiedział surowo:
--- Stańcie przy drzwiach, Zef, i nie zapominajcie się.
--- No dobra - powiedział pan lekarz sztabowy. - Co ma pan zamiar z nim zrobić, Toot?
--- To zależy od pańskiej diagnozy, Zogu - odpowiedział pan rotmistrz. - Jeśli to symulant, przekażę go prokuraturze, tam się zorientują. A jeżeli to, wariat...
--- On nie symuluje, Toot! - powiedział z wielkim przekonaniem pan lekarz sztabowy. - W prokuraturze nie ma nic do roboty. Znam natomiast pewne miejsce, gdzie się nim bardzo zainteresują. Gdzie jest brygadier?
--- Brygadier jest na trasie.
--- To nie ma zresztą znaczenia. Przecież pan jest dyżurnym, Toot? No więc niech pan wyśle tego ciekawego chłopaczka pod ten adres... - pan lekarz sztabowy odwrócił się, pochylił nad barierką i coś napisał na odwrocie ostatniego rysunku.
--- A co to takiego? - zapytał pan rotmistrz.
--- To? To pewna instytucja, która będzie panu wdzięczna za tego szaleńca. Ręczę za to, Toot.
Pan rotmistrz niepewnie obracał w palcach blankiet, potem odszedł w najdalszy kąt kancelarii i poprosił do siebie lekarza sztabowego. Pewien czas rozmawiali półgłosem, tak że zrozumieć było można tylko urywki z wypowiedzi pana Zogu: "...Departament Propagandy... Niech pan pośle przez zaufanego... Nie taka znów tajemnica!... Zaręczam panu... Każe mu pan zapomnieć... Przecież, do diabła, ten smarkacz i tak niczego nie zrozumie!..."
--- Dobrze - powiedział wreszcie pan rotmistrz. - Niech pan napisze list przewodni. Kapral Waribobu! Kapral uniósł siedzenie.
--- Dokumenty podróżne szeregowca Gaala są gotowe?
--- Tak jest.
--- Wpiszcie do rozkazu wyjazdu konwojowego Mach-syma. Konwojowany bez kajdanek, dozwolona podróż w wagonie publicznym. Szeregowy Gaal!
Gaj stuknął obcasami i wyprężył się.
--- Na rozkaz, panie rotmistrzu!
--- Zanim zameldujecie się w nowym miejscu służby w naszej stolicy, doprowadzicie zatrzymanego pod adres wymieniony na tej kartce. Po wykonaniu rozkazu kartkę oddać oficerowi dyżurnemu w nowym miejscu służby. Adres zapomnicie. To wasze ostatnie zadanie, Gaal, i oczywiście wykonacie je tak, jak przystoi dzielnemu legioniście.
--- Tak jest, panie rotmistrzu! - wrzasnął Gaj ogarnięty nieopisanym zachwytem. Fala radości, dumy, szczęścia, gorąca fala upojenia zalała go, poderwała, poniosła ku niebu. O, te rozkoszne chwile zachwytu, niezapomniane chwile wstrząsające podstawami istnienia, minuty, kiedy wyrastają skrzydła, kiedy chce się ognia i rozkazu, kiedy pragnie się, żeby rozkaz zjednoczył cię z ogniem, rzucił cię w ogień, na tysiące wrogów, na ziejące lufy, przeciw milionom kul. O, ogniu! O, chwało! Rozkaz, rozkaz! I oto nadeszło to najważniejsze!... Oto staje ten rośły, silny i piękny mężczyzna, duma brygady, nasz kapral Waribobu, staje niczym ognista pochodnia, niczym posąg chwały i wierności i zaczyna śpiewać, a my wszyscy podchwytyjemy, wszyscy jak jeden mąż...
Naprzód, legioniści, naprzód, dzielni chłopcy!
Naprzód, niszcząc twierdzę z błyskawicą w oczach!
Żelaznym obcasem zmiążdżymy najeżdżcę!
Niech krople krwi świeżej błyskają na mieczach!
Śpiewali wszyscy. Śpiewał pan rotmistrz Toot, wzór oficera, najlepszy z najlepszych, za którego tak chciałoby się natychmiast, w rytm tego marsza oddać życie, duszę, wszystko... Śpiewał pan lekarz sztabowy Zogu, wzór samarytanina, szorstki jak prawdziwy żołnierz i czuły jak ręce matki... Śpiewał też nasz kapral Waribobu, nasz do szpiku kości, stary wojak, weteran posiwiwały w bojach... O, jak połyskują medale na jego wytartym, wysłużonym mundurze. Dla niego nie istnieje nic oprócz służby... Czy znacie nas, ukochani nasi Płomienni Chorążowie? Unieście wasze zmęczone twarze i spójrzcie; wszak widzicie wszystko, musicie więc widzieć i to, że jesteśmy tu, na odległych, okrutnych rubieżach naszego kraju i że z zachwytem umrzemy w męczarniach za szczęście Ojczyzny!...
Idziemy w bój druzgocąc świat podłóści.
Tak chcą Płomienni Chorążowie!
O, jak zawodzi wróg! Lecz nie ma dlań litości!
Do szturm, chwaty legionowe!
Ale... cóż to? On nie śpiewa, rozkraczył się i stoi oparty o barierę i wierci swoim głupim brązowym łbem, i biega ślepiami, i ciągle szczyrzy zębiska... Komu pokazujesz zęby, draniu? O, jakby się chciało podejść i z rozmachu żelazną pięścią walnąć w tę wstrętą gębę... Ale nie wolno, nie wolno: przecież to tylko pomylenieć, żaloszny kaleka, prawdziwe szczęście jest dla niego niedostępne, to ślepy i marny, żaloszny

ułomek człowieka. A Zef, rudy bydlak, skręca się w kącie z nieznośnego bólu. Ten to co innego: was zawsze boli głowa, kiedy nam brakuje tchu z zachwytu, kiedy śpiewamy nasz bojowy marsz i gotowiśmy rozerwać sobie płuca, aby dośpiewać go do końca! Katorżnik, rudy bandyta! Za klaki cię, za twoją obrzydliwą brodę! Wstawaj, bydlaku! Stój na bacność, kiedy legioniści śpiewają swój marsz! I po łbie, po łbie, po brudnym pysku, po bezczelnych rybich ślepiach. O tak, o tak...

Gaj odepchnął katorżnika i stuknąwszy obcasami obrócił się do pana porucznika. Jak zawsze po ataku zachwytu coś mu dzwoniło w uszach i świat cudownie rozplątywał się i kołysał przed oczami.

Kapral Waribobu fioletowy z wysiłku popiskiwał i trzymał się za pierś. Pan lekarz sztabowy, spocony i purpurowy, chciwie pił wodę prosto z karafki i wyciągnął chusteczkę z kieszeni. Pan rotmistrz chmurzył się z nieobecnym wyrazem twarzy, jakby chciał sobie coś przypomnieć. Pod progiem, niczym brudny stos kraciastych łachmanów, tarzał się Zef. Twarz miał pokiereszowaną, zalaną krwią i cicho pojękiwał przez zęby. A Mach-sym już się nie uśmiechał. Twarz mu zastygła, zrobiła się podobna do zwyczajnej ludzkiej twarzy. Nieruchomymi, okrągłymi oczami patrzył na Gaja. Usta miał na pół otwarte.

--- Szeregowy Gaal - odezwał się skrzekliwym głosem pan rotmistrz. - Ee... Coś chciałem wam powiedzieć... Czy też już powiedziałem?... Niech pan poczeka, Zogu. Proszę mi zostawić chociaż łyk wody...

Rozdział III

Maksym przebudził się i od razu poczuł, że głowa mu ciąży. W pokoju było duszno. Znowu w nocy zamknęli okno. Zresztą i otwarte niewiele dawało. Miasto było zbyt blisko i w ciągu dnia unosiła się nad nim nieruchoma chmura wstrętnych oparów. Wiatr przynosił je tutaj i nie pomagała ani odległość, ani czwarte piętro, ani też park na dole. Dobrze by było teraz wziąć natrysk jonowy - -- pomyślał Maksym - i wyskoczyć do parku, ale nie do tego parszywego, na poły zgniłego, szarego od kopci, lecz do naszego gdzieś pod Gładbachem, nad brzegiem srebrzystego Nirsu, przebiec z piętnaście kilometrów dookoła jeziora nie licząc się z siłami, do siódmego potu; przepłynąć jezioro, a później ze dwadzieścia minut przespacerować się po dnie, pogimnastykować płuca, położyć wśród oślizłych podwodnych głazów... Zerwał się, otworzył na oścież okno, wychylił się pod siąpiący deszczyk, głęboko wciągnął wilgotne, zanieczyszczone powietrze i zakrztusił się nim. Kropelki deszczu pozostawiły metaliczny posmak na języku. Autostradą z sykiem i świstem mknęły samochody. W dole, pod oknem, lśniło mokre listowie, na wysokim, kamiennym ogrodzeniu połyskiwało tłuczone szkło. Po parku chodził człowiek w mokrej pelerynie i zgrabił na stopy opadłe liście. Spoza zasłony deszczu niewyraźnie majaczyły ceglane budynki jakiejś fabryki na peryferiach miasta. Z dwóch wysokich kominów jak zwykle leniwie wypelzały i opadały ku ziemi grube smugi jadowitego dymu.

Duszny świat. Nieszczęśliwy, chorobliwy świat. Cały tak samo nieprzytulny i smętny, jak to koszarowe pomieszczenie, gdzie ludzie z błyszczącymi guzikami i słabymi zębami nagle ni z owego zaczęli wrzeszczeć zachrypniętymi głosami i Gaj, taki sympatyczny, piękny chłopak zupełnie nieoczekiwanie zaczął katować rudobrodę Zefa, a ten się nawet nie bronił... Nieszczęśliwy świat... Radioaktywna rzeka, idiotyczny żelazny smok, brudne powietrze i niechlujni pasażerowie w pociągu... I jeszcze jedna wstrętne scena w wagonie, kiedy to jacyś wulgarni, nie wiadomo czemu cuchnący fuzłowymi olejkami ludzie doprowadzili swym śmiechem i gestami jakąś straszną niewiastę do płaczu i nikt jej nie wziął w obronę, a wagon był szczelnie nabity, wszyscy patrzyli w bok i tylko Gaj nagle się poderwał błądzący ze złości, a może ze strachu i coś do nich krzyknął, a oni się wynieśli... Wiele złości, wiele strachu, wiele rozdrażnienia. Wszyscy są tu rozdrażnieni i przybici. Gaj, dobry i sympatyczny człowiek, czasem wpadał w niewytłumaczalną wściekłość, zaczynał gwałtowne kłótnie z sąsiadami z przedziału, patrzył na mnie spode łba, a potem równie nagle wpadał w prostracę. Pozostali pasażerowie zachowywali się wcale nie lepiej. Całymi godzinami siedzieli zupełnie spokojnie, rozmawiali półgłosem, nawet żartowali i nagle ktoś zaczyna kłótniwo warczeć na sąsiada, sąsiad nerwowo się odgryzał, a inni zamiast ich uspokoić, włączali się do kłótni. Awantura zaczynała się rozszerzać, ogarniała cały wagon. Po chwili wszyscy na siebie wrzeszczeli, odgrażali się, popychali, ktoś wymachiwał pięściami, ktoś kogoś trzymał za kołnierz, dzieci płakały na cały głos i wszyscy w rozdrażnieniu szarpali je za uszy. Potem wszystko stopniowo ucicha, wszyscy się na siebie bczą, rozmawiają niechętnie, odwracają się. A czasami awantura przekształca się w coś już zupełnie niesamowitego: oczy wyskakują z orbit, twarze pokrywają się czerwonymi plamami, głosy podnoszą się aż do nieprzytomnego pisku, ktoś histerycznie się śmieje, ktoś śpiewa, ktoś modli się wzniósłszy nad głową trzęsące się ręce... Dom wariatów. A za oknami melancholijnie przepływają smutne szare pola, zakopcone stacje, ubogie przysiółki, jakieś nie uprzątnięte ruiny, a wycieńczone kobiety w łachmanach odprowadzają pociąg zapadniętymi, smutnymi oczami...

Maksym odszedł od okna, postąpił chwilę pośrodku ciasnej izdebki, apatyczny i nieludzko zmęczony, potem zmusił się do skupienia i zrobił kilka ćwiczeń, wykorzystując masywny, drewniany stół w charakterze przyrządu gimnastycznego. W ten sposób można zupełnie skisnąć - pomyślał zaniepokojony. - Jeszcze jakieś dwa dni chyba wytrzymam, ale później będę musiał prysnąć. Dobrze byłoby prysnąć w górę, na oko góry mają całkiem niezłe, dzikie. Co prawda są trochę za daleko, w ciągu nocy nie da rady obrócić tam i z powrotem. Jak to je Gaj nazywał? "Zartak"... Ciekawe, czy to jest imię własne, czy też góry w ogóle? Zresztą co mi tam góry... Jestem tu już dziesięć dni, a niczego do tej pory nie zrobiłem...

Wcisnął się do kabiny i kilka minut parskał i masował się pod ostrym sztuczny deszczykiem, takim samym wstrętnym jak i naturalny, wprawdzie nieco chłodniejszym, ale twardym i wapnistym.

Wytań się wydezynfekowanym ręcznikiem i ze wszystkiego niezadowolony - z tego mętnego poranka, z tego

dusznego świata i ze swojej idiotycznej sytuacji, i ze zbyt tłustego śniadania, które będzie musiał wkrótce zjeść - wrócił do pokoju, aby posłać łóżko.

Śniadanie już przyniesiono: parowało i cuchnęło. Ryba znów zamykała okno.

--- Dzień dobry - powiedział Maksym w miejscowym języku. - Nie trzeba. Okno.

--- Dzień dobry - odpowiedziała szcękając wielką ilością zasuwek. - Trzeba. Deszcz. Żle.

--- Ryba - powiedział Maksym w lincosie. Właściwie nazywała się Nolu, ale Maksym od razu ochrzcił ją Rybą ze względu na wyraz twarzy i flegmatyczność.

Odwróciła się i popatrzyła na niego nieruchomymi oczami. Później, po raz już któryś z rzędu przyłożyła palec do czubka nosa i powiedziała: "Kobieta", potem wskazała palcem na Maksyma: "Mężczyzna", następnie w kierunku obrzydłej kapoty wiszącej na oparciu krzesła: "Odzież. Trzeba". Nie wiadomo czemu nie mogła patrzeć na mężczyznę w szortach. Nie wiedzieć czemu pragnęła, żeby mężczyzna był opatulony od nóg do szyi.

Zaczął się ubierać, a ona zasnęła jego łóżko, chociaż Maksym za każdym razem mówił, że będzie to sam robił, wysunęła na środek pokoju stół, który Maksym zawsze przysuwał do ściany, zdecydowanie odkręciła zawór ogrzewania, który Maksym zawsze zakręcał do końca, i wszystkie jednostajne "nie trzeba" Maksyma rozbijały się o jej równie jednostajne "trzeba".

Zapiąwszy kapotę pod szyją na jedyny złamany guzik Maksym podszedł do stołu i podłubał dwuzębnym widelcem w śniadaniu. Nastąpił zwykły w takich wypadkach dialog:

--- Nie chcę. Nie trzeba.

--- Trzeba. Pokarm. Śniadanie.

--- Nie chcę śniadanie. Niesmaczne.

--- Trzeba śniadanie. Smaczne.

--- Rybo - powiedział do niej Maksym - okrutny z pani człowiek. Gdyby pani trafiła do mnie na Ziemię, ja bym ze skóry wylazł, aby znaleźć jedzenie do smaku.

--- Nie rozumiem - powiedziała z żalem. - Co to jest "ryba"?

Maksym milczał.

Żując ze wstrętem tłusty kęs Maksym wziął papier i narysował leszcza en face. Uważnie obejrzała obrazek i włożyła do kieszeni kitla. Wszystkie rysunki, które robił Maksym, zabierała i dokądś wносиła. Maksym rysował dużo, chętnie i z przyjemnością. Rysował w wolnych chwilach i nocami, kiedy nie mógł spać, bo nie miał tu nic innego do roboty. Rysował zwierzęta i ludzi, kreślił tablice i diagramy, odtwarzał przekroje anatomiczne. Przedstawiał profesora Megę podobnego do hipopotama i hipopotamy podobne do profesora Megi, wypisywał uniwersalne tablice lincosu, szkicował maszyny i wykresy chronologiczne, słowem, zużywał mnóstwo papieru i wszystko to znikało w kieszeni Ryby bez żadnego widocznego pożytku dla przebiegu kontaktu. Profesor Mega, onże Hipopotam - miał własną metodę i nie zamierzał od niej odstępować.

Uniwersalna tablica lincosu, od przestudiowania której winien się rozpoczynać każdy kontakt, zupełnie Hipopotama nie interesowała. Miejscowego języka uczyła przybysza tylko Ryba i to tylko zresztą dla własnej wygody, żeby móc kazać mu zamykać okna i ubierać się w kapotę. Ekspersi w kontakcie nie uczestniczyli. Maksymem zajmował się wyłącznie Hipopotam.

Dysponował co prawda dosyć sprawnym instrumentem badawczym, techniką mentokopową. Maksym spędzał więc w fotelu próbnikowym po czternaście, szesnaście godzin na dobę. W dodatku jego mentoskop był bardzo dobry. Pozwalał dosyć głęboko przenikać we wspomnienia i miał doskonałą rozdzielczość.

Dysponując taką maszyną można było się właściwie obyć bez znajomości języka. Ale Hipopotam posługiwał się mentoskopem jakoś dziwnie. Demonstracji swoich mentogramów odmówił kategorycznie i nawet z pewnym oburzeniem, a mentogramy Maksyma traktował nader swoiście. Maksym starał się oczywiście przede wszystkim zapoznać tubylców z życiem dzisiejszej Ziemi. Jednak tego rodzaju mentogramy nie wzbudzały w Hipopotamie żadnego entuzjazmu. Hipopotam wykrzywił fizys, beczał, odchodził, chwycił za telefon albo siadał przy stole i zaczynał monotonicznie piłować asystenta, powtarzając przy tym często soczyste słówko "massaraksz". Ale kiedy Maksym na ekranie wysadzał w powietrze lodową skałę przygniatającą statek, roznosił dezintegratorem na strzępy pancernego wilka lub zabierał autoanalizator głupiemu gigantycznemu pseudokalmarowi, wtedy Hipopotama nie można było oderwać od mentoskopu. Mega cicho popiskiwał, klepał się radośnie dłonią po łysinie i groźnie wrzeszczał na wymęczzonego asystenta pilnującego zapisu obrazów. Widok chromosferycznej protuberancji wprowadził profesora w taki zachwyt, jakby nigdy w życiu niczego podobnego nie widział. Bardzo mu się też podobały sceny miłosne, zapożyczone przez Maksyma głównie z filmów specjalnie po to, aby dać tubylcom jakieś pojęcie o emocjonalnym życiu ludzkości.

Taki stosunek do materiału budził w Maksymie smutne myśli. Odnosiło się wrażenie, że Hipopotam wcale nie jest profesorem, lecz zwyczajnym inżynierem- mentokopistą przygotowującym materiały dla właściwej komisji kontaktowej, z którą Maksym będzie się jeszcze musiał zetknąć, ale nie wiadomo kiedy. W takim razie Hipopotam musiałby być prymitywnym osobnikiem podobnym do chłopaka, którego w "Wojnie i pokoju" interesują jedynie sceny batalistyczne. To budziło protest: Maksym reprezentował przecież Ziemię i miał prawo liczyć na poważniejszego partnera w kontakcie!

Można było wprawdzie przypuszczać, że ten świat leży na skrzyżowaniu nieznanymi tras międzygwiazdnych i że przybysze nie są tu rzadkością. Do tego stopnia spowszednieli, że nie tworzy się specjalnych

poważnych komisji dla każdego nowo przybyłego, lecz po prostu wyciąga się z niego najbardziej efektywne informacje i na tym się cała rzecz kończy. Za takim przypuszczeniem przemawiała sprawność, z jaką ludzie z błyszczącymi guzikami, najwyraźniej niefachowcy, zorientowali się w sytuacji i bez żadnych zachwytów i korowodów od razu skierowali przybysza pod właściwy adres. Możliwe też, iż jacyś niehumanoidzi, którzy tu byli wcześniej, pozostawili po sobie tak złe wspomnienia, że teraz tubylcy odnoszą się do wszystkich mieszkańców obcych planet z pewną, zupełnie zresztą uzasadnioną, podejrzliwością i wówczas cała ta krzątanina wokół mentoskopu, którą zajmuje się profesor Hipopotam, może się okazać jedynie pozorem kontaktu, zwłoką, aby bliżej nie znane wysokie instancje miały czas zadecydować o losie Maksyma. Tak czy inaczej moja sytuacja jest paskudna - stwierdził Maksym dławiąc się ostatnim kęsem. - Trzeba szybko nauczyć się języka i wtedy się wszystko wyjaśni...

--- Dobrze - powiedziała Ryba zabierając pusty talerz. - Chodźmy.

Maksym westchnął i wstał. Wyszli na korytarz. Korytarz był długi, brudnobłękitny z szeregiem zamkniętych drzwi po obu stronach, dokładnie takich samych, jak drzwi do pokoju Maksyma. Maksym nigdy nikogo tu nie spotykał, ale chyba ze dwa razy usłyszał zza drzwi jakieś dziwne, podniecone głosy. Możliwe, że tam również "przechowywano" przybyszów oczekujących na decyzję o swoim losie.

Ryba szła pierwsza szerokim, męskim krokiem, prosta, jakby połknęła kij, i Maksymowi nagle zrobiło się jej żal. Ten kraj najwidoczniej nie znał jeszcze salonów piękności i biedna Ryba była pozostawiona samej sobie. Z tymi rzadkimi, bezbarwnymi włosami wysuwającymi się spod czapeczki; z tymi chudymi łopatkami sterczącymi spod kitla i z okropnie cienkimi nóżkami pewnie nie można się było czuć dobrze, chyba że w obecności istot z obcych planet i to pod warunkiem, że nie będą humanoidalne. Asystent odnosi się do niej lekceważąco, a Hipopotam w ogóle jej nie zauważa i zwraca się do niej wyłącznie przy pomocy dźwięku "Yyy...", co prawdopodobnie odpowiada interkosmicznemu "Eee..." Maksym uświadomił sobie, że sam ją nie lepiej traktował i poczuł wyrzuty sumienia. Dopędził ją, pogłodził po kościstym ramieniu i powiedział:

--- Nolu dobra. Bardzo.

Podniosła ku niemu chudą twarz i zrobiła się jak nigdy podobna do zdziwionego leszcza en face. Odsunęła jego rękę, zmarszczyła swe prawie niewidoczne brwi i oświadczyła surowo:

--- Maksym niedobry. Mężczyzna. Kobieta. Nie trzeba.

Maksym zmieszał się i znów pozostał w tyle.

W takim szyku doszli do końca korytarza. Ryba pchnęła drzwi i znaleźli się w dużym, jasnym pokoju, który Maksym nazywał w myśli poczekalnią. Okna były tu niepotrzebnie ozdobione prostokątnymi kratami z grubych metalowych prętów; wysokie, obite skórą drzwi wiodły do laboratorium Hipopotama, a przy tych drzwiach nie wiadomo czemu siedziało dwóch roślących, mało ruchliwych tubylców - nie odpowiadających na pozdrowienia i stale jakby w transie.

Ryba jak zawsze od razu weszła do laboratorium, zostawiając Maksyma w poczekalni. Maksym jak zwykle przywitał się i jak zwykle nikt mu nie odpowiedział. Drzwi do laboratorium pozostały uchylone i dobiegał przez nie donośny, rozdrażniony głos Hipopotama i dźwięczne trzaski włączonego mentoskopu. Maksym podszedł do okna, chwilę patrzył na zamglony mokry krajobraz, na lesistą równinę przeciętą wstęgą autostrady, na wysoką metalową wieżę ledwie widoczną we mgle, szybko się znudził i nie czekając na wezwanie wszedł do laboratorium.

W laboratorium przyjemnie pachniało ozonem, migotały ekrany urządzenia dublującego, łysawy, zagłodzony asystent z imieniem niemożliwym do zapamiętania i przezwiskiem Kinkiet udawał, że reguluje aparaturę, a w rzeczywistości przysłuchiwał się awanturze.

W fotelu Hipopotama siedział nieznajomy człowiek z kwadratową, łuszczącą się twarzą i czerwonymi, opuchniętymi powiekami. Hipopotam stał przed nim lekko pochylony, na szeroko rozstawionych nogach i z rękami wspartymi o boki. Wrzeszczał. Kark miał fioletowy, łysina płonęła mu intensywną purpurą, a z ust daleko pryskały krople śliny.

Starając się nie zwracać na siebie uwagi Maksym cichutko przeszedł do swego stanowiska pracy i półgłosem przywitał się z asystentem. Kinkiet, istota nerwowa i wystraszona, odskoczył w przerażeniu i poślizgnął się na grubym kablu. Maksym ledwie zdążył uchwycić go za ramiona i nieszczęsny Kinkiet zwiotczał z wywróconymi oczami. W twarzy nie pozostała mu ani jedna kropelka krwi. Ten dziwny człowiek okropnie bał się Maksyma. Nie wiadomo skąd pojawiła się bezszelestnie Ryba z odkorkowaną butelką, która natychmiast powędrowała pod nos Kinkieta. Kinkiet czknął i ożył. Zanim znów zdążył zemdleć, Maksym oparł go o żelazną szafę i pośpiesznie cofnął się na swoje miejsce.

Usiadł w fotelu próbnikowym i odkrył, że łuszczący się nieznajomy przestał słuchać Hipopotama i uważnie patrzył na niego, to znaczy na Maksyma. Maksym uśmiechnął się przyjaźnie. Nieznajomy lekko pochylił głowę. Wtedy Hipopotam z potwornym hukiem łupnął pięścią w stół i złapał za telefon. Korzystając z powstałej w ten sposób pauzy nieznajomy powiedział kilka słów, z których Maksym zrozumiał jedynie "trzeba" i "nie trzeba", wziął ze stołu kartkę grubego, błękitnego papieru z jaskrawozieloną obwódką i pomachał nią w powietrzu przed twarzą Hipopotama. Hipopotam machnął ze złością ręką i zaraz zaczął szczeleć w telefon. "Trzeba", "nie trzeba" i niezrozumiałe "massaraksz" sypały się z niego niczym z rogu obfitości. Maksym zdołał uchwycić jeszcze jedno słowo: "okno". Wszystko skończyło na tym, że Hipopotam rzucił z wściekłością słuchawkę, jeszcze kilka razy wrzasnął na nieznajomego, opluwszy go przy tym od stóp do głów, i wyskoczył z laboratorium trzasnąwszy drzwiami.

Wówczas nieznajomy wytarł twarz chusteczką, uniósł się z fotela, otworzył długie, płaskie pudło leżące na parapecie i wyjął z niego jakąś ciemną odzież.

--- Proszę podejść - powiedział do Maksyma - i ubrać się.

Maksym spojrzał na Rybę.

--- Idź - powiedziała Ryba. - Ubierz się. Trzeba.

Maksym zrozumiał, że w jego losie następuje wreszcie długo oczekiwany zwrot, że ktoś gdzieś coś zdecydował. Zapominając o wskazówkach Ryby od razu rzucił z siebie obrzydliwą kapotę i przy pomocy nieznajomego ubrał się w nowy strój. Strój ten zdaniem Maksyma nie odznaczał się ani pięknnością, ani wygodą, ale był dokładnie taki sam, jaki miał na sobie nieznajomy. Można było nawet przypuścić, że nieznajomy podarował mu swoje zapasowe odzienie, gdyż rękawy były za krótkie, a spodnie wisiały z tyłu jak worek i opadały. Zresztą wszystkim obecnym wygląd Maksyma w nowej odzieży wyraźnie przypadł do gustu. Nieznajomy mruczał coś z aprobatą, Ryba, złagodziwszy wyraz twarzy tak dalece, jak to jest tylko dla leszcza możliwe, wygładzała mu rękawy i obciągała kurtkę i nawet Kinkiet błado się uśmiechał ukryty za pulpitem.

--- Chodźmy - powiedział nieznajomy i skierował się ku drzwiom, przez które wytoczył się rozwścieczony Hipopotam.

--- Do widzenia - powiedział Maksym do Ryby. - Dziękuję - dodał w lincosie.

--- Do widzenia - odpowiedziała Ryba. - Maksym dobry. Zdrowy. Trzeba.

Zdaje się, że była wzruszona. Maksym skinął ręką blademu Kinkietowi i pośpieszył za nieznajomym. Przeszli przez kilka pokoiów zastawionych niezgrabną, archaiczną aparaturą, zjechali hałaśliwą, jazgoczącą windą na parter i znaleźli się w obszernym, niskim przedsionku, dokąd Gaj kilka dni temu przyprowadził Maksyma. Tak samo jak kilka dni temu znowu trzeba było czekać, zanim wypisze się jakieś papiery, zanim śmieszny człowieczek w zabawnym nakryciu głowy, nagryzmoli coś na różowych blankietach, a czerwonoooki nieznajomy nagryzmoli coś na zielonych blankietach i pannica ze wzmacniaczami optycznymi na oczach postawi na tych blankietach fioletowe pieczęcie; potem zaś wszyscy zamieniają się blankietami i pieczęciami, myląc się przy tym, wrzeszcząc na siebie i chwytając za słuchawkę telefoniczną; i wreszcie człowieczek w zabawnym nakryciu głowy bierze sobie dwa zielone i jeden różowy blankiet, przy czym różowy blankiet rozdziera na dwie części i jedną z nich oddaje pannicy stawiającej pieczęcie; natomiast łuszczący się nieznajomy dostaje dwa różowe blankiety, gruby błękitny kartonik i w dodatku okrągły metalowy żeton z wybitnym na nim napisem i wszystko to w chwilę później oddaje roslemu człowiekowi z błyszczącymi guzikami, stojącemu przy drzwiach wejściowych o dwadzieścia kroków od ludzika w zabawnym nakryciu głowy. Kiedy wreszcie wychodzą na ulicę, roslę zaczyna nagle ochryple krzyczeć i czerwonoooki nieznajomy wraca, i okazuje się, że zapomniał wziąć gruby błękitny kartonik, zabiera więc błękitny kartonowy kwadracik i z głębokim westchnieniem wpycha gdzieś w zanadrze. Dopiero wtedy Maksym, który już zdążył przemoknąć na deszczu, może zająć miejsce w nieracjonalnie długim samochodzie po prawej stronie czerwonoookiego, który jest rozdrażniony, sapie i często powtarza ulubione zaklęcia Hipopotama: "Massaraksz".

Samochód zawarczał, miękko ruszył z miejsca, wydobył się z nieruchomego stada innych samochodów, pustych i mokrych, przetoczył się po dużym asfaltowym placu przed gmachem, wyminął ogromny klomb zwiotczałych kwiatów, przejechał wzdłuż wysokiej żółtej ściany usianej na szczycie tłuczonym szkłem, zbliżył się do wylotu na szosę i ostro zahamował.

--- Massaraksz - syknął znów czerwonoooki i wyłączył silnik.

Szosa ciągnęła długa kolumna jednakowych, plamistych ciężarówek o nadwoziach z krzywo nitowanej, giętej blachy. Nad żelaznymi burtami sterczały szeregi nieruchomych okrągłych przedmiotów połyskujących mokrym metalem. Ciężarówki posuwały się bez pośpiechu, zachowując między sobą jednakowe odstępy i wionąc okropnym smrodem organicznych spalin.

Maksym obejrzał drzwiczki po swojej stronie, zorientował się, co do czego służy i podniósł szybę.

Czerwonoooki nie patrząc na niego wypowiedział długie zdanie, całkowicie niezrozumiałe.

--- Nie rozumiem - powiedział Maksym.

Czerwonoooki zwrócił ku niemu zdziwioną twarz i sądząc z intonacji o coś zapytał. Maksym pokręcił głową.

--- Nie rozumiem - powtórzył.

Czerwonoooki zdziwił się jakby jeszcze bardziej, sięgnął do kieszeni i wydobył płaskie pudełeczko pełne długich, białych pałeczek, jedną wsunął sobie do ust, a pozostałe zaproponował Maksymowi. Maksym z uprzejmości przyjął pudełeczko i zaczął je oglądać. Pudełeczko było zrobione z kartonu i silnie pachniało jakimiś suszonymi roślinami. Maksym wziął jedną z pałeczek, odgryzł kawałek i zaczął żuć. Następnie pośpieszenie opuścił szybę, wychylił się i splunął. To nie nadawało się do jedzenia.

--- Nie trzeba - powiedział zwracając pudełko czerwonoookiemu. - Niesmaczne.

Czerwonoooki patrzył na niego z otwartymi ustami. Biała pałeczka zwisała mu z wargi. Maksym zgodnie z miejscowymi zwyczajami dotknął końca swego nosa i przedstawił się: "Maksym". Czerwonoooki coś odburknął, w jego ręce nagle pojawił się płomyk, w którym zanurzył koniec białej pałeczki. Samochód natychmiast wypełnił się mdlącym dymem.

--- Massaraksz! - wykrzyknął Maksym z oburzeniem i otworzył drzwiczki. - Nie trzeba!

Zrozumiał, do czego służyły te pałeczki. W wagonie, w którym jechał razem z Gajem, prawie wszyscy

mężczyźni zatruli powietrze dokładnie takim samym dymem, ale posługiwali się w tym celu nie białymi pałeczkami, lecz krótkimi i długimi drewnianymi przedmiotami przypominającymi starożytne dziecięce fujarki. Wdychali jakiś narkotyk, co było zwyczajem niewątpliwie nader szkodliwym i wówczas w wagonie Maksym pocieszył się tylko tym, że sympatyczny Gaj był najwidoczniej również zdecydowanym przeciwnikiem tego zwyczaju.

Nieznajomy pospiesznie wyrzucił narkotyczną pałeczkę przez okno i pomachał dłonią przed swoją twarzą. Maksym na wszelki wypadek również pomachał dłonią, a potem się powtórnie przedstawił. Okazało się, że czerwonoooki nazywa się Fank, i na tym rozmowa się zakończyła. Siedzieli tak z pięć minut spoglądając na siebie przychylnie i kolejno pokazując sobie nieskończoną kolumnę ciężarówek powtarzali: "Massaraksz". Później kolumna przejechała i Fank wy dostał się na szosę.

Najwyraźniej bardzo się spieszył. Silnik zahuczał niskim basem, później Fank włączył jakieś paskudnie wyjące urządzenie i nie przestrzegając, zdaniem Maksyma, żadnych prawideł bezpieczeństwa jazdy popędził autostradą wyprzedzając kolumnę i wymijając w ostatniej chwili samochody mknące z przeciwnika. Wyprzedzili kolumnę ciężarówek; ominęli, ledwie nie wpadając na pobocze, szeroki czerwony pojazd z samotnym, bardzo mokrym kierowcą; przemknęli obok drewnianego wózka na chybliwych kołach ze szprychami, ciągniętego przez mokre zwierzę kopalne; zagnali rykiem do rowu grupę pieszych ubranych w brezentowe płaszcze; wpadli pod korony wielkich, rozłożystych drzew, rosnących szeregami po obu stronach drogi... Fank ciągle zwiększał szybkość, strumienie nadbiegającego powietrza ryczały w owiewkach, wystraszone wyciem pojazdy jadące przodem przyciskały się do pobocza ustępując mu drogi. Samochód wydał się Maksymowi nieprzystosowany do takich szybkości, zbyt mało stateczny i było mu odrobinę nieprzyjemnie.

Wkrótce drogę obsiadły domy, samochód wpadł do miasta i Fank był zmuszony gwałtownie zmniejszyć prędkość.

Ulice były niewspółmiernie wąskie. Automobil Fanka ledwie się włókł, ściśnięty ze wszystkich stron najróżniejszymi pojazdami. Z przodu, zasłaniając pół nieba, piętrzyła się tylna ściana furgonu pokryta niezgrabnymi, wielobarwnymi napisami i prymitywnymi wizerunkami zwierząt i ludzi. Z lewej, nie wyprzedzając ani nie pozostając w tyle, pełżyły dwa jednakowe samochody zatłoczone gestykulującymi mężczyznami i kobietami. Pięknymi kobietami, efektownymi, nie to, co Ryba. Jeszcze bardziej w lewo guzdrała się z żelaznym jazgotem jakaś odmiana pociągu elektrycznego, co chwilę sypiącego snopami błękitnych i zielonych iskier. Wagony były do ostateczności zapchane pasażerami, którzy zwisali pęczkami również ze wszystkich drzwi. Po prawej biegł nieruchomy pas asfaltu niedostępny dla pojazdów. Po tym pasie gęstymi strumieniami szli ludzie w mokrych ubraniach wszystkich odcieni czerni i szarości. Ludzie zderzali się, wyprzedzali wzajemnie, uskakiwali z drogi, przeciskali się przez tłum, co chwila wpadali do otwartych jaskrawo oświetlonych drzwi i mieszały się z gromadami mrowiącymi się za ogromnymi zapoconymi witrynami, a czasami nagle zbierali się w wielkie grupy tworząc korki i wiry, wyciągając szyje i usiłując na coś popatrzeć. Było tam bardzo dużo chudych i bladych twarzy, bardzo podobnych do twarzy Ryby, prawie wszyscy byli brzydki, nadmiernie, niezdrowo szczupli, zbyt bladzi, niezręczni i kanciąści... Ale śmieli się często i chętnie, zachowywali się swobodnie, oczy im błyszcząły, wszędzie odzywały się ożywione głosy. - To chyba jednak wygląda na szczęśliwy świat - pomyślał Maksym. W każdym razie ulice, chociaż brudne, nie są jednak zawałone odpadkami, domy też wyglądają dosyć wesoło, prawie we wszystkich oknach ze względu na pochmurny dzień pali się światło: widocznie elektryczności im nie brakuje. Radośnie mrugają ogłoszenia reklamowe, a co się tyczy zapadniętych twarzy, to przy takim hałasie i przy takim zanieczyszczeniu powietrza trudno czegoś innego oczekiwać. Świat ubogi, nie zagospodarowany, niezbyt zdrowy... A jednak na oko dosyć szczęśliwy.

Nagle na ulicy coś się zmieniło. Rozległy się podniecone głosy. Jakiś człowiek wdrapał się na słup latarni i zawisnąwszy na nim zaczął energicznie krzyczeć wymachując wolną ręką. Na chodniku zaczęto śpiewać. Ludzie zatrzymywali się, zrywali nakrycia głowy, wytrzeszczali oczy i śpiewali, krzyczeli do zachrypięcia, wznosząc wąskie twarze ku ogromnym, różnokolorowym napisom, które nagle zapłonęły w poprzek ulicy.

--- Massaraksz - zasyczał Fank i samochód zarzucił. Maksym popatrzył na niego. Fank był śmiertelnie blady, twarz mu się wykrzywiła. Kręcąc gwałtownie głową z trudem oderwał rękę od kierownicy i wlepił wzrok w zegarek. "Massaraksz..." - wyjęczał i powiedział jeszcze kilka słów, z których Maksym rozpoznał tylko jedno "nie rozumiem". Potem obejrzał się za siebie i twarz mu się wykrzywiła jeszcze mocniej. Maksym również się obejrzał, ale z tyłu nie było widać nic szczególnego. Jechał tam jaskrawożółty samochód, kwadratowy jak pudełko.

Na ulicy wrzask wznosił się już pod niebo, ale Maksym zajęty był czymś innym. Fank wyraźnie tracił przytomność, a samochód nadal posuwał się do przodu. Furgon jadący przed nimi gwałtownie zahamował, zabłysły światła sygnalizacyjne i nagle malowidła na jego ścianie zbliżyły się, rozległ się okropny zgrzyt, głucho uderzenie i pogruchoćana maska wypiętrzyła się do góry.

--- Fank! - krzyknął Maksym. - Fank! Nie trzeba!

Fank leżał z głową i rękami opartymi na owalnej kierownicy i głośnie pojękiwał. Dokoła piszczały hamulce, ruch się zatrzymał, wyły sygnały. Maksym potrząsnął Fanka za ramię, otworzył drzwiczki, wychylił się na zewnątrz i krzyknął:

--- Na pomoc! On umiera!

Przy samochodzie zebrał się już śpiewający, wrzeszczący, bełkocący tłum, energicznie wymachiwały ręce, trzęsły się wzniesione nad głowami pięści, dziesiątki par nabiegłych krwią, wytrzeszczonych oczu wirowało wściekle w orbitach. Maksym niczego nie rozumiał: albo ci ludzie byli oburzeni wypadkiem, albo z czegoś bez pamięci się cieszyli, albo też komuś grozili. Krzyżeć nie miało sensu, nie słysząc było własnego głosu, Maksym więc znowu zajął się Fankiem. Fank leżał teraz na plecach z głową odrzuconą do tyłu i ze wszystkich sił miętosił dłońmi skronie, policzki, czaszkę... Na wargach miał pęcherzyki śliny. Maksym zrozumiał, że męczy go nieznośny ból, i mocno uchwycił go za łokcie, pospiesznie i z napięciem starając się przejąć ten ból na siebie. Nie był pewien, czy mu się to uda z istotą z innej planety, szukał kontaktu nerwowego i nie mógł go znaleźć, a tu jeszcze w dodatku Fank oderwawszy ręce od skroni zaczął go ze wszystkich swych mizernych sił bić w piersi i coś rozpaczliwie mamrotać płaczącym głosem. Maksym rozumiał tylko: "Idź, idź..." Fank był nieprzytomny.

Wtedy drzwi obok Fanka otworzyły się, do samochodu zajrzały dwie rozgorączkowane twarze pod czarnymi beretami, zabłysły szeregi metalowych guzików i natychmiast mnóstwo twardych, silnych rąk chwyciło Maksyma za ramiona, boki, szyję, oderwało od Fanka i wyciągnęło z samochodu. Nie opierał się, gdyż w tych rękach nie było groźby lub złych zamiarów, raczej wręcz przeciwnie. Wepchnięty w hałasujący tłum widział, jak dwójka w czarnych beretach poprowadziła zgiętego, skurczonego Fanka do żółtego samochodu, a następna trójka w beretach odpychała od niego ludzi wymachujących rękami. Potem tłum z rykiem oblepił pokieroszowany samochód. Samochód niezgrabnie zachybotał, uniósł się, obrócił na bok, w powietrzu mignęły obracające się wolno gumowe koła i oto wóz już leży dachem w dół, a tłum włazi nań i wszyscy krzyczą, śpiewają, i wszyscy ogarnięci są jakąś wściekłą, szaloną radością.

Maksyma odepchnięto pod ścianę domu i przyciśnięto do mokrej szklanej witryny. Wyciągnął szyję i zobaczył, jak żółty, kwadratowy samochód zamigotał mnóstwem światełek, wyjechał z tłumy i z miedzianym klekotem zniknął z oczu.

Rozdział IV

Późnym wieczorem Maksym zrozumiał, że ma już tego miasta po dziurki w nosie, że nie chce już niczego widzieć, za to chce coś zjeść. Spędził cały dzień na nogach, bardzo wiele zobaczył, prawie niczego nie rozumiał, zwyczajnie przysłuchując się poznał kilka nowych słów, zidentyfikował kilka miejscowych liter na afiszach i plakatach. Nieszczęśliwy wypadek Fanka speszył go i zadziwił, ale ogólnie rzecz biorąc był nawet zadowolony, że go znowu pozostawiono samemu sobie. Lubił samodzielność i bardzo mu tej samodzielności brakowało przez cały czas, kiedy siedział w hipopotamowej czteropiętrowej termitierze ze złą wentylacją. Po dojrzałym namyśle postanowił chwilowo zagubić się. Uprzejmość uprzejmością, a informacja informacją. Wprawdzie zasad nawiązywania kontaktu nie wolno naruszać, ale lepsza sposobność zdobycia niezależnej informacji pewnie się nie nadarzą...

Miasto podzielało na jego wyobraźnię. To ludzkie skupisko kleiło się do ziemi. Cały ruch odbywał się na ziemi albo pod ziemią, gigantyczne przestrzenie pomiędzy domami i nad domami pozostawały puste, oddane na pastwę dymu, deszczu i mgły. Miasto było szare, zadymione, bezbarwne i jednostajne. Nie chodziło tu o budynki, wśród których zdarzały się nawet dosyć ładne, nie o monotonne mrowienie tłumów na ulicach, nie o tę nieustanną wilgoć ani też zadziwiającą martwość pokrywających wszystko kamieni i asfaltu. Ta jednakowość dotyczyła czegoś zasadniczego, podstawowego. Miasto było podobne do ogromnego mechanizmu zegarowego, w którym nie ma jednakowych części, ale wszystko porusza się, obraca, zazębia i rozłącza w jednolitym, wiecznym rytmie, którego zmiana może oznaczać tylko jedno: niesprawność, uszkodzenie, zatrzymanie. Ulice wysokich, murowanych domów ustępowały miejsca wąskim uliczkom z małymi, drewnianymi domkami; ludzkie mrowie ustępowało miejsca majestatycznej pustce rozległych placów; szare, brązowe i czarne garnitury pod eleganckimi pelerynami ustępowały przed szarymi, brązowymi, czarnymi łachmanami przykrytymi nędznymi, wypłowiałymi okryciami, równomierny, jednostajny gwar zmieniał się nagle w dzikie, triumfalne wycie sygnałów, wrzaski i śpiewy, i wszystko to było wzajemnie ze sobą powiązane, od dawna zdeterminowane jakimiś nieznanymi, wewnętrznymi zależnościami i nic nie miało własnego, samodzielnego znaczenia. Wszyscy ludzie mieli jednakowe twarze, wszyscy zachowywali się jednakowo i wystarczyło nauczyć się przechodzić przez ulicę, aby człowiek mógł się zagubić, roztopić wśród pozostałych, mógł poruszać się w tłumie choćby i tysiąc lat nie przyciągając niczyjej uwagi. Prawdopodobnie ten świat był dostatecznie skomplikowany i kierował się wieloma prawami, ale najważniejsze z nich Maksym już samodzielnie odkrył i przyswoił: rób to samo i tak samo jak wszyscy. Po raz pierwszy w życiu chciał być taki sam jak wszyscy. Widział pojedynczych ludzi, którzy zachowywali się nie tak jak pozostali, i ludzie ci wzbudzali w nim najwyższy wstręt. Ci inni parli pod prąd ludzkiego strumienia, chwiali się na nogach, czepiali się rękami przechodniów, potykali się i przewracali, cuchnęli czymś dziwnym i obrzydliwym. Omijano ich, lecz pozostawiano w spokoju. Niektórzy z nich leżeli pokotem pod ścianami i mokli na deszczu. Maksym zachowywał się jak wszyscy. Razem z tłumem wpadał do gwarnych magazynów pod brudnymi szklanymi dachami, razem z innymi opuszczał te pomieszczenia, razem ze wszystkimi schodził pod ziemię, wciskał się do przepelnionych pociągów elektrycznych, mknął gdzieś w niewyobrażalnym trzasku i jazgocie, pochwycony ludzkim strumieniem znów wychodził na powierzchnię, na jakieś nowe ulice, dokładnie takie same jak poprzednie.

Później nadszedł wieczór. Zapaliły się ciemnawe latarnie zawieszane wysoko nad ziemią i prawie niczego nie oświetlające. Na dużych ulicach stało się już zbyt ciasno i cofając się przed tą ciasnotą Maksym znalazł

się w jakimś mrocznym zaułku. Tam zrozumiał, że dzisiaj ma dosyć, i zatrzymał się.

Ujrzał trzy rozświetlone złociste kule, migocący niebieski napis ze szklanych rurek z jarzącym się gazem i drzwi prowadzące do sutereny. Wiedział już, że trzema złotymi kulami oznacza się tu zwykle miejsca, gdzie można coś zjeść. Szedł w dół po wydeptanych stopniach i zobaczył salkę z niskim stropem, z dziesięć pustych stolików, podłogę posypaną grubą warstwą dosyć czystych trocin i szklany bufet zastawiony podświetlonymi butelkami tęczowych płynów. W tej kawiarni prawie nikogo nie było. Za niklowaną barierką przy bufecie z wolna poruszała się starsza, otyła niewiasta w białej kurtce z zawiniętymi rękawami; opodal za okrągłym stolikiem siedział w niedbałej pozie niski, ale silnie zbudowany człowiek z bladą, kwadratową twarzą i bujnymi, czarnymi wąsami.

Maksym wszedł, wybrał sobie stolik stojący w niszy, z daleka od bufetu i usiadł. Otyła niewiasta zza bariery popatrzyła w jego stronę i coś głośno powiedziała chrypliwym głosem. Wąsacz również spojrzał na niego pustymi oczami, odwrócił się, wziął stojącą przed nim wysoką szklankę z przezroczystym płynem, upił trochę i postawił na miejsce. Gdzieś trzasnęły drzwi i w salce pojawiła się młodzieńka, sympatyczna dziewczyna w białym koronkowym fartuszkach, odszukała Maksyma oczami, podeszła, oparła się palcami o stolik i zaczęła patrzeć ponad jego głowę. Miała czystą, delikatną cerę, leciutki puszek na górnej wardze i piękne szare oczy. Maksym wytwornie musnął palcem koniec swego nosa i powiedział:

--- Maksym.

Dziewczyna popatrzyła na niego z takim zdumieniem, jakby dopiero teraz go spostrzegła. Była tak miła, że Maksym mimo woli uśmiechnął się od ucha do ucha, i wówczas ona również się uśmiechnęła, wskazała na swój nos i powiedziała:

--- Rada.

--- Dobrze - powiedział Maksym. - Kolacja.

Skinęła głową i o coś spytała. Maksym na wszelki wypadek również pochylił głowę. Popatrzył na nią, gdy odchodziła. Była szczuplutka, zwinna i przyjemnie było pomyśleć, że w tym świecie również są piękni ludzie. Otyły babsztyl przy bufecie wyrzucił z siebie długie, burkliwe zdanie i zniknął za barierką. Oni tu uwielbiają bariery - pomyślał Maksym. Wszędzie bariery, jakby wszystko było pod wysokim napięciem... Poczł nagle, że wąsacz patrzy na niego. Nieprzyjemnie patrzy, nieprzychylnie. A właśnie to on cały jest jakiś nieprzyjemny. Trudno powiedzieć dlaczego, ale człowiek ten kojarzy mi się z wilkiem albo z małpą. No dobra, niech się kojarzy na zdrowie...

Rada znów się pojawiła i postawiła przed Maksymem talerz z parującą mieszaniną mięsa i owoców oraz grubego kubek z pieniącym się płynem.

--- Dziękuję - powiedział Maksym i zapraszającym gestem wskazał stojące obok krzesło. Bardzo chciał, aby Rada posiedziała przy nim, póki będzie jadł, żeby coś mu opowiedziała, a on będzie słuchał jej głosu i starał się dać do zrozumienia, jak mu się bardzo podoba i jak mu jest z nią dobrze.

Ale Rada uśmiechnęła się tylko i pokręciła głową. Powiedziała coś - Maksym zrozumiał słowo "siedzieć" i odeszła pod barierkę. Szkoda - pomyślał Maksym. Wziął dwuzębny widelec i zaczął jeść, usiłując przy tym z trzydziestu znanych mu słów ułożyć zdanie wyrażające przychylność, sympatię i pragnienie jej towarzystwa. Rada oparta plecami o barierkę stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach i spoglądała na niego. Za każdym razem, kiedy ich oczy się spotkały, uśmiechali się do siebie. Maksyma zdziwiło jednak, że uśmiech Rady stopniowo stawał się coraz bladejszy i niepewny. Targały nim nader mieszane uczucia. Chętnie patrzył na Radę, chociaż temu doznaniu towarzyszył radosny niepokój. Jedzenie sprawiało mu przyjemność.

Podejrzana mieszanina okazała się nadszpejzowanie smaczna i dosyć pożywna. Jednocześnie czuł na sobie krzywe, ciężkie spojrzenie wąsacza i bezbłędnie łowił płynące zza bariery niezadowolone otyłej baby... Ostrożnie spróbował płynu z kubka: to było piwo, zimne, świeże, ale raczej zbyt mocne. Dla amatora.

Wąsacz coś powiedział i Rada podeszła do jego stolika. Rozpoczęli jakąś przytłumioną rozmowę, nieprzyjemną i wrogą, ale wtedy właśnie Maksyma zaatakowała mucha i musiał podjąć walkę. Mucha była potężna, niebieska i bezczelna. Zdawać by się mogło, że nadlatywała ze wszystkich stron jednocześnie, huczała i pojękiwała, jakby wyznawała Maksymowi miłość, nie chciała odlecieć, chciała być przy nim i przy jego talerzu, chodzić i oblizywać, była uparta i wielomówna. Skończyło się na tym, że Maksym wykonał niewłaściwy ruch i mucha wpadła do piwa. Maksym z obrzydzeniem odstawił kubek na drugi koniec stolika i zaczął dojadać ragoût. Podeszła Rada i już bez uśmiechu, patrząc w bok, o coś zapytała.

--- Tak - powiedział Maksym na wszelki wypadek. - Rada dobra.

Spojrzała na niego z przerażeniem, podeszła do bariery i wróciła niosąc na talerzyku małą szklaneczkę z brunatnym płynem.

--- Smaczne - powiedział Maksym patrząc na dziewczynę wzrokiem czułym i zaniepokojonym. - Co jest złe? Rada, siadaj tu. Trzeba mówić. Nie trzeba odchodzić.

Ta starannie przemyślana przemowa wywarła na Radzie nieoczekiwane złe wrażenie. Maksymowi wydało się nawet, że jest bliska płaczu. W każdym razie wargi jej zadrżały, wyszeptowała coś i wybiegła z salki. Otyła niewiasta zza bariery wygłosiła kilka oburzonych słów. Coś robię nie tak, jak trzeba - pomyślał z niepokojem Maksym. Nie miał najmniejszego pojęcia, co mianowicie. Rozumiał tylko, że ani wąsacz, ani otyła kobieta nie chcą, aby Rada z nim rozmawiała.

Wąsaty człowiek wycedził coś przez zęby, niezbyt głośno, ale z wyraźną już wrogą intonacją, jednym haustem dopił szklankę, wydobyl spod stołu grubą, czarną, polerowaną laskę, podniósł się i bez pośpiechu

podszedł do Maksyma. Siadł naprzeciw, położył łaskę w poprzek stołu i nie patrząc na Maksyma, ale wyraźnie zwracając się do niego zaczął cedzić powolne, ciężkie słowa często powtarzając "Massaraksz" i jego mowa wydała się Maksymowi tak samo czarna i wypolerowana od częstego używania, jak jego paskudna łaska. W mowie tej kryła się groźba, wyzwanie, wrogość, a wszystko to razem było jakoś dziwnie niwelowane obojętnością głosu, obojętnością twarzy i pustką bezbarwnych, szklistych oczu.

--- Nie rozumiem - powiedział Maksym ze złością.

Wtedy wąsaty powoli obrócił ku niemu białą twarz, popatrzył jak na powietrze, zadał jakieś pytanie i nagle zręcznie wyciągnął z łaski długi, błyszczący nóż z wąskim ostrzem. Maksym stracił głowę. Nie wiedząc, co mówić i jak zareagować, wziął ze stołu widelec i obrócił w palcach. Wywarło to na wąsaczu nieoczekiwane wrażenie. Miętko uskoczył do tyłu przewracając przy tym krzesło, idiotycznie przysiadł i wystawił nóż przed siebie. Wąsy mu się najeżyły, żółte, długie zęby błysnęły spod warg. Otyła jędza za barierką wrzasnęła tak ogłuszająco, że nie spodziewający się niczego Maksym aż podskoczył do góry. Wąsacz znalazł się nagle tuż obok, ale w tej chwili nie wiedzieć skąd zjawiła się Rada, stanęła między nim i Maksymem i zaczęła głośno, dźwięcznie krzyżeć - najpierw na wąsacza, a potem na Maksyma. Maksym nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć, wąsacz zaś nieprzyjemnie się roześmiał, wziął swoją łaskę, schował do niej nóż i spokojnie skierował się do wyjścia. W drzwiach odwrócił się, rzucił kilka niegłośnych słów i zniknął.

Rada biała i z drżącymi wargami podniosła przewrócone krzesło, wytarła serwetką brunatną ciecz rozlaną na stole, zabrała brudne naczynia, wróciła i coś powiedziała do Maksyma. Maksym odpowiedział "tak", ale to nie pomogło. Rada powtórzyła to samo rozdrażnionym głosem, chociaż Maksym czuł, że jest nie tyle zła, ile przestraszona. "Nie" - powiedział Maksym i baba przy bufecie zaczęła tak potwornie wrzeszczeć i trząść tłustymi policzkami, że musiał się wreszcie przyznać: "Nie rozumiem".

Jędza wyskoczyła zza barierki nie przestając ani na chwilę wrzeszczeć, podbiegła do Maksyma, stanęła przed nim, ujęła się pod boki i ciągle hałasowała. Potem chwyciła go za odzież i zaczęła brutalnie wywracać kieszenie. Oszolomiony Maksym nie bronił się. Powtarzał tylko: "Nie trzeba" i żałośnie spoglądał na Radę. Otyła ciotka pchnęła go w pierś, popędziła znów do siebie za barierkę i jakby podejmując straszliwą decyzję chwyciła za słuchawkę. Maksym zrozumiał, że nie znalazła przy nim tych wszystkich różowych i zielonych papierków z fioletowymi pieczęciami, bez których tu najwidoczniej nie wolno się pojawiać w miejscach publicznych.

--- Fank! - powiedział z uczuciem. ---Fank źle. Iść. Źle.

Potem wszystko jakoś nieoczekiwanie się rozładowało. Rada powiedziała coś do otyłej niewiasty, która rzuciła słuchawkę, pobulgotała jeszcze trochę i uspokoiła się. Rada usadziła Maksyma na poprzednim miejscu, postawiła przed nim nowy kubek z piwem i ku jego nieopisanej radości usiadła obok. Przez pewien czas wszystko szło dobrze. Rada zadawała pytania, Maksym promieniejąc z zadowolenia odpowiadał na nie: "Nie rozumiem". Otyła ciotka burczała w oddali. Maksym wytrzymał wszystkie siły, zbudował jeszcze jedno zdanie i oświadczył, że "deszcz chodzi massaraksz źle mgła". Rada zaniósł się śmiechem, a potem przyszła jeszcze jedna młodzieńka, dosyć sympatyczna dziewczyna i przywitała się ze wszystkimi. Rada z nią wyszła i po chwili zjawiła się już bez fartuszka, w błyszczącym czerwonym płaszczu z kapturem i dużą kraciastą torbą w ręku.

--- Chodźmy - powiedziała i Maksym poderwał się z miejsca.

Ale tak od razu nie udało się wyjść. Otyła baba znów podniosła krzyk. Znów coś się jej nie podobało, znów czegoś żądała. Tym razem wymachiwała piórem i kartką papieru. Przez chwilę Rada się z nią spierała, ale podeszła druga dziewczyna i stanęła po stronie jędzy. Chodziło o coś oczywistego i Rada wreszcie ustąpiła. Wtedy we trójkę podeszły do Maksyma. Najpierw kolejno i chórem zadawały jedno i to samo pytanie, którego oczywiście nie rozumiał, i tylko bezradnie rozkładał ręce. Potem Rada kazała wszystkim zamilknąć, leciutko poklepała Maksyma po piersi i spytała:

--- Mak Sym?

--- Maksym - poprawił ją.

--- Mak? Sym?

--- Maksym. Mak nie trzeba, Sym nie trzeba. Maksym.

Wówczas Rada przystawiła palec do swego noska i powiedziała:

--- Rada Gaal. Maksym...

Maksym zrozumiał wreszcie, że dla jakichś powodów chcą znać jego nazwisko. To było dziwne, ale znacznie bardziej uderzyło go co innego.

--- Gaal? - powiedział pytającym tonem. - Gaj Gaal?

Zapadła cisza. Wszyscy byli zaskoczeni.

--- Gaj Gaal - powtórzył Maksym radośnie. - Gaj dobry mężczyzna.

Podniósł się hałas. Wszystkie kobiety mówiły naraz. Rada targała Maksyma za ubranie i o coś pytała. Widać było, że ją strasznie ciekawi, skąd Maksym zna Gaja. Gaj, Gaj, Gaj słychać było ciągle w potoku niezrozumiałych słów. O nazwisku Maksyma zapomniano.

--- Massaraksz! - powiedziała wreszcie tłusta ciotka i zachichotała. Dziewczęta również się roześmiały. Rada wręczyła Maksymowi swą kraciastą torbę, wzięła go pod rękę i wyszła z nim na ulicę, pod ciągle padający deszcz.

Przeszli do końca tę źle oświetloną uliczkę i skęcili w jeszcze ciemniejszy zaułek z drewnianymi,

powykrzywianymi domami po obu stronach brudnej, nierówno wybrukowanej jezdni; potem skręcili jeszcze raz i jeszcze raz. Krzywe uliczki były puste, nie spotkali ani jednego człowieka. W kaprawych okienkach za zasłonkami świeciły się różnobarwne abażury, czasami dobiegała przytłumiona muzyka i chóralne śpiewy zgrzytliwych głosów.

Początkowo Rada z ożywieniem trajkotała, często powtarzając imię Gaja, Maksym zaś co chwilę potwierdzał, że Gaj jest dobry, ale dorzucał po niemiecku, że nie wolno bić ludzi po twarzy, że to jest bardzo dziwne i że on tego nie rozumie. Jednak w miarę tego, jak ulice stawały się coraz węższe, ciemniejsze i bardziej błotniste, Rada coraz częściej milkła. Czasami zatrzymywała się i wpatrywała w ciemność. Maksym pomyślał, że wybiera możliwie suchą drogę, ale ona szukała w ciemności czegoś innego, ponieważ kałuż nie dostrzegała i Maksym musiał za każdym razem leciutko odciągać ją na suchsze miejsce, tam zaś, gdzie nie było suchszych miejsc, brał ją pod pachę i przenosił, co wprawdzie sprawiało jej przyjemność, ale nie zagłuszało lęku.

Im dalej odchodzili od jądłodajni, tym bardziej się bała. Początkowo Maksym próbował nawiązać z nią kontakt nerwowy, aby dodać jej trochę odwagi i pewności siebie, ale mu się to, tak samo jak w przypadku Fanka, nie udało. Kiedy wyszli spomiędzy ruder i znaleźli się na zupełnie już okropnej, gruntowej drodze, pomiędzy ciągnącym się bez końca mokrym płotem z zardzewiałym drutem kolczastym u góry i czarnym jak noc cuchnącym pustkowiem bez jednego światła, Rada zupełnie się rozkleiła i była bliska płaczu. Maksym, aby ją choć odrobinę podnieść na duchu, zaczął śpiewać na całe gardło wszystkie najweselsze ze znanych mu piosenek po kolei. Trochę pomogło to, ale nie na długo, zaledwie do końca płotu, bo później znów zaczęły się długie, żółte, jednopiętrowe domy, z ciemnymi oknami, spoza których pachniało stygnącym metalem, organicznymi smarami i jeszcze jakimś duszącym czadem. Mętnie świeciły rzadkie latarnie, a w oddali, pod jakimś parszywym głuchym łukiem, stali nastroszeni, mokrzy ludzie. Rada zatrzymała się. Wczepiła w jego rękę i zaczęła coś mówić gorączkowym, przerywanym szeptem. Była pełna strachu. Bała się o siebie i jeszcze bardziej o Maksyma. Szepcząc pociągnęła go do tyłu. Posłuchał, bo sądził, że to jej pomoże, ale później zrozumiał, że to po prostu akt rozpaczony i zatrzymał się.

--- Chodźmy - powiedział łagodnie. - Chodźmy, Rada. Żle nie. Dobrze.

Usłuchała go jak dziecko. Poprowadził ją i nagle pojął, że ona boi się tych mokrych postaci i bardzo się zdziwił, gdyż nie było w nich nic strasznego i niebezpiecznego. Po prostu zwykli, skuleni pod deszczem tubylcy stoją sobie i trzęsą się od wilgoci. Najpierw było ich dwóch, potem skądś zjawił się trzeci i czwarty z ognikami narkotycznych pałeczek.

Maksym szedł pustą ulicą pomiędzy żółtymi domami prosto na te postacie, a Rada coraz mocniej przytulała się do niego, aż wreszcie objął ją za ramiona. Przyszło mu nagle do głowy, że się myli, że Rada drży nie ze strachu, lecz po prostu z zimna. W zmokniętych ludziach nie było niczego niebezpiecznego. Przeszedł obok nich, obok tych przygarbionych, zziębniętych osobników trzymających ręce w kieszeniach, przytupujących dla rozgrzewki, żalonych, zatrutych narkotykami i ci nawet jakby w ogóle nie zauważyli ani jego, ani Rady, chociaż przeszedł tak blisko, że słyszał ich niezdrowy, przerywany oddech. Myślał, że może teraz Rada się trochę uspokoi, bo byli już pod łukiem, gdy nagle z przodu, jak spod ziemi, jakby prosto z żółtych ścian pojawiła się i stanęła w poprzek drogi następna czwórka takich samych zmokniętych i żalonych indywidualistów. Ale jeden z nich miał długą, grubą łaskę i Maksym go poznał.

Pod odrapaną kopułą łuku chwiała się w przeciagu goła żarówka, ściany były pokryte pleśnią i popękane, pod nogami leżał brudny, potrzaskany cement ze śladami wielu nóg i opon samochodowych. Z tyłu donośnie zatupotało. Maksym obejrzał się: dopędzali go ci czterej, których wyminął. Biegli nierówno oddychając, nie wyjmując rąk z kieszeni i wypluwając w biegu swoje wstrętne narkotyczne pałeczki... Rada krzyknęła zdławionym głosem, puściła jego rękę i nagle zrobiło się ciasno. Maksym został przyciśnięty do ściany, dokoła niego stali ludzie, którzy nie dotykali go, trzymali ręce w kieszeniach, nawet na niego nie patrzyli, po prostu stali i nie pozwalali się ruszać. Ponad ich głowami Maksym zobaczył, że dwóch trzyma Radę za ręce, a wąsaty podchodzi do niej, bez pośpiechu przekłada łaskę do lewej ręki, a prawą tak samo niespiesznie i leniwie bije ją po twarzy...

To było do tego stopnia koszmarnie i niesłychane, że Maksym stracił poczucie rzeczywistości. Coś się w jego mózgu przełączyło. Ludzie zniknęli. Było tylko dwoje ludzi: on i Rada, pozostali zaś zniknęli. Zamiast nich niezręcznie i przerażająco dreptały w błocie okropne i niebezpieczne zwierzęta. Zniknęło miasto, zniknęła żarówka pod sklepieniem łuku. Był kraj nieprzebytych gór, kraina Oz na Pandorze, jaskinia, podstępna pułapka zastawiona przez nagie, plamiste małpy, do jaskini objętnie zaglądał rozmyty żółty księżyc i trzeba było walczyć o życie. Zaczął więc walczyć, tak samo jak walczył wtedy na Pandorze.

Czas posłusznie zwolnił, sekundy wydłużyły się w nieskończoność i w trakcie każdej można było wykonać bardzo wiele różnych ruchów, zadać wiele ciosów i widzieć jednocześnie wszystkich. Te małpy były bardzo nieruchawe, przywykłe do innej zwierzyny i chyba po prostu nie zdążyły pojąć, że pomyliły się w wyborze ofiary, że najmądrzej byłoby po prostu uciec, ale również próbowały walczyć... Maksym chwycił kolejną bestię za dolną szczękę, szarpnięciem wykręcał podatną głowę ku górze, ciał grzbietem dłoni w bładą, pulsującą szyję i natychmiast obracał się ku następnej, chwycił, wykręcał, ciał. Wszystko to odbywało się w oparach cuchnących, drapieźnych oddechów, w huczącej ciszy jaskini, w żółtym półmroku. Brudne krzywe pazury wpiły mu się w szyję i puściły, żółte kły głęboko wgryzły się w ramię i również puściły... Obok nie było już nikogo, a do wyjścia z jaskini spieszył przywódca stada z maczugą, gdyż podobnie jak wszyscy

przywódca miał najszybszą reakcję i pierwszy zrozumiał, co się dzieje. Maksym przelotnie pożałował go - najszybsza reakcja przywódcy była jednak bardzo powolna: sekundy były coraz dłuższe i szybko nogi ledwie przebierał nogami. Maksym prześlizgnął się między sekundami, dopadł go, zarąbał w biegu i natychmiast się zatrzymał. Czas znów zaczął płynąć normalnie, pieczara zmieniła się w łuk, księżyc w żarówkę, a kraina Oz na Pandorze przekształciła się znów w niepojęte miasto na niepojętej planecie, bardziej niezrozumiałej niż sama Pandora...

Maksym stał odpoczywając z opuszczonymi, mrowiącymi rękami. U jego nóg z trudem poruszał się wąsaty herszt. Krew ciekła ze zranionego ramienia. Rada wzięła jego rękę i przytknęła do swojej mokrej twarzy. Na brudnej cementowej podłodze leżały niczym worki ciała. Machinalnie je policzył: sześciu łącznie z hersztem i pomyślał, że dwóch zdołało uciec. Dotknięcie Rady sprawiło mu ogromną przyjemność. Ci, którzy uciekli, zdołali to uczynić, bo ich nie ścigał, choć mógł ich dopędzić; jeszcze teraz słyszał paniczny stukot ich buciorów w końcu tunelu. Ci zaś, którzy nie zdołali uciec, leżą i niektórzy z nich umrą, niektórzy już są martwi. Wiedział już teraz, że są to mimo wszystko ludzie, a nie małpy lub pancerne wilki, chociaż ich oddech był cuchnący, dotknięcia brudne, a zamiary drapieżne i obrzydliwe. Odczuwał jednak coś w rodzaju żalu, miał świadomość straty, jakby stracił czystość, nieodłączną część dawnego Maksyma i wiedział, że dawny Maksym zniknął na zawsze. Ta świadomość była trochę gorzka, lecz budziła w nim jakąś nieznaną dumę...

--- Chodźmy, Maksym - powiedziała cichutko Rada.

Posłusznie poszedł za nią.

--- Słowem, pozwoliłeś mu uciec.

--- Nic nie mogłem zrobić... Sam pan wie, jak to bywa.

--- Niech to diabli wezmą, Fank! Nie musiałeś przecież nic robić. Wystarczyło wziąć ze sobą kierowcę.

--- Wiem, że zawiniłem. Ale kto mógł się spodziewać...

--- To już wiem. Co przedsięwziąłeś?

--- Jak tylko mnie wypuścili, natychmiast zadzwoniłem do Megi, ale nic nie wiedział. Jeśli on wróci, Mega natychmiast mnie zawiadomi. Następnie objąłem obserwacją wszystkie szpitale dla umysłowo chorych. On nie może daleko odejść, po prostu nie dadzą mu uciec, bo zbyt się rzuca w oczy.

--- Co więcej?

--- Postawiłem w stan alarmu swoich ludzi w policji. Kazałem zwracać im uwagę na wszelkie wykroczenia, łącznie z łamaniem przepisów ruchu ulicznego. On nie ma dokumentów. Zarządziłem, aby donoszono mi o wszystkich zatrzymanych bez dokumentów. On nie ma żadnej szansy ukryć się, jeśli nawet będzie chciał. Moim zdaniem to jest sprawa dwóch, trzech dni. Prosta sprawa.

--- Prosta... Co mogło być prostszego niż wsiąść w samochód, pojechać do Ośrodka Telewizyjnego i przywieźć tu człowieka... Ale nawet z tym nie dałeś sobie rady.

--- Moja wina. Ale taki zbieg okoliczności...

--- Już powiedziałem, że nie interesują mnie okoliczności. Czy on rzeczywiście robi wrażenie umysłowo chorego?

--- Trudno powiedzieć... Chyba najbardziej przypomina dzikusa. Dobrze wymytego i wypielęgowanego górala. Ale mogę sobie łatwo wyobrazić sytuację, w której wezmę go za wariata. W dodatku ten nieustanny idiotyczny uśmiech, kretyński bełkot zamiast normalnej mowy... I w ogóle to jakiś dureń...

--- Rozumiem. A próbuję twoje posunięcia. I jeszcze jedno, Fank. Porozum się z podziemiem.

--- Co?!

--- Jeśli go nie znajdziecie w ciągu najbliższych kilku dni, to on z pewnością wypłynie w podziemi.

--- Nie rozumiem, co by miał dzikus robić w podziemi.

--- W podziemi jest wielu dzikusów. Nie zadawaj zresztą głupich pytań, tylko rób, co ci każę. Jeśli go przegapisz jeszcze raz, zwolnię cię.

--- Drugi raz to się nie powtórzy.

--- Bardzo się cieszę. Co jeszcze?

--- Ciekawe pogłoski na temat Bąbla.

--- Bąbla? Jakie?

--- Proszę mi wybaczyć, Wędrowcze... Jeśli pan pozwoli, to wolałbym szeptem, na ucho...

Część druga

LEGIONISTA

Rozdział V

Po zakończeniu instruktażu pan rotmistrz Czaczu zarządził:

--- Kapral Gaal zostanie. Reszta jest wolna.

Kiedy pozostali dowódcy drużyn wyszli gęsiego, jeden za drugim, pan rotmistrz przez pewien czas przyglądał się Gajowi, kołysząc się na krześle i pogwizdując starą żołnierską piosenkę "Daj spokój, mamusiu". Pan rotmistrz Czaczu był zupełnie niepodobny do pana rotmistrza Toota. Był niski, ogorzały na twarzy, znacznie starszy od Toota i miał wielką łysinę. Do niedawna był oficerem liniowym, czołgistą, uczestnikiem ośmiu nadmorskich incydentów zbrojnych. Miał pięć orderów i trzy naszywki za ciężkie rany. Opowiadano o fantastycznym pojedynku Czaczu z białą łodzią podwodną, kiedy to jego czołg otrzymał bezpośrednie trafienie i zapalił się, a on nadal strzelał, póki nie stracił przytomności wskutek straszliwych

oparzeń; że na całym ciele ma obcą transplantowaną skórę. W lewej dłoni brakowało mu trzech palców. Był bezpośredni i szorstki jak prawdziwy wojak i w przeciwieństwie do opanowanego pana rotmistrza Toota nigdy nie uważał za stosowne kryć humorów ani przed podwładnymi, ani przed zwierzchnikami. Jeżeli był wesoły, to cała Brygada wiedziała, że pan rotmistrz jest dziś wesoły, ale jeśli się już złościł i pogwizdywał "Daj spokój, mamusi"...

Patrząc mu w oczy regulaminowym spojrzeniem Gaj czuł rozpacz na samą myśl, że sprawił przykrość i rozgniewał tego wspaniałego człowieka. Pospiesznie przypomniał sobie wszystkie własne wykroczenia i wykroczenia legionistów ze swojej drużyny, ale nie mógł znaleźć nic takiego, co by już nie zostało skwitowane niedbałym ruchem pozbawionej palców ręki i ochrypłym, burkliwym: "Dobra już, dobra. Od tego jest legion. Mam to..."

Pan rotmistrz przestał gwizdać i kołysać się.

--- Nie lubię zbędnego gadania i pisaniny, kapralu - powiedział. - Albo polecasz kandydata Syma, albo go nie polecasz. Więc jak?

--- Tak jest, panie rotmistrzu, polecam - pospiesznie powiedział Gaj. - Ale...

--- Bez "ale", kapralu! Polecasz, czy nie polecasz?

--- Tak jest, polecam.

--- W takim razie jak mam rozumieć te dwa papierki? - Pan rotmistrz niecierpliwym ruchem wydobyl z kieszeni na piersi papiery i rozwinął je na stole, przytrzymując okaleczoną ręką. - Czytam: "Polecam wyżej wymienionego Maka Syma jako oddanego i zdolnego..." - no i dalej rozmaite tam brednie... - "godnego nosić wysokie miano kandydata na szeregowca Legionu Bojowego". A oto twój drugi utwór, kapralu: "W związku z wyżej przytoczonym uważam za swój obowiązek zwrócić uwagę dowództwa na konieczność pieczołowitego sprawdzenia przeszłości rzeczonego kandydata na szeregowca Legionu Bojowego M. Syma". Massaraksz! Czego ty w końcu chcesz, kapralu?

--- Panie rotmistrzu! - powiedział z przejęciem Gaj. - Ja rzeczywiście jestem w trudnej sytuacji! Znam kandydata Syma jako zdolnego i oddanego celom legionu obywatela. Jestem pewien, że przyniesie wiele korzyści. Ale ja rzeczywiście nie znam jego przeszłości! On sam jej zresztą nie pamięta. Będąc przekonany, że w legionie winni się znaleźć jedynie ludzie kryształowo czysti...

--- Tak, tak! - przerwał niecierpliwie pan rotmistrz. - Kryształowo czysti, bezgranicznie oddani, do ostatniej kropli, całym sercem... Krótko mówiąc, kapralu, wiesz co? Jeden z tych papierków zaraz zabierzesz i powiesz. Trzeba myśleć. Nie mogę przecież zameldować się brygadierowi z dwoma świstkami. Albo tak, albo nie. Tu jest Legion Bojowy, a nie uniwersytet, kapralu! Dwie minuty do namysłu!

Pan rotmistrz wyjął z biurka grubą teczkę z dokumentami i ze wstrętem rzucił ją na stół. Gaj smętnie popatrzył na zegarek. Nie potrafił dokonać wyboru. Niehonorowo i nie po żołniersku było ukrywać przed dowództwem swoją niedostateczną znajomość polecanego, uchylać się od odpowiedzialności, zwałać ciężar decyzji na barki pana rotmistrza, który widział Maksyma tylko dwa razy i to w dodatku w szyku kompanii. No dobra. Jeszcze raz. Za: gorąco i całym sercem przejął się rolą legionu w likwidacji skutków wojny i rozbiciu agentury potencjalnego najeźdźcy; śpiewając przebył badania w Departamencie Zdrowia Publicznego; był skierowany przez pana rotmistrza Toota i pana lekarza sztabowego Zogu do jakiejś tajnej instytucji, prawdopodobnie dla kontroli i kontrolę tę pomyślnie przebył. Wprawdzie tak twierdzi sam Maksym, dokumenty zgubił, ale jakże inaczej mógłby się znaleźć na wolności?; wreszcie: odważny, urodzony żołnierz, w pojedynkę rozprawił się z bandą Szczurołapa, sympatyczny, prosty w obejściu, dobroduszny, absolutnie bezinteresowny. A w ogóle to jest człowiek o niezwykłych możliwościach. Przeciw: zupełnie nie wiadomo, kim jest i skąd pochodzi; swojej przeszłości albo nie pamięta, albo nie chce o niej mówić... Nie ma też żadnych dokumentów. Ale czy to wszystko w sumie jest podejrzane? Państwo kontroluje tylko granice i centralne rejony kraju. Dwie trzecie terytorium do tej pory grzęźnie w anarchii, panuje tam głód, epidemie, ludzie stamtąd uciekają, nikt nie ma dokumentów, a młodszy nawet nie wiedzą, co to są dokumenty. A ilu jest wśród nich chorych, z utraconą pamięcią, nawet wyrodków... W końcu najważniejsze jest to, że Maksym nie jest wyrokiem.

--- No, kapralu? - powiedział pan rotmistrz przeglądając papiery.

--- Tak jest, panie rotmistrzu - pełnym rozpaczycy głosem powiedział Gaj. - Czy wolno?...

Wziął swój raport o konieczności sprawdzenia Maksyma i wolno go porwał.

--- Pr-rawidłowa decyzja! - huknął pan rotmistrz. - To rozumiem! Papiery, atrament, kontrole... Wszystko sprawdzi się w boju. Kiedy wsiądziemy do czołgów i ruszymy w strefę rażenia atomowego, wtedy zobaczymy, kto jest nasz, a kto nie.

--- Tak jest - powiedział Gaj bez przekonania. Doskonale rozumiał starego wojaka, ale równie dokładnie wiedział, że weteran wojny i bohater nadmorskich potyczek odrobinę się myli. Bój swoją drogą, a lojalność swoją drogą. Maksyma to zresztą nie dotyczy. Maksym jest na pewno uczciwy.

--- Massaraksz! - powiedział pan rotmistrz. - Departament Zdrowia go przepuścił, a reszta to już nasza sprawa. - Powiedziawszy to zagadkowe zdanie popatrzył gniewnie na Gaja i dodał: - Legionista wierzy przyjacielowi bez zastrzeżeń, a jeżeli nie wierzy, to znaczy, że to nie jest przyjaciel i trzeba go wyrzucić na pysk. Zdziwiłeś mnie, kapralu. No dobra, marsz do swojej drużyny. Czasu zostało niewiele. Podczas operacji sam się zajmę tym kandydatem.

Gaj stuknął obcasami i wyszedł. Za drzwiami pozwolił sobie na uśmiech. Stary wojak jednak nie wytrzymał i

wziął odpowiedzialność na siebie. Teraz można z czystym sumieniem uważać Maksyma za swego przyjaciela Maka Syma. Jego prawdziwego nazwiska nie da się wymówić. Albo wymyślił je sobie, kiedy jeszcze bredził, albo rzeczywiście jest rodem z tych górali... Jak to się nazywał ten ich starożytny cesarz? Zaremczyczakbeszmusarajn... Gaj wyszedł na plac ćwiczeń i odszukał oczami swoją drużynę.

Niezmordowany Pandi przepędzał chłopców przez górne okno makiety dwupiętrowego domu. Chłopcy byli spoceni. Niedobrze, do operacji pozostała zaledwie godzina.

--- Ko-oniec zajęć! - krzyknął Gaj już z daleka.

--- Koniec! - ryknął Pandi. - Zbiórka!

Drużyna szybko ustawiła się w dwuszereg. Pandi wydał komendę "baczność", podszedł defiladowym krokiem do Gaja i zameldował:

--- Panie kapralu, drużyna ćwiczy pokonywanie toru przeszkód.

--- Wróćcie do szeregu - rozkazał Gaj starając się tonem głosu wyrazić swoje niezadowolenie, jak to świetnie potrafił robić Serembesz. Przeszedł przed frontem drużyny z rękami założonymi do tyłu, wpatrując się w znajome twarze.

Szare, niebieskie i błękitne oczy, wyrażające gotowość wykonania każdego rozkazu i dlatego lekko wytrzeszczone, śledziły każdy jego ruch. Gaj poczuł, jak droga mu jest ta dwunastka potężnych chłopaków, sześciu czynnych szeregowych legionu na prawym skrzydle i sześciu kandydatów na szeregowych na lewym. Wszyscy w zgrabnych czarnych kombinezonach z wyczyszczonymi guzikami, wszyscy w lśniących butach z krótkimi cholewami, wszyscy w beretach dziarsko zsuniętych na prawe oko... Nie, nie wszyscy.

Pośrodku szeregu, na prawym skrzydle kandydatów sterczał niczym wieża kandydat Mak Sym, bardzo zgrabny chłopak, ulubieniec. Wprawdzie dowódca nie powinien mieć ulubieńców, ale... hm... To nic wielkiego, że nie wytrzeszcza swoich dziwnych brunatnych oczu. Nauczy się z czasem. Ale że... hm...

Gaj podszedł do Maksyma i zapiął mu górny guzik. Potem uniósł się na palcach i poprawił beret. To chyba wszystko... Znowu w szeregu rozdziawił gębę od ucha do ucha... No dobra. Odzwyczai się. Bądź co bądź to dopiero kandydat, najmłodszy kandydat w drużynie...

Aby zachować pozory sprawiedliwości Gaj poprawił sprzączkę sąsiadowi Maksyma, chociaż to było zupełnie niepotrzebne. Potem cofnął się o trzy kroki i zakomenderował "spocznij". Drużyna przyjęła postawę "spocznij": lekko odstawiła prawą nogę i założyła ręce do tyłu.

--- Legioniści - powiedział Gaj. - Dziś nasza drużyna wyrusza z całą kompanią na regularną akcję likwidacji agentury potencjalnego przeciwnika. Operacja odbędzie się według planu numer trzydzieści trzy. Panowie czynni szeregowi niewątpliwie pamiętają swoje obowiązki w ramach tego planu, natomiast panom kandydatom, którzy zapominają zapiąć guziki, uważam za stosowne przypomnieć. Drużyna otrzymuje jedną bramę. Drużyna dzieli się na cztery grupy: trzy trójki i rezerwa zewnętrzna. Trójki w składzie dwóch czynnych szeregowych i jednego kandydata bez zbędnego hałasu obchodzą mieszkania. Po wejściu do

mieszkania trójka działa w sposób następujący: kandydat pilnuje głównego wejścia, drugi szeregowiec obsadza wejście kuchenne, starszy grupy przeprowadza oględziny pomieszczeń. Rezerwa trzech kandydatów pod dowództwem drużynowego, w tym wypadku pod moim dowództwem zostaje na dole w bramie i ma za zadanie po pierwsze, nikogo nie wypuszczać w trakcie operacji i po drugie, natychmiast okazać pomoc trójce, która tej pomocy będzie potrzebować. Skład trójek i rezerwy znacie. Uwaga! - powiedział cofając się jeszcze o krok. - Na trójki i rezerwę, rozbić się!

Krótki wielokierunkowy ruch i drużyna się rozbiła. Nikt nie pomylił miejsca, nikt nie zaczepił automatem, nikt nie poślizgnął się i nie zgubił beretu, jak to się zdarzało na poprzednich ćwiczeniach. Na prawym skrzydle rezerwy tkwił Maksym, który znowu się uśmiechał całą gębą. Gajowi zaświtała nagle nieprawdopodobna myśl, że Maksym patrzy na to wszystko jak na świetną zabawę. To oczywiście nie była prawda.

Wszystkiemu był niewątpliwie winien ten idiotyczny uśmieszek...

--- Nie najgorzej - burknął Gaj tonem kaprala Serembesza i spojrzał przychylnie na Pandiego. Zuch, stary, wymusztrował chłopaków. - Drużyna! - zawołał. - W dwuszeregu zbiórka!

Znowu krótki, wielokierunkowy ruch, piękny przez swą dokładność i precyzję, i znowu drużyna stanęła przed nim wyciągnięta w jeden szereg. Dobrze! Po prostu wspaniale! Aż człowieka dreszcz przechodzi. Gaj znowu założył ręce do tyłu i przeszedł się przed frontem.

--- Legioniści! - powiedział. - Jesteśmy podporą i jedyną nadzieją państwa w tym trudnym dla niego okresie. Tylko na nas mogą bez zastrzeżeń polegać Płomienni Chorążowie przy wcielaniu w życie swych wielkich zamierzeń. - To była prawda, święta prawda i w świadomości tego kryło się jakieś oczarowanie, jakaś siła. - Chaos zrodzony przez zbrodniczą wojnę ledwie się skończył, ale jego następstwa do tej pory dają się ciężko we znaki. Bracia legioniści! Mamy tylko jedno zadanie: bezlitośnie zniszczyć wszystko to, co ciągnie nas z powrotem ku chaosowi. Wróg na naszych granicach nie śpi. Wielokrotnie bez powodzenia próbował on wciągnąć nas do nowej wojny na lądzie i na morzu. Tylko dzięki męstwu i odwadze naszych braci-żołnierzy nasz kraj może zaznawać porządku i spokoju. Ale żadne wysiłki armii nie doprowadzą do celu, jeżeli nie zostanie złamany wróg wewnętrzny. Złamanie wroga wewnętrznego należy do nas i tylko do nas, bracia legioniści. W imię tego ponosimy wiele ofiar, zakłócamy spokój naszych matek, braci i dzieci, pozbawiamy zasłużonego wypoczynku uczciwego robotnika, uczciwego urzędnika, uczciwego handlarza i przemysłowca. Oni zresztą wiedzą, dlaczego musimy wdzierać się do ich domów i witają nas jak najlepszych przyjaciół, jak swoich obrońców. Pamiętajcie o tym i nie dajcie porwać się nadgorliwości w szlachetnym zapale wypełniania

rozkazu. Przyjaciel jest przyjacielem, wróg zaś wrogiem. Są pytania?

--- Nie - wrzasnęło dwanaście gardzieli.

--- Ba-aczność! Trzydzieści minut na wypoczynek i sprawdzenie oporządzenia. Rozejść się!

Drużyna rozbiegła się, a następnie legioniści grupkami po dwóch i trzech skierowali się ku koszarom. Gaj niespiesznie poszedł za nimi czując wewnątrz przyjemną pustkę. Maksym czekał na niego w pobliżu i już z góry się uśmiechał.

--- Zagrajmy w słowa - zaproponował.

Gaj jęknął w duchu. Trzeba go przywołać do porządku, koniecznie trzeba! Cóż może być bardziej nieznośnego niż kandydat, żółtodziób, który na pół godziny przed rozpoczęciem akcji beczelnie narzuca się kapralowi?

--- Teraz nie pora na to - możliwie suchym tonem odpowiedział Gaj.

--- Denerwujesz się? - zapytał Maksym współczująco.

Gaj zatrzymał się i uniósł oczy ku niebu. Co robić? Okazuje się, że zupełnie nie można zbesztać takiego dobrodusznego giganta i to w dodatku zbawcę własnej siostry... Gaj obejrzał się dokoła i powiedział z prośbą w głosie:

--- Posłuchaj, Mak, stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji. Kiedy znajdujemy się w koszarach, ja jestem kapralem, twoim dowódcą. Ja rozkazuję, ty wykonujesz moje rozkazy. Mówiłem ci to już sto razy...

--- Ale przecież ja jestem gotów się podporządkować, rozkazuj! - powiedział gorąco Maksym. - Wiem, co to znaczy dyscyplina. Rozkazuj.

--- Już rozkazałem. Zajmij się sprawdzeniem oporządzenia.

--- Nie, przepraszam cię, Gaj, ale rozkazałeś co innego. Polecieś odpoczywać i sprawdzać oporządzenie.

Czyś zapomniał? Oporządzenie już sprawdziłem, a teraz odpoczywam. Chodź, zagramy. Wymyśliłem dobre słowo.

--- Mak, zrozum: podwładny ma prawo zwracać się do przełożonego tylko w regulaminowej formie i tylko w sprawach dotyczących służby.

--- Tak jest, pamiętam. Paragraf dziewiąty. Ale to tylko w czasie służby, a teraz przecież odpoczywamy...

--- Kto ci powiedział, że ja odpoczywam? - spytał Gaj. Stali za makietą parkanu z drutem kolczastym i dzięki Bogu nikt ich tam nie widział. Nikt nie widział, jak ten drażal oparł się ramieniem o parkan i usiłuje co chwila łapać swojego kaprała za guzik. - Ja odpoczywam tylko w domu, ale nawet w domu żadnemu podwładnemu bym nie pozwolił... Słuchaj, puść mój guzik i zapnij swój...

Maksym zapiął się i powiedział:

--- Na służbie jedno, w domu co innego. Po co?

--- Nie mówmy o tym. Znudziło mi się powtarzać ci ciągle jedno i to samo. Przy okazji: kiedy ty się przestaniesz uśmiechać w szeregu?

--- Regulamin nic na ten temat nie mówi - odpowiedział natychmiast Maksym. --- A co się tyczy powtarzania, to coś ci powiem, Gaj, tylko się nie obraż. Ja wiem, że nie jesteś gadatnikiem... mowiarzem...

--- Kim?

--- Nie jesteś człowiekiem, który potrafi pięknie przemawiać.

--- Mówcą?

--- Mówcą... Tak, nie jesteś mówcą. Ale wszystko jedno. Dziś wygłosiłeś do nas przemowę. Słowa były prawdziwe, dobre. Kiedyś mi w domu opowiadał o zadaniach legionu i o sytuacji kraju, to było bardzo ciekawe. Powiedziane bardzo po twojemu. A dzisiaj siódmy raz z rzędu mówiłeś to samo i znów nie po twojemu. Bardzo prawidłowo. Bardzo jednakowo. Bardzo nudno. Nie obraziłeś się, co?

Gaj się nie obraził. To znaczy jakaś zimna igielka ukłuła go, gdyż do tej pory wydawało mu się, że mówi tak samo gładko i przekonująco jak kapral Serembesz albo nawet pan rotmistrz Toot. Kiedy się jednak dobrze pomyśli, to okaże się, że kapral Serembesz i pan rotmistrz również powtarzali to samo w ciągu trzech lat. Nie ma w tym zresztą nic dziwnego, a tym bardziej nagannego, ponieważ w ciągu tych trzech lat nie nastąpiły żadne istotne zmiany tak w sytuacji zagranicznej, jak i wewnętrznej.

--- A gdzie to w regulaminie napisano - zapytał Gaj z uśmiechem - że podwładny może zwracać uwagę swemu dowódcy?

--- Tam napisano coś wręcz przeciwnego - przyznał z westchnieniem Maksym. --- Moim zdaniem to nie jest dobre. Słuchasz przecież moich rad, kiedy rozwiązujesz zadania z batalistyki, pozwalasz sobie zwracać uwagę, kiedy pomylisz się w obliczeniach.

--- Ale to w domu! - powiedział dobitnie Gaj. - W domu wszystko wolno.

--- A jeżeli na strzelaniach podasz nam nieprawidłowy celownik? Przyjmiesz złą poprawkę na wiatr? Co wtedy?

--- W żadnym wypadku - powiedział stanowczo Gaj.

--- Strzelać nieprawidłowo? - zdumiał się Maksym.

--- Strzelać zgodnie z rozkazem - powiedział surowym głosem Gaj. - Słuchaj, Mak. W ciągu tych dziesięciu minut nagadałeś sobie pięćdziesiąt dni aresztu. Rozumiesz?

--- Nie, nie rozumiem... A jak w boju?

--- Co w boju?

--- Dasz nam zły celownik? Co?

--- Hm... - powiedział Gaj, który jeszcze nie dowodził w czasie walki. Przypomniał sobie nagle, jak kapral Bachtu w czasie zwiadu bojem zaplątał się w mapie, wpędził drużynę pod ogień bezpośredni sąsiedniej kompanii, sam tam został i połowę drużyny zmarnował. Wszyscy wtedy wiedzieli, że się zgubił, ale nikt ani myślał zwracać mu uwagi.

Mój Boże - pomyślał nagle Gaj. - Przecież żadnemu z nas nawet by do głowy nie przyszło, że można go poprawić. Rozkaz dowódcy jest prawem, a nawet więcej niż prawem, bo o prawach można dyskutować, natomiast dyskusja nad rozkazem jest rzeczą głupią, szkodliwą, wreszcie zwyczajnie niebezpieczną... A on tego nie rozumie, co tam zresztą nie rozumie, tu nie ma nic do rozumienia, po prostu nie uznaje. Ile to już razy tak było: bierze jakąś oczywistą prawdę i odrzuca ją, i nie tylko nie daje się przekonać, lecz w dodatku potrafi obudzić wątpliwości, zawrócić w głowie, całkowicie człowieka ogłupić... Nie, to jednak naprawdę niezwykle człowiek. Wyjątkowy człowiek. Języka nauczył się w ciągu miesiąca, czytał i pisał już po dwóch dniach. W ciągu następnych dwóch dni przeczytał wszystko, co mam. Matematykę i mechanikę zna lepiej od panów wykładawców, a przecież na naszych kursach wykładają prawdziwi fachowcy. Albo weźmy wujka Kaana...

Ostatnio starszek wszystkie swoje monologi przy stole adresował wyłącznie do Maksyma. Więcej nawet, już kilka razy dawał do zrozumienia, że Maksym jest chyba jedynym człowiekiem, który w obecnych ciężkich czasach przejawia takie zdolności i takie zainteresowanie zwierzętami kopalnymi. Rysował Maksymowi na papierku jakieś straszliwe zwierzęta, Maksym rysował mu na papierku jakieś jeszcze straszliwsze potwory i dyskutował, który z tych zwierzątek jest starszy i który od którego pochodzi, i dlaczego tak się stało. W ruch szły książki naukowe z wujkowej biblioteki, a mimo tego zdarzało się, że Maksym nie dawał starszemu ust otworzyć. Gaj i Rada nie rozumieli z tego wszystkiego ani słowa, wujaszek zaś albo krzyczał do zachrypnięcia, rwał na strzępy Maksymowe rysunki, wyzywał Maksyma od nieuków gorszych od idioty Szapszy, albo też nagle zaczynał wściekle szarpać obiema rękami resztki siwych włosów na ciemieniu i mrużyć z osłupiałym uśmiechem: "Odważnie, massaraksz, odważnie... Masz fantazję, młody człowieku!" Szczególnie wyraźnie zapamiętał Gaj pewien wieczór, kiedy starszka dosłownie zważyło z nóg oświadczenie Maksyma, że jakoby niektóre z tych przedpotopowych straszdeł poruszały się na tylnych łapach. Ten domysł widocznie bardzo prosto i naturalnie przecinał jakiś długi, jeszcze przedwojenny spór... Matematykę zna, mechanikę zna, chemię wojenną zna doskonale, paleontologię --- mój ty Boże, kto w naszych czasach słyszał o paleontologii! - paleontologię też zna... Rysuje jak malarz, śpiewa jak artysta... i jest dobry, nienaturalnie dobry. Rozpędził i pozabijał bandytów. Ośmiu w pojedynkę, gołymi rękami. Inny na jego miejscu chodziłby dumny jak paw, patrzył na wszystkich z góry, a ten dręczył się, nie spał po nocach, trapił się, kiedy go chwalono i dziękowano, a później nagle wybuchnął: zrobił się biały jak kreda i wykrzyknął, że to nieuczciwie chwalić za morderstwo... A jak trudno było go namówić, aby wstąpił do legionu!

Wszystko rozumie, ze wszystkim się zgadza, ale przecież tam - mówi - trzeba będzie strzelać. Do ludzi. A ja mu na to: do wyrodków, a nie do ludzi, do wyrzutek gorszych niż bandyci. Umówiliśmy się, że z początku, dopóki się nie przyzwyczai, będzie po prostu rozbrajał. Nie, nie na darmo ciągle powtarza, że niby przyszedł z innego świata. Znam ja ten świat. Wujaszek ma nawet o nim książkę. "Mglisty Kraj Zartak". Jest podobno w górach na wschodzie dolina Zartak, w której mieszkają szczęśliwi ludzie. Z opisu wynika, że wszyscy są tacy sami jak Maksym. A najdziwniejsze jest to, że jeśli któryś z nich opuści swoją dolinę, to od razu zapomina, skąd pochodzi i co się z nim przedtem działo, pamięta tylko, że jest z innego świata... Wujek, co prawda, twierdzi, że takiej doliny wcale nie ma, że to wszystko wymysł, że jest tylko grzbiet Zartak, a zresztą - mówi - w czasie ostatniej wojny rąbnęli w ten grzbiet kilkoma bombami wodorowymi, tak że wszystkim tym góralom na zawsze pamięć odjęło...

--- Dlaczego milczysz? - spytał Maksym. - Myślisz o mnie?

Gaj zmieszkał się.

--- No więc - powiedział. - Proszę cię tylko o jedno: dla dobra dyscypliny nigdy nie okazuj, że znasz mnie bliżej. Patrz, jak zachowują się inni i rób dokładnie to samo.

--- Staram się - powiedział smutno Maksym. Po chwili dodał: - Trudno się przyzwyczaić. U was to wszystko jest jakieś dziwne.

--- A jak twoja rana? - zapytał Gaj chcąc zmienić temat.

--- Moje rany szybko się goją - powiedział Maksym roztargnionym tonem. - Słuchaj, Gaj, po akcji chodźmy prosto do domu. No, co tak na mnie patrzysz? Stęskniłem się za Radą. A ty nie? Chłopaków zawieziemy do koszar, a potem pojedziemy ciężarówką do domu. Kierowcę zwolnimy...

Gaj nabrał pełne płuca powietrza, ale wtedy srebrzysta skrzynka głośnika, wisząca prawie nad ich głowami, warknęła i głos oficera dyżurnego brygady zakomenderował:

--- Szósta kompania na plac! Uwaga, szósta kompania...

Gaj huknął więc tylko:

--- Kandydat Sym, kończyć rozmowy, marsz na zbiórkę! - Maksym poderwał się, ale Gaj chwycił go za lufę automatu. - Bardzo cię proszę - powiedział. - Jak wszyscy! Zachowuj się jak wszyscy! Dziś sam pan rotmistrz będzie cię obserwował...

Trzy minuty później kompania już stała w szyku. Zrobiło się ciemno i nad placem zabłyśły reflektory. Z tyłu za szeregiem miękko pomrukiwały silniki samochodów. Pan brygadier, jak zawsze przed akcją, w asyście pana rotmistrza Czaczki obszedł bez słowa całą kompanię sprawdzając każdego legionistę. Był spokojny,

oczy miał przymrużone, a kąciki ust uniesione ku górze. Potem milcząco skinął głową panu rotmistrzowi i odszedł. Rotmistrz kołysząc się z nogi na nogę i wymachując okaleczoną ręką wyszedł przed front kompanii i zwrócił ku legionistom swoją ciemną, prawie czarną twarz.

--- Legioniści! - krzyknął głosem, od którego Gajowi przebiegły mrówki po skórze. - Czekajcie nas roboty.

Wykonamy ją z godnością... Uwaga, kompania! Do samochodów! Kapral Gaal, do mnie!

Kiedy Gaj podbiegł i wyprężył się przed nim, rotmistrz powiedział półgłosem:

--- Wasza drużyna ma specjalne zadanie. Po przybyciu na miejsce nie wychodzić z samochodu. Będę osobiście dowodził.

Rozdział VI

Ciężarówka miała kiepskie amortyzatory, co się mocno odczuwało na okropnej jezdni brukowanej polnymi kamieniami. Kandydat Mak Sym zacisnął automat między kolanami i pieczołowicie przytrzymał Gaję za pas główny. Doszedł bowiem do wniosku, że kapralowi, który tak bardzo troszczy się o swój autorytet, nie przystoi szybować nad ławkami niczym jakiś tam kandydat Zojza. Gaj nie protestował, a może po prostu nie zauważał uczynności podkomendnego. Po rozmowie z rotmistrzem kapral był czymś mocno zatroskany. Maksym zaś cieszył się, że zgodnie z rozkazem będzie walczył obok niego i w razie potrzeby będzie mógł przyjacielowi pomóc.

Samochody minęły Teatr Centralny, długo toczyły się wzdłuż cuchnącego Kanału Cesarskiego, później skręciły w pustą o tej porze ulicę Szewską i zaczęły przedzierać się przez krzywe zaułki jakiegoś przedmieścia, gdzie Maksym nigdy jeszcze nie był. A bywał ostatnimi czasy w różnych miejscach i poznał miasto gruntownie. W ciągu ponad czterdziestu dni zdarzyło mu się w ogóle zobaczyć i usłyszeć wiele rzeczy dziwnych i nieprzyjemnych. Sytuacja była znacznie gorsza i dziwniejsza, niż przypuszczał. Ślęczał jeszcze nad elementarzem, kiedy Gaj zaczął zanudzać go pytaniem, skąd Maksym się właściwie wziął. Rysunki nie pomagały, Gaj przyjmował je z jakimś dziwnym uśmiechem i powtarzał: "Skąd jesteś?" Wówczas Maksym w rozdrażnieniu pokazał na sufit i powiedział: "Z nieba". Ku jego zdziwieniu Gaj uznał to za całkiem naturalne i zaczął sypać jakimiś słowami, które Maksym wziął za nazwy planet miejscowego układu słonecznego. Ale Gaj rozwinął mapę świata w projekcji prostokątnej i wtedy wyjaśniło się, że to wcale nie nazwy planet, lecz nazwy krajów - antypodów. Maksym wzruszył ramionami, wygłosił wszystkie znane zaprzeczenia i zaczął studiować mapę. Rozmowa na tym chwilowo się urwała.

Dwa dni później Maksym i Rada oglądali telewizję. Nadawano jakąś dziwną transmisję, coś w rodzaju filmu bez początku i końca, bez określonej fabuły i z nieskończoną liczbą postaci. Przeróżających postaci, zachowujących się dosyć niesamowicie z punktu widzenia każdego humanoida. Rada patrzyła na to z ciekawością, wydawała okrzyki, chwyciła Maksyma za rękaw, dwa razy rozplakała się, Maksym zaś szybko się znudził i już zasypiał okuływany ponuro- groźną muzyką, kiedy nagle po ekranie przemknęło coś znajomego. Aż przetarł oczy ze zdumienia. Na ekranie była Pandora, smętny tachorg włócił się przez dżunglę miażdżąc drzewa. Nagle pojawił się Peter z kuszą w rękach, bardzo skupiony i poważny. Peter cofał się tyłem, potknął się o korzeń i wpadł plecami prosto w bagno. Z najwyższym zdziwieniem Maksym poznał własny mentogram, potem następny, później jeszcze jeden. Nie było jednak żadnych komentarzy, grała ta sama muzyka, a później Pandora znikła, ustępując miejsca niewidomemu, chudemu człowiekowi, który pełzał po suficie pokrytym grubą warstwą zakurzonej pajęczyny. "Co to?" - spytał Maksym wskazując palcem ekran. "Audycja - powiedziała niecierpliwie Rada. - Ciekawa. Patrz". Nie zdołał się w końcu niczego dowiedzieć i do głowy przyszła mu myśl o wielu dziesiątkach rozmaitych przybyszów, skrupulatnie wspominających swoje światy. Ale szybko z tej myśli zrezygnował, bo światy były zbyt straszne i zbyt monotonne: głuche, duszne izdebki, nie kończące się korytarze zagracone meblami, które nagle porastały ogromnymi kolcami; spiralne schody wkręcające się śrubą w nieprzeniknioną ciemność wąskich studzien; zakazane piwnice zatłoczone bezmyślnie mrowiącymi się ciałami, spośród których wyglądały chorobliwie nieruchome twarze, jakby żywcem przeniesione z obrazków Hieronima Boscha. Wszystko to w sumie bardziej przypominało gorączkowe majaczenia niż rzeczywiste światy. Na tle tych widziadeł mentogramy Maksyma cechował nagi realizm, chociaż ze względu na jego temperament były raczej romantyczno-naturalistyczne. Transmisje, nadawane w cyklu "Czarodziejskie podróże" powtarzały się niemal codziennie, lecz Maksym nie mógł zrozumieć, na czym polega ich atrakcyjność. W odpowiedzi na jego pytanie Rada i Gaj wzruszali ramionami i mówili: "Audycja. Żeby było ciekawie. Czarodziejska podróż. Bajka. Patrz, patrz! Bywa śmiesznie, bywa strasznie". W duszy Maksyma zrodziły się więc bardzo poważne wątpliwości co do tego, czy celem doświadczeń profesora Hipopotama było nawiązanie kontaktu i czy w ogóle te eksperymenty miały coś wspólnego z nauką.

Ten intuicyjny wniosek potwierdził się pośrednio jakieś dziesięć dni później, kiedy Gaj zdał konkursowy egzamin do zaocnej szkoły kandydatów na pierwszy stopień oficerski i zaczął wkuwać matematykę i mechanikę. Wykresy i wzory podstawowego kursu balistyki wprawiły Maksyma w osłupienie. Zaczął więc zanudzać Gaję, ten początkowo nie rozumiał, o co chodzi, a potem z pobłażliwym uśmiechem opisał mu kosmografię swojego świata. Wyjaśniło się wtedy, że zaludniona wyspa nie jest kulą, nie jest geoidą i w ogóle nie jest planetą.

Zaludniona wyspa była Światem, jedynym światem w kosmosie. Pod nogami tubylców leżała twarda powierzchnia Sfery Świata. Nad głowami tubylców rozpościerała się gigantyczna, lecz o skończonej objętości kula gazowa o nie znanym na razie składzie i nie zbadanych dotychczas właściwościach

fizycznych. Istniała teoria mówiąca o tym, że gęstość gazu gwałtownie rośnie w kierunku środka gazowego pęcherza i że tam odbywają się jakieś tajemnicze procesy, które powodują regularne zmiany natężenia w tak zwanej Wszechświatłości, warunkujące z kolei następstwo dnia i nocy. Oprócz krótkoterminowych dobowych zmian stanu Wszechświatłości istniały zmiany długookresowe, wywołujące sezonowe wahania temperatury i zmianę pór roku. Siła ciężkości była skierowana od środka Sfery Świata prostopadłe do jej powierzchni. Krótco mówiąc wyspa leżała na wewnętrznej powierzchni ogromnego pęcherza znajdującego się w środku nieskończonej opoki wypełniającej cały pozostały kosmos.

Maksym, kompletnie oszołomiony takimi nieoczekiwanymi poglądami, spróbował dyskutować, ale szybko okazało się, że Gaj i on mówią zupełnie różnymi językami, że zrozumieć się jest im znacznie trudniej niż zwolennikowi teorii Kopernika i zatwardziałemu wyznawcy poglądów Ptolemeusza. Głównym tego powodem były zadziwiające właściwości atmosfery planety. Po pierwsze, niezwykle silna refrakcja niepomiarowo unosiła horyzont ku górze i od wieków przekonywała tubylców, że ich ziemia nie jest płaska, a już w każdym razie nie wypukła, lecz wklęsła. "Stańcie na morskim brzegu - zalecały szkolne podręczniki - i zaobserwujcie ruch statku odpływającego z portu. Początkowo statek będzie się poruszał jakby po płaszczyźnie, ale im dalej będzie odpływał, tym wyżej będzie się wznosił, póki nie skryje się w atmosferycznej mgiele zasłaniającej pozostałą część Świata". Po drugie, ta atmosfera była nader gęsta i fosforyzowała dniem i nocą, wobec czego nikt tu nie oglądał gwiazdzistego nieba, a wypadki obserwacji Słońca były zapisane w kronikach i służyły za pożywkę nieustannych prób stworzenia teorii Wszechświatłości.

Maksym zrozumiał, że znajduje się w gigantycznej pułapce, że kontakt stanie się możliwy dopiero wtedy, kiedy uda mu się dosłownie wyrzucić na nic poglądy kształtowane w ciągu tysiącleci. Najwidoczniej ktoś to już usiłował zrobić, jeśli sędzić z rozpowszechnionego tu przekleństwa "massaraksz", co znaczyło dosłownie "przenicowany świat"; poza tym Gaj opowiadał mu o czysto abstrakcyjnej teorii matematycznej opisującej Świat zupełnie inaczej. Teoria ta powstała już w starożytności, była niegdyś tępiona przez oficjalną religię, miała swych męczenników, zyskała matematyczną klarowność dzięki pracom genialnych uczonych ubiegłego wieku, ale pozostała abstrakcją, chociaż podobnie jak większość abstrakcyjnych teorii znalazła zastosowanie praktyczne. Stało się to zupełnie niedawno, kiedy skonstruowano superdalekosiężne pociski balistyczne.

Przemyślawszy i zestawivszy ze sobą to wszystko, czego się dowiedział, Maksym zrozumiał po pierwsze to, że przez cały czas sprawiał wrażenie szaleńca i że nie na darmo jego mentogramy włączono do schizofrenoidalnych "Czarodziejskich podróży". Po wtóre rozumiał, że na razie nie może wspominać o swoim prawdziwym pochodzeniu, jeżeli nie chce powrócić do Hipopotama. Pojął ostatecznie, że zaludniona wyspa nie udzieli mu pomocy, że może liczyć tylko na siebie, że budowę nadajnika zeroprzeźrzanego należy odłożyć na czas nieograniczony i że on sam utkwiał tu na długo, a możliwe, massaraksz, że i na zawsze. Beznadziejność sytuacji o mało nie zwała go z nóg, ale zacisnął zęby i zmusił się do czysto logicznego rozumowania. Mama będzie musiała przeżyć ciężkie chwile. Będzie jej niewyobrażalnie źle i ta jedna myśl pozbawiła go wszelkiej ochoty do logicznego myślenia. Niech diabli porwą ten idiotyczny zamknięty świat! Ale są tylko dwa wyjścia: albo nieprzytomnie tęsknić za krajem i gryźć palce z bezsilnej złości, albo wziąć się w garść i żyć. Żyć, jak zawsze pragnął: kochać przyjaciół, dążyć do celu, walczyć, zwyciężać, ponosić klęski, dostawać po nosie, oddawać... Robić obojętnie co, byle nie załamywać rąk... Przestał mówić o budowie Wszechświata i zaczął wypytywać Gaja o historię i ustrój społeczny swojej zaludnionej wyspy.

Z historią sprawa nie przedstawiała się najlepiej. Gaj znał tylko pojedyncze fakty, a wartościowych książek nie miał. W bibliotece miejskiej poważnych opracowań też brakowało. Można się jednak było zorientować, że kraj, który przygarnął Maksyma, przed wybuchem ostatniej wojny był znacznie obszerniejszy, kierowany był wówczas przez klikę nierozgarniętych finansistów i zdegenerowanych arystokratów. Klika wpędziła naród w nędzę, skorumpowała aparat państwowy i wreszcie ugrzęzła w wielkiej wojnie kolonialnej, rozpętanej przez sąsiadów. Wojna ta ogarnęła cały Świat, zniszczyła tysiące miast, dziesiątki małych państw zostały starte z powierzchni ziemi, wszędzie zapanował chaos. Nastąpiły dni głodu i epidemii. Próby powstań ludowych grupka wyzyskiwaczy zdławiła pociskami jądrowymi. Kraj i cały świat chylił się ku zagładzie. Sytuacja została uratowana przez Płomiennych Chorążych. Wszystko wskazywało na to, że była to anonimowa grupa młodych oficerów sztabu generalnego, która pewnego pięknego dnia przy pomocy dwóch dywizji bardzo niezadowolonych z faktu, że posyłają je do atomowej jatki, zorganizowała przewrót i zagarnęła władzę. Od tego czasu sytuacja w znacznym stopniu się ustabilizowała, wojna jakoś sama przez się ucichła, chociaż nikt z nikim traktatów pokojowych nie zawierał.

Maksym zrozumiał, że ustrój polityczny państwa jest daleki od ideału i stanowi pewną odmianę dyktatury wojskowej. Jasne było jednak, że Płomienni Chorążowie cieszą się ogromną popularnością, i to we wszystkich warstwach społecznych. Rzeczywiste powody tej popularności pozostały dla Maksyma niejasne: bądź co bądź pół kraju leży jeszcze w ruinach, wydatki na wojsko są olbrzymie, przytłaczająca większość społeczeństwa żyje gorzej niż skromnie... Ale sprawa polegała prawdopodobnie na tym, że junta wojskowa potrafiła lub obiecała ukrócić apetyty przemysłowców, czym zyskała popularność wśród robotników i podporządkowała ich sobie, czym z kolei zjednała przemysłowców. To zresztą były tylko domysły. Gajowi na przykład taka interpretacja wydawała się bardzo dziwaczna: dla niego społeczeństwo było jednolitym organizmem, przeciwieństw między warstwami społecznymi nie mógł sobie wyobrazić...

Pozycja międzynarodowa kraju była nadal w najwyższym stopniu niepewna. Na północy rozpościerały się dwa wielkie państwa, Chontia i Pandeia, dawniejsze prowincje czy też kolonie. O tych państwach nikt niczego nie wiedział, ale było pewne, że oba te kraje mają agresywne zamiary, nieustannie wysyłają szpiegów i dywersantów, organizują incydenty zbrojne na granicy i przygotowują się do wojny. Celów tej wojny Gaj nie potrafił wyjaśnić, nigdy zresztą się nad tym nie zastanawiał. Na północy byli wrogowie, z agenturą walczył na śmierć i życie, i to mu w zupełności wystarczało.

Na południu za przygranicznymi lasami, leżała pustynia wypalona wybuchami jądrowymi. Pustynia ta powstała na miejscu całej grupy krajów, które brały najczynniejszy udział w działaniach wojennych. O tym, co się dzieje na tych milionach kilometrów kwadratowych, też nic nie było wiadomo, nikogo to zresztą nie interesowało. Południowe granice narażone były na nieustanne napady wielkich hord półdzikich wyrodków, od których aż się roily lasy za rzeką Błękitną Żmiją. Problem południowych granic uważany był niemal za najważniejszy. Stamtąd groziło niebezpieczeństwo i właśnie tam koncentrowały się wyborowe jednostki Legionu Bojowego. Gaj służył na południu trzy lata i opowiadał nieprawdopodobne historie.

Na południe od pustyni, na drugim końcu jedyne kontynentu, również mogły zachować się jakieś państwa, ale nic o nich nie było wiadomo. Natomiast ciągle i w sposób wysoce nieprzyjemny dawało o sobie znać tak zwane Imperium Wyspiarskie rozsiadłe na dwóch potężnych archipelagach drugiej półkuli. Ocean Światowy należał do niego. Radioaktywne wody pruć ogromna flota okrętów podwodnych pokrytych wyzywająco śnieżnobiałą farbą, wyposażonych w najnowocześniejsze urządzenia do niszczenia i zabijania, z bandami specjalnie wytresowanych morderców na pokładach. Białe łodzie podwodne trzymały w strasliwym napięciu nabrzeżne rejony kraju, dokonywały nie prowokowanych ostrzałów artyleryjskich i wysadzały pirackie desanty. Temu białemu zagrożeniu również stawiał czoło legion.

Obraz wszechświatowego chaosu i zniszczenia wstrząsnął Maksymem. Leżała przed nim planeta-cmentarzysko, na której ledwie tliło się rozumne życie, gotowe lada chwila ostatecznie zgasnąć. Maksym słuchał Rady, słuchał jej spokojnych i strasznych opowieści o tym, jak matka otrzymała zawiadomienie o śmierci ojca (ojciec, lekarz epidemiolog, nie chciał opuścić zadżumionej okolicy, państwo zaś wówczas nie miało czasu ani możliwości walczyć z dżumą zwykłymi środkami, na zadżumione tereny zrzucono więc po prostu bombę); o tym, jak dziesięć lat temu do stolicy zbliżyli się buntownicy, zaczęła się ewakuacja i w tłumie atakujących pociąg zdeptano babkę, matkę ojca, a dziesięć dni później umarł młodszy braciszek; o tym, jak po śmierci matki chcąc wykarmić małego Gaja i zupełnie bezradnego wujka Kaana pracowała po osiemnaście godzin na dobę jako pomywaczka w punkcie ewakuacyjnym, później jako sprzątaczką w luksusowej speluncie dla spekulantów, później startowała w hazardowych biegach kobiecych, później siedziała w więzieniu, co prawda niedługo, ale pozostała bez pracy i kilka miesięcy zebrała...

Maksym słuchał wujka Kaana, niegdyś wybitnego uczonego, który opowiadał, jak od razu na początku wojny zamknęto Akademię Nauk i z jej członków utworzono Batalion Akademii Jego Cesarskiej Wysokości; jak w czasie głodu oszalał i powiesił się twórca teorii ewolucyjnej; jak gotowano polewkę ze świerszczy i zielska; jak głodny tłum splądrował muzeum zoologiczne i zjadł zakonserwowane w spirytusie preparaty...

Maksym słuchał Gaja, słuchał jego prostodusznych opowieści o budowie wież obrony przeciwbalistycznej na granicy południowej, jak nocami ludojady podkradają się pod place budowy i porwają wychowywanych i wartowników- legionistów; jak w ciemności niczym widma atakują nieubłagane wilkołaki, półludzie, półniedźwiedzie, półpsy; wysłuchiwał jego zachwyty nad systemem OPB, który powstał w ostatnich latach wojny kosztem nieprawdopodobnych wyrzeczeń i który w gruncie rzeczy spowodował przerwanie działań wojennych osłoniwszy kraj przed atakiem z powietrza, który i do tej pory jest jedynym zabezpieczeniem kraju przed agresją z północy... A te dranie organizują napady na wieże obronne, sprzedajne łobuzy, mordercy kobiet i dzieci kupieni za brudną forszę Chontii i Pandeii, wyrodki, bydłeta, gorsze od najpodlejszego Szczurołapa... Nerwowa twarz Gaja wykrzywiła się z nienawiści. To jest najważniejsze, mówił postukując pięścią w stół, i dlatego poszedłem do legionu, nie do fabryki, nie na rolę, nie do biura, lecz do legionu, który teraz odpowiada za wszystko...

Maksym słuchał chciwie, słuchał tego wszystkiego jak strasznej, nierealnej baśni, tym straszniejszej i bardziej nieprawdopodobnej, że prawdziwej i że rzeczy najstraszliwsze, najbardziej niepojęte mogły się w każdej chwili powtórzyć. Zawstydział się. Jego niepowodzenia wydały mu się śmieszne, a problemy stały się nieważne; jakiś tam kontakt, nadajnik zeroprzestrzenny, rozpacz, załamywanie rąk.

Ciężarówka ostro skręciła w niezbyt szeroką ulicę z wielopiętrowymi ceglanyimi domami po obu stronach i Pandi powiedział: "Jesteśmy na miejscu". Przechodnie odskoczyli pod ściany zasłaniając oczy przed światłem reflektorów. Ciężarówka zatrzymała się. Nad kabiną kierowcy wyrosła długa teleskopowa antena. --- Wysiądać! - wrzasnęli równocześnie dowódcy drugiej i trzeciej drużyny. Legioniści zaczęli wyskakiwać.

--- Pierwsza drużyna pozostaje na miejscu - zakomenderował Gaj.

Pandi i Maksym, którzy zdążyli się poderwać znowu usiedli.

--- Na trójki, rozbić się! - wrzeszczeli kaprale na chodniku. - Druga drużyna, naprzód. Trzecia drużyna, naprzód!

Załomotały podkute buty, pisnął zachwycony kobiecy głos, ktoś z górnego piętra przenikliwie krzyknął: "Panowie! Legion Bojowy!". "Hura!" - zawołali bladzi ludzie przyciskający się do ścian. Ci przechodnie zdawali się czekać na legionistów i teraz cieszyli się, jakby ujrzeli najlepszych przyjaciół. Siedzący po prawej stronie Maksyma kandydat Zojza, jeszcze zupełny smarkacz, chudy dragal z puszką na policzkach trącił

Maksyma ostrym łokciem w bok i radośnie mrugnął do niego. Maksym uśmiechnął się w odpowiedzi. Drużyny już zniknęły w bramach, pod drzwiami stali tylko kaprale, stali twardo, z nieruchomymi twarzami pod przekrzywionymi beretami. Trzasnęły drzwiczki kabiny i głos rotmistrza Czaczki wykrakał:

--- Pierwsza sekcja, wysiadać! Zbiórka!

Maksym jednym skokiem przerzucił ciało przez burtę. Kiedy drużyna się ustawiła, rotmistrz ruchem ręki zatrzymał Gaję, który podbiegł z raportem, podszedł tuż do szeregu i zakomenderował:

--- Hełmy wóź!

Czynni szeregowi jakby tylko czekali na ten rozkaz, kandydaci natomiast trochę się guzdrali. Rotmistrz niecierpliwie postukując obcasem poczekał, aż Zojza upora się z paskiem i zakomenderował: "Na prawo, zwrot" i "Biegiem naprzód, marsz". Sam pobiegł przodem, nieoczekiwanie zwinny, wymachując zranioną ręką, i poprowadził drużynę pod ciemny łuk bramy, obok żelaznych zbiorników z gnijącymi odpadkami, na podwórko wąskie i mroczne jak studnia, zastawione stertami drewna opałowego. Skręcił pod drugi łuk, taki sam mroczny i cuchnący i zatrzymał się przy odrapanych drzwiach pod mętną żarówką.

--- Uwaga! - zakrakał. - Pierwsza trójka i kandydat Sym pójdą ze mną. Reszta zostanie tutaj. Kapral Gaal na gwizdek przyprowadzi do mnie na górę, na trzecie piętro, drugą trójkę. Nikogo nie wypuszczać, brać żywcem, strzelać tylko w ostateczności. Pierwsza trójka i kandydat Sym, za mną!

Popchnął odrapane drzwi i znikł. Maksym wyprzedził Pandiego i rzucił się za nim. Za drzwiami były strome schody z lepkiemi żelaznymi poręczami, wąskie i brudne, oświetlone jakimś niezdrowym, zgniłym światłem. Rotmistrz biegł, zręcznie przeskakując po trzy stopnie naraz. Maksym dopędził go i zauważył w jego ręku pistolet. Wówczas zdjął w biegu automat z szyi i przez chwilę poczuł mdłości na myśl, że będzie musiał strzelać do ludzi, ale zaraz odpędził tę myśl. To nie byli przecież ludzie, to były zwierzęta gorsze od wąsatego Szczurołapa, gorsze od plamistych małp. Wstrętne brudy pod nogami, zgniłe światło i zaplute ściany potwierdzały i podtrzymywały to wrażenie.

Pierwsze piętro. Duszący kuchenny odór, w szczelinie uchylonych drzwi ze strzępami maty - wystraszona twarz staruszki. Spod nóg wyskakują oszalały ze strachu kot. Drugie piętro. Jakiś bałwan zostawił na środku podestu wiadro z pomyjami. Rotmistrz przewraca wiadro, pomyje leją się na dół. "Massaraksz..." --- wrzeszczy z dołu Pandi. Chłopiec i dziewczyna objęci w pół przytuleni w ciemnym kącie. Twarze mają wystraszone i radosne. "Uciekajcie na dół" - kracze w biegu rotmistrz. Trzecie piętro. Obskurnie brązowe drzwi ze złuszczoną olejną farbą, porysowana blaszana tabliczka z napisem: "Gobbi. Dentysta. Wizyty o każdej porze". Za drzwiami ktoś przeciągle krzyczy. Rotmistrz zatrzymuje się i chrypi: "Zamek!" Po jego czarnej twarzy spływa pot. Maksym nie rozumie. Nadbiega Pandi, odpycha go ramieniem, przystawia lufę automatu do drzwi nad klamką i wypuszcza serię. Sypią się iskry, lecą kawałki drewna i zaraz potem za drzwiami rozlegają się głuche wystrzały, ktoś jęczy, znowu z trzaskiem lecą drzazgi, coś gorącego i twardego ze wstrętnym piskiem przemyka nad głową Maksyma. Rotmistrz otwiera drzwi. W środku jest ciemno, żółte ogniki wystrzałów oświetlają kłęby dymu. "Za mną!" - chrypi rotmistrz i nurkuje głową naprzód prosto w rozbłyski. Maksym i Pandi skaczą za nim, drzwi są wąskie, przygnieciony Pandi krótko stęka. Korytarz, zaduch, dym. Zagrożenie z lewej. Maksym wyrzuca rękę, chwyta gorącą lufę, szarpie broń od siebie i ku górze. Cicho, lecz okropnie wyraźnie chrzęszczą czyjeś wyłamywane stawy, wielkie i miękkie ciało zastyga w bezwolnym upadku. Na przodzie, wśród dymu, rotmistrz kracze: "Nie strzelać! Brać żywcem!" Maksym rzuca pistolet i wpada do wielkiego oświetlonego pokoju. Znajduje się tam wiele książek i obrazów, lecz nie ma do kogo strzelać. Na podłodze zwija się z bólu dwóch mężczyzn. Jeden z nich przeciągle krzyczy, ochrypl już zupełnie, lecz ciągle krzyczy. W fotelu leży z odrzuconą do tyłu głową zemdlona kobieta, tak blada, że aż przezroczysta. Pokój jest wypełniony bólem. Rotmistrz stoi nad krzyczącymi i oglądając się na boki wkłada pistolet do kabury. Mocno popchnąwszy Maksyma do pokoju wpada Pandi, za nim legionieści wloką ciało tego, który strzelał. Kandydat Zojza, mokry i podniecony, bez uśmiechu podaje Maksymowi porzuconą broń. Rotmistrz odwraca ku nim swoją straszną czarną twarz. "A gdzie jeszcze jeden?" - kracze i w tej samej chwili opada niebieska portiera - z parapetu okiennego ciężko zeskakuje długi chudy człowiek w poplamionym białym fartuchu. Idzie jak ślepiec prosto na rotmistrza, wolno podnosząc dwa ogromne pistolety do poziomu zeszkłonych z bólu oczu. "Oj!" - krzyczy Zojza.

Maksym stał bokiem i nie miał już czasu na zwrot. Skoczył więc ze wszystkich sił, ale człowiek zdążył jednak raz nacisnąć spusty. Wystrzały opaliły Maksymowi twarz, czad wypełnił usta, ale palce zacisnęły się już na mankietach białego fartucha i pistolety ze stukiem upadły na podłogę. Człowiek uklęknął, zwiesił głowę i kiedy Maksym go puścił, miękko zwałił się na twarz.

--- No, no, no - powiedział rotmistrz dziwnym tonem. - Kładźcie go tutaj - rozkazał Pandiemu. - A ty - powiedz mił mokremu i blademu Zojzie - biegnij na dół i zawiadom dowódców drużyn, gdzie jestem. Niech zameldują, jak tam u nich. - Zojza stuknął obcasami i rzucił się ku drzwiom. - Aha! Przekaż Gaalowi, żeby tu przyszedł... Przeszłań wreszcie draniu - krzyknął do jęczącego człowieka i czubkiem buta kopnął go lekko w bok. - Ee, nic z tego. Miękki bydlak, śmieć... zrewidować! - rozkazał Pandiemu. - I połóżcie ich wszystkich rzędem. Tutaj, na podłodze. Babę też, bo rozwaliła się w jedynym fotelu...

Maksym podszedł do kobiety, ostrożnie uniósł i przeniósł na łóżko. Czuł się niewyraźnie. Nie tego oczekiwał. Teraz sam zresztą nie wiedział, czego oczekiwał: żółtych, wyszczerzonych nienawistnie kłów, wściekłego wycia, bezwzględnej walki na śmierć i życie... Nie miał z czym porównywać swoich odczuć, ale przypomniał sobie, jak kiedyś ustrzelił tachorga i jak to ogromne, groźne z wyglądu i okrutne podobno zwierzę zwaliwszy

się ze złamanym kręgosłupem do wielkiej jamy cicho, żałośnie płakało i coś mamrotało w śmiertelnej rozpaczce prawie ludzkim głosem...

--- Kandydat Sym! - kraknął rotmistrz. - Rozkazałem na podłodze!

Patrzył na Maksyma przerażliwymi, przezroczytymi oczami, usta wykrzywiły mu się jakimś nerwowym skurczem. Maksym zrozumiał, że nie może tu być sędzią i określać, co jest dobre, a co złe. Jeszcze jest obcy, jeszcze nie zna ich miłości i ich nienawiści... Uniósł kobietę i położył obok tęgiego człowieka, który strzelał w korytarzu. Pandi wraz z drugim legionistą sapiąc wywracali kieszenie aresztowanych. Cała piątka była nieprzytomna.

Rotmistrz rozsiadł się w fotelu, rzucił czapkę na stół, zapalił i skinął na Maksyma. Maksym podszedł i dziarsko stuknął obcasami.

--- Dlaczego rzuciłeś broń? - zapytał półgłosem rotmistrz.

--- Rozkazał pan nie strzelać.

--- Panie rotmistrzu.

--- Tak jest. Rozkazał pan nie strzelać, panie rotmistrzu.

Rotmistrz ze zmrużonymi oczami wydmuchiwał dym pod sufit.

--- To znaczy, że gdybym ci rozkazał nie rozmawiać, to być sobie odgryzł język.

Maksym nic nie odpowiedział. Doskonale pamiętał nauki Gaja.

W korytarzu rozległy się pospieszne kroki. Do pokoju wszedł Gaj i wyprężył się przed rotmistrzem.

--- Zajmij się tymi półtrupami, kapralu - powiedział rotmistrz. - Kajdanek wystarczy?

Gaj spojrział przez ramię na aresztowanych.

--- Proszę o pozwolenie na wzięcie jednej pary z drugiej drużyny.

--- Wykonać!

Gaj wybiegł, a w korytarzu już znów tupały buty, zjawili się dowódcy innych drużyn i zameldowali, że akcja przebiega pomyślnie, dwóch podejrzanych zatrzymano, mieszkańcy jak zwykle okazują aktywną pomoc.

Rotmistrz rozkazał szybciej kończyć, a potem przekazał do sztabu umowne hasło "Cokół". Kiedy dowódcy drużyn wyszli, zapalił nowego papierosa i jakiś czas milczał, patrząc, jak legioniści zdejmują z regałów książki, przeglądają je i rzucają na łóżko.

--- Pandi - powiedział półgłosem - zajmij się obrazami. Tylko z tym obchodź się ostrożnie. Nie zniszcz, wezmę go sobie. - Odwrócił się do Maksyma. - Co o tym powiesz?

Na obrazie widniał morski brzeg, wysoka wodna dal bez horyzontu, zmierzch i kobieta wychodząca z morza. Wiatr. Wilgoć. Zimno.

--- To dobry obraz, panie rotmistrzu - powiedział Maksym.

--- Poznajesz okolicę?

--- Nie, panie rotmistrzu. Tego morza nigdy nie widziałem.

--- A jakie widziałeś?

--- Zupełnie inne, panie rotmistrzu. Ale kapral Gaal sądzi, że to jest fałszywa pamięć.

--- Brednie. To samo. Tylko patrzyłeś nie z brzegu, lecz z mostku. Pod sobą miałeś pokład, a z tyłu na rufie jeszcze jeden mostek, tyle że trochę niższy. A na brzegu stała nie ta baba, lecz czołg. Celowałeś w nasadę wieży. Czy ty wiesz, szczeniaku, co to znaczy, kiedy podkalibrowy trafia pod wieżę? Massaraksz... -- - wysyczał i rozgniół niedopałek na stole.

--- Nie rozumiem - powiedział Maksym zimno. - Nigdy w życiu niczym w nic nie celowałem.

--- Skąd możesz wiedzieć? Przecież niczego nie pamiętasz, kandydacie Sym!

--- Pamiętam, że nie celowałem.

--- Panie rotmistrzu!

--- Pamiętam, że nie celowałem, panie rotmistrzu. Nie rozumiem też, o czym pan mówi.

Wszedł Gaj w towarzystwie dwóch kandydatów, którzy zaczęli zakładać aresztowanym ciężkie kajdanki.

--- To też ludzie - powiedział rotmistrz. - Mają żony, dzieci. Kogoś kochali, ktoś ich kochał.

Oficer wyraźnie się z niego natrząsał, ale Maksym powiedział to, co myślał:

--- Tak, panie rotmistrzu. To, okazuje się, też są ludzie.

--- Nie spodziewałeś się tego?

--- Tak, panie rotmistrzu. Oczekiwałem czegoś innego.

Kątem oka zauważył, że Gaj patrzy z przestachem na niego. Ale miał dosyć kłamstw, więc dorzucił:

--- Myślałem, że to są rzeczywiście wyrodkowie. Coś w rodzaju nagich, plamistych... zwierząt.

--- Nagi, plamisty dureń! - powiedział dobitnie rotmistrz. - Kołek! Nie jesteś na południu. Tutaj oni wyglądają jak ludzie. Dobrzy, mili ludzie, których przy silnym wzruszeniu okropnie bolą główki. A ciebie przy wzruszeniu głowa nie boli? - zapytał nieoczekiwanie.

--- Mnie nigdy nic nie boli, panie rotmistrzu - odpowiedział Maksym. - A pana?

--- Coo?

--- Mówi pan tak rozdrażnionym tonem - powiedział Maksym - że pomyślałem...

--- Panie rotmistrzu! - jakimś wibrującym głosem krzyknął Gaj. - Posłusznie melduję, że aresztowani przyszedli do siebie.

Rotmistrz popatrzył na niego i uśmiechnął się.

--- Nie denerwuj się, kapralu. Twój przyjaciel zachował się dziś jak prawdziwy legionista. Gdyby nie on,

rotmistrz Czaczu leżałby teraz z kulką we łbie. - Zapalił trzeciego papierosa, uniósł oczy ku sufitowi i wypuścił cienkie pasemko dymu. - Masz nosa, kapralu. Byłbym gotów choćby zaraz awansować tego chłopaczka na czynnego szeregowca... Massaraksz, ja bym go mianował oficerem! On ma brygaderskie maniere, uwielbia zadawać pytania rotmistrzom... Ale teraz doskonale cię rozumiem, kapralu. Twój raport miał wszelkie podstawy. Tak że... wstrzymamy się na razie z awansowaniem go na kaprala... - Rotmistrz wstał, ciężkim krokiem obszedł stół dokoła i zatrzymał się przed Maksymem. - Nie mianujemy go na razie nawet czynnym szeregowym. To dobry żołnierz, ale jeszcze smarkacz, kolek. Zajmiemy się jego edukacją... Uwaga! - wrzasnął nagle. - Kapral Gaal, wyprowadzić aresztowanych! Szeregowy Pandi i kandydat Sym, zabrać mój obraz i wszystkie papiery! Załadować do mojego samochodu!

Obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Gaj popatrzył z wyrzutem na Maksyma, ale niczego nie powiedział. Legioniści podnosili zatrzymanych, kopniakami stawiali ich na nogi i prowadzili do drzwi. Aresztowani się nie bronili. Wyglądali, jakby byli z waty, chwiali się, nogi się pod nimi uginały. Tęgi człowiek, który strzelał w korytarzu, głośno pojękiwał i klął szeptem. Kobieta bezdźwięcznie poruszała wargami. Oczy jej dziwnie błyszczały.

--- Hej, Mak - powiedział Pandi - weź ten koc z łóżka i owiń nim książki, a jak nie starczy, weź jeszcze prześcieradło. Zanieś potem wszystko na dół. Ja wezmę obraz... Tylko nie zapomnij automatu, tępą pałó! Wiesz, dlaczego pan rotmistrz się na ciebie wściekł? Rzuciłeś automat. Broni nie wolno rzucać, i to w dodatku w czasie walki! Ech, ty kołku...

--- Co to za rozmówki, Pandi? - powiedział gniewnie Gaj. - Bierz obraz i idź.

W drzwiach odwrócił się ku Maksymowi, postukał się palcem w czoło i wyszedł. Było słychać, jak Pandi schodząc po schodach wyśpiewuje na całe gardło "Daj spokój, mamusiu". Maksym westchnął, położył automat na stole i podszedł do stosu książek zwalonych na łóżko i podłogę. Nigdzie tu jeszcze, oprócz bibliotek, nie widział tyle książek naraz. W księgarniach książek oczywiście też było więcej, ale więcej egzemplarzy, a nie tytułów.

Książki były stare, o pożółkłych stronicach. Niektóre były trochę nadpalone, a niektóre - ku zdumieniu Maksyma - radioaktywne. Nie było czasu na szczegółowsze oglądanie.

Maksym zapakował dwa toboły i przez kilka chwil rozglądał się po pokoju. Puste, przekrzywione regały, ciemne plamy na miejscu obrazów i same obrazy wydarte z ram, zdeptane... Żadnego śladu sprzętu dentystycznego. Wziął pakunki i skierował się ku drzwiom, ale później przypomniał sobie i wrócił po automat. Na stole pod szkłem leżały dwie fotografie. Na jednej była ta sama przezroczysta kobieta. Na kolanach trzymała czteroletniego może chłopczyka z rozdziawioną buzią. Niewiasta była młoda, szczęśliwa, dumna... Na drugim zdjęciu widniał piękny górski krajobraz, ciemne grupy drzew i stara, na pół zrujnowana baszta. Maksym zarzucił automat na ramię i wrócił do tobołków.

Rozdział VII

Co rano, po śniadaniu, brygada ustawiała się na placu apelowym do wysłuchania rozkazu dziennego i przydziału służby. Dla Maksyma był to najtrudniejszy moment dnia, gorszy nawet od męczarni wieczornych apeli. Odczytanie jakiegokolwiek rozkazu wywoływało nieodmiennie prawdziwy paroksyzm zachwyty. Ten ślepy, bezmyślny, nienaturalny zachwyty był dla postronnego obserwatora wręcz przygnębiający w swej absurdalności. Maksym z najwyższym wysiłkiem dławił w sobie wstręt do nagłego szaleństwa, które ogarniało całą brygadę, od dowódcy poczynawszy, a na najmłodszym kandydacie kończąc. Wyrzucał sobie sceptycyzm cudzoziemca, starał się wzbudzić w sobie entuzjazm, tłumaczył sobie w duchu, że w trudnych sytuacjach takie eksplozje masowego zapału świadczą jedynie o konsolidacji, jednomyślności i gotowości do całkowitego poświęcenia się wspólnej sprawie. Ale nie potrafił się z tym obłędem pogodzić.

Od dzieciństwa wpajano mu ironiczno-powściągliwy stosunek do samego siebie, uczono go nie znosić gromkich słów, nic więc dziwnego, że był nieomal wściekły na swych sąsiadów z szeregu, chłopaków dobrych, prostodusznych i przyzwoitych, kiedy ci, po odczytaniu rozkazu i ukaraniu trzema dniami aresztu kandydata takiego to a takiego za kłótnię z czynnym szeregowym takim to a takim, nagle rozdziawiali gęby, tracili właściwe im dobroduszne poczucie humoru i zaczęli entuzjastycznie ryczeć "hura", a potem ze łzami w oczach śpiewać "Marsz Legionu Bojowego", powtarzając go dwa, trzy razy, albo nawet czterokrotnie. Na domiar złego na plac wysypywali się kucharze z koszarowej kantyny i wymachując wściekle chochlami - wolno im było to robić, bo byli poza szeregiem - z zapałem podchwytywali pieśń. Maksym pamiętał, że w tym świecie należy postępować tak samo, jak pozostali, starał się więc również wyzbyć poczucia humoru. Czasami mu się to nawet udawało, ale zawsze pozostawało niesmak, bo niczego, poza obrzydzeniem, wtedy nie odczuwał.

Tym razem wybuch zachwyty nastąpił po odczytaniu rozkazu numer 127 o mianowaniu czynnego szeregowca Dimby kapralem, rozkazu numer 128 o udzieleniu pochwały kandydatowi na szeregowca Symowi i rozkazu numer 129 o rozpoczęciu remontu koszar czwartej kompanii. Ledwie adiutant brygady zdążył wsunąć blankiety rozkazów do skórzanej raportówki, a już brygadier zerwał czapkę z głowy, nabrał pełne płuca powietrza i wrzasnął skrzekliwym falsetem: "Naprzód!... Legioniści!... Naprzód!..." Tego dnia Maksym poczuł się gorzej niż zwykle, bo zobaczył, jak po ciemnych policzkach rotmistrza Czaczu toczą się grube łzy. Legioniści ryczeli jak bawoły i wybijali takt, łomocąc kolbami automatów w masywne sprzączki pasów. Żeby tego nie widzieć i nie słyszeć, Maksym zacisnął mocno powieki, zawył niczym rozwścieczony tachorg i zagłuszył swoim głosem wszystkie inne. Tak mu się w każdym razie wydawało... "Naprzód,

nieustraszeni!" - wydierał się, nie słysząc już nikogo poza sobą. - Cóż za idiotyczny tekst... Pewnie jakiś kapral splodził... Trzeba bardzo wierzyć w swoją sprawę, aby iść za nią w bój z takimi słowami na ustach! Otworzył oczy i zobaczył stado czarnych ptaków, miotających się w popłochu nad placem. - "Diamentowy pancerz nic ci nie pomoże!"

Potem wszystko skończyło się równie nagle, jak się zaczęło. Brygadier omiół wszystkich zmętiałym wzrokiem, przypomniał sobie, gdzie się znajduje i jęklwym, przerywanym głosem zakomenderował: "Panowie oficerowie rozprowadzą kompanie na zajęcia". Żołnierze potrząsali głowami i bezmyślnie gapili się przed siebie. Zdaje się, że nie bardzo wiedzieli, co się z nimi dzieje, bo rotmistrz Czachu musiał dwa razy krzyknąć: "Równaj!", zanim szyk znów się porządnie ustawił. Potem kompania odmaszerowała do koszar, a tam rotmistrz zarządził:

--- Pierwsza drużyna pełni służbę wartowniczą. Pozostałe drużyny przystępują do planowych zajęć. Rrozejść się!

Rozeszli się. Gaj zebrał swoją drużynę i rozdzielił posterunki. Maksymowi i Pandiemu przypadła służba w izbie przesłuchań. Gaj pośpiesznie wyjaśnił mu jego obowiązki: ma stać na baczność z tyłu po prawej stronie aresztowanego i przy najmniejszym podejrzanym ruchu użyć siły. W czasie pełnienia warty będzie podlegał bezpośrednio dowódcy brygady. Starszym posterunku jest szeregowy Pandi... Krótko mówiąc: patrz na Pandiego i rób to samo co on.

--- Uważaj, Mak. Nie bardzo wiem, jakie pan rotmistrz ma wobec ciebie zamiary. Albo chce cię jak najprędzej awansować, bo bardzo mu się podobałeś przy robocie i wczoraj przy omawianiu akcji z dowódcami drużyn wiele o tobie mówił, no i ta pochwała w rozkazie... Albo cię sprawdza. Nie wiem dlaczego. Może to wina mojego raportu, może twoich rozmówek... - Popatrzył zaaferowanym wzrokiem na Maksyma. - Wyczyść jeszcze buty, podciągnij pas i załóż galowe rękawiczki... Aha, przecież nie masz rękawiczek, kandydatom nie przysługują... No dobrze, leć do magazynu, tylko szybko, bo za trzydzieści minut wyruszamy.

W magazynie Maksym zastał Padiego, który zmieniał pęknięte godło na berecie.

--- Popatrz kapralu - powiedział Pandi, zwracając się do magazyniera i klepiąc Maksyma po ramieniu. - Widziałeś? Chłopak dopiero dziewiąty dzień w legionie i już pochwała. W izbie go ze mną postawili... Pewnieś po białe rękawiczki przyleciał? Wydadź mu porządne rękawiczki, kapralu. Zasłużył sobie. Chłop jak trza!

Kapral burknął coś z niezadowoleniem, wgramolił się na regał zawalony sortami mundurowymi, rzucił na ladę przed Maksymem kilka par nicianych rękawiczek i powiedział pogardliwie:

--- Jak trza... Wszyscyście przy tych pomyłkach gieroje!... Jasne, że jak im bebechy z bólu pękają, to można ich gołymi rękami brać i do worków pakować. Z tym to i mój dziadek by sobie poradził, a nie ma rąk ani nóg...

Pandi obraził się.

--- Twój beznogi dziadek na rżęsach by pryskał - powiedział - jakby tak na niego z dwoma spluwami naskoczyli. Myślałem, że już z panem rotmistrzem koniec...

--- Koniec, koniec... - burczał kapral. - Jak za pół roku pognają was na południową granicę, to wtedy zobaczymy.

Kiedy wyszli z magazynu, Maksym zapytał z najwyższym szacunkiem, na jaki go było stać (stary Pandi lubił, kiedy mu się okazywało szacunek):

--- Panie Pandi, dlaczego te wyrodki mają takie bóle i to w dodatku wszyscy razem? Jak to jest?

--- Ze strachu - odpowiedział Pandi, tajemniczo ścisząc głos. - Wyrodki, rozumiesz? Musisz więcej czytać, Mak. Jest taka broszura. Nazywa się "Co to są wyrodki i skąd się wzięły?" Przeczytaj, bo ciągle będziesz taki ciemny... Na samej odwadze daleko nie ujedziesz... - Milczał przez chwilę. - My się na przykład zdenerwujemy albo powiedzmy zestrachamy i nic, najwyżej się spocimy albo nogi nam zmiękną. A oni mają organizm nienormalny, wyrodzony. Zezłoszczą się na ten przykład na kogoś albo, przypuścmy, stchórzą, albo w ogóle i od razu silne bóle głowy i całego ciała. Do nieprzytomności, rozumiesz? Po tym ich rozpoznajemy i oczywiście zatrzymujemy... - Dobrze rękawiczki, w sam raz na mnie, jak myślisz?

--- Za ciasne na mnie, panie Pandi - poskarżył się Maksym. - Zamieśmy się: pan weźmie te, a mnie da swoje, rozciągnięte.

Pandi był bardzo zadowolony. Maksym też był zadowolony. Nagle przypomniał sobie Fanka, jak kurczył się w samochodzie, jak zwijał się z bólu i jak go zabierali legionieści z patrolu. Ale czego Fank mógł się przestraszyć? Na kogo mógł się złościć?... Przecież wcale się nie denerwował, spokojnie prowadził samochód, pogwiżdzywał i bardzo czegoś chciał. Pewnie zapalić?... Aha, obejrzał się i zobaczył samochód patrolu... Czy też to było później?... Tak, bardzo się spieszył, a furgon blokował drogę... Może się rozzłościł? Po co zresztą takie domysły! Ludziom zdarzają się przecież rozmaite nagłe dolegliwości a Fanka zatrzymano za spowodowanie wypadku. Ciekawe jednak, dokąd mnie wiozł i kto to jest. Należałoby go odnaleźć...

Wypucował buty, doprowadził się przed wielkim lustrem do całkowitego porządku, zawiesił automat na szyi i znów popatrzył w lustro. Wtedy Gaj zarządził zbiórkę.

Kapral wszystko skrupulatnie obejrzał, sprawdził znajomość obowiązków i pobiegł zameldować się w kancelarii. Podczas jego nieobecności legionieści opowiedzieli trzy historie z żołnierskiego życia, których

Maksym nie rozumiał, bo nie znał pewnych specyficznych wyrażen; później przyczepili się do Maksyma, żeby opowiedział, gdzie to się takie silne chłopy rodzą, co stało się już tradycyjnym dowcipem w ich drużynie. Potem uprosili go jeszcze, aby zwinął im w palcach kilka monet na pamiątkę. Wreszcie z kancelarii wyszedł rotmistrz Czaczu w asyście Gaja. Rotmistrz również wszystkich dokładnie obejrzał, powiedział do Gaja: "Prowadźcie drużynę, kapralu" - i odszedł. Drużyna ruszyła w kierunku sztabu.

W sztabie rotmistrz rozkazał czynnemu szeregowemu Pandiemu i kandydatowi Symowi udać się za sobą, a Gaj odprowadził pozostałych. Weszli do ogromnego pokoju ze szczelnie zasłoniętymi oknami, przesiąkniętego zapachem tytoniu i wody kolońskiej. W drugim końcu pokoju stał wielki, pusty stół. Wokół stołu miękkie krzesła. Na ścianie wisiał pociemniały obraz, przedstawiający jakąś dawną bitwę: konie, obcisłe mundury, obnażone szable i wiele kłębów białego dymu. O dziesięć kroków od stołu, po prawej stronie drzwi Maksym dostrzegł żelazny taboret z dziurkowanym siedzeniem. Nóżki taboretu były przykręcone do podłogi potężnymi śrubami.

--- Zając stanowiska - zakomenderował rotmistrz, poszedł dalej i usiadł przy stole.

Pandi troskliwie ustawił Maksyma z tyłu po prawej stronie taboretu, sam stanął po lewej i szeptem rozkazał: "Baczność". Zastygli w bezruchu. Rotmistrz siedział z nogą założoną na nogę, palił i obojętnie spoglądał na legionistów. Pozornie nic go nie obchodziło, ale Maksym wyraźnie czuł, że jest nader uważnie obserwowany.

Potem za plecami Pandiego otworzyły się drzwi. Pandi momentalnie zrobił dwa kroki do przodu, krok w prawo i zwrot w lewo. Maksym również chciał się poderwać, ale zorientował się w porę, że nie stoi na drodze i tylko wytrzeszczył oczy.

Rotmistrz podniósł się, gasząc papierosa w popielniczce i lekkim stuknięciem obcasów witając idącego ku stołowi brygadiera, jakiegoś nieznanego człowieka w cywilnym ubraniu i adiutanta brygady z grubą teczką pod pachą. Brygadier siadł za stołem pośrodku. Twarz miał skwaszoną i niezadowoloną. Wsunął palec pod haftowany kołnierz, odciągnął go i pokręcił głową. Cywil, niepozorny, niski człowieczek ze źle ogoloną, żółtą i zwiotczałą twarzą bezszelestnie usadowił się obok niego. Adiutant brygady nie siadając otworzył tekę i zaczął przebierać papiery, niektóre z nich podając brygadierowi.

Pandi postać chwilę jakby w niezdecydowaniu i tymi samymi odmierzonymi ruchami powrócił na dawne miejsce. Przy stole toczyła się niegłośna rozmowa. "Będiesz dzisiaj w stowarzyszeniu, Czaczu?" - pytał brygadier. - "Jestem zajęty" - odpowiedział rotmistrz zapalając nowego papierosa. - "Szkoda, dziś będzie tam dyskusja". "Za późno się obejrżeli. Już się na ten temat wypowiedziałem". "To nie była najlepsza wypowiedź - powiedział z lekkim wyrzutem cywil. - Poza tym zmieniają się okoliczności i zmieniają się poglądy". - "U nas w legione tak nie bywa" - powiedział sucho rotmistrz. - Słowo daję, panowie - powiedział kapryśnym tonem brygadier - warto się jednak spotkać dziś w stowarzyszeniu..." - "Słyszałem, że świeże krewetki przywieźli" - oświadczył adiutant nie przestając grzebać w papierach. - "Pod piwo, co? Rotmistrzu!" - podtrzymał go cywil. - "Nie, panowie - powiedział rotmistrz. - Mam jedno zdanie i już je wypowiedziałem. A co się tyczy piwa..." Dorzucił jeszcze coś niezrozumiałego, całe towarzystwo roześmiało się, a pan rotmistrz Czaczu z zadowoloną miną rozparł się w krzesle. Potem adiutant przestał szperać w papierach, pochylił się ku brygadierowi i coś mu szepnął na ucho. Brygadier przytaknął. Adiutant usiadł i powiedział, zwracając się jakby do żelaznego taboretu:

--- Nole Renadu.

Pandi popchnął drzwi, wychylił się i głośno powtórzył w kierunku korytarza:

--- Nole Renadu.

W korytarzu coś się poruszyło i do pokoju wszedł starszawy, dobrze ubrany, ale wymięty i rozczochrany mężczyzna. Nogi mu się lekko plątały. Pandi ujął go za łokieć i posadził na taborecie. Szczęknęły zamykane drzwi. Mężczyzna głośno zakaszał, oparł się o kolana i dumnie uniósł głowę.

--- Taaak - przeciągnął brygadier przerzucając papiery i nagle szybko zatrajkotał: - Nole Renadu, pięćdziesiąt sześć lat, kamienicznik, radca miejski... Taak... Członek "Klubu Weteranów", legitymacja członkowska numer... (cywil ziewnął zakrywając usta dłonią, wyjął z kieszeni kolorowe pismo, położył je na kolanach i zaczął kartkować). Zatrzymany tu a tu... W czasie rewizji zabezpieczono... Ta-ak... Co pan robił na ulicy Trębaczy w domu numer osiem?

--- Jestem właścicielem tego domu - odpowiedział z godnością Renadu. - Naradzałem się ze swoim zarządcą.

--- Dokumenty sprawdzone? - zwrócił się brygadier do adiutanta.

--- Tak jest. Wszystko w porządku.

--- Taak - powiedział brygadier. - Niech pan powie, panie Renadu, czy zna pan kogoś z aresztowanych?

--- Nie - odpowiedział Renadu energicznie kręcąc głową. - Zresztą, jeden z nich nazywa się Ketszef... Zdaje mi się, że w moim domu mieszka niejaki Ketszef... Ale nie jestem pewien. Może się mylę, a może to nie w tym moim domu. Bo mam jeszcze dwa inne domy. Jeden z nich...

--- Przepraszam - przerwał mu cywil nie podnosząc oczu znad czasopisma. - A o czym rozmawiali w celi pozostali aresztowani, nie zwrócił pan uwagi? --- Eee - przeciągnął Renadu. - Muszę się przyznać... Mamy tam... Eee... Insekty... Więc głównie o nich... Ktoś tam wprawdzie szeptał po kątach, ale szczerze mówiąc zajmowało mnie co innego... Ci ludzie budzą we mnie odrazę, jestem weteranem... Woląłem mieć do czynienia z insektami che, che.

--- Oczywiście - zgodził się brygadier. - No cóż, nie będziemy pana przeproszać, panie Renadu. Oto pańskie dokumenty, jest pan wolny. Dowódca warty! - powiedział podniesionym głosem.

Pandi otworzył drzwi i krzyknął:

--- Dowódca warty do pana brygadiera!

--- O żadnych przeprosinach nie może być mowy - powiedział godnie Renadu. --- Winny jestem wyłącznie ja. Właściwie nawet nie ja, lecz przekłeta dziedziczność... Pozwoli pan? - zapytał wskazując na stół, gdzie leżały dokumenty.

--- Siedzieć! - powiedział półgłosem Pandi.

Wszedł Gaj. Brygadier przekazał mu dokumenty, polecił oddać panu Renadu jego skonfiskowane mienie i pan Renadu został uwolniony.

--- Dawajcie następnego - rozkazał brygadier.

--- Rasze Musai - zwrócił się adiutant do taboretu.

--- Rasze Musai - powtórzył Pandi w otwarte drzwi.

Rasze Musai okazał się chudym, kompletnie wyczerpanym człowieczkiem w postrzępionym szlafroku i jednym pantoflu. Ledwie zdążył usiąść, kiedy brygadier poczerwieniał na twarzy i wrzasnął: "Ukrywasz się, draniu?" - na co Rasze Musai zaczął długo i zawile tłumaczyć, że wcale się nie ukrywa, że ma chorą żonę i troje dzieci, że zalega z komornym, że go już dwa razy zatrzymywano i wypuszczano, że pracuje w fabryce jako stolarz i że nic złego nie zrobił. Maksym spodziewał się, iż jego zaraz też zwolnią, ale brygadier nagle podniósł się i oświadczył, że Rasze Musai, czterdziestodwuletni żonaty, robotnik, dwukrotnie aresztowany, oskarżony o przekroczenie przepisów meldunkowych, zostaje zgodnie z dekretem o zapobieganiu przestępczości skazany na siedem lat ciężkich robót. Po odbyciu kary nie będzie mógł przebywać w centralnych regionach kraju. Rasze Musai około minuty przetrwał wyrok, a potem rozegrała się okropna scena. Nieszczęśliwy stolarz płakał, bełkotliwie błagał o litość, próbował padać na kolana. Nie przestał płakać i krzyczeć jeszcze wtedy, kiedy Pandi wywiekał go już na korytarz. Maksym znów poczuł uważne spojrzenie rotmistrza Czaczu.

--- Kiwi Popszu - powiedział adiutant.

Przez drzwi wepchnięto barczystego chłopaka z twarzą zeszpeconą przez jakąś chorobę skórą. Chłopak okazał się złodziejem mieszkaniowym, recydywistą schwytanym na gorącym uczynku. Zachowywał się na poły bezczelnie, na poły przypochebnie i albo błagał panów oficerów, aby nie skazywali go na okrutną śmierć, albo ni z tego, ni z owego zaczynał nerwowo chichotać i opowiadać dowcipy lub historie ze swego życia rozpoczynające się nieodmiennie od słów: "Wchodzę ci ja do jednego domu..." Nie dał nikomu dojść do głosu. Brygadier parę razy usiłował zadać mu pytanie, a potem odchylił się do tyłu i popatrzył oburzonym wzrokiem na swych sąsiadów. Rotmistrz Czaczu powiedział obojętnym głosem:

--- Kandydat Sym, zatkać mu gębę.

Maksym nie wiedział, jak się zatkać gębę, więc po prostu chwycił Kiwiego Popszu za ramię i parę razy potrząsnął. Kiwi Popszu kłapał zębami, przygryzł sobie język i zamilkł. Wówczas cywil, który już od dłuższej chwili z ciekawością przyglądał się aresztowanemu, powiedział:

--- Tego ja wezmę. Przyda się.

--- Doskonale! - powiedział brygadier i rozkazał odprowadzić Kiwiego Popszu z powrotem do celi. Kiedy go zabrano, adiutant powiedział:

--- Więcej śmieci nie ma. Teraz będzie grupa.

--- Zaczynajcie od razu od kierownika - poradził cywil. - Jak mu tam, Ketszef?

Adiutant zajrzał w papiery i powiedział do taboretu:

--- Gel Ketszef.

Wprowadzono znajomego człowieka w białym kitlu. Był w kajdankach i dlatego trzymał ręce nienaturalnie wyciągnięte przed siebie. Oczy miał zaczerwienione, twarz opuchniętą. Siadł i zaczął patrzeć na obraz wiszący nad głową brygadiera.

--- Nazywa się pan Gel Ketszef? - spytał brygadier.

--- Tak.

--- Dentysta?

--- Były.

--- Co pana łączy z dentystą Gobbim?

--- Kupiłem od niego praktykę.

--- Dlaczego jej pan nie prowadzi?

--- Sprzedałem urządzenie gabinetu.

--- Dlaczego?

--- Warunki mnie zmusiły.

--- Co pana łączy z Ordią Tader?

--- To moja żona - powiedział Ketszef.

--- Dzieci są?

--- Był syn?

--- Gdzie on jest?

--- Nie wiem.

--- Czym się pan zajmował podczas wojny?
--- Walczyłem.
--- Dlaczego zdecydował się pan na działalność antypaństwową?
--- Ponieważ w całej historii nie było wstrętniejszego reżymu - powiedział Ketszef. - Ponieważ kochałem swą żonę i swojego synka. Ponieważ zabiliście moich przyjaciół i zgnoiliście mój naród. Ponieważ zawsze was nienawidziłem. Wystarczy?
--- Wystarczy - powiedział spokojnie brygadier. - Nawet za dużo. Proszę nam powiedzieć, ile panu płacą Chontyjczycy? A może to Pandeia?
Człowiek w białym kitlu roześmiał się. Okropny to był śmiech, w ten sposób mógłby się śmiać nieboszczyk.
--- Proszę skończyć z tą komedią, brygadierze - powiedział. - Komu to potrzebne?
--- Jest pan szefem grupy?
--- Tak. Byłem.
--- Kogo spośród członków organizacji może pan wymienić?
--- Nikogo.
--- Jest pan tego pewien? - spytał nagle cywil. - Bo widzicie, Ketszef - powiedział miękko - jesteście w wyjątkowo ciężkiej sytuacji. Wiemy o waszej grupie wszystko. Znamy nawet niektóre kontakty. Powinniście rozumieć, że te informacje otrzymaliśmy od pewnej osoby i teraz jedynie od was zależy, jak się ta osoba będzie nazywać: Ketszef, czy też jakoś inaczej...
Ketszef milczał z opuszczoną głową.
--- Słuchajcie! - zakrakał rotmistrz Czaczu. - Byliście oficerem liniowym i nie rozumiecie, co wam proponujemy? Nie życie massaraksz! Honor!
Ketszef znowu się roześmiał, zakaszał, ale niczego nie powiedział. Maksym czuł, że ten człowiek niczego się nie boi. Nie boi się ani śmierci, ani hańby, bo uważa się za zhańbionego trupa.
Brygadier popatrzył na cywila. Ten pokręcił głową. Brygadier wzruszył ramionami, podniósł się i ogłosił, że Gel Ketszef, pięćdziesięcioletni dentysta, żonaty, zostaje na podstawie dekretu o ochronie zdrowia społecznego skazany na likwidację. Termin wykonania wyroku: czterdzieści osiem godzin. Wyrok może być zrewidowany, jeżeli skazaniec zgodzi się zeznawać.
Kiedy Ketszefa wyprowadzono, brygadier z niezadowoleniem powiedział do cywila:
--- Nie rozumiem cię. Moim zdaniem on rozmawiał dosyć chętnie. Typowy papla, według twojej własnej terminologii. Zupełnie nie rozumiem...
--- Cywil roześmiał się:
--- Dlatego też, przyjacielu, ty dowodzisz brygadą, a ja... Ja dowodzę u siebie.
--- Wszystko jedno - powiedział obrażonym tonem brygadier. - Kierownik grupy... Lubi pofilozofować... Nie rozumiem...
--- Przyjacielu - powiedział cywil. - Widziałeś kiedyś filozofującego nieboszczyka?
--- Głupstwa pleciesz...
--- No, a jednak?...
--- A może ty widziałeś? - spytał brygadier.
--- Tak, przed chwilą - powiedział cywil dobitnie. - Nie po raz pierwszy zresztą. Jestem żywy, on martwy, o czym mamy ze sobą rozmawiać? Tak to zdaje się brzmieć u Werlibena?
Rotmistrz Czaczu nagle się podniósł, podszedł na pół kroku do Maksyma i syknął mu prosto w twarz:
--- Jak stoisz, kandydacie? Gdzie patrzysz? - Ba-aczność! Nie biegać ślepiami!
Przez kilka chwil głośno dysząc patrzył na Maksyma. Żrenice mu się ze wściekłości zwężyły i rozszerzały. Potem wrócił na miejsce i zapalił.
--- Tak - powiedział adiutant. - Pozostali: Ordia Tader, Memo Gramenu i jeszcze dwie osoby, które odmówiły podania nazwisk.
--- Zaczniemy więc od nich - zaproponował cywil. - Proszę ich wezwać.
--- Numer siedemdziesiąt trzy trzymaście - powiedział adiutant.
Numer siedemdziesiąt trzy trzymaście wszedł i usiadł na taborecie. Był również w kajdankach, chociaż jedną rękę miał sztuczną. To był suchy, żylasty człowiek z chorobliwie grubymi, spuchniętymi od przygryzania wargami.
--- Nazwisko? - zapytał brygadier.
--- Które? - zapytał wesoło jednoręki. Maksym drgnął - był przekonany, że jednoręki będzie milczał.
--- Macie ich wiele? Wymieńcie więc prawdziwe.
--- Moim prawdziwym nazwiskiem jest numer siedemdziesiąt trzy trzymaście.
--- Taak... Coście robili w mieszkaniu Ketszefa?
--- Udawałem trupa. Dla informacji dodam, że potrafię to bardzo dobrze robić. Pokazać?
--- Proszę się nie trudzić - powiedział człowiek w cywilnym ubraniu. Był wściekły. - Ta umiejętność jeszcze się panu przyda.
Jednoręki nagle zaczął się śmiać. Śmiał się głośno i wesoło, jak młodzik. Maksym z przerażeniem zrozumiał, że śmieje się szczerze. Ludzie za stołem w milczeniu, jakby skamienieli, słuchali tego śmiechu.
--- Massaraksz! - powiedział wreszcie jednoręki wycierając łzy ramieniem. - Ale pogróżka! Pan zresztą jest jeszcze młodym człowiekiem. Wszystkie archiwa po przewrocie zostały spalone i nawet nie wiecie, do

jakiego stopnia skarleliście. Likwidacja starych kadr była wielkim błędem. Oni by was nauczyli beznamietności w pełnieniu swoich obowiązków. Zbyt się podniecacie. Zbyt nienawidzicie. A waszą robotę trzeba wykonywać możliwie sucho, urzędowo i za pieniądze. To na przesłuchiwanym wywiera ogromne wrażenie. Nie ma nic potworniejszego niż tortury zadawane nie przez wroga, lecz przez urzędnika. Spójrzcie na moją lewą rękę. Odpilowali mi ją w dobrej przedwojennej defensywie na trzy raty, a każdej "operacji" towarzyszyła obszerna korespondencja. Oprawcy wykonywali ciężką, niewdzięczną pracę. Nudzili się. Piłowali moją rękę i kleli nędzarskie pensje. Byłem tak przerażony, że jedynie najwyższym wysiłkiem woli powstrzymałem się od sypania... A teraz... Przecież widzę, jak mnie nienawidzicie. Wy mnie, a ja was. Cudownie! Ale wy mnie nienawidzicie niepełne dwadzieścia lat, ja zaś was ponad trzydzieści. Pan jeszcze wtedy pieszo pod stół wchodził i ciągnął koty za ogon, młody człowieku.

--- Aaa - powiedział cywil. - Stary wróbel. Przyjaciół robotników. Myślałem, że was już wszystkich wytłukli.

--- Niech się pan nawet nie łudzi - uśmiechnął się jednoręki. - Trzeba się jednak orientować w świecie, w którym się żyje. Potworna ignorancja, nie warto z panem rozmawiać.

--- Moim zdaniem wystarczy - powiedział brygadier zwracając się do cywila.

Cywil coś pospiesznie napisał na gazecie i podsunął brygadierowi. Brygadier bardzo się zdziwił, zabębnił palcami po brodzie i popatrzył z niedowierzaniem na cywila. Cywil uśmiechnął się. Wówczas brygadier wzruszył ramionami, pomyślał chwilę i zwrócił się do rotmistrza:

--- Świadek Czaczu! Jak oskarżony zachowywał się w momencie aresztowania?

--- Leżał martwym bykiem - odpowiedział ponuro rotmistrz.

--- To znaczy nie stawiał oporu. Taak... - Brygadier pomyślał jeszcze chwilę, wstał i ogłosił wyrok. Oskarżony numer siedemdziesiąt trzy trzynaście został skazany na karę śmierci, terminu wykonania wyroku nie określono, do czasu egzekucji podsądny będzie przebywał na katordze. Na twarzy rotmistrza Czaczu pojawił się wyraz pogardliwego zdumienia, a jednoręki, kiedy go wyprowadzono, cichutko śmiał się i kręcił głową, jakby mówił: "No, no, no..."

Następnie wprowadzono podejrzanego numer siedemdziesiąt trzy czternaście. To był ten człowiek, który krzyczał tarzając się po podłodze. Teraz dygotał ze strachu, ale zachowywał się wyzywająco. Już od progu krzyknął, że odpowiadał nie będzie i łaski nie potrzebuje. Rzeczywiście milczał i nie odpowiedział na żadne pytanie. Nawet na pytanie cywila: czy nie skarży się na złe traktowanie? Skończyło się na tym, że brygadier popatrzył na cywila i mruknął pytająco. Cywil skinął głową i powiedział: "Tak. Do mnie". Wyglądał na bardzo zadowolonego.

Później brygadier przerzucił pozostałe dokumenty i powiedział: "Chodźmy coś zjeść, panowie. Nie można przecież..." Sąd wyszedł, a Maksymowi i Pandiemu pozwolono stać na "spocznij". Kiedy rotmistrz również wyszedł, Pandi powiedział:

--- Widziałeś, co za dranie? Gorszi od zmij, słowo daję. Bo o co tu chodzi? Gdyby ich głowa nie bolała, jak byś poznał, że to wyrodki? Strach pomyśleć, co by wtedy było...

Maksym nie odezwał się. Nie chciało mu się mówić. Obraz świata, który jeszcze wczoraj wydawał mu się tak logiczny i klarowny, teraz zmaćcił się i utracił ostre kontury. Pandi zresztą nie potrzebował replik. Zdjął rękawiczki, żeby ich nie zabrudzić, wyciągnął z kieszeni torebkę prażonych orzeszków, poczęstował Maksyma i zaczął opowiadać, jak bardzo nie znosi tego posterunku. Po pierwsze boi się zarazić od wyrodków. Po drugie niektórzy z nich, jak na przykład ten jednoręki, zachowują się tak bezczelnie, że trudno się powstrzymać i nie rąbnąć ich w łeb. Pewnego razu nie wytrzymał i rąbnął. O mało go do kandydata nie zdegradowali. Szczęśliwie rotmistrz go obronił. Wsadził tylko na dwadzieścia dni do paki i dał jeszcze czterdzieści dni koszarniaka...

Maksym gryzł orzeszki, słuchał jednym uchem i milczał. Nienawiść - myślał. - -- Ci nienawidzą tych, a ci tych. Za co?... Najobrzydliwsze państwo... Dlaczego? O co mu chodziło? Zgnoiłi naród... Jak? Co to może znaczyć?... W dodatku ten cywil... Niemożliwe, aby robił aluzję do tortur. To przecież było dawno, w średniowieczu... Zresztą... Faszizm... Tak, nie tylko w średniowieczu... Może to jest państwo faszystowskie? Massaraksz, co to jest faszizm? Agresja, rasizm... Hitler... Tak, tak: teoria rasy panów, masowe mordy, ludobójstwo, podbój świata... Gaj - faszysta? I Rada? Nie, to niemożliwe... Pan rotmistrz? Hm... Warto by teraz dociec, jaki związek zachodzi między chorą głową a skłonnością do opozycji. Dlaczego tylko wyrodki starają się zniszczyć system OPB? I w dodatku nie wszystkie wyrodki?

--- Panie Pandi - powiedział. - Wszyscy Chontyjczycy są wyrodkami? Nie słyszał pan?

Pandi głęboko się zamyślił.

--- Jak by ci to... Rozumiesz... - wydukał wreszcie. - My jesteśmy głównie od spraw wewnętrznych, od wyrodków miejskich i dzikich, tych z południa. A co tam w Chontii albo, powiedzmy, gdzie indziej, tego pewnie w armii uczą. Powinieneś tylko wiedzieć, że Chontyjczycy są najgorszymi wrogami zewnętrznymi naszego państwa. Przed wojną nam podlegali, a teraz mszczą się przewrotnie. A wyrodki - to wrogowie wewnętrzni. Zrozumiałeś?

--- Mniej więcej - odrzekł Maksym i Pandi natychmiast wsolił mu naganę: w legionie tak się nie odpowiada, w legionie mówi się "tak jest" albo "nie". "Mniej więcej" to wyrażenie czysto cywilne, tak kapralowej siostrze możesz odpowiadać, a tu nie wolno, tu jest służba...

Długo by się pewnie jeszcze rozwodził, bo temat był bardzo wdzięczny, bliski jego sercu, słuchacz zaś uważny i pełen szacunku, ale wrócili panowie oficerowie. Pandi przerwał w pół słowa, wyszeptał "baczość!"

i po wykonaniu niezbędnych ewolucji pomiędzy stołem i metalowym taboretem zastygł w bezruchu. Maksym również znieruchomiał.

Panowie oficerowie byli w wyśmienitych humorach. Rotmistrz Czaczu głośno, pobłażliwym tonem opowiadał, jak to w dziewięćdziesiątym szóstym przylepiali surowe ciasto bezpośrednio do rozpalonego pancerza czołgu i palce potem lizali. Brygadier i cywil oponowali. Żołnierska krzepa swoją drogą - mówili - ale kuchnia oficerska powinna być na poziomie i im mniej konserw, tym lepiej. Adiutant przymknął do połowy oczy i zaczął nagle z pamięci cytować jakąś książkę kucharską. Wszyscy zamilkli i dosyć długo słuchali go z jakimś dziwnym rozrzwinięciem na twarzach. Później adiutant zakrztusił się i zakaszłał, a brygadier powiedział z westchnieniem:

--- Taak... Ale trzeba jednak kończyć robotę...

Adiutant ciągle jeszcze kaszłając otworzył teczkę, pogrzebał w papierach i powiedział zdławionym głosem:

--- Ordia Tader.

Weszła kobieta, równie blada i niemal przezroczysta jak wczoraj. Wyglądała, jakby się jeszcze nie ocknęła z omdlenia. Ale kiedy Pandi wyciągnął rękę, żeby ją ująć za łokieć i posadzić, odsunęła się od niego gwałtownie, niczym od gada i Maksymowi wydało się, że zaraz uderzy. Nie uderzyła, miała skute ręce, powiedziała tylko dobitnie: "Nie dotykaj mnie, fagasio!" Wyminęła Pandiego i usiadła na taborecie.

Brygadier zadał jej zwyczajne pytanie. Nie odpowiedziała. Cywil przypomniał jej o dziecku i mężu. Jemu również nie odpowiedziała. Siedziała wyprostowana. Maksym nie widział jej twarzy, widział jedynie napiętą, chudą szyję pod rozsypanymi jasnymi włosami. Potem nieoczekiwanie powiedziała spokojnym, niskim głosem:

--- Jesteście wszyscy ogłupieni. Otumanieni mordercy!... Wszyscy umrzecie. Ty, brygadierze, nie znam cię, widzę cię pierwszy i ostatni raz, umrzesz okropną śmiercią. Niestety nie z mojej ręki. Ale to będzie paskudna śmierć. Ty też bydlaku z tajnej policji. Dwóch takich samych osobiście wykończyłam. Ja bym i ciebie teraz zatłukła, dobrałabym się do ciebie, gdyby nie te fagasy za moimi plecami... - Nabrała oddechu. - Ty też, czarnopyskie mięso armatnie, ty też oprawco, trafisz w nasze ręce. Gel spudłował, ale znam ludzi, którzy nie spudłują.

Nie przerywali i słuchali uważnie. Można było pomyśleć, że gotowi są słuchać jej godzinami. Kobieta nagle wstała i ruszyła ku stolowi, ale Pandi chwycił ją za ramię i rzucił z powrotem na taboret. Wtedy splunęła ze wszystkich sił, ale ślina nie doleciała do stołu, ona zaś nagle skurczyła się i zapłakała. Przez jakiś czas patrzyli, jak ona płacze. Potem brygadier wstał i skazał ją na unicestwienie w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Pandi chwycił skazaną za łokieć i wyrzucił za drzwi. Cywil gwałtownie zatarł ręce, uśmiechnął się i powiedział do brygadiera: "To nam się udało. Kapitalnie rozpracowane". Brygadier odpowiedział mu: "Podziękuj rotmistrzowi". Rotmistrz warknął: "Języki!" - i wszyscy zamilkli.

Później adiutant wezwał Memo Gramenu. Z nim się w ogóle nie cackano. To był ten, który strzelał w korytarzu. Tu wszystko było jasne: opór zbrojny przy aresztowaniu. Nawet pytań mu nie zadawali. Gramenu siedział na taborecie, ciężki, zgarbiony i kiedy brygadier odczytywał wyrok śmierci, obojętnie patrzył w sufit kołysząc w lewej ręce prawą, której wywichnięte palce owinał szmatą. Maksymowi wydało się, że wyczuwa w nim jakiś nienaturalny spokój, zimną obojętność w stosunku do tego, co się wokół niego działo, nie potrafił jednak rozeznaczyć się w swoich odczuciach.

Skazańca jeszcze nie zdążyli wyprowadzić, gdy już adiutant zaczął z ulgą wkładać papiery do teczek, brygadier wdał się w rozmowę z cywilem o kolejności awansów, a rotmistrz Czaczu podszedł do Maksyma i Pandiego i kazał im odejść. W jego przezroczystych oczach Maksym dostrzegł wyraźną drwinę i pogroźkę, ale nie chciało mu się o tym myśleć. Z jakąś abstrakcyjną ciekawością i współczuciem rozmyślał o człowieku, który będzie zabijał kobietę. To było potworne, to było niewyobrażalne, ale ktoś to będzie musiał zrobić w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

Rozdział VIII

Gaj przebrał się w piżamę, powiesił mundur do szafy i obrócił się do Maksyma. Kandydat Sym siedział na łóżku polowym, które mu Rada postawiła w wolnym kącie, jeden but zdjął i trzymał w ręku, a do drugiego jeszcze się nie zabrał. Wzrok miał wbity w ścianę, usta półotwarte. Gaj podkraść się z boku, pstryknął go w nos i jak zwykle chybił, bo w ostatniej chwili Mak zrobił unik głową.

--- O czym tak myślisz? - zapytał figlarnie Gaj. - Żałujesz, że Rady nie ma? Tu ci się, bracie, nie powiodło, ona dziś pracuje na popołudniowej zmianie.

Mak słabo się uśmiechnął i zaczął ściągać drugi but.

--- Dlaczego nie ma? - powiedział nieuważnie. - Mnie nie oszukasz. - Znow znieruchomiał. - Gaj - powiedział - zawsze mi mówiłeś, że oni to robią za pieniądze...

--- Kto? Wyrodki?

--- Tak. Często o tym mówiłeś i mnie, i chłopakom... Płatni agenci Chontii... Porucznik też ciągle to powtarza, codziennie to samo.

--- A jakże inaczej? - powiedział Gaj. Pomyślał, że Makowi znow chodzi o monotonne powtarzanie znanych rzeczy. - Ty jednak jesteś dziwak, Mak. Skąd mamy brać nowe słowa, skoro wszystko pozostaje po staremu? Wyrodki, jak byli wyrodkami, tak wyrodkami zostali. Dostali pieniądze od wroga i nadal dostają. W zeszłym roku na przykład nakryliśmy pewne towarzystwo za miastem. W piwnicy mieli pełne worki pieniędzy. Skąd uczciwy człowiek weźmie takie pieniądze? Przecież to nie byli przemysłowcy ani

bankierzy...

Mak porządnie ustawił buty pod ścianą, wstał i zaczął rozpinąć kombinezon.

--- Gaj - powiedział - czy nie zdarzyło ci się kiedyś, że mówiono ci coś o człowieku, a ty spojrzawsz na niego i poczułeś: to niemożliwe. Pomyłka. Błąd.

--- Zdarzało się - powiedział Gaj z nachmurzoną twarzą. - Ale jeżeli myślisz o wyrodkach...

--- Tak. Właśnie o nich. Patrzyłem dziś na nich i myślałem sobie: ludzie jak ludzie, lepsi i gorsi, odważni i tchórzliwi, ale wcale nie bestie, jak wy wszyscy uważacie... Poczekaj, nie przerywaj. Nie wiem też, czy szkodzą, czy nie szkodzą, to znaczy sądząc ze wszystkiego szkodzą, ale nie wierzę, aby byli przekupieni.

--- Jak to, nie wierzysz?! - spytał Gaj, chmurząc się jeszcze bardziej. - No, powiedzmy, mnie możesz nie wierzyć, bo któż to jestem ja. Ale panu rotmistrzowi? Brygadierowi?

Maksym rzucił kombinezon, podszedł do okna i zaczął wyglądać na ulicę z czołem przyciśniętym do szyby i obiema rękami na ramie.

--- Dlaczego zaraz kłamię - powiedział wreszcie. - A może po prostu się mylą?

--- Mylą się... - powtórzył ze zdumieniem Gaj patrząc na jego nagie plecy. - Kto się myli? Pan brygadier?! - No dobrze - powiedział Mak odwracając się ku niemu. - Przecież nie mówimy teraz o brygadierze.

Rozmawiamy o wyrodkach. Weźmy na przykład ciebie... Umrzesz za swoją sprawę, jeśli zajdzie potrzeba?

--- Umrę --- powiedział Gaj. - Ty też umrzesz.

--- Racja! Umrzemy. Ale zginiemy za sprawę, nie za komiśniak przecież i nie za pieniądze. Dajcie mi nawet tysiąc milionów waszych papierków, to i tak nie zgodzę się dla nich narażać na niebezpieczeństwo, na śmierć!... Czyżbyś ty się zgodził?

Oczywiście, że nie - odpowiedział Gaj. - Ten dziwak Mak zawsze coś takiego wymyśli...

--- No więc?

--- Co?

--- Jak to co?! - powiedział Maksym niecierpliwie. - Ty nie zgodzisz się umierać za pieniądze. A wyrodki się zgadzają? Co za brednie!...

--- Ale to są wyrodki! - powiedział Gaj z przekonaniem. - Dlatego przecież są wyrodkami! Dla nich pieniądze są najważniejsze, dla nich nie ma nic świętego. Potrafią bez zmużenia oka dziecko udusić, zdarzały się takie wypadki... Zrozum, że jeżeli człowiek stara się zniszczyć system OPB, to nie może być człowiekiem! To wyrafinowany morderca!

--- Nie wiem, nie wiem - powiedział Maksym. - Dziś ich sądono. Gdyby zdradzili kamratów, mogli zachować życie, wykpiłby się katorgą. A oni milczeli! To znaczy, że kamraci są dla nich ważniejsi niż pieniądze? Drożsi niż życie?

--- To nie jest takie proste - zaproponował Gaj. - Oni wszyscy w myśl prawa zostają skazani na śmierć. Bez sądu, widziałeś przecież, jak się to odbywa.

Patrzył na Maka i widział, że przyjaciel się waha, jest zdezorientowany. Dobre ma serce, zielony jeszcze, nie rozumie, że z wrogiem trzeba postępować okrutnie. Rąbnąć by pięścią w stół, krzyknąć, żeby się zamknął, nie gadał niepotrzebnie, nie plół, co ślina na język przyniesie, żeby słuchał starszych, zanim się sam we wszystkim nie nauczy rozeznawać. Ale przecież Mak to nie jakiś tępy ciemniak. Trzeba mu tylko porządnie wytłumaczyć, a sam zrozumie.

--- Nie! - powiedział uparcie Mak. - Nie można nienawidzić za pieniądze. A oni nienawidzą... Tak nas nienawidzą, że nie wiedziałem, iż ludzie potrafią tak nienawidzić. Ty ich mniej nienawidzisz niż oni ciebie. Dlatego chciałbym wiedzieć za co?

--- Posłuchaj - powiedział Gaj. - Wytłumaczę ci jeszcze raz. Po pierwsze, to są wyrodki. Oni w ogóle nienawidzą wszystkich normalnych ludzi. Oni z natury są złośliwi. Jak szczury. A w dodatku my im przeszkadzamy! Oni by chcieli zrobić swoją brudną robotę, dostać forszę i żyć jak pączki w maśle. A my im mówimy: nie, panowie, nie da rady! Więc co, może mają nas za to kochać?

--- Jeżeli wszyscy są tacy zawzięci, to dlaczego ten... kamienicznik... nie jest zawzięty? Dlaczego go wypuszczono, jeżeli oni wszyscy są na obcym żołądź?

Gaj roześmiał się.

--- Kamienicznik to tchórz. Takich też jest pod dostatkiem. Nienawidzą nas, ale się boją. Wolą żyć z nami w przyjaźni. A zresztą to jest kamienicznik, bogaty człowiek, jego tak łatwo nie da się przekupić. To coś innego niż ten dentysta... Śmieszny jesteś, Mak, zupełnie jak dziecko! Ludzie nie bywają przecież jednakowi. Wyrodek też jest każdy inny.

--- To już wiem - przerwał mu niecierpliwie Maksym. - Ale weźmy właśnie tego dentystę. Daję głowę, że nikt go nie przekupywał. Nie mogę tego dowieść, ja to czuję. To bardzo odważny i uczciwy człowiek.

--- Wyrodek!

--- Niech ci będzie wyrodek. Ale to bardzo odważny i porządny wyrodek. Widziałem jego bibliotekę. To wykształcony człowiek. On wie tysiąc razy więcej od ciebie i od porucznika. Dlaczego z nami walczy? Jeżeli nasza sprawa jest słuszna, dlaczego ten kulturalny, wykształcony człowiek nie może tego pojąć? Dlaczego u progu śmierci krzyczy nam w twarz, że jest z ludem, a przeciwko nam?

--- Wykształcony wyrodek to wyrodek do kwadratu - powiedział Gaj pouczającym tonem. - Nienawidzi nas jako wyrodek, a wykształcenie pomaga mu tę nienawiść uzasadniać i rozpowszechniać... Wykształcenie, mój drogi, nie zawsze jest zaletą. To tak samo jak z automatem, zależy, w czyje ręce trafi...

--- Wykształcenie jest zawsze zaletą - powiedział Mak z przekonaniem.

--- Nic podobnego. Wolałbym, żeby wszyscy Chontyjczycy byli ciemni. Wówczas moglibyśmy przynajmniej żyć jak ludzie, a nie ciągle czekać na atak atomowy. Szybko byśmy ich uspokoiili.

--- Tak - powiedział Mak dziwnym tonem. - Uspokajac potrafiemy. Okrucieństwa nam nie brak.

--- Znów gadasz jak dziecko. Nie jesteśmy okrutni, to czasy są okrutne. Wolelibyśmy poprzestać na perswazji. Taniej by to wyniosło i obyłoby się bez rozlewu krwi. Ale co mamy robić, jeżeli ich nie można przekonać?

--- To znaczy, że mają swoje przekonania? - przerwał mu Mak. - Wierzą w nie? A jeżeli mądry człowiek w coś wierzy, to co z tym mają wspólnego chontyjskie pieniądze?

Gajowi już się to wszystko znudziło. Chciał uciec się do ostatniego argumentu, zacytować wyjątek z Kodeksu Chorążych i skończyć wreszcie z tym głupim sporem, ale wtedy Maksym machnął ręką i zawołał:

--- Rada! Obudź się! Panowie legioniści zgłodnieli i tęsknią za kobiecym towarzystwem!

Ku niebotycznemu zdumieniu Gaja zza parawanu dobiegł głos Rady:

--- Już od dawna nie śpię. Wrzeszczycie, panowie legioniści, jak u siebie w koszarach.

--- Dlaczego jesteś w domu? - huknął Gaj.

Rada wyszła zza parawanu otulając się szlafrocikiem.

--- Zostałam zwolniona - oświadczyła. - Mama Taj zamknęła swój interes. Dostała spadek i wybiera się na wieś... Nie bój się, Gaj, obiecała polecić mnie w dobre miejsce. Mak, dlaczego wszystko porzuciłeś? Powieś do szafy. Chłopcy, przecież prosiłam, żebyście nie chodzili po pokoju w butach! Gdzie twoje buty, Gaj?... Nakrywajcie do stołu, zaraz będzie obiad. Mak, ale schudłeś. Co oni tam z tobą wyprawiają?

--- Dobra, dobra - powiedział Gaj. - Dawaj obiad.

Pokazała mu język i wyszła. Gaj spojrzał na Maka. Mak patrzył na nią swoim zwykłym, dobrym wzrokiem.

--- Co, ładna dziewczyna? - spytał Gaj i przestraszył się - twarz Maka nagle skamieniała. - Co ci jest?

--- Słuchaj - powiedział Mak. - Wszystko można robić. Nawet torturować pewnie można. Wy wiecie lepiej. Ale rozstrzeliwać kobiety... Męczyć je... - Chwycił swoje buty i wyszedł.

Gaj stęknął, gwałtownie podrapał się obiema rękami po głowie i zaczął nakrywać do stołu. Ta cała rozmowa zostawiła w nim jakiś nieprzyjemny osad. Jakieś rozdwojenie. Jasne, że Mak jeszcze jest zielony i w ogóle nie z tego świata. Ale jak to znowu wszystko sprytnie wywiódł! Logik, nic innego tylko wspaniały logik... Przecież przed chwilą plótł głupstwa, ale jak mu się one logicznie układały. Gaj musiał przyznać, że gdyby nie ta rozmowa, to pewnie by sam nigdy nie doszedł do prostej w gruncie rzeczy myśli: najważniejszą cechą wyrodków jest to, że są wyrodkami. Wystarczyło ich tej cechy pozbawić, aby wszystkie pozostałe oskarżenia pod ich adresem nie były funta kłaków warte. Chodzi o to, że oni są wyrodkami i nienawidzą wszystkiego, co normalne. To wystarczy i można obejść się bez chontyjskiego złota... A więc Chontyjczycy to też wyrodki? Tego nam nie mówili. A jeżeli nie wyrodki, to nasze wyrodki powinny ich nienawidzić tak samo jak nas... A, massaraksz! Do diabła z tą przeklętą logiką! Kiedy Mak wrócił, Gaj rzucił się na niego.

--- Skąd wiedziałeś, że Rada jest w domu?

--- Jak to skąd? Przecież to było jasne...

--- A jeżeli to było jasne, to dlaczego, massaraksz, mnie nie uprzedziłeś? Dlaczego, massaraksz, pytlujesz przy postronnych? Trzydzieści trzy razy massaraksz!

Mak również się rozżłościł.

--- Kto tu jest postronny, massaraksz? Rada? Przecież wy wszyscy, razem ze swoim rotmistrzem, jesteście dla mnie bardziej postronni niż Rada!

--- Massaraksz! Co regulamin mówi o tajemnicy służbowej?

--- Massaraksz i massaraksz! Coś ty się do mnie przyczepił? Nie wiedziałem przecież, że nie wiesz, iż ona jest w domu! Myślałem, że mnie nabierasz! A poza tym o jakich to tajemnicach tu mówiliście?

--- Wszystko, co dotyczy służby...

--- Idźcie do diabła ze swoją służbą, którą trzeba ukrywać przed rodzoną siostrą! W ogóle przed kimkolwiek, massaraksz! Nasypali sekretów w każdym kącie, że nie ma gdzie kroku stąpić i nie można gęby otworzyć!

--- Jeszcze na mnie wrzeszczysz! Ucz tu barana, a on na ciebie z pyskiem!

Ale Mak już się przestał złościć. Nagle błyskawicznie podskoczył do Gaja, który nie zdążył nawet mrugnąć, kiedy silne ręce ścisnęły go wpół, pokój zawirował przed oczami, a sufit gwałtownie się przybliżył. Gaj krzyknął przytłumionym głosem, a Mak, niosąc go ostrożnie na wyciągniętych nad głowę rękach, podszedł do okna i powiedział:

--- No, gdzie cię posłać razem z twoimi tajemnicami? Za okno chcesz?

--- Co za idiotyczne dowcipy, massaraksz?! - ryknął Gaj wymachując gorączkowo rękami w poszukiwaniu jakiegoś oparcia.

--- Nie chcesz za okno? No dobrze, zostań tutaj.

Gaj został przeniesiony pod parawan i rzucony na łóżko Rady. Usiadł, poprawił podwinętą piżamę i burknął: "Diabelne byczysko..." On też się już nie złościł. Nie miał zresztą na kogo, chyba że na wyrodków.

Po chwili przyszła Rada z garnkiem zupy, a za nią wujaszek Kaan ze swą nieodstępną butelką. Wujaszek utrzymywał, że tylko ta butelczyna chroni go przed zaziębieniami i innymi starczymi dolegliwościami. Siedli i zabrali się do zupy. Wujaszek wypił kieliszek, wciągnął nosem powietrze i zaczął opowiadać o swoim wrogu, koledze Szapszu, który znów napisał artykuł o przeznaczeniu takiej to a takiej kości, takiej to a takiej

przedpotopowej jaszczurki. Artykuł opierał się na idiotycznych przesłankach, niczego oprócz bredni nie zawierał i przeznaczony był dla nieuków...

Dla wujaszka Kaana wszyscy byli głupimi nieukami. Koledzy z katedry byli głupcami, pracowitymi debilami lub wałkoniami. Asystentami byli tępacy, którzy powinni paść bydło w górach, a i to w gruncie rzeczy nie wiadomo, czy daliby sobie z tym radę. Co się zaś tyczy studentów, to dzisiejszą młodzież w ogóle jakby ktoś zamienił, a w dodatku na studia idą najgorsze barany, których zapobiegliwy przedsiębiorca nie dopuścił do maszyn, a doświadczony oficer nie chciał zwerbować do wojska. Los nauki o zwierzętach kopalnych jest więc przesądzony. Gaj nie bardzo się tym przejmował, do diabła z kopalnymi zwierzętami, nie czas się teraz nimi zajmować i w ogóle nie wiadomo, do czego i komu może się ta nauka przydać. Ale Rada bardzo kochała wujaszka i zawsze razem z nim utyskiwała na głupotę kolegi Szapszu i martwiła się, że kierownictwo uniwersytetu nie przydziela środków na niezbędne wyprawy...

Dziś zresztą rozmowa potoczyła się o czymś innym. Rada, która, massaraksz, wszystko zza swojego parawanu słyszała, zapytała nagle wujka, czym wyrodki różnią się od zwyczajnych ludzi. Gaj popatrzył groźnie na Maka i poprosił Radę, aby nie psuła apetytu krewnym i znajomym. A jeżeli już ją takie rzeczy interesują, to niech lepiej poczyta sobie odpowiednią literaturę. Wujaszek oświadczył jednak, że te broszurki są pisane dla najgorszych idiotów; że Departament Oświaty Publicznej wyobraża sobie, iż wszyscy są takimi samymi ciemniakami, jak oni sami; że problem wyrodków nie jest taki prosty i płytki, jakim się go usiłuje przedstawić na użytek społeczeństwa; i że w końcu albo będziemy się tu zachowywać jak ludzie kulturalni, albo jak dzielni, lecz - niestety - nie najlepiej wychowani oficerowie w koszarach! Mak zaproponował, aby dla urozmaicenia zachowywać się jak kulturalni ludzie. Wujaszek wypił następny kieliszek i zaczął referować popularną w kręgach naukowych teorię głoszącą, że wyrodki nie są niczym innym, jak tylko nowym rodzajem biologicznym, który pojawił się w wyniku oddziaływania promieniowania radioaktywnego. Wyrodki są niewątpliwie niebezpieczne - mówił wujek unosząc palec do góry. - Ale są znacznie niebezpieczniejsze, niż ci się wydaje, Gaj. Walczą o swoje miejsce na ziemi, walczą o prawo do istnienia. Ta walka nie zależy od żadnych warunków ustrojowych i nie skończy się dopóty, dopóki ze sceny historii biologicznej nie zejdzie ostatni człowiek lub ostatni wyrodek- mutant... Chontyjskie złoto to brednia! - wrzeszczał podochocony profesor. - Dywersje przeciw systemowi OPB to majaczenie! Patrzcie na południe, moi panowie! Patrzcie na południe! Stamtąd płynie prawdziwe niebezpieczeństwo! Stamtąd, gdy się już dostatecznie rozmnożą, ruszą hordy człekokształtnych potworów, żeby nas zdeptać i zetrzeć z powierzchni ziemi! Jesteś ślepcem, Gaj! Twoi dowódcy też są ślepcami! Uratować ludzkość! Uratować cywilizację! Nie tylko jakiś tam pojedynczy naród, nie tylko nasze matki i dzieci, lecz całą ludzkość!

Gaj rozłożył się i powiedział, że los ludzkości mało go wzrusza i w tę akademicką paplaninę nie wierzy. Gdyby mu ktoś wskazał możliwość poszczucia dzikich wyrodków na Chontię z pominięciem naszego kraju, poświęciłby tej sprawie całe swoje życie. Profesor znów się zaperzył i znów zwymyślał go od ślepców. Powiedział, że Płomienni Chorążowie są niewyobrażalnymi bohaterami, skoro muszą prowadzić walkę dysponując tylko takimi żalonymi wykonawcami jak Gaj. Gaj postanowił się z nim nie spierać. Wujaszek nie miał pojęcia o polityce i sam w pewnym sensie był zwierzęciem kopalnym. Mak próbował się wtrącić i zaczął opowiadać o wyrodku, który jeszcze przed wojną walczył z władzami, ale Gaj tę próbę rozgłoszenia tajemnicy służbowej przeciął w zarodku i kazał Radzie podać drugie danie. Makowi natomiast polecił włączyć telewizor. - Za dużo rozmów jak na jeden dzień - powiedział. - Dajcie trochę odetchnąć żołnierzowi na przepustce...

Ale jego wyobraźnia była zbyt pobudzona, w telewizji pokazywali jakieś głupstwa i Gaj nie wytrzymał. Zaczął opowiadać o dzikich wyrodkach. Coś niecoś na ten temat wiedział, dzięki Bogu trzy lata z nimi wojował, a nie dekował się na tyłach, jak niektórzy filozofowie... Rada obraziła się za staruszka i zwymyślała Gaja od chwalipiętów, ale wujaszek razem z Makiem nie wiedzieć czemu stanęli po jego stronie i zaczęli prosić, żeby mówił dalej. Gaj oświadczył jednak, że nie powie więcej ani słowa. Po pierwsze, istotnie się trochę obraził, a po drugie, poszperawszy w pamięci nie mógł znaleźć niczego, co by mogło obalić wymysły starego pijaczyny. Południowe wyrodki były istotnie okropnymi stworzeniami, które nikogo nie oszczędzały. Takie kreatury rzeczywiście mogły przy najbliższej okazji wytrzebić cały rodzaj ludzki. Ale potem go olśniło.

Przypomniał sobie mianowicie, co pewnego razu mówił starszy sto czternastego oddziału skazańców, Zef, i z przyjemnością wyłożył jego teorię wujkowi. Rudy pyskacz Zef mówił, że wyrodki dlatego przejawiają coraz większą aktywność, że na nich samych napiera z południa radioaktywna pustynia i ci biedacy nie mają innego wyjścia, jak tylko próbować przebić się na północ, w okolice wolne od promieniotwórczości.

--- Kto ci to opowiedział? - zapytał wujek z pogardą. - Jakiemu zdeklarowanemu bałwanowi mogła strzelić do łba taka prymitywna myśl?

Gaj popatrzył na niego złośliwie i powiedział z naciskiem:

--- To są poglądy niejakiego Allu Zefa, naszego największego lekarza psychiatry.

--- Gdzieś ty się z nim spotkał? - poinformował się wujek z jeszcze większą pogardą. - Może w twojej kompanijnej latrynie?

Gaj z rozpędu chciał powiedzieć, gdzie się z nim spotkał, ale ugryzł się w język, przybrał tajemniczy wyraz twarzy i z demonstracyjną uwagą zaczął słuchać telewizyjnego spikera podającego prognozę pogody. A wtedy do rozmowy, massaraksz, znowu włączył się Mak.

--- Jestem gotów uznać - oświadczył - te potwory z południa za jakąś nową rasę ludzi, ale co one mają

wspólnego z takim na przykład kamienicznikiem Renadu? Jego również uważa się za wyrodka, ale to najwyraźniej przedstawiciel nie nowego, lecz, powiedzmy sobie otwarcie, bardzo starego gatunku ludzi. - Gaj nigdy o tym nie myślał i bardzo się ucieszył, kiedy z odpowiedzią wyskoczył wujaszek. Zwymyślawszy najpierw Maka od omszałych stołowych nóg, wujek zaczął tłumaczyć, że wyrodki utajone, czyli miejskie, nie są niczym innym jak tylko ocalałymi w walce o życie resztkami nowego gatunku, doszczętnie niemal wytępionego w centralnych rejonach kraju już w kołyskach.

--- Jeszcze pamiętam te okropności: zabijano je zaraz po urodzeniu, niekiedy wraz z matkami. Ocaleli tylko ci, u których nowe cechy gatunkowe nie uzewnętrzniały się.

Wujek Kaan łyknął piątą kieliszek, rozgadał się i rozwinął przed słuchaczami precyzyjny plan badań lekarskich całej ludności. Badań, których i tak przedzej czy później nie da się uniknąć. Lepiej zrobić to zawczasu. Żadnych legalnych wyrodków! Żadnego pobłażania! Chwasty muszą być wyplenione!

Na tym obiad się skończył. Rada zaczęła myć naczynia, wujek nie doczekawszy się sprzeciwów popatrzył na wszystkich zwycięskim wzrokiem, zatkał butelkę i zabrał ją ze sobą, mrużąc, że idzie pisać odpowiedź temu idiotcie Szapszu. Przy tym nie wiedzieć po co wziął ze sobą kieliszek. Gaj popatrzył za nim. Spojrzał na jego wyświechtaną marynareczkę, na stare spodnie, cerowane skarpetki i zdeptane buty i zrobiło mu się żal staruszka. Przeklęta wojna! Dawniej całe to mieszkanie należało do wujka. Miał służbę, żonę, syna, luksusowe meble i sprzęty, dużo pieniędzy. Miał nawet jakąś wiejską posiadłość. Dziś został mu tylko zakurzony gabinet wypełniony książkami, będący jednocześnie sypialnią i wszystkim innym. Została mu zniszczona odzież, samotność i zapomnienie. Tak... Gaj przysunął jedyny fotel do telewizora, wyciągnął się w nim i zaczął sennie patrzeć w ekran. Mak przez chwilę siedział obok, później błyskawicznie i bezszelestnie, jak to tylko on potrafił, zniknął i zmaterializował się w drugim końcu pokoju. Poszperał w niewielkiej biblioteczce Gaja, wybrał jakiś podręcznik i zaczął go na stojąco przeglądać, opierając się ramieniem o szafę. Rada sprzątnęła ze stołu, siadła obok Gaja i zaczęła szydełkować, od czasu do czasu spoglądając na ekran. W domu zapanował błogi spokój. Gaj się zdrzemnął.

Przyśniły mu się jakieś głupstwa. Że niby złapał dwóch wyrodków w dziwnym żelaznym tunelu, zaczął ich przesłuchiwać i nagle stwierdził, iż jednym z nich jest Mak. Drugi wyrodek, uśmiechając się życzliwie do Gaja, powiedział: "Popeliłeś błąd, twoje miejsce jest przy nas, a rotmistrz to po prostu zawodowy morderca wyzuty z patriotyzmu i żołnierskiej wierności, który tak samo lubi zabijać, jak ty lubisz zupę z krewetek..." I nagle Gaj zaczął wątpić, poczuł, że za chwilę zrozumie wszystko do końca, że znajdzie odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania. Ten niezwykle dla niego stan był tak bolesny, że serce mu załomotało i Gaj się obudził.

Mak rozmawiał z Radą, a właściwie paplał o kąpielach w morzu, o piaszczystej plaży, drobnych muszelkach... Nie słuchał go. Nagle przyszła mu do głowy myśl, że, okazuje się, jest zdolny do odczuwania wątpliwości, wahań, niepewności... Ale przecież nawiedziły go one tylko we śnie! Czyżby i na jawie mógł w podobnej sytuacji odczuwać? Przez dłuższą chwilę usiłował odtworzyć sobie sen ze wszystkimi szczegółami, ale sen wymykał mu się jak mokre mydło z mokrych rąk, rozptywał się i w końcu stał się zupełnie nieprawdopodobny. Wówczas Gaj pomyślał z ulgą, że to wszystko brednia, i kiedy Rada widząc, że nie śpi, zapytała, co jego zdaniem, jest lepsze - rzeka czy morze, odparł po żołniersku, jak stary koszarowy wyga: "Najlepsza jest porządna łaźnia".

Nadawano operetkę. Było nudno. Gaj zaproponował napić się piwa. Rada poszła do kuchni i przyniosła z lodówki dwie butelki. Przy piwie rozmawiano o tym i o owym i tak jakoś zgadało się, że Mak w ciągu ostatniej pół godziny opanował podręcznik geopolityki. Rada wpadła w zachwyt, a Gaj nie uwierzył. Powiedział, że w tym czasie można było przekartkować podręcznik, może nawet go przeczytać, ale mechanicznie niczego nie rozumiejąc. Mak zażądał egzaminu, a Gaj podręcznika. Założyli się, że kto przegra, ten pójdzie do wuja Kaana i oświadczy mu, że kolega Szapszu jest mądrym człowiekiem i wspaniałym uczonym. Gaj otworzył podręcznik, znalazł na końcu rozdziału pytania kontrolne i zapytał: "Na czym polega wzniosłość moralna ekspansji naszego państwa na północ?" Mak odpowiedział własnymi słowami, ale zgodnie z tekstem i dorzucił, że jego zdaniem wzniosłość moralna nie ma tu nic do rzeczy, że cały problem polega na agresywności reżymów Chontii i Pandei. Gaj podrapał się obiema rękami w głowę, polizał palec, przerzucił kilka stron i zapytał: "Jaka jest średnia urodzajność zbóż w rejonach północno-zachodnich?" Mak roześmiał się i powiedział, że o tych rejonach brak wszelkich danych. Nie dał się złapać i bardzo ucieszona Rada pokazała Gajowi język. "A jakie jest właściwe ciśnienie demograficzne przy ujściu Błękitnej Żmii?" Mak wymienił liczbę, wymienił odchyłkę i nie omieszkał dodać, że pojęcie ciśnienia demograficznego wydaje mu się nieprecyzyjne. W każdym razie nie rozumie, po co je wprowadzono. Gaj zaczął mu tłumaczyć, że ciśnienie demograficzne stanowi miarę agresywności, ale wtedy wtrąciła się Rada. Powiedziała, że Gaj mydli oczy i chce się wymigać od dalszego egzaminu, bo orientuje się, że jego sprawy źle stoją. Gajowi strasznie się nie chciało iść do wujka Kaana i dla zyskania czasu zaczął się z nią spierać. Mak chwilę ich słuchał, a potem ni z tego, ni z owego oświadczył, że Rada nie powinna w żadnym wypadku wracać do restauracji i że musi się uczyć. Gaj, ucieszony zmianą tematu, wykrzyknął, że on już sto razy mówił jej to samo i nawet proponował postarać się o przyjęcie do Kobięcej Służby Pomocniczej, gdzie z jego siostry zrobią naprawdę pożytecznego człowieka. Ale Mak pokręcił głową, a Rada znów powiedziała, co myśli o KSP.

Gaj machnął na nich ręką, otworzył szafę, wyjął gitarę i zaczął ją stroić. Rada natychmiast poderwała się:

zawsze była gotowa tańczyć. Mak zamilkł, odsunął na bok stół i stanął przed Radą gotów puścić się w tany. Gaj zagrał im i patrzył na tańczących. Dobrana para - myślał - szkoda tylko, że nie ma mieszkania i jeżeli się pobiorą, to będzie musiał przenieść się na stałe do koszar. No cóż, wielu kaprali tam kwateruje. Zresztą na razie nie wygląda na to, żeby Mak miał zamiar się żenić. Traktuje Radę jak dobrego kolegę, tylko bardziej serdecznie i z większym szacunkiem. Za to Rada zadurzyła się, to od razu widać. Jak jej te ślepie błyszczą! No bo i jak się tu w takim chłopaku nie zadurzyć! Maka cały dom lubi, chłopaki w drużynie też go lubią, tylko pan porucznik jakoś dziwnie się do niego odnosi... Ale i on nie zaprzecza, że to chłop na schwał.

Para natańczyła się do upadłego, a potem Mach odebrał Gajowi gitarę, przestroił ją na swój cudaczny sposób i zaczął śpiewać swoje dziwaczne góralskie pieśni. Dziesiątki pieśni i ani jednej znanej. Za każdym razem coś nowego. Najdziwniejsze było to, że choć nie rozumiało się ani jednego słowa, chciało się przy tych pieśniach płakać albo śmiać się bez opamiętania... Niektóre pieśni Rada już zapamiętała i teraz próbowała nucić. Szczególnie podobała się jej śmieszna piosenka (Mak ją kiedyś przetłumaczył) o mechanicznym człowieku zbudowanym specjalnie po to, aby reperował jakieś skomplikowane maszyny. Tymczasem biedaczysko sam się bez przerwy psuł: to noga mu się oderwie, to znów głowa się odkręci i ciągle marzy, że w wolnej chwili zbuduje drugiego mechanicznego człowieka, który jego samego będzie naprawiał... Nie wszystko w tej piosence było zrozumiałe. Na przykład: co to za mechaniczni ludzie? Ale Mak znał o nich mnóstwo piosenek i sądząc z tego oni tam u siebie w górach biedy nie znali. Całą brudną i ciężką robotę wykonywały za nich te mechaniczne stwory. Oczywiście bajka, ale diabli go wiedzą... Coś w tym było... Przy dźwiękach gitary i śpiewie nie usłyszeli dzwonka do drzwi wejściowych. Rozległ się stuk i do pokoju wpadł ordynans pana rotmistrza Czaczu.

--- Panie kapralu! Melduję posłusznie... - huknął ordynans zezując na Radę. Mak przestał grać. Gaj powiedział:

--- Mówcie.

--- Melduję, że pan rotmistrz kazał panu kapralowi i kandydatowi Symowi natychmiast zameldować się w kancelarii kompanii. Samochód czeka na dole.

Gaj poderwał się.

--- Idźcie - rozkazał. - Poczekaście w samochodzie, my zaraz zejdziemy. Ubieraj się, szybko - zwrócił się do Maksyma. Rada wzięła gitarę na ręce jak dziecko i stanęła odwrócona przy oknie.

Gaj i Mak pospiesznie się ubierali.

--- Jak myślisz, po co? - zapytał Mak.

--- Skąd mam wiedzieć? - warknął Gaj. - Może będzie próbny alarm.

--- Nie podoba mi się to - bąknął Mak.

Gaj popatrzył na niego i na wszelki wypadek włączył radio. Nadawano porady dla gospodyń.

Ubrali się, zaciągnęli pasy i Gaj powiedział:

--- Rada, my idziemy.

--- Idźcie - szepnęła Rada nie odwracając się od okna.

--- Chodźmy, Mak - rzucił Gaj naciągając beret.

--- Zadzwońcie - poprosiła Rada. - Jeżeli was zatrzymają, koniecznie zadzwońcie... - Nie odwróciła się jednak.

Ordynans uczynnie otworzył przed Gajem drzwiczki. Wsiedli. Ruszyli. Sprawa musiała być pilna, bo kierowca włączył syrenę i pędził po rezerwowym pasie. Gaj z pewnym żalem pomyślał, że przepadł mu wieczór. Miły wieczór, przytulny, rodzinny, beztroski... Ale takie to już życie legionisty! Możesz zaraz dostać rozkaz, siądziesz w czołg i zaczniesz strzelać. Bezpośrednio po butelce piwa, wygodnej piżamie i piosenkach przy akompaniamencie gitary. Takie już jest życie legionisty, najlepsze ze wszystkich możliwych. Nie dla nas są przyjaciółki i żony i słusznie robi Mak, że nie zamierza żenić się z Radą, chociaż trochę żal siostry... Ale to nic, poczeka, jeśli kocha, to poczeka...

Samochód wpadł na plac apelowy i zahamował przed bramą koszar. Gaj wyskoczył i wbiegł po schodkach. Przed drzwiami kancelarii zatrzymał się, sprawdził położenie beretu i sprzączki, szybko obejrzał Maksyma, zapiął mu guzik przy kołnierzu - massaraksz, zawsze ma ten guzik rozpięty! - i zapukał. --- "Wejść" - zakrakał znajomy głos. Gaj wszedł i zameldował się. Pan rotmistrz Czaczu w sukiennej pelerynie i czapce siedział przy swoim stole. Palił i pił kawę. Stojąca przed nim łuska po pocisku była pełna niedopałków. Obok na stole leżały dwa automaty. Pan rotmistrz uniósł się powoli, ciężko oparł się obiema rękami o stół i patrząc prosto na Maksyma zaczął mówić:

--- Kandydacie Sym! Dowiodłeś, że jesteś nietuzinkowym żołnierzem i prawdziwym towarzyszem broni.

Złożyłem dowódcy brygady raport o przedterminowe awansowanie ciebie do godności czynnego szeregowca Legionu Bojowego. Egzamin bojowy zdałeś pomyślnie. Pozostał ci egzamin ostatni, egzamin krwi.

Gajowi serce podskoczyło z radości. Nie przypuszczał, że to nastąpi tak szybko. Zuch rotmistrz! Co to jednak znaczy stary wojak! A ja, głupi, myślałem, że on pod Makiem dołki kopie! Gaj popatrzył na Maksyma i zrobiło mu się trochę mniej radośnie. Twarz Maka była zupełnie zdrewniała, oczy wytrzeszczone, wszystko zgodnie z regulaminem, ale właśnie teraz można było mniej ściśle trzymać się regulaminowych zaleceń.

--- Wręczam ci rozkaz, kandydacie Sym - ciągnął pan rotmistrz podając Makowi arkusik papieru. - To jest pierwszy pisemny rozkaz adresowany osobiście do ciebie. Mam nadzieję, że nie ostatni. Przeczytaj i

pokwituj.

Mak wziął rozkaz i przebiegł go oczami. Gajowi znowu drgnęło serce, ale już nie z radości. Opanowały go jakieś złe przeczucia. Twarz Maka nadal była nieruchoma i wszystko zdawało się być w porządku, chociaż nie od razu wziął pióro do ręki i podpisał się. Pan rotmistrz obejrzał podpis i włożył kartkę do raportówki.

- Kapralu Gaal - powiedział rotmistrz biorąc ze stołu zapieczętowaną kopertę. - Idź na wartownię i przyprowadź skazanych. Weź automat. Nie, ten z brzegu...

Gaj wziął automat i przewiesił go przez ramię, odebrał kopertę, zrobił w tył zwrot i skierował się ku drzwiom. Usłyszał jeszcze, jak pan rotmistrz powiedział do Maka: "No, no, kandydacie, nie bój się. To tylko za pierwszym razem jest takie straszne..." Gaj pobiegł przez plac apelowy do budynku więzienia, wręczył kopertę dowódcy warty, podpisał się, gdzie trzeba, sam dostał niezbędne pokwitowanie, a potem wyprowadzono mu więźniów. To byli wczorajsi spiskowcy: grube chłopisko, któremu Mak wywichnął palce, i kobieta. Massaraksz, tego tylko brakowało! Kobieta była całkiem zbędna. To nie dla Maka. Wyprowadził aresztowanych na plac i pognał w kierunku koszar. Mężczyzna włókł się noga za nogą i ciągle hołubił swoją rękę. Kobieta szła prosto, jakby kij połknęła. Wydawało się, że niczego nie widzi i nie słyszy. Massaraksz! A właściwie dlaczego nie dla Maka? Co do diabła! Ten babsztyl to takie samo ścierwo jak chłop. Dlaczego mamy ją lepiej traktować? Dlaczego, massaraksz, mamy inaczej traktować kandydata Syma? Niech się przyzwyczajają, massaraksz i massaraksz!

Pan rotmistrz i Mak siedzieli już w samochodzie. Pan rotmistrz za kierownicą, a Mak na tylnym siedzeniu. Otworzył drzwiczki i skazańcy weszli do środka. "Na podłogę!" - zakomenderował Gaj. Posłusznie usiedli na żelaznej podłodze, a Gaj na siedzeniu naprzeciwko Maka. Próbował pochwycić jego wzrok, ale Mak patrzył na skazańców. Nie, patrzył na tę babę, która skuliła się na podłodze i objęła kolana rękami. Pan rotmistrz nie odwracając się zapytała: "Gotowe?" i samochód ruszył.

W drodze nie rozmawiali. Pan rotmistrz pędził z szaloną szybkością, pewnie chciał z tym skończyć przed zmierzchem, a zresztą, po co było zwlekać... Mak wciąż patrzył na kobietę, jakby chciał ją zmusić do spojrzenia na siebie, a Gaj nadal usiłował pochwycić wzrok Maka. Skazańcy trzymając się nawzajem ślizgali się po podłodze, grubas próbował zagadać do baby, ale Gaj krzyknął na niego i ten zamilkł. Samochód wyskoczył za miasto, minął południową roгатkę i od razu skręcił w zaniedbaną gruntową drogę, znajomą, bardzo znajomą dróżkę prowadzącą do Różowych Jaskiń. Podskakiwał wszystkimi czterema kołami naraz, nie było się za co trzymać, a tu jeszcze te półtrupcy ciągle łapały za kolana ratując się przed okropnymi wstrząsami. Gaj w końcu nie wytrzymał i łupnął grubego drania obcasem pod zębra. Nic to zresztą nie pomogło, bo tłuszcioch nadal chwycił go za nogi. Pan rotmistrz skręcił jeszcze raz, gwałtownie zahamował i samochód powoli, ostrożnie zjechał do wykopu. Pan rotmistrz zgasił silnik i zakomenderował: "Wysiadać!" Dochodziła już szóstka po południu. W wykopie zebrała się lekka, przedwieczorna mgiełka. Zwierzazę kamienne ściany połyskiwały różowo. Kiedyś wydobywano tu marmur, ale komu dziś ten marmur jest potrzebny?

--- Wkrótce będzie po wszystkim. Mak nadal zachowywał się wzorowo: żadnego zbędnego ruchu, twarz nieruchomo-obojętna, oczy wpatrzone w dowódcę w oczekiwaniu na rozkaz. Grubas zachowywał się przyzwoicie, z godnością. Z nim chyba nie będzie kłopotu. Za to baba pod koniec się rozkleiła. Gorączkowo zaciskała usta, załamywała ręce, przyciskała je do piersi i znów opuszczała. Gaj pomyślał, że zacznie histeryzować, ale chyba jednak nie będzie trzeba wlec jej na miejsce egzekucji.

Pan rotmistrz zapalił, popatrzył w niebo i powiedział do Maka:

--- Prowadź ich tą ścieżką. Kiedy dojdiesz do jaskiń, sam zobaczysz, gdzie ich trzeba ustawić. Po skończeniu musisz sprawdzić i w razie konieczności dobić kontrolnym wystrzałem. Wiesz, co to jest strzał kontrolny?

--- Tak jest - odpowiedział Mak drewnianym głosem.

--- Łiesz, nie wiesz. To strzał w głowę. Do roboty, kandydacie! Tutaj wrócisz już jako czynny szeregowiec.

Kobieta nagle powiedziała:

--- Jeżeli wśród was jest chociaż jeden człowiek... Zawiadomcie moją matkę... Osiedle Kaczki, numer dwa... To niedaleko... Nazywa się...

--- Nie poniżaj się - powiedział basem grubas.

--- Nazywa się Illia Tader...

--- Nie poniżaj się! - powtórzył grubas podniesionym głosem i pan rotmistrz bez rozmachu pacnął go pięścią w twarz. Grubas zamilkł, chwycił się za policzek i popatrzył z nienawiścią na pana rotmistrza.

--- Do dzieła, kandydacie - powtórzył pan rotmistrz.

Mak obrócił się ku skazańcom i zrobił gest automatem. Skazańcy ruszyli ścieżką. Kobieta odwróciła się i jeszcze raz krzyknęła:

--- Osiedle Kaczki, dom numer dwa, Illia Tader!

Mak z automatem wysuniętym do przodu szedł wolno za nimi.

Pan rotmistrz otworzył drzwi wozu, usiadł bokiem za kierownicą, wyciągnął nogi i powiedział:

--- No tak. Kwadransik poczekamy.

--- Tak jest, panie rotmistrzu - odpowiedział odruchowo Gaj. Patrzył na Maka. Patrzył, dopóki cała grupa nie skryła się za występem różowej skały. - W powrotnej drodze trzeba będzie kupić wódki - pomyślał - niech się upije. Podobno pomaga.

--- Możesz zapalić, kapralu - powiedział pan rotmistrz.
--- Dziękuję bardzo, panie rotmistrzu, ja nie palę.
Pan rotmistrz daleko splunął przez zęby.
--- Nie boisz się zawieść na swoim przyjacielu?
--- Nie, panie rotmistrzu... - powiedział niepewnie Gaj. - Chociaż żałuję, że mu się dostała kobieta. To jest góral, a u nich tam...
--- On jest takim samym góralem, jak ja lub ty - powiedział pan rotmistrz. - Nie chodzi tu wcale o kobiety... Zresztą zobaczymy. Coście robili, kiedy was wezwałem?
--- Śpiewaliśmy, panie rotmistrzu.
--- Co śpiewaliście, jestem ciekaw?
--- Góralskie pieśni, panie rotmistrzu. On zna bardzo dużo piosenek.
Pan rotmistrz wysiadł z samochodu i zaczął przechadzać się po ścieżce. Z Gajem już nie rozmawiał, a po jakichś dziesięciu minutach zagwizdał "Marsz". Gaj ciągle czekał na strzały, ale strzałów nie było, więc zaczął się niepokoić. Sam nie wiedział, co go niepokoi. Makowi nikt nie może uciec, a tym bardziej go rozbroić... Ale czemu wobec tego nie strzela? Może zaprowadził ich dalej, niż to się zazwyczaj robi? Na zwykłym miejscu silnie cuchnie, bo grabarze zbyt płytko zakopują zwłoki, a Mak ma bardzo wyczulony węch. Z samego tylko obrzydzenia gotów jest przejść dodatkowo pięć kilometrów.
--- Nno tak... - powiedział pan rotmistrz zatrzymując się. - To wszystko, kapralu Gaal. Obawiam się, że nie doczekamy się twego kumpla. Boję się też, że dziś ostatni dzień jesteś kapralem.
Gaj popatrzył na niego ze zdumieniem. Pan rotmistrz uśmiechnął się zjadliwie.
--- No, co tak patrzysz? Coś tak ślepia wytrzeszczył, jak wół na malowane wrota? Twój kumpel uciekł, zdezerterował, to tchórz i zdrajca! Rozumiecie, szeregowy Gaal?
Gaj był wstrząśnięty nie tyle słowami pana rotmistrza, ile jego tonem. Pan rotmistrz był zachwycony. Pan rotmistrz triumfował. Pan rotmistrz wyglądał jak ktoś, kto przed chwilą wygrał wielki zakład. Gaj odruchowo spojrział w głąb kamieniołomu i nagle zobaczył Maka. Mak wracał sam, automat zwisał mu na pasie.
--- Massaraksz! - wykrztusił pan rotmistrz. On również zobaczył Maka i sprawiał wrażenie kompletnie osłupiałego.
Nie powiedzieli więcej ani słowa, patrzyli tylko, jak Mak zbliża się do nich bez pośpiechu, lekko stąpając po kamiennym rumowisku, wpatrywali się w jego spokojną, dobrą twarz z dziwnymi oczyma. W głowie Gaja zapanował chaos: strzałów jednak nie było słyhać... Czyżby ich udusił?... Albo zatłukł kolbą?... Kobietę też? Nie, co za brednie... Ale strzałów przecież nie było...
Pięć kroków od nich Mak zatrzymał się i patrząc rotmistrzowi prosto w twarz rzucił mu automat pod nogi.
--- Żegnam, panie rotmistrzu - powiedział. Tych nieszczęśników uwolniłem, a teraz sam chcę odejść. Oddałem waszą broń, oddaję odzież... - Obrócił się do Gaja i rozpinając pas powiedział: - Gaj, to brudna sprawa. Oszukano nas...
Zdjął buty i kombinezon, zwinął wszystko razem i pozostał taki, jakim go Gaj po raz pierwszy zobaczył na południowej granicy: prawie nagi, teraz nawet bez butów, w samych tylko srebrzystych spodenkach. Podszedł do samochodu i położył zawiniątko na masce. Gaj przeraził się. Popatrzył na pana rotmistrza i przeraził się jeszcze bardziej.
--- Panie rotmistrzu! - krzyknął. - Nie trzeba! On zwariował! On znów...
--- Kandydacie Sym! - zakrakał pan rotmistrz trzymając rękę w kaburze. - Natychmiast do samochodu! Jesteś aresztowany!
--- Nie - powiedział Mak. - To się tylko panu wydaje. Jestem wolny. Przyszedłem po Gaja. Chodźmy, Gaj! To wstrętni ludzie. Dawniej to podejrzewałem, teraz jestem pewny. Chodźmy!
Gaj pokręcił głową. Chciał coś powiedzieć, coś wytłumaczyć, ale nie było czasu ani słów. Pan rotmistrz wyciągnął pistolet.
--- Kandydacie Sym! Do samochodu! - zakrakał.
--- Idziesz? - zapytał Mak.
Gaj znowu pokręcił głową. Patrzył na pistolet w rękę pana rotmistrza i myślał tylko o jednym, widział tylko jedno: Mak za chwilę zostanie zabity. Nie miał pojęcia, co powinien zrobić.
--- No dobra - powiedział Mak. - Znajdę cię. Wszystkiego się dowiem i odszukam cię. To nie jest miejsce dla ciebie... Ucałuj Radę, do widzenia...
Odwrócił się i poszedł. Stąpał bosymi nogami po kamiennym tłuczniu równie lekko jak w butach. Gaj trzęsąc się jak w febrze patrzył niemo na jego szerokie, trójkątne plecy, czekał na wystrzał i czarną dziurkę pod lewą łopatką.
--- Kandydacie Sym - powiedział pan rotmistrz nie podnosząc głosu. - Rozkazuję wrócić! Będę strzelał. Mak zatrzymał się i znów odwrócił się ku niemu.
--- Strzelać? - zapytał. - Do mnie? Za co? Zresztą to nie jest ważne. Oddaj pistolet!
Pan rotmistrz trzymając pistolet przy biodrze skierował lufę na Maka.
--- Liczę do trzech - powiedział. - Siadaj do samochodu, kandydacie. Raz!
--- Oddaj zaraz pistolet - powiedział Mak wyciągając ręce i idąc w kierunku pana rotmistrza.
--- Dwa! - powiedział pan rotmistrz.
--- Nie trzeba! - krzyknął Gaj.

Pan rotmistrz wystrzelił. Mak był już blisko. Gaj widział, jak kula trafiła go w ramię i jak zachwiał się, jakby wpadł na niewidzialną przeszkodę.

--- Głupiec - powiedział Mak. - Oddaj broń, wściekły, zezwierzęciały głupcze...

Nie zatrzymał się i ciągle szedł w kierunku pana rotmistrza z ręką wyciągniętą po broń. Z otworu w ramieniu nagle trysnęła krew. Pan rotmistrz, wydał dziwny, skrzekliwy odgłos, cofnął się i bardzo szybko wystrzelił trzy razy z rzędu prosto w szeroką, brązową pierś. Maka odrzuciło do tyłu. Upadł na plecy, zaraz się poderwał, znowu upadł, uniósł się i pan rotmistrz, przykucnąwszy z wysiłku, władował w niego następne trzy pociski. Mak obrócił się na brzuch i znieruchomiał.

Gajowi wszystko zawirowało przed oczami. Opadł na stopień samochodu. W jego uszach ciągle dźwięczał obrzydliwy, klaskający chrzęst, z jakim kule wbijały się w ciało tego dziwnego i kochanego człowieka. Potem trochę oprzytomniał, ale jeszcze jakiś czas siedział bojąc się stanąć na nogi.

Brązowe ciało Maka leżało wśród białoróżowych kamieni i było nieruchome jak kamień. Pan rotmistrz stał na dawnym miejscu, trzymał pistolet w pogotowiu i chciwie zaciągał się dymem. Na Gaja nie patrzył. Potem dopalił papierosa do samego końca, parząc sobie wargi, odrzucił niedopałek i zrobił dwa kroki w kierunku zabitego. Ale już drugi krok był bardzo krótki. Pan rotmistrz Czaczu nie odważył się podejść blisko do ciała. Oddał kontrolny wystrzał z dziesięciu metrów. Chybił. Gaj widział, jak kamienny pył rozbryznął się tuż obok głowy Maka.

--- Massaraksz! - wysyczał pan rotmistrz i zaczął wkładać pistolet do kabury. Wkładał go bardzo długo, a potem w żaden sposób nie mógł zapiąć klapy. Wreszcie uporał się z tym, podszedł do Gaja, chwycił go okaleczoną ręką za mundur na piersi, szarpnięciem poderwał na nogi i głośno dysząc mu prosto w twarz wymamrotał, rozciągając słowa jak pijany:

--- No dobra, pozostaniesz kapralem. Ale w legionie nie masz czego szukać. Napiszesz raport o przeniesieniu do armii. A teraz włącz do samochodu.

Część trzecia

TERRORYSTA

Rozdział IX

Przewodnik powiedział półgłosem: "Czekaj tutaj" - odszedł i zniknął pomiędzy drzewami. Maksym siadł na pieńku pośrodku polany, wsunął ręce głęboko w kieszenie brezentowych spodni i zaczął czekać. Las był stary, zaniedbany, gęste podszycie dławiło go, odwieczne, pomarszczone pnie cuchnęły spróchniałą zgnilizną. Było wilgotno. Maksym miał dreszcze, czuł się źle i ciągnęło go na słońce, żeby pogrzać ramię. W krzakach niedaleko ktoś był, ale Maksym nie zwracał na to uwagi. Śledzono go od samego osiedla, a on nic nie miał przeciwko temu. Byłoby dziwne, gdyby mu od razu uwierzyli.

Z boku na polanę wyszła małutka dziewczynka w zbyt dużej, połatannej bluzce i koszyczkiem w ręku. Zagapiła się na Maksyma i nie spuszczając z niego zaciekawionych oczu przeszła obok, potykając się i zaplątując w trawie. Jakies zwierzątko podobne do wiewiórki mignęło między krzewami, wbiegło na drzewo, spojrzało w dół, przestraszyło się i znikło. Było cicho, tylko gdzieś w oddali nierównomiernie klekotała maszyna kosząca trzcinę na jeziorze.

Człowiek z krzaków nie odchodził i wpijał się w plecy niedobrym wzrokiem. To było nieprzyjemne, ale trzeba się było przyzwyczajać. Teraz już zawsze tak będzie. Jego "zaludniona wyspa" sprysięgła się przeciwko niemu, strzelała doń, śledziła go i nie wierzyła mu. Maksym zdrzemnął się. Ostatnio często mu się zdarzało zasypiać w najbardziej nieodpowiedniej chwili. Zasypiał, budził się i znów zasypiał. Nie próbował z tym walczyć: tak chciał organizm, a on wie lepiej. To minie, tylko nie należy się bronić.

Zaszeleściły kroki i przewodnik powiedział: "Proszę iść za mną". Maksym wstał nie wyjmując rąk z kieszeni i poszedł za nim, patrząc na jego nogi w miękkich, wilgotnych butach. Zagłębili się w las i zaczęli zataczać koła i skomplikowane pętle. Stopniowo zbliżali się do jakiegoś ludzkiego siedliska, do którego na przełaj od polanki było całkiem niedaleko. Wreszcie przewodnik uznał, że już dostatecznie Maksyma zdezorientował, i ruszył prosto przez wiatrołomy, przy czym jako nienawykły do lasu hałasował tak głośno, że Maksym przestał słyszeć kroki człowieka skradającego się za nimi.

Kiedy wiatrołom się skończył Maksym zobaczył poza drzewami małą łączkę i powykrzywiany drewniany dom z zabitymi oknami. Łączka była porośnięta wysoką trawą, ale Maksym widział, że chodzili po niej ludzie, dawno i całkiem niedawno. Chodzili ostrożnie, starając się podejść do domu za każdym razem inną drogą. Przewodnik otworzył skrzypiące drzwi i weszli do ciemnej, zatęchłej sieni. Człowiek idący za nimi pozostał na zewnątrz. Przewodnik odsunął pokrywę piwnicy i powiedział: "Tędy, ostrożnie..." Żle widział w ciemności. Maksym zszedł po drewnianej drabinie. W piwnicy było ciepło i sucho. Ludzie, którzy siedzieli wokół drewnianego stołu, śmiesznie wytrzeszczali oczy, starając się dojrzeć Maksyma. Pachniało świeżo zgaszoną świecą. Najwidoczniej nie chcieli, żeby Maksym zobaczył ich twarze. Maksym rozpoznał tylko dwie osoby: Ordję, córkę starej Illi Tader, i grubego Memo Gramenu siedzącego tuż przy drabinie z karabinem maszynowym na kolanach. Na górze ciężko opadła pokrywa wjazdu i ktoś zapytał:

--- Kim pan jest? Proszę opowiedzieć o sobie.

--- Można usiąść? - zapytał Maksym.

--- Tak, oczywiście. Proszę tutaj, na mój głos. Trafi pan na ławkę.

Maksym usiadł przy stole i powiódł oczami po sąsiadach. Przy stole siedziały cztery osoby. Ich twarze w ciemności wydawały się szare i płaskie jak na starych fotografiach. Po prawej siedziała Ordja, mówił zaś

krępy, barczysty człowiek siedzący naprzeciwko. Był nieprzyjemnie podobny do rotmistrza Czaczu.

--- Proszę opowiadać - powtórzył.

Maksym westchnął. Bardzo mu się nie chciało zaczynać znajomości od kłamstwa, ale nie miał innego wyjścia.

--- Nie pamiętam swojej przeszłości - powiedział. - Mówią, że jestem góralem. Możliwe, nie wiem... Nazywam się Maksym Kammerer. W legionie nazywano mnie Mak Sym. Pamiętam się od chwili, gdy mnie zatrzymano na południowej granicy...

Kłamstwa były już poza nim i dalej poszło łatwiej. Opowiadał starając się mówić krótko, a jednocześnie nie pominąć szczegółów, które wydawały mu się ważne.

--- ...Odprowadziłem ich jak najdalej w głąb kamieniołomu, kazałem im uciekać, a sam powoli wróciłem. Wtedy rotmistrz mnie rozstrzelał. Nocą się ocknąłem, wydostałem z kamieniołomu i wkrótce natknąłem się na pastwisko. W ciągu dnia ukrywałem się w zaroślach i spałem, a nocami podkradałem się do krów i piłem mleko. Po kilku dniach poczułem się lepiej. Zabrałem pasterzom jakieś łachmany, dotarłem do Osiedla Kaczki i znalazłem tam Illię Tader. Dalej już wiecie.

Przez jakiś czas wszyscy milczeli. Później człowiek o wyglądzie wieśniaka i z włosami do ramion powiedział:

--- Nie rozumiem, jak on może nie pamiętać swojego życia. Moim zdaniem tak nie było. Niech Doktor powie.

--- Bywa - powiedział krótko Doktor. Doktor był chudy, zagłodzony i obracał w rękach fajkę. Najwidoczniej bardzo mu się chciało palić.

--- Dlaczego pan nie uciekł razem ze skazańcami? - zapytał barczysty.

--- Tam został Gaj - powiedział Maksym. - Miałem nadzieję, że Gaj pójdzie ze mną... - Zamilkł, bo przypomniał sobie bladą, zagubioną twarz Gaja i straszne oczy rotmistrza. Przypomniał sobie gorące uderzenia w pierś i w brzuch, uczucie bezsilności i krzywdy. - To była oczywiście głupota - powiedział po chwili. - Ale wtedy tego nie rozumiałem.

--- Brał pan udział w akcjach? - zapytał z tyłu grubas Memo.

--- Już o tym mówiłem.

--- Proszę powtórzyć!

--- Brałem udział w jednej akcji. Wtedy schwytano Ketszefa, Ordię i jeszcze dwóch mężczyzn, którzy nie podali nazwisk. Jeden z nich miał sztuczną rękę.

--- Jak pan wytłumaczy taki pośpiech swojego rotmistrza? Przecież zanim kandydat dostąpi próby krwi, musi najpierw wziąć udział w co najmniej trzech akcjach.

--- Nie wiem. Wiem tylko, że mi nie dowierzał. Sam nie rozumiem, dlaczego kazał mi rozstrzeliwać.

--- A dlaczego on właściwie strzelał do pana?

--- Sądzę, że się zląkł, chciałem mu odebrać pistolet.

--- Nie rozumiem i ja - powiedział długowłosy. - A to nie dowierzał, to znów posłał rozstrzeliwać...

--- Poczekaj, Leśniku - powiedział Memo. - To są tylko słowa. Doktorze, na pańskim miejscu ja bym go zbadał. Nie bardzo mi się chce wierzyć w tę historię z rotmistrzem.

--- Nie potrafię badać w ciemności! - powiedział Doktor rozdrażnionym tonem.

--- Proszę więc zapalić światło - poradził Maksym. - Ja i tak was widzę.

Nastąpiła cisza.

--- Jak to, widzi pan? - zapytał barczysty.

Maksym wzruszył ramionami.

--- Widzę - powiedział.

--- Co za brednie! - powiedział Memo. - No więc, co ja teraz robię, jeżeli pan widzi?

Maksym odwrócił się.

--- Wycelował pan we mnie... To znaczy panu wydaje się, że we mnie, a w rzeczywistości w Doktora ręczny karabin maszynowy. Pan jest Memo Gramenu, ja pana znam. Na prawym policzku ma pan zadrapanie, którego dawniej nie było.

--- Noktologia - burknął Doktor. - Zapalmy światło. Głupio. On nas widzi, a my jego nie. - Namacał przed sobą zapalki i zaczął pocierać jedną za drugą. Zapalki ciągle się łamały.

--- Tak - powiedział Memo. - Oczywiście, że głupio. On wyjdzie stąd jako nasz albo wcale nie wyjdzie.

--- Przepraszam... - Maksym wyciągnął rękę, odebrał Doktorowi zapalki i zapalił świecę.

Wszyscy zmrużyli oczy i zakryli twarze rękami. Doktor natychmiast zapalił.

--- Proszę się rozebrać - powiedział poskwierkując fajką.

Maksym ściągnął przez głowę brezentową bluzę. Wszyscy wlepili oczy w jego pierś. Doktor wygramolił się zza stołu i zaczął go obracać na wszystkie strony i obmacywać silnymi, zimnymi palcami. Było cicho. Później długowłosy powiedział z jakimś zalem w głosie:

--- Piękny chłopak. Mój syn też... był...

Nikt mu nie odpowiedział. Wieśniak uniósł się ciężko, poszperał w kąciku, a potem z trudem uniósł i postawił na stole wielki pleciony gąsior. Po chwili wydobył trzy kubki.

--- Można będzie po kolei - wyjaśnił. - Jeżeli ktoś jest głodny, to znajdzie się ser. I cebula.

--- Poczekaj, Leśniku - powiedział z niezadowolaniem barczysty. - Odsuń gąsior, bo niczego nie widzę... - No i co pan powie, Doktorze?

Doktor jeszcze raz przebiegł po Maksymie zimnymi palcami, otoczył się dymem i usiadł na swoim miejscu.

--- Nalej mi, Leśniku - powiedział. - Takie historie należy oblewać. Proszę się ubrać i nie uśmiechać się jak niewinna dziewczyna. Mam kilka pytań.
Maksym ubrał się. Doktor upił trochę z kubka, skrzywił się i zapytał:
--- Kiedy to, mówił pan, do pana strzelali?
--- Czterdzieści siedem dni temu.
--- Z czego to, mówił pan, do pana strzelali?
--- Z pistoletu. Z wojskowego pistoletu.
Doktor znów się napił, znowu się skrzywił i powiedział zwracając się do barczystego:
--- Dałbym sobie głowę uciąć, że do tego mołojca rzeczywiście strzelano z wojskowego pistoletu, i to w dodatku z bardzo małej odległości... Ale nie czterdzieści siedem dni temu, lecz co najmniej sto czterdzieści siedem... Gdzie pociski? - spytał nagle Maksyma.
--- Wyszły na zewnątrz i wyrzuciłem je.
--- Słuchaj, jak ci tam... Mak! Kłamiesz. Przyznaj się, jak ci to zrobili?
Maksym przygryzł wargę i chwilę milczał.
--- Mówię prawdę. Pan po prostu nie wie, jak nam szybko goją się rany. Nie kłamie. - Zamilkł. - Zresztą może mnie pan łatwo sprawdzić. Proszę rozciąć mi rękę. Jeżeli rana nie będzie zbyt głęboka, zabliznię ją w ciągu dziesięciu, piętnastu minut.
--- To prawda - powiedziała Ordia, która do tej pory milczała. - Sama to widziałam. Obierał ziemniaki i skaleczył się w palec. Pół godziny później została tylko biała szrama, a na drugi dzień i po niej nie było śladu. Myślę, że on rzeczywiście jest góralem. Gel opowiadał mi o starej góralskiej medycynie, mówił, że górale potrafią zamawiać rany...
--- Och, góralska medycyna... - burknął Doktor i znów otoczył się kłębamii dymu. - No cóż, przypuśćmy. Wprawdzie skaleczenie palca i siedem kul z bezpośredniej odległości to dwie zupełnie różne rzeczy, ale przypuśćmy... To, że rany zablizniły się tak szybko, specjalnie mnie nie dziwi. Chciałbym natomiast, aby wytłumaczono mi co innego. Młody człowiek jest przedziurawiony w siedmiu miejscach. Jeżeli te dziury były rzeczywiście przewiercone prawdziwymi kulami pistoletowymi, to przynajmniej cztery z nich - i to każda z osobna! - były śmiertelne.
Leśnik głośno westchnął i złożył ręce jak do modlitwy.
--- Jak to, do diabła?! - powiedział barczysty.
--- Możecie mi wierzyć - powiedział Doktor. - Kula w sercu, kula w kręgosłupie i dwie kule w wątrobie. Do tego wszystkiego dochodzi silna utrata krwi i nieuniknione zakażenie. A ja tu w dodatku nie widzę żadnych śladów fachowej interwencji lekarskiej. Massaraksz, wystarczyłaby sama kula w serce!
--- Co pan powie na to? - zapytał barczysty Maksyma.
--- On się myli - powiedział Maksym. - To znaczy wszystko dokładnie rozpoznał, ale wyciągnął fałszywe wnioski. Dla nas te rany nie są śmiertelne. Co innego, gdyby rotmistrz trafił mnie w głowę... Ale nie trafił... Wie pan, Doktorze, wy sobie nawet nie wyobrażacie, jak żywotnym narządem jest serce lub wątroba...
--- N-tak - powiedział Doktor.
--- Jedno jest dla mnie jasne - odezwał się barczysty. - Wątpię, aby podrzucali nam taką toporną robotę. Wiedzą przecież, że wśród nas są lekarze.
Nastąpiło długie milczenie. Maksym cierpliwie czekał. A czy ja bym uwierzył? - -- myślał. - Pewnie bym uwierzył. Ale zdaje mi się, że ja w ogóle jestem zbyt łatwowierny jak na tutejsze warunki. Chociaż już nie tak łatwowierny jak dawniej. Na przykład nie podoba mi się Memo, który ciągle się czegoś boi. Siedzi pomiędzy swoimi z karabinem maszynowym w rękach i czegoś się boi. Dziwne... Zresztą pewnie boi się mnie. Obawia się prawdopodobnie, że zabiorę mu tę pukawkę i znów wykręcę palce. No cóż, może ma rację... Więcej nie pozwolę w sobie strzelać. To zbyt wstrętne uczucie, kiedy ktoś w ciebie strzela. Przypomniał sobie lodowatą noc w kamieniołomie, martwe, fosforyzujące niebo i zimną, lepka kałużę, w której leżał. - Nie mam tego dosyć... Teraz raczej ja będę strzelał.
--- Ja mu wierzę - powiedziała nagle Ordia. - Jego gadanina nie trzyma się kupy, ale to po prostu dlatego, że on jest dziwnym człowiekiem. Nie byłoby sensu wymyślać takiej idiotycznej legendy. Gdybym mu nie wierzyła, zastrzeliłabym go natychmiast po wysłuchaniu takiej historii. Przecież on plecie rzeczy jedne nieprawdopodobniejsze od drugich. Nie ma takich prowokatorów, towarzysze. Może to wariat. Możliwe. Ale nie prowokator... Głosuję za nim - dorzuciła po chwili.
--- Dobrze, Kotko - powiedział barczysty. - Wstrzymaj się trochę... Przechodził pan badania w Departamencie Zdrowia Społecznego? - zapytał Maksyma.
--- Tak.
--- Uznano pana za zdolnego do służby?
--- Oczywiście.
--- Bez ograniczeń?
--- Na zaświadczeniu napisano po prostu "zdolny".
--- Co pan myśli o Legionie Bojowym?
--- Teraz myślę, że jest to ślepe narzędzie w czyichś rękach. Najprawdopodobniej w rękach sławetnych Płomiennych Chorążych. Ale wielu rzeczy jeszcze nie rozumiem.
--- A co pan myśli o Płomiennych Chorążych?

--- Myślę, że to są hersztowie dyktatury wojskowej. To, co o nich wiem, jest nader sprzeczne. Ale bez względu na ich cele muszę powiedzieć, że środki, którymi się posługują... - Maksym pokręcił głową.

--- Co pan myśli o wyrodkach?

--- Sądzę, że to niezbyt udany termin. Myślę, że to spiskowcy. O waszych celach mam bardzo mętne pojęcie. Ale podobali mi się ludzie, których sam widziałem. Wszyscy wydali mi się uczciwi i jak by to wyrazić... nie ogłupieni, postępujący samodzielnie.

--- Tak - powiedział barczysty. - Pan miewa bóle?

--- Głowy? Nie, nigdy.

--- Po co o to pytać? - wtrącił Leśnik. - Gdyby miewał, nie siedziałby tu.

--- Chcę się właśnie dowiedzieć, dlaczego tu siedzi - powiedział barczysty. - Dlaczego pan przyszedł do nas? Chce pan brać udział w naszej walce?

Maksym pokręcił głową.

--- Nie powiedziałbym tego, bo to byłaby nieprawda. Chcę się zorientować. Obecnie jestem raczej z wami niż z nimi... Ale wiem o was jeszcze zbyt mało.

Wszyscy wymienili spojrzenia.

--- U nas się tak nie robi, mój drogi - powiedział Leśnik. - U nas jest tak: albo jesteś nasz i wtedy bierz broń i idź walczyć. Albo ty, znaczy się, nie jesteś nasz i wtedy za przeproszeniem my cię... Sam rozumiesz... Gdzie cię trzeba, w głowę, co?...

Znów wszyscy zamilkli. Doktor ciężko westchnął i wytrząsnął fajkę, postukując nią o ławkę.

--- Rzadki i ciężki przypadek - oświadczył. - Mam propozycję. Niech on nas popyta. Masz pytania, prawda, Mak?

--- On ma wiele pytań - potwierdziła Ordia z uśmiechem. - Matkę zupełnie zameczył pytaniami. Mnie też zanudził.

--- Proszę pytać - powiedział barczysty. - Pan, Doktorze, będzie odpowiadał, a my posłuchamy.

--- Kim są Płomienni Chorążowie i czego chcą? - zaczął Maksym.

Wszyscy się poruszyli. Najwidoczniej takiego pytania się nie spodziewali.

--- Płomienni Chorążowie - powiedział Doktor - to anonimowa grupa najbardziej doświadczonych intrygantów, resztki partii przewrotu ocalałe w trakcie dwudziestoletniej wojny pomiędzy wojskowymi, finansistami i politykami. Mają dwa cele: jeden główny i jeden podstawowy. Celem głównym jest utrzymanie się przy władzy, podstawowym - wyciśnięcie z tej władzy maksimum korzyści i satysfakcji. Są wśród nich nieźli nawet ludzie, którzy czerpią zadowolenie ze świadomości tego, że są dobroczyńcami narodu. Ale większość z nich to kanciarze, sybaryci i sadyści. Wszyscy zaś bez wyjątku są żądni władzy... Zadowolilem pana?

--- Nie - odrzekł Maksym. - Pan mi po prostu powiedział, że są tyranami. Sam się tego domyśliłem. Interesuje mnie natomiast ich program gospodarczy, ideologia i siły, na jakich się opierają.

Wszyscy znów na siebie popatrzyli. Leśnik z otwartymi ustami gapił się na Maksyma.

--- Program gospodarczy... - powiedział Doktor. - Zbyt wiele pan od nas wymaga. Nie jesteśmy teoretykami. Jesteśmy praktykami... Na czym się opierają... Na bagnietach. Na ciemnocie. Na zmęczeniu narodu. Sprawiedliwego ustroju nie zbudują, ba, nawet im to nie w głowie... Nie mają żadnego programu gospodarczego. Niczego nie mają oprócz bagnietów i nie pragną niczego oprócz władzy. Dla nas najważniejsze jest to, że chcą nas unicestwić. Prawdę mówiąc, walczymy o własne życie... - zaczął ze złością nabijać swoją fajkę.

--- Nie chciałem nikogo obrazić - powiedział Maksym. - Ja po prostu chcę się zorientować. Tyrania, żądza władzy... To jeszcze niewiele znaczy. - Z przyjemnością wyłożyłby Doktorowi podstawy teorii następstw historycznych, ale brakowało mu słów. Zresztą i tak zdarzało mu się czasami przechodzić na lincos. - No dobrze. Ale powiedział pan: sprawiedliwy ustrój. Co pan przez to określenie rozumie? Czego pan pragnie? Do czego wy wszyscy, oprócz zachowania życia, dążycie? Kim, wreszcie, jesteście?

Fajka Doktora szeleściła, potrzaskiwała i rozsiewała fetor na całą piwnicę.

--- Pozwólcie mi - powiedział nagle Leśnik. - Niech ja mu powiem... Niech ja... Ty, mój drogi, coś nie... Nie wiem, jak tam u was w górach, ale u nas ludzie lubią żyć. Co znaczy: oprócz zachowania życia? A mnie, może być, prócz tego więcej nie trzeba! Myślisz, że to jest mało? Patrzcie go, jaki się to odważny znalazł! Pomieszkał przedtem, bracie, w piwnicy, kiedy masz dom, żonę, rodzinę, dzieci i wszyscy się ciebie wyrzekli... Daj lepiej spokój!

--- Poczekaj, Leśniku - powiedział barczysty.

--- Nie, to niech on poczeka! Sprawiedliwy ustrój, bazy tam rozmaite... Patrzcie go, czego to mu się zachciewa!

--- Poczekaj, wuju - powiedział Doktor. - Nie złość się... Widzisz, że c z ł o w i e k niczego nie rozumie. Wie pan - zwrócił się do Maksyma - nasz ruch jest bardzo niejednorodny. Jakiegoś wspólnego programu politycznego nie mamy i mieć nie możemy; zabijamy, ponieważ nas zabijają. To trzeba pojąć. Pan to rozumie. Wszyscy jesteśmy uciekinierami spod szubienicy z niewielkimi szansami na przeżycie. Nic więc dziwnego, że całą politykę przesłania nam w gruncie rzeczy biologia. Najważniejszą rzeczą jest przeżyć. W takiej sytuacji nie myśli się o podstawach ustrojowych. Jeżeli więc przyszedł pan do nas z jakimś programem społecznym, to niczego pan nie osiągnie.

--- Dlaczego? O co tu chodzi? - zapytał Maksym.

--- Uważają nas za wyrodków. Trudno już dziś dociec, od czego się to zaczęło. Ale dziś Płomiennym jest wygodnie szczuć na nas, bo to odwraca uwagę narodu od problemów wewnętrznych, od korupcji finansistów, zbijających ogromne fortuny na zamówieniach wojskowych i na budowie wież.

--- To już jest coś - powiedział Maksym. - To znaczy, że chodzi o pieniądze. Chorążowie służą więc pieniądзом. Kto jeszcze za nimi stoi?

--- Chorążowie nikomu nie służą. Oni sami są pieniędzmi. Oni są wszystkim i niczym, gdyż są anonimowi i nieustannie żrą się między sobą... On powinien porozmawiać z Dzikim - zwrócił się do barczystego. - Znaleźliby wspólny język.

--- Dobrze, o Chorążych porozmawiam z Dzikim. A teraz...

--- Z Dzikim pan już nie porozmawia - powiedział Memo ze wściekłością. - Dzika rozstrzelali.

--- To jednoręki - wyjaśniła Ordia. - Zresztą pan pewnie wie...

--- Wiem - odparł Maksym. - Ale jego nie rozstrzelali. Skazali na katorgę.

--- Niemożliwe - powiedział barczysty. - Dzika? Na katorgę?

--- Tak - odpowiedział Maksym. - Gela Ketszefa na stracenie, Dzika na katorgę, a jeszcze jednego, który nie chciał podać swego nazwiska, zabrał do siebie cywil. Chyba do kontrwywiadu.

Znowu wszyscy zamilkli. Doktor napił się z kubka. Barczysty siedział z głową opartą na rękach. Leśnik, boleściwie posapując, patrzył ze współczuciem na Ordie. Ordia zacisnęła wargi i wlepiła oczy w stół.

Maksym pożałował, że poruszył ten temat. To było prawdziwe nieszczęście i jedynie Memo nie tyle smucił się, ile się bał. Takim ludziom nie wolno powierzać karabinu maszynowego - pomyślał przelotnie Maksym. - On nas tu wszystkich wystrzela.

--- No dobrze - powiedział barczysty. - Ma pan jeszcze do nas pytania?

--- Mam wiele pytań - powiedział wolno Maksym. - Ale obawiam się, że wszystkie będą w mniejszym lub większym stopniu nietaktowne.

--- No cóż, niech będą nietaktowne.

--- Dobrze. Ostatnie pytanie. Co z tym mają wspólnego wieże OPB? Dlaczego one wam przeszkadzają? Wszyscy nieprzyjemnie się roześmiali.

--- Ale dureń! - powiedział Leśnik. - Bazę mu dajcie...

--- To nie jest OPB - powiedział Doktor. - To nasze przekleństwo. Oni wynaleźli promienie, za pomocą których stworzyli pojęcie wyrodka. Większość ludzi, na przykład pan, nie zauważa tego promieniowania, jakby go w ogóle nie było. Natomiast nieszczęsna mniejszość wskutek jakichś tam odrębności swojego organizmu odczuwa przy napromieniowywaniu potworne bóle. Niektórzy z nas, ale to są jednostki, potrafią wytrzymać ten ból, drudzy nie wytrzymują i krzyczą, inni tracą przytomność, reszta w ogóle wariuje i umiera... A wieże to nie żadna obrona przeciwbalistyczna. Taka obrona w ogóle nie istnieje, nie jest zresztą potrzebna, gdyż ani Chontia, ani Pandea nie mają pocisków balistycznych i lotnictwa. Mają za to inne kłopoty, bo od czterech lat trwa tam wojna domowa. Wieże - to nadajniki. Oni włączają je dwa razy na dobę w całym kraju i wyławiają nas, póki leżymy obezwładnieni bólem. Do tego dochodzą jeszcze nadajniki bliskiego zasięgu, ruchome emitery na samochodach patrolowych, emitery samobieżne i nieregularne seanse nocami... Nie mamy się gdzie ukryć, gdyż nie istnieją żadne ekrany ochronne, wariujemy więc, strzelamy sobie w łeb, robimy głupstwa z rozpacz, wymieramy...

Doktor zamilkł, chwycił kubek i jednym haustem wypił go do dna. Potem zaczął ze wściekłością rozpalać fajkę. Twarz mu spazmatycznie drgała.

--- Taak, żyliśmy jak u Boga za piecem - powiedział z rozpaczą w głosie Leśnik. - Dranie - dodał po chwili milczenia.

Nie ma sensu mu tego opowiadać - odezwał się nagle Memo. - On przecież nie wie, co to takiego. Nie ma pojęcia, co to znaczy czekać każdego dnia na kolejny seans.

--- Dobrze - powiedział barczysty. - Nie ma pojęcia, więc nie ma o czym mówić. Kotka głosowała za nim. Kto jeszcze za i kto przeciw?

Leśnik otworzył usta, ale Ordia go uprzedziła.

--- Chcę wytłumaczyć, dlaczego jestem za. Po pierwsze, ja mu wierzę. Ja to mówiłam i może to nie jest zbyt ważne, gdyż dotyczy tylko mnie. Ale ten człowiek potrafi robić rzeczy, które mogą przydać się wszystkim. On potrafi goić nie tylko swoje, lecz również i cudze rany... Proszę mi wybaczyć, Doktorze, ale znacznie lepiej od pana.

--- Jakież ze mnie lekarz - powiedział Doktor. - Sądowy konował.

--- Ale to jeszcze nie wszystko - ciągnęła Ordia. - On potrafi odejmować ból.

--- Jak to? - zapytał Leśnik.

Nie wiem, jak to robi. Masuje skronie, coś szepcze i ból mija. Dwukrotnie chwyciło mnie u matki i oba razy mi pomógł. Za pierwszym razem nie bardzo mu wyszło, ale w każdym razie nie straciłam przytomności jak zwykle. A za drugim razem bólu w ogóle nie było...

Od razu wszystko się zmieniło. Dopiero co wszyscy byli sędziami, dopiero co zdawało się im, że decydują o jego życiu lub śmierci, a teraz sędziowie zniknęli, pozostali jedynie udręczeni do ostateczności skazańcy, którym nagle zaświtała nadzieja. Patrzyli na niego, jakby czekali, że już zaraz, natychmiast zdejmie z nich koszmar, męczący ich od wielu lat bez przerwy... No cóż - pomyślał Maksym - tutaj w każdym razie nie każą

mi zabijać, lecz leczyć... Ale nie wiedzieć czemu ta myśl nie przyniosła mu żadnego zadowolenia. Wieże - myślał. - Co za okropność!... Że też coś takiego w ogóle mogło komuś przyjść do głowy. Trzeba być szaleńcem, trzeba być sadystą, aby to wymyślić...

--- Pan to rzeczywiście potrafi? - zapytał Doktor.

--- Co?

--- Odejmować ból.

--- Odejmować ból? Tak.

--- Jak?

--- Nie mogę panu wytłumaczyć. Zabraknie mi słów, a panu wiadomości. Nie rozumiem. Czyżbyście nie mieli lekarstw, jakichś środków przeciwbólowych?

--- Na to nie pomagają żadne lekarstwa. Chyba, że w dawce śmiertelnej.

--- Słuchajcie - powiedział Maksym. - Jestem oczywiście gotów odejmować ból. Postaram się... Ale to nie jest wyjście! Trzeba szukać jakiegoś powszechnego środka. Czy macie chemików?

--- Mamy - odrzekł barczysty - ale to zadanie nie daje się rozwiązać. Gdyby dało się rozwiązać, to prokurator generalny nie cierpiałby takich samych bóli jak i my. Kto jak kto, ale on by na pewno zdobył lekarstwo. A tymczasem przed każdym regularnym seansem upija się do nieprzytomności i pławi się w gorącej kąpeli.

--- Prokurator generalny jest wyrokiem? - zapytał Maksym z niedowierzaniem.

--- Podobno - odparł sucho barczysty. - Ale odeszliśmy od tematu. Kotko, skończyłaś? Kto jeszcze chce?

--- Poczekaj, Generale - powiedział Leśnik. - Czy mi się nie pomyliło? Czy naprawdę wychodzi na to, że on jest naszym dobroczyńcą? Czy mnie też potrafisz odejmować ból? Przecież tego człowieka trzeba ożłocić! Ja go z tej piwnicy nie wypuszczę, bo za przeproszeniem mam takie bóle, że wytrzymać nie sposób... A może on jakieś proszki wymyśli? Przecież wymyślisz, co?... Nie, braciszku, takiego człowieka trzeba strzec jak żrenicy oka!

--- To znaczy jesteś za? - powiedział Generał.

--- To znaczy tak, to znaczy, że jeżeli ktoś na niego spróbuje krzywo spojrzeć...

--- Rozumiem. Pan, Doktorze?

--- Ja byłem "za" i bez tego wszystkiego - burknął Doktor pykając fajkę. - Mam takie samo wrażenie jak Kotka. Na razie on nie jest jeszcze nasz, ale wkrótce nim się stanie. Inaczej nie może być. Dla nich się w każdym razie zupełnie nie nadaje. Zbyt mądry.

--- W porządku - powiedział Generał. - Ty, Kopyto?

--- Jestem za - powiedział Memo. - Przydatny człowiek.

--- No cóż, ja również jestem za - powiedział Generał. - Gratuluję, Mak. Jest pan sympatycznym chłopcem i byłoby mi żal zabijać pana... - Popatrzył na zegarek. - Zjedźmy coś. Niedługo seans i Mak pokaże nam swoją sztukę. Nalej mu piwa, Leśniku, i daj swój zachwalany ser. Kopyto zastąpi na warcie Zielonego. Tamten od rana nie miał nic w ustach.

Rozdział X

Ostatnią naradę przed akcją Generał wyznaczył w zamku Dwugłowego Konia. Były to porośnięte bluszczem i trawą ruiny podmiejskiego muzeum, zniszczonego w czasie wojny. Okolica była odludna i dzika, mieszkańcy miasta nie pojawiali się tam ze względu na sąsiedztwo malarycznych mokradeł, a wśród miejscowej ludności cieszyła się złą sławą jako kryjówka złodziei i bandytów. Maksym przyszedł na miejsce zbiórki razem z Ordią. Zielony przyjechał na motocyklu i przywiózł Leśnika. Generał i Memo-Kopyto czekali na nich w starej rurze kanalizacyjnej wychodzącej prosto na bagna. Generał palił, a ponury Memo wściekle oganiał się przed komarami kadzidlaną pałeczką.

--- Przywiozłeś? - zapytał Leśnika.

--- Naturalnie - odrzekł Leśnik i wyjął z kieszeni tubkę środka odstraszającego komary. Wszyscy się natarli i Generał rozpoczął zebranie.

Memo rozwinął szkic i jeszcze raz przypomniał plan akcji. Wszyscy znali go już na pamięć. Przed pierwszą w nocy grupa podczołguje się z czterech stron do drucianego ogrodzenia i zakłada ładunki wybuchowe.

Leśnik i Memo działają w pojedynkę z północy i z zachodu. Generał razem z Ordią od wschodu. Maksym i Zielony od południa. Ładunki detonują równocześnie, dokładnie o pierwszej w nocy, i natychmiast Generał, Memo, Leśnik i Zielony rzucają się w wyrwy, starając się dobiec do bunkra i obrzucić go granatami. Kiedy tylko ogień z bunkra ustanie lub osłabnie, Maksym i Ordią z minami magnetycznymi przedzierają się do wieży i przygotowują wybuch, rzuciwszy przedtem dla pewności do bunkra po dwa granaty... Następnie uruchamiają zapalniki, zabierają rannych - tylko rannych! - i uchodzą lasem na wschód, do osiedla, gdzie przy kamieniu granicznym będzie czekał Malec z motocyklem. Ciężko ranni jadą dalej motocyklem, zdrowi i lekko ranni uciekają pieszo. Zbiórka w domu Leśnika. Na miejscu zbiórki czekać najwyżej dwie godziny, później wycofywać się w zwykły sposób. Są pytania? Nie? To wszystko.

Generał wyrzucił niedopałek, sięgnął w zanadrze i wyciągnął buteleczkę z żółtymi tabletkami.

--- Uwaga - powiedział. - Zgodnie z decyzją sztabu schemat akcji ulega pewnej zmianie. Początek akcji zostanie przeniesiony na godzinę dwudziestą drugą zero, zero...

Massaraksz! - powiedział Memo. - Co to znów za niespodzianki!

--- Proszę nie przerywać! - uciął Generał. - Dokładnie o dziesiątej zero, zero rozpoczyna się wieczorny seans. Kilka sekund wcześniej każdy z nas zażyje po dwie tabletki. Dalej wszystko zgodnie ze starym

planem, z jednym tylko wyjątkiem: Kotka atakuje razem ze mną. Wszystkie miny będzie miał Mak, który sam jeden spróbuje wysadzić wieżę.

--- Jak to tak? - powiedział w zadumie Leśnik przyglądając się szkicowi. - Nijak nie mogę pojąć. Dwudziesta druga to przecież wieczorny seans... Ja, za przeproszeniem, jak legnę, to się nie podniosę, będę leżał jak długi. Mnie, za przeproszeniem, wołami nikt nie ruszy...

--- Chwileczkę - powiedział Generał. - Jeszcze raz powtarzam: dziesięć sekund przed dziesiątą wszyscy zażywają proszek od bólu głowy. Rozumiesz, Leśniku? Zażyjesz proszek. W ten sposób o dziesiątej...

--- Ja te pigułki znam - powiedział Leśnik. - Na dwie minuty ulży, a potem zupełnie człowieka skręci... Znam, próbowałem.

--- To nowe pigułki - tłumaczył cierpliwie Generał. - One działają do pięciu minut. Dobiec do bunkra i rzucić granaty zdążymy, a resztę zrobi Mak.

Nastąpiła cisza. Ludzie myśleli. Tępawy Leśnik hałaśliwie drapał się w czuprynę. Dolna warga mu opadła. Widać było, jak cała rzecz powoli docierała do jego świadomości. Wreszcie gwałtownie zamrugał, zostawił włosy w spokoju, popatrzył na wszystkich rozjaśnionym wzrokiem i z ożywieniem klepnął się w kolano. Cudowne chłopisko, poczciwe z kośćmi. Życie potężnie go wygarbowało, ale niewiele nauczyło. Niczego nie potrzebował i niczego nie pragnął oprócz tego, żeby go pozostawiono w spokoju, pozwolono wrócić do rodziny i uprawiać buraki. Przed wojną dorobił się na burakach, był zasobnym gospodarzem, chociaż jeszcze młodym. Całą wojnę spędził w okopach i bardziej od wszystkich atomowych pocisków bał się swojego kaprała, takiego samego chłopca jak on sam, tyle że sprytnego i podłego. Maksyma bardzo polubił, był mu bardzo wdzięczny za wyleczenie starej przetoki na łydce i od tej chwili uwierzył, że dopóki Maksym jest z nim, nic złego nie może się wydarzyć. Maksym przez cały ten miesiąc mieszkał u niego w piwnicy i za każdym razem, kiedy kładli się spać, Leśnik opowiadał Maksymowi bajkę, zawsze tę samą, ale z różnymi zakończeniami: "Mówią, że żyła na bagnie ropucha, taka straszna idiotka, że nikt nie chciał nawet wierzyć. Znarowiła się ta głupia..." Maksym w żaden sposób nie potrafił go sobie wyobrazić przy krwawej robocie, choć mówiono mu, że Leśnik jest b i e g ł y m i bezpardonowym żołnierzem.

--- Nowy plan ma następujące zalety - mówił Generał. - Po pierwsze, o tej porze nie będą się nas spodziewać. Przewaga zaskoczenia. Po drugie, poprzedni plan był opracowany już dawno temu i istnieje poważne niebezpieczeństwo, że przeciwnik się o nim dowiedział. Teraz go ubiegniemy. Prawdopodobieństwo sukcesu wzrasta...

Zielony przez cały czas aprobując kiwał głową. Jego drapieżna twarz błyszczała złośliwym zadowoleniem, a zręczne, długie palce zaciskały się i rozwierzały. Ten wielki ryzykant lubił wszelkie niespodzianki. Przeszłość miał bardzo zaszarganą. Był złodziejem i zdaje się mordercą, produktem mętnych powojennych czasów. Sierota, złodziej przez złodziei wychowany, przez złodziei wykarmiony i przez złodziei katowany. Siedział w więzieniu, uciekł, beczelnie i niespodziewanie, jak robił wszystko i próbował wrócić do swojego procederu. Ale czasy się zmieniły, koleżkowie nie ścierpieli wyrodka i chcieli go sypnąć, ale nie dał się przyłapać i znów zwiął. Ukrywał się po wsiach, póki nie znalazł go nieboszczyk Ketszef. Był mądrą i fantastyką. Ziemię uważał za płaską, niebo za twarde i właśnie dzięki swej ignorancji podsycanej bujną wyobraźnią był jedynym człowiekiem na zaludnionej wyspie, który zdawał się podejrzewać prawdę. Nie uważał Maksyma za górala ("Widziałem ja takich górali! Sam jestem góral!") czy też za dziwaczny wybryk natury ("Jesteśmy wszyscy od urodzenia tacy sami, czy to w więzieniu, czy to na wolności"), lecz ni mniej, ni więcej za przybysza z jakichś zakazanych okolic, powiedzmy zza niebiańskiej opoki. Nigdy o tym wprost Maksymowi nie mówił, ale robił aluzje i odnosił się do niego z wielkim szacunkiem. "Zrobimy cię szefem - mawiał - i dopiero wtedy rozkręcimy interes..." Nikt nie miał pojęcia, gdzie i jakie interesy zamierzał rozkręcać; jedno było jednak jasne: Zielony uwielbiał ryzykowne przedsięwzięcia i nie znosił żadnej pracy. W dodatku pełen był dzikiego, pierwotnego okrucieństwa. To była, w gruncie rzeczy, zwykła plamista małpa, tyle że oswojona i ułożona do polowania na pancerne wilki.

--- Mnie się to nie podoba - powiedział Memo ponuro. - To czysty hazard. Bez przygotowania, bez sprawdzenia... Nie, to mi się nie podoba.

Nic mu się nigdy nie podobało. Nic nigdy nie podobało się Memo Gramenu zwanemu Kopytem Śmierci. Nic go nigdy nie zadowalało i zawsze czegoś się bał. Jego przeszłość była trzymana w tajemnicy, gdyż początkowo pełnił w podziemiu nader wysoką funkcję, a potem pewnego razu wpadł w łapy kontrwywiadu i uratował się tylko cudem. Nieprzytomnego Mema storturowanego na przesłuchaniu wyrwali z więzienia towarzysze z celi, którzy zorganizowali ucieczkę. Po tym wszystkim zgodnie z regułami konspiracji wycofano go ze sztabu, chociaż nie wzbudzał żadnych podejrzeń. Wyznaczono go na pomocnika Gela Ketszefa, dwukrotnie uczestniczył w napadach na wieże, własnoręcznie zniszczył kilka samochodów patrolowych, wyszedł i zastrzelił dowódcę jednej z brygad żandarmerii, był znany jako człowiek szalonej odwagi i świętym erkaemista. Zamierzano go już mianować dowódcą komórki w jakimś miasteczku na północnym zachodzie, ale wtedy grupa Gela Ketszefa wpadła. Kopyto nadal nie wzbudzał podejrzeń, został nawet szefem nowej grupy, ale on prawdopodobnie czuł na sobie krzywe spojrzenia, których nie było, ale które z powodzeniem mogły być: w podziemiu niezbyt lubiano ludzi, którzy mają za wiele szczęścia. Był mrukiwy i nieufny, doskonale znał zasady konspiracji i żądał bezwzględnego spełniania jej wymogów, nawet najdrobniejszych. Na tematy ogólne nigdy z nikim nie rozmawiał. Zajmował się wyłącznie sprawami organizacji i osiągnął to, że grupa miała wszystko co niezbędne: broń, żywność, pieniądze, rozbudowaną sieć mieszkań

konspiracyjnych, a nawet motocykl. Maksyma nie lubił. Dawalo się to łatwo wyczuć, chociaż Maksym nie wiedział dlaczego, a zapytać wprost nie chciał. Memo nie należał bowiem do ludzi, z którymi można szczerze porozmawiać. Może chodziło o to, że jedynie Maksym wyczuwał jego nieustanny strach, bo pozostałym nie mogło nawet przyjść do głowy, że ponury Kopyto Śmierci, rozmawiający jak równy z równym z dowolnym przedstawicielem sztabu, jeden z organizatorów podziemia, terrorysta do szpiku kości może się czegoś bać.

--- Nie rozumiem pobudek sztabu - ciągnął Memo ze wstrętem smarując szyję nową porcją antykomarowej maści. - Znam ten plan od stu lat. Sto razy chciano go wypróbować i sto razy od niego odstępowano, bo to prawie gwarantowana zguba. Dopóki nie ma promieniowania, dopóty mamy jeszcze jakąś szansę ucieczki w wypadku niepowodzenia, możemy potem próbować w innym miejscu. Tu zaś wystarczy jedno potknięcie i wszyscy zginiemy.

--- Niezupełnie masz rację - sprzeciwiła się Ordia. - Teraz mamy Maka. Jeżeli coś się nie uda, potrafi nas wyciągnąć i może nawet wysadzić wieże.

Ordia leniwie paliła patrząc przed siebie, na bagna. Ta szczupła, spokojna kobieta, która niczemu się nie dziwiła i na wszystko była gotowa, onieśmiała ludzi, gdyż widziała w nich jedynie mniej lub więcej sprawne narzędzia zniszczenia. Cała była jak na dłoni. Ani w jej przeszłości, ani w terażniejszości czy przyszłości nie było ciemnych lub niejasnych punktów. Pochodziła z rodziny inteligenckiej, ojciec zginął na wojnie, matka do tej pory pracowała jako nauczycielka w Osiedlu Kaczki. Ordia też była nauczycielką, dopóki jej nie wygnano ze szkoły jako wyrodka. Ukrywała się, próbowała uciec do Chontii, spotkała na granicy Gela przemycającego broń i on zrobił z niej terrorystkę. Pracowała w podziemiu początkowo z pobudek czysto ideowych, walczyła o sprawiedliwy ustrój, w którym każdy będzie mógł myśleć i robić, co zechce i potrafi. Ale siedem lat temu kontrwywiad wyszedł ją i zabrał jako zakładnika jej dziecko, aby zmusić ją do stawienia się i wydania męża. Sztab nie pozwolił jej ujawnić się, bo zbyt wiele wiedziała. O dziecku nic więcej nie słyszała, uważała je za martwe, chociaż w głębi duszy w to nie wierzyła i już od siedmiu lat powodowała nią przede wszystkim nienawiść. Najpierw nienawiść, a dopiero potem znacznie już wyblakłe marzenia o sprawiedliwym ustroju. Utratę męża zniosła nad podziw spokojnie, chociaż bardzo go kochała. Widocznie już na długo przed aresztowaniem przywykła do myśli, że na tym świecie nie należy do niczego zbyt silnie się przywiązywać. Teraz była taka sama, jak Gel na rozprawie. Była żywym trupem, ale trupem bardzo niebezpiecznym.

--- Mak jest nowicjuszem - powiedział mrocznie Memo. - Kto zaręczy, że nie straci głowy, kiedy zostanie sam. To głupio odrzucać stary, dobrze opracowany plan tylko dlatego, że mamy nowicjusza Maka. Powiedziałem już i jeszcze raz powtórzę, że to jest niepotrzebny hazard.

--- Daj spokój, szefie - powiedział Zielony. - Taką już mamy robotę. Moim zdaniem czy to stary plan, czy nowy - nie ma żadnej różnicy, taki sam hazard. A jak może być inaczej. Bez ryzyka nie da rady, a z tymi pigułkami ryzyko jest mniejsze. Oni przecież tam pod wieżą zgłupieją, kiedy o dziesiątej na nich wskoczemy. Pewnie o tej porze chłają wodę i ryczą pieśni, a my na nich... A może nawet automaty będą mieli nie nabite i sami pokotem pijani na ziemi... Nie, mnie się to podoba. Prawdę mówię, Mak?

--- Jak tak samo, też... - powiedział Leśnik. - Co ja myślę? Jeżeli taki plan nawet mnie dziwi, to legionistów musi. Prawdę mówi Zielony, że zgłupieją... A do tego pięć minutek mniej będziemy się męczyć, a potem, jak dobrze pójdzie, Mak wieżę wywróci i będzie zupełnie dobrze... Pomyślcie, jak będzie dobrze! - powiedział nagle, jakby olśniony nowym pomysłem. - Przecież nikt przedtem wież nie wysadzał, chwalili się tylko, a my wysadzimy... Zanim oni tę wieżę naprawią, ile to czasu przejdzie! Chociaż z miesiąc pożyjemy jak ludzie... Bez tych obrzydliwych bólów.

--- Obawiam się, że mnie nie zrozumiałeś, Kopyto - powiedział Generał. - W planie nic się nie zmieniło, tyle tylko, że napadniemy nieoczekiwanie, wzmocnimy grupę szturmową i wycofamy się w nieco innej kolejności.

--- Jeżeli boisz się, że Mak nie zdoła nas wszystkich wynieść - tym samym leniwym tonem powiedziała Ordia nadal patrząc na bagna - to nie zapominaj, że będzie musiał nieść jednego, a najwyżej dwóch. A to jest silny chłopak.

--- Tak - odezwał się Generał spoglądając na nią. - To prawda...

Generał był zakochany w Ordii. Nikt oprócz Maksyma tego nie dostrzegał, ale Maksym wiedział, że jest to miłość stara, beznadziejna, zrodzona jeszcze za życia Gela, która teraz stała się jeszcze bardziej beznadziejna, jeżeli to w ogóle było możliwe. Generał nie był generałem. Przed wojną pracował jako robotnik na taśmie produkcyjnej, później trafił do szkoły podoficerskiej, walczył jako kapral, pod koniec wojny został rotmistrzem. Dobrze znał rotmistrza Czaczę, miał z nim na pieńku (były jakieś zamieszki w jakimś pułku zaraz po zakończeniu wojny) i od dawna bezskutecznie na niego polował. Był członkiem konspiracyjnego sztabu, ale często brał bezpośredni udział w akcjach jako dobry żołnierz i doświadczony dowódca. Robota w podziemiu mu się podobała, ale nie bardzo sobie wyobrażał, jak to będzie po zwycięstwie. Zresztą w zwycięstwo nie wierzył. Ten urodzony wojak łatwo przystosowywał się do każdych warunków i nigdy nie planował na dłużej niż na jakieś dziesięć, dwanaście dni naprzód. Nie miał własnych przekonań. Coś tam przejął od jednorękiego Dzika, coś od Ketszefa, coś tam usłyszał w sztabie, ale najważniejsze dla niego pozostawało nadal to, co wbito mu do głowy w szkole podoficerskiej. Gdy mu się zdarzało teoretyzować, wygłaszał dziwaczną mieszankę poglądów: władzę bogaczy należy obalić (to pochodziło od Dzika, który widocznie był kimś w rodzaju socjalisty lub komunisty), na czele państwa

postawić inżynierów i techników (Ketszef), miasta zrównać z ziemią i żyć w harmonii z naturą (jakiś sztabowy filozof-bukolista); wszystko to osiągnąć można jedynie wtedy, kiedy będzie się bezwzględnie słuchać dowódców i jak najmniej paplać na tematy oderwane. Maksym dwa razy pokłócił się z nim. Nie mógł zrozumieć, po co niszczyć wieże, tracić przy tym najlepszych towarzyszy, czas, pieniądze i broń, skoro za kilkanaście dni wieża zostanie odbudowana i wszystko zostanie po staremu z tą jedynie różnicą, że ludność okolicznych wsi przekona się na własne oczy, jakimi to podstępными diabłami są wyrodki. Generał nie potrafił przekonywająco wytłumaczyć Maksymowi, na czym polega sens działalności dywersyjnej. Albo coś ukrywał, albo sam nie wiedział, po co to jest właściwie potrzebne; w każdym razie zawsze powtarzał jedno i to samo: rozkazy nie podlegają dyskusji, każdy napad na wieżę jest ciosem zadany wrogowi, nie wolno powstrzymywać ludzi od aktywnej działalności, bo inaczej nienawiść w nich wygaśnie i w ogóle nie będzie już po co żyć...

--- Trzeba szukać ośrodka! - nalegał Maksym. - Trzeba uderzyć w ośrodek dyspozycyjny, wszystkimi siłami, jednocześnie! Co wy macie za głowy, że nie rozumiecie takich rzeczy!

--- Sztab wie, co robi - odpowiedział z naciskiem Generał, wysuwając do przodu podbródek i podnosząc wysoko brwi. - Dyscyplina jest w naszej sytuacji rzeczą najważniejszą i skończ lepiej ze swoim góralskim sobiepaństwem, Mak. Na wszystko przyjdzie czas i jeżeli dożyjesz, będziesz miał swój ośrodek. Zresztą odnosił się do Maksyma z szacunkiem i chętnie korzystał z jego pomocy, jeżeli udar promienisty zastawał go w piwnicy Leśnika.

--- A ja mimo wszystko jestem przeciwny! - powiedział uparcie Memo. - Co będzie, jeżeli nas przyduszą ogniem? Jeżeli pięć minut nam nie wystarczy, a trzeba będzie sześcioro? Szalony plan. Zawsze był szalony.

--- Przedłużone ładunki zastosujemy po raz pierwszy - powiedział Generał, z trudem odrywając wzrok od Ordii. - Ale i przy starym sposobie forsowania drutów los operacji decydował się zwykle w ciągu trzech, czterech minut. Jeżeli ich zaskoczemy, pozostanie nam w zapasie jedna lub dwie minuty.

--- Dwie minuty to dużo - powiedział Leśnik. - W dwie minuty ja ich sam wszystkich gołymi rękami wyduszę. Bylebym tylko doleciał.

--- Dolecieć... Taak... - przeciągnął z jakimś złowieszczym rozmarzeniem Zielony. - Prawda, Mak?

--- A ty nie chcesz powiedzieć, Mak? - zapytał Generał.

--- Już mówiłem - powiedział Maksym. - Nowy plan jest lepszy od starego, ale i tak nic nie jest wart. Pozwólcie mi wszystko zrobić samemu. Zaryzykujcie.

--- Nie mówmy o tym! - powiedział Generał rozdrażnionym tonem. - Z tym już skończyliśmy. Masz jakieś rzeczowe uwagi?

--- Nie - odrzekł Maksym, który już pożałował, że znów powrócił do tej sprawy.

--- Skąd się wzięły te tabletki? - spytał nagle Memo.

--- To są stare tabletki - powiedział Generał. - Makowi udało się je trochę ulepszyć.

--- Ach, Makowi... Więc to jego pomysł?

Kopyto powiedział to takim tonem, że wszyscy poczuli się niezręcznie. Jego słowa można było zrozumieć następująco: nowicjusz, w dodatku niezupełnie nasz, w dodatku przybysz z tamtej strony... Czy tu przypadkiem nie śmierdzi zasadzką, takie wypadki bywały...

--- Nie! - powiedział ostro Generał. - To pomysł sztabu i zechciej się podporządkować, Kopyto.

--- Podporządkowuję się - powiedział Memo wruszając ramionami. - Jestem temu przeciwny, ale się podporządkowuję. Co mam niby zrobić?...

Maksym ze smutkiem popatrzył na nich. Siedzieli przed nim zupełnie różni ludzie, którym w zwykłych warunkach pewnie by nawet do głowy nie przyszło, że mogą się razem zebrać: były rolnik, były kryminalista, była nauczycielka. Mieli tylko jedną cechę wspólną: wszyscy byli uznani za wrogów społeczeństwa, z jakiegoś idiotycznego powodu byli znienawidzeni przez wszystkich i cały ogromny państwowy aparat przymusu był nastawiony na ich tropienie. To, co zamierzali zrobić, nie miało sensu. Za kilka godzin większość z nich nie będzie żyć, a na świecie nic przez to się nie zmieni. Również dla pozostałych przy życiu nic się nie zmieni. W najlepszym wypadku zyskają dziesięciodniowy urlop od piekielnych bólów, ale będą poranieni, wymęczeni ucieczką, zaszczuci psami; będą musieli ukrywać się w cuchnących norach, a potem wszystko zacznie się od początku. Działać razem z nimi było głupio, ale porzucenie ich byłoby podłością i trzeba było wybrać głupotę. A może w tym świecie w ogóle nie można inaczej i jeżeli chce się dokonać czegoś pożytecznego, należy najpierw robić rzeczy idiotyczne? Trzeba jedynie pamiętać, że głupota jest skutkiem bezsilności, bezsilność zaś wypływa z ciemnoty i nieznajomości prawidłowej drogi... Ale to przecież niemożliwe, żeby wśród tysięcy dróg nie było jednej prawidłowej! Jedną drogą już poszedłem - myślał Maksym - ale to była zła droga. Teraz muszę pójść, tą chociaż już teraz widzę, że również nie jest dobra. Może jeszcze nieraz przyjdzie mi chodzić błędnymi drogami i grzęznąć w ślepych zaułkach. Przed kim się zresztą usprawiedliwiam - pomyślał - i po co? Oni potrzebują pomocy, ja im tej pomocy mogę udzielić i to jest wszystko, co obecnie muszę wiedzieć...

--- Teraz się rozejdziemy - powiedział Generał. - Kopyto idzie z Zielonym, Mak z Leśnikiem, ja z Kotką. Zbiórka o dziewiątej zero, zero przy kamieniu granicznym. Iść tylko lasem, bez drogi... Parom nie wolno się rozłączać, jeden odpowiada za drugiego. Idźcie. Pierwsi odchodzą Memo i Zielony. - Zebrał niedopałki na kawałek papieru, zawinał i wsunął do kieszeni.

Rozdział XI

Od skraju lasu do ogrodzenia z drutu kolczastego trzeba było czołgać się. Jako pierwszy pełzł Zielony, który ciągnął za sobą tyczkę z ładunkiem wybuchowym i po cichu kłął ciernie wbijające mu się w ręce. Za nim czołgał się Maksym dźwigający worek z minami magnetycznymi. Niebo było pokryte chmurami, siał deszcz. Trawa była mokra i po chwili obaj przemokli do nitki. Deszcz przesłaniał wszystko i Zielony musiał się orientować według kompasu. Ani razu nie zboczył z drogi. Widać było, że to człowiek doświadczony. Później ostro zapachniało wilgotną rdzą i Maksym dojrzał trzy rzędy drutów kolczastych, a za drutami rozmyty, ażurowy ogrom wieży. Uniósł trochę głowę i wypatrzył u jej podstawy niską budowlę o prostokątnych zarysach. To był bunkier, w którym siedziało trzech legionistów z karabinami maszynowymi. Przez szum deszczu dobiegały niewyraźne głosy. Później ktoś zapalił zapałkę i słabe, żółte światełko rozjaśniło długą strzelnicę.

Zielony klnąc szeptem wsuwał tyczkę pod druty. "Gotowe - powiedział cicho. - -- Odczołguj się". Odczołgali się o jakieś dziesięć kroków i zaczęli czekać. Zielony ścisnął w dłoni sznur detonatora i wpatrywał się w świecące wskazówki zegarka. Miał dreszcze. Maksym słyszał, jak szczęka zębami i ciężko dyszy. Jego też trzęsło. Włożył rękę do worka i dotknął min. Miny były szorstkie i zimne. Deszcz się nasilił, jego szelest zagłuszał wszystkie dźwięki. Zielony uniósł się i stanął na czworakach. Ciągłe coś szeptał. Nie wiadomo, czy kłął, czy się modlił. "No, dranie!" - powiedział nagle i wykonał gwałtowny ruch prawą ręką. Rozległ się trzask splonki, syk i w przodzie wytrysnął spod ziemi czerwony jęzor płomienia. Taki sam ogień rozbłysnął daleko z lewej, huk uderzył w uszy, posypała się gorąca, mokra ziemia, strzępy tlejącej trawy i jakieś rozżarzone bryłki. Zielony runął do przodu wrzeszcząc nieswoim głosem. Nagle zrobiło się widno, jaśniej niż w dzień, oślepiająco jasno. Maksym zmrużył oczy i poczuł chłód w piersi, a przez głowę przemknęła myśl: "Wszystko przepadło". Ale wystrzałów nie było, nie było niczego oprócz szelestów i syków.

Kiedy Maksym otworzył oczy, dojrzał przez oślepiającą jasność szary bunkier, rozległą wyrwę w ogrodzeniu i jakichś ludzi, małych i bardzo samotnych na ogromnej pustej przestrzeni wokół wieży. Ludzi ci ze wszystkich sił pędzili w kierunku bunkra. Biegli w milczeniu, potykali się, przewracali, podrywali i znów biegli. Potem rozległ się żałosny jęk i Maksym zobaczył Zielonego, który nigdzie nie biegł, lecz siedział na ziemi tuż za drutami, trzymał się za głowę i kołsał nią na boki. Maksym rzucił się ku niemu, oderwał mu ręce od twarzy. Zobaczył wywrócone oczy i bąble śliny na wargach. Wystrzałów ciągle nie było. Minęła już cała wieczność, a bunkier nadal milczał i tylko nagle huknął tam znajomy marsz.

Maksym przewrócił tego gapę Zielonego na wznak szperając jedną ręką w kieszeni i ciesząc się, że Generał był na tyle przewidujący, iż nawet jemu dał na wszelki wypadek tabletki przeciwbólowe. Rozwarł Zielonemu spazmatycznie zaciśnięte zęby i wepchnął pigułki w chrypiącą paszczkę. Potem chwycił automat Zielonego i odwrócił się. Zastanawiał się gorączkowo, skąd pada światło, dlaczego jest tyle światła, którego nie powinno być... Nikt nie strzelał, samotni ludzie ciągle biegli, jeden z nich był już zupełnie blisko bunkra, drugi pozostał nieco w tyle, trzeci zaś, który biegł z prawej strony, nagle z rozpędu upadł i przekoziółkował przez głowę. "Kiedy w boju żelazne szeregi..." - rycał bunkier, a światło biło z góry, z wysokości dziesięciu metrów, pewnie z wieży, której teraz nie można było dojrzeć. Maksym uniósł automat i nacisnął spust. Własnej roboty automat, mały, niewygodny i niezdamny zaczął mu skakać w rękach. Jakby w odpowiedzi na to rozjarzyły się czerwone błyski w strzelnicy i nagle automat wyrwano mu z rąk. Nie zdołał jeszcze trafić w żaden z oślepiających kręgów, a Zielony zabrał mu automat, rzucił się do przodu i od razu upadł, potykając się na równym miejscu...

--- Wówczas Maksym padł na ziemię i podczołgał się z powrotem do swojego worka. Z tyłu pospiesznie trzaskały automaty, straszliwym basem dudnił karabin maszynowy i wreszcie huknął granat, później drugi, potem od razu dwa i cekaem zamilkł. Trzeszczały tylko automaty, znów huknęły wybuchy, ktoś wrzasnął nieludzkim głosem i wszystko ucichło. Maksym chwycił worek i pobiegł. Nad bunkrem unosił się słup dymu, cuchnęło spalenizną i prochem, dokoła było jasno i pusto, jedynie czarna przygarbiona figurka słaniała się przy samym bunkrze trzymając się ręką jego ściany. Człowiek dotarł do strzelnicy, wrzucił coś do niej i od razu zwałił się na ziemię. Strzelnica rozjarzyła się purpurowo, rozległ się łoskot i znów zrobiło się cicho...

Maksym potknął się i o mało nie upadł. Po kilku krokach znów się potknął i zauważył wtedy, że z ziemi sterczą kołki, krótkie, grube kołki ukryte w trawie... To tak jest... To tak tu jest... Gdyby mnie Generał puścił w pojedynek, od razu bym sobie porozbijał nogi i teraz leżałbym wśród tych podstępnych palików...

Chwalipięta... Ignorant... Wieża była już zupełnie blisko. Biegł i patrzył pod nogi. Był sam.

Dobiegł do ogromnej, żelaznej łapy i rzucił worek. Korciło go od razu przyklepić ciężki, szorstki placek do mokrego żelaza, ale pozostał jeszcze bunkier. Żelazne drzwi były uchylone, spoza nich wysuwały się leniwe języki płomieni, na stopniach leżał legionista. Tu wszystko było skończone. Maksym obszedł bunkier dokoła i zobaczył Generała. Generał siedział oparty o betonową ścianę. Oczy miał nieprzytomne i Maksym zrozumiał, że tabletki przestały już działać. Obejrzał się wokoło, wziął Generała na ręce i wyniósł spod wieży. Jakieś dwadzieścia metrów dalej leżała w trawie Ordia z granatem w ręku. Leżała tak nieruchomo, że Maksym od razu zrozumiał, iż jest martwa. Zaczął szukać dalej i znalazł Leśnika, również martwego. Zielony także był zabity i nie było przy kim położyć żywego Generała...

Szedł po trawie rzucając zwielokrotniony cień i był zupełnie ogłuszony tymi wszystkimi śmierciami chociaż minutę temu myślał, że jest na nie przygotowany. Ciągnęło go z powrotem do wieży, chciał ją wysadzić w powietrze i dokończyć to, co oni rozpoczęli, ale najpierw trzeba było sprawdzić, co się dzieje z Kopytem. Znalazł Mema tuż przy ogrodzeniu. Memo był ranny. Najpewniej chciał się wycofać i czołgał się ku drutom,

dopóki nie stracił przytomności. Maksym położył Generała obok niego i znów pobiegł do wieży. Dziwnie było pomyśleć, że te nieszczęsne dwieście metrów można teraz spokojnie przejść, niczego się nie obawiając. Zaczął mocować miny do wsporników, dla pewności po dwie sztuki do każdego. Miał czas, ale się spieszył. Generał broczył krwią, a gdzieś pędziły szosą ciężarówki z legionistami i poderwany na alarm Gaj wraz z Pandim trząsał się teraz na kocich łbach, a w okolicznych wsiach już zbudzili się ludzie. Mężczyźni chwytały siekiery i strzelby, dzieci płakały, a kobiety przeklinały krwawych szpiegów, przez których nie ma snu ani spokoju. Maksym czuł, że siąpiąca deszczem ciemność dokoła ożywa, porusza się, staje się niebezpieczna i groźna...

Zapalniki były obliczone na pięć minut. Włączył je kolejno i pobiegł z powrotem do Generała i Mema. Coś go niepokoiło. Poszukał oczami i zrozumiał, że to Ordia. Biegiem, patrząc pod nogi, żeby się nie potknąć, wrócił do niej, zarzucił lekkie ciało na ramię i znów biegiem do ogrodzenia, do północnej wyrwy, gdzie męczyli się Memo i Generał. Ale już niedługo przestaną się męczyć. Zatrzymał się koło nich i obrócił się ku wieży. I oto spełniło się bezsensowne marzenie spiskowców. Miny wybuchły szybko jedna po drugiej, podstawa wieży zasnęła się dymem, a potem oślepiające ognie zgasły i stało się zupełnie ciemno. W ciemności coś zgrzytnęło, zahuczało, łupnęło o ziemię, podskoczyło z jazgotem i znów grzmotnęło.

Maksym popatrzył na zegarek. Było siedemnaście po dziesiątej. Oczy przywykły do ciemności i znów rozróżniały poszarpane ogrodzenie, znów dostrzegły wieżę. Wieża leżała opodal bunkra, który ciągle się jeszcze palił. Jej strzaskane wybuchem podpory sterczały w powietrzu.

Generał ocknął się i wychrypiał:

--- Kto tu jest?

--- Ja - powiedział Maksym i pochylił się nad nim. - Trzeba już uciekać. Gdzie pana trafiło? Może pan iść?

--- Poczekaj - powiedział Generał. - Co z wieżą?

--- Wieża jest gotowa - odrzekł Maksym.

--- Niemożliwe - zdziwił się Generał podnosząc się. Massaraksz! Czyżby?... -- - Zaśmiał się i znów się położył. - Słuchaj, Mak, mam zupełną pustkę w głowie... Która godzina?

--- Dwadzieścia po dziesiątej.

--- Więc to prawda... Wykończyliśmy ją... Zuch jesteście... Czekaj, kto tu obok leży?

--- Kopyto - powiedział Maksym.

--- Oddycha - powiedział Generał. - A kto jeszcze żyje?... Kogo tam masz?

--- To Ordia - powiedział Maksym z trudem.

Generał przez chwilę milczał.

--- Ordia... - powtórzył niezdecydowanie i wstał chwiejąc się na nogach. - Ordia - powtórzył znowu i przyłożył dłoń do jej policzka. Przez jakiś czas milczeli. Potem Memo zapytał ochryplym głosem:

--- Która godzina?

--- Dwadzieścia dwie minuty - odrzekł Maksym.

--- Gdzie jesteście? - zapytał Memo.

--- Trzeba uciekać - powiedział Maksym.

Generał odwrócił się i ruszył ku wyrwie w ogrodzeniu. Mocno się zataczał. Wówczas Maksym pochylił się, zarzucił na drugie ramię ciężkiego Mema i poszedł za nim. Dopędził Generała, który się zatrzymał.

--- Tylko rannych! - powiedział Generał.

--- Doniosę - powiedział Maksym.

--- Wykonuj rozkaz - powiedział Generał. - Tylko rannych.

Wyciągnął ręce i pojękując z bólu objął ciało Ordii. Nie mógł go utrzymać i od razu położył na ziemi.

--- Tylko rannych - powiedział zmienionym głosem. - Biegiem, marsz!

--- Gdzie jesteście? - zapytał Memo. - Kto tu jest? Gdzie jesteście?

--- Niech pan się chwyci za mój pas - powiedział Maksym do Generała i pobiegł. - Memo krzyknął i zwiotczał. Głowa mu się chwiała, ręce bezwładnie latały, a nogi biły Maksyma po plecach. Generał z głośnym świstem wciągając powietrze biegł za nim trzymając się za pas.

Wbiegli do lasu. Twarz chłostały mokre gałęzie. Maksym wymijał drzewa rzucające mu się naprzeciw i przeskakiwał przez zastępujące mu drogę pnie. To było trudniejsze niż przypuszczał. Nie był już taki jak dawniej i w ogóle wszystko było nie takie, jak trzeba. Wszystko było obłądne, niepotrzebne i bezsensowne. Z tyłu pozostawały połamane krzewy, krwawy ślad i zapach, a drogi już od dawna były obstawione, psy wyrwały się z rąk przewodników i rotmistrz Czacz z pistoletem w ręku wykrakując rozkazy biegł kaczym krokiem po asfalcie, przeskakiwał rowy i jako pierwszy nurkował w las. Za plecami została idiotyczna, obalona wieża, spaleni legioniści i trójka martwych, już zeszywniałych towarzyszy. Tutaj, przy sobie miał dwóch rannych, półżywych, nie mających prawie żadnych szans... I to wszystko dla jednej wieży, jednej spośród dziesiątków tysięcy takich samych... Już nikomu więcej nie pozwolę zrobić takiego głupstwa... Nie, powiem, ja to widziałem... Ileż krwi w zamian za stos bezużytecznego, zardzewiałego żelastwa... Jedno głupie młode życie za rdzawe żelazo, jedno głupie stare życie za żalostną nadzieję choć kilku dni ludzkiej egzystencji i jedna miłość, rozstrzelana nawet nie za żelazo ani za nadzieję... Jeżeli chcecie po prostu przeżyć, powiem im, to czemu tak łatwo umieracie, czemu tak tanio sprzedajecie swoje życie?...

Massaraksz, nie pozwolę im umierać, oni będą żyć, nauczą się żyć... Jakiż inny bałwan zdecydowałby się na to, jak im mogłem na to pozwolić?...

Wyskoczył pędem na polną drogę niosąc Mema na ramieniu, a drugą ręką podtrzymując Generała. Obejrzał się. Malec już biegł ku niemu od kamienia granicznego. Był mokry, pachniał potem i strachem.

--- To wszyscy? - zapytał z przerażeniem i Maksym był mu za to przerażenie wdzięczny.

Donieśli rannych do motocykla, wepchnęli Mema do wózka, a Generała posadzili na tylnym siedelku. Malec przywiązał go do siebie pasem. W lesie było jeszcze cicho, ale Maksym wiedział, że to nic nie znaczy.

--- Naprzód! - powiedział. - Nie zatrzymuj się, przebijaj przez obławę...

--- Wiem - powiedział Malec. - A ty?

--- Postaram się ich odciągnąć. Nie bój się, ucieknę.

--- Uciekniesz, a jakże... - powiedział Malec i kopnął starter. Motocykl zaterkotał. - A czy wieżę przynajmniej wysadziliście? - krzyknął.

--- Tak - odpowiedział Maksym i Malec pognął przed siebie.

Zostawszy sam Maksym przez kilka sekund stał nieruchomo, a potem rzucił się z powrotem w las. Na pierwszej z brzegu polance zerwał z siebie kurtkę i wepchnął ją w krzaki. Później biegiem wrócił na drogę i jakiś czas ze wszystkich sił biegł w kierunku miasta, zatrzymał się, odczepił od pasa granaty, rozrzucił je na drodze, przedarł się przez krzewy na drugą stronę starając się złamać jak najwięcej gałązek, porzucił za krzewami chustkę do nosa i dopiero wtedy ruszył prosto w las przechodząc na równy, myśliwski bieg. Musiał tak przebiec dziesięć do piętnastu kilometrów.

Biegł nie myśląc o niczym i zważając tylko na to, aby nie zboczyć zbyt z kierunku na południowy zachód i wybierając miejsce, gdzie miał postawić nogę. Dwukrotnie przecinał drogi. Za pierwszym razem była to pusta polna droga, a za drugim Szosa Wczasowa, na której również nikogo nie było, ale tam po raz pierwszy usłyszał psy. Nie mógł określić, jakie to były psy, lecz na wszelki wypadek zrobił wielką pętlę i półtorej godziny później znalazł się wśród magazynów miejskiego dworca towarowego.

Palily się tam lampy, przeciągle pogwizdywały parowozy i kręcili się ludzie. Nikt tam pewnie o niczym nie wiedział, ale już nie można było biec, bo mogli go uznać za złodzieja. Zwolnił i kiedy obok niego przetoczył się w kierunku miasta ciężki pociąg towarowy, wskoczył na platformę z piaskiem, ukrył się i dojechał aż do betoniarni. Tam zeskoczył w biegu, otrząpął z siebie piasek, trochę przybrudził sobie twarz i ręce smarem i zaczął się zastanawiać, co ma robić dalej.

Przekradać się do domku Leśnika nie miało najmniejszego sensu, a była to jedyna kryjówka w pobliżu. Można było spróbować przenocować w Osiedlu Kaczki, ale to było niebezpieczne. Rotmistrz Czaczku znał ten adres, a poza tym Maksym ścierpł na samą myśl o tym, jak zjawi się w domu starej Illii i opowie jej o śmierci córki. Nie było dokąd iść. Wstąpił do ubożuchnej nocnej knajpki dla robotników, zjadł serdelki, napił się piwa i podrzemał oparty o ścianę. Wszyscy goście byli tak samo brudni i zmęczeni jak on: robotnicy z ostatniej zmiany, którzy spóźnili się na nocny tramwaj. Przyśniła mu się Rada i pomyślał we śnie, że Gaj uczestniczy teraz prawdopodobnie w obławie i że to bardzo dobrze. Rada lubi go i przygarnę, pozwoli się umyć i przebrać (powinno tam jeszcze być jego cywilne ubranie, które dał mu Fank). A rano będzie można pojechać na wschód, gdzie znajduje się druga znana mu melina. Obudził się, zapłacił za jedzenie i wyszedł. Droga była niedaleka i bezpieczna. Ludzi na ulicach nie spotkał i dopiero przed samym domem zobaczył człowieka. Dozorcę. Siedział na swoim stołku i spał. Maksym ostrożnie przeszedł koło niego, wspiął się po schodach na górę i zadzwonił tak, jak zawsze dzwonił dawniej. Za drzwiami panowała cisza, potem coś skrzypnęło i drzwi się uchyliły. Zobaczył Radę.

Nie krzyknęła tylko dlatego, że straciła oddech i zacisnęła sobie usta ręką. Maksym objął ją, przygarnął do siebie i pocałował w czoło. Miał takie uczucie, jakby wrócił do domu, w którym już od dawna przestano na niego czekać. Zamknął za sobą drzwi. Weszli cicho do pokoju, gdzie Rada od razu się rozplakała. W pokoju pozostało wszystko po starym, nie było tylko jego polowego łóżka, a na kanapie siedział Gaj w nocnej koszuli i rozpaczliwie wytrzeszczał na Maksyma przerażone, ogłupiałe ze zdumienia oczy. Trwało to kilka minut: Maksym i Gaj patrzyli na siebie, a Rada płakała.

--- Massaraksz - powiedział wreszcie bezradnie Gaj. - Żyjesz?... Nie zabili cię?

--- Witaj, przyjacielu - powiedział Maksym. - Szkoda, że jesteś w domu. Nie chciałem ci zaszkodzić. Jeżeli chcesz, natychmiast sobie pójde.

Rada momentalnie wczepiła się w jego rękę.

--- Nig-dy! - powiedziała zdławionym głosem. - Za żadną cenę! Nigdzie nie pójdziesz. Niech spróbują... Wtedy i ja również...

Gaj odrzucił koc, spuścił nogi z kanapy i podszedł do Maksyma. Dotknął jego ramion i rąk, wybrudził się smarem, wytarł sobie czoło i czoło sobie też ubrudził.

--- Nic nie rozumiem - powiedział żałośnie. - Żyjesz... Skąd się wzięłeś? Rada, przestań ryczeć. Nie jesteś ranny? Okropnie wyglądasz. I ta krew...

--- To nie moja - powiedział Maksym.

--- Nic nie rozumiem - powtórzył Gaj. - Żyjesz! Rada, zagrzej wody! Obudź staruszka, niech da wódki...

--- Cicho - powiedział Maksym. - Nie hałasujcie. Jestem ścigany.

--- Przez kogo? Dlaczego? Co za głupstwa... Rada, pozwól mu się przebrać! Mak, siadaj, siadaj... A może wolisz się położyć? Jak to się stało?

Maksym ostrożnie usiadł na brzeżku krzesła, położył ręce na kolanach, żeby niczego nie zabrudzić i patrząc na tę dwójkę, po raz ostatni patrząc na nich jak na swoich przyjaciół, odczuwając nawet coś w rodzaju

ciekawości, co też się stanie za chwilę, powiedział:

--- Jestem teraz zbrodniarzem stanu, moi drodzy. Dopiero co wysadziłem wieżę.

Zrozumieli od razu, natychmiast pojęli, o jakiej wieży mowa i o nic nie zapytali. Rada tylko zacisnęła dłonie nie odrywając od niego wzroku, a Gaj stęknął, podrapał się obiema rękami w czuprynę i odwracając oczy powiedział ze złością:

--- Bałwan! Znaczy, żeś się postanowił zemścić... Na kim się mścisz? Ech, ty! Jakaś był wariatem, tak i zostałeś. Zupełnie jak dziecko... No dobra. Nic nie mówiłeś, my niczego nie słyszeliśmy. Dobra... Nic nie chcę wiedzieć. Rada, idź grzać wodę. Rozbieraj się! - powiedział do Maksyma srogim tonem. - Upaprąłeś się jak nieboskie stworzenie. Gdzie też cię diabli nosili...

Maksym wstał i zaczął się rozbierać. Zrzucił brudną i mokrą bluzę (Gaj zobaczył blizny po kulach i głośno przełknął ślinę), ze wstrętem ściągnął okropnie uwalane spodnie i buty. Cała odzież była pokryta czarnymi plamami i wyzwoliwszy się z niej Maksym poczuł ulgę.

--- Zrobione - powiedział i znowu usiadł. - Dziękuję, Gaj. Ja tu na krótko, tylko do rana, a potem pójdę...

--- Dozorca cię widział? - zapytał ponuro Gaj.

--- Spał.

--- Spał... - powtórzył Gaj z powątpiewaniem. - Wiesz, że on... Może zresztą i spał. Musi przecież w końcu kiedyś spać.

--- Dlaczego jesteś w domu? - powiedział Maksym. - Cały legion pewnie jest teraz za miastem...

--- Już nie jestem legionistą - powiedział Gaj z krzywym uśmiechem. - Wygnali mnie z legionu, Mak. Jestem teraz zwyczajnym kapralem w armii, uczę wsiowych kołków, która noga jest lewa, a która prawa. Nauczę i na chontyjską granicę, do okopów... Tak to wyglądają moje sprawy, Mak.

--- To przeze mnie? - zapytał cicho Maksym.

--- Jak by ci to powiedzieć... Właściwie tak.

Popatrzyli na siebie i Gaj odwrócił oczy. Maksym nagle pomyślał, że gdyby Gaj teraz go wydał, to pewnie by wrócił do legionu i do swojej zaocznej szkoły oficerskiej. Pomyślał też, że jakieś dwa miesiące temu podobna myśl nie mogłaby mu przyjść do głowy. Zrobiło mu się nieprzyjemnie, zapragnął wyjść, zaraz, natychmiast, ale wtedy wróciła Rada i zawołała go do łazienki. Zanim się umył, Rada przygotowała posiłek i zaparzyła herbatę. Gaj w tym czasie siedział na tym samym miejscu z głową opartą na pięściach i z rozpaczą na twarzy. O nic nie pytał, pewnie bał się usłyszeć coś strasznego, coś takiego, co skruszy ostatnią linię jego obrony i przetnie ostatnie nitki łączące go jeszcze z Maksymem. Rada też o nic nie pytała, pewnie nawet o tym nie pomyślała, tylko po prostu nie spuszczała z niego wzroku, nie wypuszczała jego ręki i czasami pochlipywała. Bała się, że ukochany człowiek nagle zniknie. Wówczas Maksym - czasu było mało - odsunął nie dopitą filiżankę i sam zaczął opowiadać o wszystkim.

Opowiedział o tym, jak pomogła mu matka zbrodniarki stanu; jak zetknął się z wyrodkami; kim są wyrodki w rzeczywistości, dlaczego są wyrodkami i co to są wieże, jaki to szatański i wstrętny wymysł. Opowiedział o tym, co się stało dzisiejszej nocy, jak ludzie biegli pod ogień cekaemu i umierali, jeden za drugim, jak runęła ta potworna bryła mokrego żelastwa i jak niósł martwą kobietę, której zabrano dziecko i zabito męża...

Rada słuchała chciwie. Gaj też się w końcu zainteresował, zaczął nawet zadawać pytania, złośliwe, złe pytania, głupie i okrutne. Mak zrozumiał, że niczemu nie wierzy, że wszystko odskakuje od jego świadomości, niczym woda od tłuszczu, że mu nieprzyjemnie tego słuchać i że z trudem powstrzymuje się, żeby nie nakrzyczeć na Maksyma. Kiedy zaś Maksym skończył opowiadać, powiedział z niedobrym uśmiechem:

--- Zgrabnie cię owinęli dokoła palca.

Maksym popatrzył na Radę, ale ona odwróciła oczy i przygryzając wargi powiedziała niepewnie:

--- Nie wiem... To oczywiście możliwe, że była taka jedna wieża... Rozumiesz, Mak, tego, o czym opowiadasz, po prostu nie może być.

Mówiła zamierającym, cichym głosem, najwyraźniej starała się nie obrazić go, prosząco zaglądała w oczy i gładziła po ramieniu. Gaj nagle wpadł w pasję i zaczął mówić, że to głupota, że Maksym po prostu nie wyobraża sobie, ile tych wież stoi w całym kraju, ile się ich buduje co roku, każdego dnia i że to przecież niemożliwe, żeby te miliardy nasze biedne państwo wydawało jedynie po to, aby dwa razy dziennie sprawić przykrość żalostnej garstce potworków, którzy są kroplą w morzu narodu.

--- Sama ochrona, ile kosztuje - dorzucił po pauzie.

--- Myślałem o tym - powiedział Maksym. - Pewnie rzeczywiście wszystko nie jest takie proste. Ale chontyjskie pieniądze nie mają z tym nic wspólnego. Sam zresztą widziałem, że jak tylko wieża runęła, wszystkim im ulżyło. A co się tyczy OPB... Zrozum, Gaj, że dla celów obrony przeciwlotniczej wież jest zbyt wiele. Aby objąć całą przestrzeń powietrzną, trzeba ich znacznie mniej... Po co zresztą OPB na południowej granicy? Czyżby dzikie wyrodki miały broń batalistyczną?

--- Tam jest wiele różnych rzeczy - powiedział Gaj ze złością. - Nic nie wiesz i wszystkiemu wierzysz.

Przepraszam cię, Mak, ale gdybyś to nie był ty... - Wszyscy jesteśmy zbyt łatwowierni - dorzucił z goryczą.

Maksymowi nie chciało się więcej dyskutować i w ogóle mówić na ten temat. Zaczął więc pytać, co u nich słychać, gdzie pracuje Rada, jak wujaszek i sąsiedzi. Rada ożywiła się, zaczęła opowiadać, potem coś sobie przypomniała, zebrała brudne naczynia i poszła do kuchni.

Gaj chmurnie patrzył na ciemne okno, a później widocznie zdecydował się i zaczął poważną, męską

rozmowę.

--- Lubimy cię - powiedział. - Ja cię lubię i Rada cię lubi, chociaż jesteś jakiś niespokojny i wszystko przez ciebie idzie nie tak, jak trzeba. Ale chodzi o to, że Rada nie tylko zwyczajnie cię lubi, ale jak by ci tu... Zresztą sam rozumiesz... Krótko mówiąc, podobasz się jej i przez cały ten czas płakała, a pierwszy tydzień nawet przechorowała. To dobra dziewczyna, gospodarna, wielu mężczyznom się podoba i nie ma w tym nic dziwnego... Nie wiem, co ty na to, ale wiesz, co bym ci poradził? Daj spokój tym wszystkim historiom, to nie dla ciebie, nie na twój rozum. Omotają cię, zginiesz sam, wielu ludziom życie złamiesz i po co ci to wszystko? Jedź lepiej z powrotem w swoje góry i znajdź swoich; jak głową nie przypominisz, to serce ci podpowie, gdzie twoja ojczyzna. Szukać cię tam nikt nie będzie, ułożysz sobie życie i wtedy przyjedziesz, zabierzesz Radę i będzie wam dobrze. A może my do tego czasu skończymy wreszcie z Chontyjczykami, nastanie w końcu pokój i też będziemy żyć jak ludzie...

Maksym słuchał go i myślał, że gdyby rzeczywiście był góralem, to pewnie by tak postąpił: wróciłby w rodzinne strony i żył spokojnie z młodą żoną, zapomniałby o tych wszystkich okropnościach i komplikacjach. Nie, nie zapomniałby, lecz zorganizował taką obronę, że urzędnicy Płomiennych baliby się tam pokazać, a gdyby pojawili się legioniści, walczyłby z nimi do ostatka broniąc własnego progę. Ale nie jest góralem, w górach nie ma czego szukać, a jego Sprawa jest tutaj... Rada? Jeżeli Rada rzeczywiście kocha, to zrozumie. Powinna zrozumieć...

Zamyślił się i nie od razu wyczuł, że w domu coś się zmieniło. Ktoś skradał się korytarzem, ktoś szeptał za ścianą i nagle w przedsiönku zaczęła się jakaś szamotanina, Rada rozpaczliwie krzyknęła: "Mak!..." i od razu zamilkła, jakby jej ktoś zatkał usta. Poderwał się i rzucił do okna, ale drzwi otworzyły się gwałtownie i na progu pojawiła się Rada bez kropli krwi w twarzy. Zapachniało znajomym odorem koszar, załomotały, teraz już otwarcie, podkute buty. Radę wepchnięto do pokoju, a za nią wpadli ludzie w czarnych kombinezonach. Pandi z wykrzywioną wściekle twarzą wycelował w niego automat, a sprytny jak zwykle i jak zwykle przewidujący rotmistrz Czaczur stał obok Rady z lufą pistoletu przyłożoną do jej boku.

--- Nie ruszaj się! - zakrakał. - Jeden ruch i strzelam!

Maksym znieruchomiał. Nie mógł nic zrobić, potrzebował co najmniej dwóch dziesiątych sekundy, może półtorej, ale temu mordercy wystarczyłoby jedna dziesiąta.

--- Ręce do przodu! - krakał rotmistrz. - Kapralu, kajdanki! Podwójne kajdanki! Zwijaj się, massaraksz! Pandi, którego Maksym na zajęciach wielokrotnie przerzucał przez głowę, zbliżył się do niego z wielką ostrożnością odpinając od pasa ciężki łańcuch. Wściekłość na jego twarzy ustąpiła miejsca zatroskaniu.

--- Uważaj - powiedział do Maksyma. - Jeżeli co, to pan rotmistrz ją od razu...

Zatrzasnął stalowe bransoletki na jego przegubach, przykucnął i skuł Maksymowi nogi. Maksym uśmiechnął się w duchu. Wiedział, co będzie teraz robił. Ale nie docenił rotmistrza. Rotmistrz nie zwołał Rady. Wszyscy razem zeszli po schodach, razem weszli do ciężarówki, a rotmistrz ani na chwilę nie odjął pistoletu. Później do ciężarówki wrzucono skutego Gaja. Do świtu było jeszcze daleko, nadal siał deszcz, rozmyte latarnie ledwie oświetlały moką ulicę. Legioniści siadali z łoskotem na ławkach, ogromne mokre psy w milczeniu ciągnęły smycze, a gdy je karcono, nerwowo, skamlająco ziewały. W bramie stał oparty o futrynę dozorca z rękami złożonymi na brzuchu. Drzemał.

Rozdział XII

Prokurator generalny odchylił się na oparcie fotela, wrzucił do ust kilka suszonych jagód, pogryzł je i popił łykiem leczniczej wody. Zmrużył powieki, przycisnął zmęczone oczy palcami i zaczął nasłuchiwać. Na wieleś metrów dokoła panował całkowity porządek. Gmach Pałacu Sprawiedliwości był pusty, w okna monotonna bębnił deszcz, nie wyły syreny, nie piszczały hamulce, nie stukały i nie brzęczały windy. Nie było w nim nikogo, jedynie za wysokimi drzwiami siedział cicho, jak mysz pod miotłą, nocny referent gotowy wykonać każdy rozkaz. Prokurator wolno rozchylił powieki i przez wirujące kolorowe plamy popatrzył na zrobiony na specjalne zamówienie fotel dla petentów. Fotel trzeba będzie wziąć ze sobą... Biurko też trzeba będzie wziąć, przyzwyczałem się do niego. A jednak będzie mi chyba żal stąd odchodzić, nieźle sobie to miejsce przez dziesięć lat wygrzałem. Czemu zresztą mam odchodzić? Człowiek to jednak dziwne stworzenie: jeżeli widzi przed sobą drabinę, to musi koniecznie wdrapać się na sam szczyt. Na szczycie jest zimno, panują szkodliwe dla zdrowia przeciągi, szczeble są śliskie i niebezpieczne, upadek z nich grozi śmiercią. Każdy o tym doskonale wie, a jednak wdrapuje się, gramoli z językiem wywieszonym na brodę. Wdrapuje się wbrew sytuacji, wbrew własnym instyktom, zdrowemu rozsądkowi i przeczuciom. Gramoli się, gramoli i gramoli... Ten, który nie wdrapuje się do góry, pozostaje na dole, to fakt. Ale i ten, który wspina się ku górze, również spada na dół...

Pisk wewnętrznego telefonu przerwał mu te rozmyślenia. Wziął słuchawkę i marszcząc brwi powiedział z niezadowolaniem:

--- O co chodzi? Jestem zajęty!

--- Wasza ekscelencjo - zaszeleścił referent. - Jakiś człowiek, który przedstawił się jako Wędrowiec, jest na "szarej" linii i domaga się rozmowy z waszą...

--- Wędrowiec - prokurator ożywił się. - Łączyć!

W słuchawce szcęknęło, referent zaszeleścił: "Jego ekscelencja słucha pana". Znowu szcęknęło i znajomy głos powiedział twardo, po chontyjsku wymawiając zgłoski:

--- Mądrala? Witaj. Bardzo jesteś zajęty?

--- Dla ciebie nie.

--- Muszę z tobą porozmawiać.

--- Kiedy?

--- Teraz, jeżeli można.

--- Jestem do twojej dyspozycji - powiedział prokurator. - Przyjeżdżaj.

--- Będę za dziesięć, piętnaście minut.

Prokurator odłożył słuchawkę i przez kilka chwil siedział nieruchomo, poszczypując dolną wargę. Zjawiłeś się, przyjacielu - pomyślał. - Znów jak grom z jasnego nieba. Massaraksz, ile to pieniędzy wydałem na tego człowieka! Znacznie więcej niż na wszystkich pozostałych razem wziętych, a wiem tylko tyle, ile wszyscy inni wzięci osobno. Niebezpieczny facet. Z nim nigdy nic nie wiadomo. Zepsuł mi nastrój. Prokurator popatrzył gniewnie na papiery rozrzucone na biurku, niedbale zgarnął je na stos i wsunął do szuflady. Ile czasu go nie było? No tak, dwa miesiące. Jak zawsze. Zniknął nie wiadomo gdzie, dwa miesiące żadnych informacji i masz, jak diablik ze szkatułki. Nie, z tym diablikiem trzeba coś zrobić, tak pracować nie wolno. No dobrze, a czego on ode mnie potrzebuje? Co się właściwie w ciągu tych dwóch miesięcy wydarzyło? Zeżarli Spryciarza. Wątpię, aby go to interesowało. Spryciarzem pogardzał. Zresztą on gardzi wszystkimi... W jego parafii nic się nie działo, a gdyby nawet, to nie zawracałby mi tym głowy, tylko od razu poszedłby do Barona albo do Kanclerza... Może wyniuchał coś ciekawego i chce przystąpić do spółki? Daj Boże, daj Boże... Ale ja na jego miejscu z nikim bym spółek nie zawiązywał... Może jakiś proces? Nie, co tu ma do rzeczy jakiś proces... A zresztą nie będziemy wróżyć, lepiej przedsięwzięmy odpowiednie kroki...

Wysunął ukrytą szufladę i włączył wszystkie fonografy i zamaskowane kamery. Tę scenę zachowamy dla potomności. No, gdzie jesteś, Wędrowcze? Aż się spocił z podniecenia i zaczął się trząść jak w febrze. Aby się uspokoić, wrzucił do ust kilka jagód, pogryzł je i połknął, zamknął oczy i zaczął liczyć w pamięci. Kiedy doliczył do siedmiuset, drzwi się otworzyły i do gabinetu, odsuwając na bok referenta, wszedł ten drażał, ten ponury żartowniś, ta nadzieja Chorążych, zniechęcony i uwielbiany, nieustannie wiszący na włosku i nigdy nie spadający, chudy, przygarbiony, z okrągłymi zielonymi oczami i wielkimi, odstającymi uszami, ubrany w swą odwieczną zabawną kurtkę, łysy jak kolano, czarodziej, rządca dusz, pożeracz miliardów.

--- Cześć, Wędrowcze - przywitał go prokurator. - Przyszedłeś pochwalić się?

--- Czym? - zapytał Wędrowiec zapadając we wszystkim znany fotel i niezręcznie zadzierając kolana. - Massaraksz! Ciągłe zapominam o tym diabelskim urządzeniu. Kiedy przestaniesz znęcać się nad interesantami?

--- Interesantowi powinno być niewygodnie - powiedział prokurator pouczającym tonem. - Interesant powinien być śmieszny, bo w przeciwnym razie, jaki bym miał z niego profit? Choćby teraz. Patrzę na ciebie i jest mi wesoło. --- Tak. Wiem, że jesteś wesołym człowiekiem - powiedział Wędrowiec. - Ale twoje dowcipy nie są najwyższej próby. A propos, możesz już usiąść.

Prokurator dopiero teraz spostrzegł, że ciągle jeszcze stoi. Wędrowiec jak zwykle natychmiast wyrównał rachunek. Prokurator usadowił się wygodnie i łyknął odrobinę leczniczego świństwa.

--- No więc? - zapytał.

Wędrowiec od razu przeszedł do sprawy.

--- Masz w pazurach - powiedział rzeczowo - człowieka, który jest mi potrzebny. Niejaki Mak Sym. Wpakowałeś go na katorgę. Pamiętasz?

--- Nie - odpowiedział prokurator szczerze. Odczuł pewnego rodzaju rozczarowanie. - A kiedy go zapuszkowałem? Za co?

Niedawno, za wysadzenie wieży.

--- Coś sobie przypominam. No i co?

--- To wszystko - powiedział Wędrowiec. - On mi jest potrzebny.

--- Poczekaj! - powiedział prokurator z niezadowolaniem. - Proces prowadził ktoś inny, nie mogę zresztą pamiętać każdego skazańca.

--- A ja myślałem, że to wszystko twoi ludzie - powiedział Wędrowiec.

--- Tam był tylko jeden mój człowiek, pozostali byli prawdziwi... Jak mówisz, on się nazywa?

--- Mak Sym.

--- Mak Sym... - powtórzył prokurator. - Aha! Ten góralski szpieg. Pamiętam. Tam była jakaś dziwna historia. Rozstrzelali go, ale niedokładnie...

--- Zdaje się, że tak.

--- Jakiś niezwykle siłacz... Tak, referowano mi tę sprawę. A do czego ci on potrzebny?

--- To mutant - powiedział Wędrowiec. - Ma bardzo interesujące mentogramy.

--- Będziesz go kroił?

--- Możliwe. Moi ludzie już dawno go wyniuchali, kiedy go jeszcze wykorzystywano w Studiu Specjalnym, ale potem im uciekł.

Kompletnie rozczarowany prokurator napchał sobie usta jagodami.

--- Dobra - powiedział żując leniwie. - No, a jak tobie w ogóle leci?

--- Doskonale, jak zawsze - odpowiedział Wędrowiec. - Tobie, jak słyszałem, również. Wygryzłeś jednak Histeryka. Gratuluję. Kiedy więc dostanę swojego Maka?

--- Jutro wyślę depeszę, a dostarczą go za jakieś pięć, siedem dni.

--- Czyżby za darmo? - zapytał Wędrowiec.

--- Uprzejmość - odparł prokurator. - A co mi możesz zaproponować?

--- Pierwszy hełm ochronny.

Prokurator uśmiechnął się.

--- I Wszzechświatłość na dodatek - powiedział. - Muszę ci jednak powiedzieć, że pierwszego hełmu nie potrzebuję. Chcę mieć jedyny... A propos, czy to prawda, że twojej bandzie polecono zbudować emiter kierunkowy?

--- Możliwe - powiedział Wędrowiec.

--- Słuchaj! Na diabła to nam potrzebne? Mało mamy kłopotów? Może byś przyhamował tę robotę, co? Wędrowiec wyszczerzył zęby.

--- Boisz się, Mądrało? - zapytał.

--- Boję się - powiedział prokurator. - A ty się nie boisz? Albo sądzisz może, że Baron ci zaprzysiągł wieczną miłość? Przecież on cię twoim własnym emiterem... To jasne jak dzień!

Wędrowiec znów wyszczerzył zęby.

--- Przekonałeś mnie - powiedział. - Dogadaliśmy się... - Wstał. - Idę teraz do Kanclerza. Coś przekazać?

--- Kanclerz się na mnie gniewa - powiedział prokurator. - Bardzo mi z tego powodu przykro.

--- Dobrze - powiedział Wędrowiec. - Powtórzę mu to.

--- Żarty żartami - powiedział prokurator - ale gdybyś szepnął słówko w mojej obronie...

--- Mądrała z ciebie - powiedział Wędrowiec głosem Kanclerza. - Spróbuję.

--- A czy przynajmniej z procesów jest zadowolony?

--- Skąd mogę wiedzieć? Dopiero co przyjechałem.

--- No to spróbuj się dowiedzieć... A co do twojego... Jak on tam się nazywa? Już zapisuję...

--- Mak Sym.

--- Tak... Zaraz jutro wyślę.

--- Bądź zdrow - powiedział Wędrowiec i wyszedł.

Prokurator chmurnie popatrzył za nim. Tak, można tylko pozazdrościć. Niezła pozycja: jedyny, od którego zależy ochrona. Teraz za późno żałować, ale chyba warto się było z nim zaprzyjaźnić. Ale jak się z nim zaprzyjaźnić? Niczego nie potrzebuje, bo i tak jest najważniejszy. Wszyscy od niego zależymy, wszyscy modlimy się do niego... Ach, jakby to było cudownie chwycić takiego człowieka za gardło! A tu masz! Potrzebuje jakiegoś katorżnika... Wielki mi skarb! Ma ciekawe mentogramy... Jeśli chodzi o ścisłość, to ten katorżnik jest górale, a Kanclerz ostatnio często mówi o górach. Może warto się nim zająć? Nie wiadomo jeszcze, co tam z wojną wyjdzie, a co Kanclerz to Kanclerz... Massaraksz, dziś i tak już nie będzie można pracować!... Powiedział do mikrofonu:

--- Koch, co tam masz o skazańcu Symie? - Nagle sobie przypomniał. - Zdaje się, że zestawiałeś jakąś kompilację?

--- Tak jest, wasza ekscelencjo - zaszeleścił referent. - Miałem zaszczyt zwrócić uwagę waszej...

--- Daj mi to i przynieś jeszcze wody.

Odłożył słuchawkę i natychmiast w drzwiach pojawił się referent, bezszelestny jak cień. Na prokurator'skim biurku zjawiła się gruba teczka, cichutko brzęknęło szkło, zabulgotała woda i obok teczki wyrosła napełniona szklanka. Prokurator upił łyk wody i zaczął oglądać teczkę.

"Wyciąg ze sprawy Maka Syma (Maksyma Kammerera). Przygotował referent Koch". Jaka gruba, ładny mi wyciąg... Otworzył teczkę i wziął do ręki pierwszy plik kartek.

Zeświadczenie rotmistrza Toota... Zeświadczenia oskarżonego Gaala... Szkic jakiegoś nadgranicznego rejonu na południu... "Innej odzieży nie miał. Jego mowa wydała mi się artykułowana, ale całkowicie niezrozumiała. Próby rozmowy po chontyjsku nie doprowadziły do niczego..." Domorosły pograniczny detektyw! Chontyjski szpieg na południowej granicy!... "Rysunki wykonane przez zatrzymanego wydały mi się nader zręczne i zadziwiające..." No, na południu jest wiele zadziwiających rzeczy. Niestety, okoliczności, w których ten Sym się pojawił, niezbyt odbiegają od tamtejszej normy. Chociaż... Ale patrzmy dalej.

Prokurator odłożył teczkę, wybrał dwie większe jagody, włożył je do ust i wziął następny arkusz. "Wyniki komisyjnej ekspertyzy przeprowadzonej w Instytucie Tkanin i Odzieży..." "Komisja..." Hm... Tak... Tak... "Po zbadaniu wszystkimi dostępnymi nam metodami laboratoryjnymi części odzieży nadesłanej z Departamentu Sprawiedliwości..." Co za język!... "...doszliśmy do następujących wniosków: 1. Wspomniany przedmiot (krótkie spodnie rozmiaru czwartego, tęgości drugiej) może być noszony zarówno przez mężczyznę, jak i przez kobietę. 2. Krój spodniek nie odpowiada żadnej normie i właściwie nie może być nazwany krojem, ponieważ spodniek nie zostały uszyte, lecz sporządzone jakimś nie znanym nam sposobem. 3. Spodniek wykonane są z miękkiej, elastycznej tkaniny koloru srebrzystego, której właściwie nie można nazwać tkaniną, gdyż nawet badania mikroskopowe nie doprowadziły do wykrycia struktury tego materiału. Tworzywo to jest niepalne, niezwilżalne i niebywale wytrzymałe na rozerwanie. Analiza chemiczna..." Dziwne spodnie. To chyba jego spodnie... Prokurator wziął ostro zatemperowany ołówek i napisał na marginesie: "Do referenta. Dlaczego nie ma komentarza? Czyje spodnie? Skąd te spodnie?" Tak... A wnioski? Wzory... Znowu wzory... Massaraksz, znowu wzory!... Aha! "...technologia nie jest znana w naszym kraju ani w innych cywilizowanych państwach (według danych przedwojennych)".

Prokurator odłożył ekspertyzę. No, spodnie... To nic nie znaczy. Spodnie to spodnie. Co tam jest dalej?

"Protokół badania lekarskiego". Ciekawe. Takie płuca, to rozumiem!... Co-o? Ślady czterech śmiertelnych ran? Tego już za wiele. Aha... "Patrz zeznania świadka Czaczu i oskarżonego Gaala". Jednak siedem pocisków! Hm... Pewna niezgodność: Czaczu utrzymuje, że działał w obronie własnej pod groźbą śmierci, ten Gaal natomiast zeznaje, że Sym jakoby chciał tylko odebrać rotmistrzowi pistolet. No, to już nie jest moja sprawa... Dwie kule w wątrobie, to za wiele jak na normalnego człowieka... Taak, zwija monety w rurkę... Potrafi biec z człowiekiem na plecach. Aha, to już czytałem. Pamiętam, że w tym miejscu pomyślałem: chłopak jest wyjątkowo silny, a tacy zwykle nie grzeszą nadmiarem rozumu. Dalej już nie czytałem. A to co? Aaa, stary znajomy... "Wyciąg z raportu agenta numer 711". "...zupełnie dokładnie widzi w ciemności (rozdziela przedmioty, widzi wyraz twarzy z odległości do dziesięciu metrów), może czytać w deszczową noc... ma bardzo czuły węch i smak: rozróżniał członków grupy po zapachu z odległości pięćdziesięciu metrów, rozpoznawał o zakład napoje w dokładnie zakorkowanych naczyniach... określa strony świata bez kompasu... podaje z wielką dokładnością czas bez zegarka... miało miejsce następujące zdarzenie: ugotowano rybę, której nie pozwolił nam jeść, twierdząc, że jest radioaktywna. Po sprawdzeniu radiometrem rzeczywiście okazała się promieniotwórcza. Zwracam uwagę na fakt, że on sam tę rybę spożył, mówiąc, że mu nie zaszkodzi. Rzeczywiście nie zaszkodziła, chociaż natężenie promieniowania przekraczało trzykrotnie dopuszczalną dawkę (prawie 77 jednostek)..."

Prokurator odchylił się w fotelu. Nie, tego już za wiele. Może on jeszcze w dodatku jest nieśmiertelny? Tak, to dla Wędrowca może być interesujące. Zobaczmy, co tam jest dalej. O! Mocny dokument. "Świadectwo Komisji Specjalnej Departamentu Zdrowia Publicznego. Materiał: Mak Sym. Brak reakcji na białe promieniowanie. Brak przeciwwskazań do służby w jednostkach specjalnych". Aha... To z czasów, kiedy wstępował do legionu. Białe promieniowanie, massaraksz... Piekielni oprawcy... A to ich ekspertyza dla władz śledczych... "Poddawany działaniu białego promieniowania o różnych natężeniach, z maksymalnym włączeniem, nie wykazywał żadnej reakcji. Reakcja na promieniowanie A zerowa w obu znaczeniach. Reakcja na promieniowanie B zerowa. Uwaga specjalna: uważamy za swój obowiązek dodać, że dany materiał (Mak Sym, około 20 lat) stanowi zagrożenie ze względu na prawdopodobne następstwa genetyczne. Zaleca się całkowitą sterylizację lub unicestwienie"... Fiuuu! Ci się nie patyczkują. Kto tam u nich siedzi? Aha, Amator. Tak, ten nie ma poczucia humoru. Konik-Wesołek opowiadał jakiś dobry dowcip na jego temat... Massaraksz, nie pamiętam co. Jak to dobrze, że nikogo tu nie ma. Zjemy sobie jagódkę, wodą popijemy. Co za paskudztwo! Ale podobno pomaga... No dobra... Co dalej?

Oho, on i tam już zdążył być! No, no, no... Pewnie znowu zerowa reakcja. "Podejrzany Sym poddany forsownym badaniom odmówił zeznań. Zgodnie z paragrafem 12 zabraniającym zadawania widocznych uszkodzeń fizycznym badanym, którzy mają wystąpić na publicznym procesie sądowym, zastosowano jedynie: A. Iglochirurgię łącznie z głębokim przeniknięciem do węzłów nerwowych (reakcja paradoksalna, forsowany zasypia). B. Obróbkę chemiczną węzłów nerwowych alkaloidami i zasadami (reakcja analogiczna). C. Komorę świetlną (brak reakcji, forsowany jest zdziwiony). D. Komorę parotermiczną (utrata wagi bez nieprzyjemnych odczuć). Na tym ostatnim stosowanie metod forsownych trzeba było przerwać". Brrrr!... Ależ dokument! Tak, Wędrowiec ma rację: to jakiś mutant. Normalni ludzie tego nie potrafią. Tak, słyszałem, że zdarzają się korzystne mutacje. Wprawdzie rzadko, ale się zdarzają. To wszystko tłumaczy... Poza spodniami, oczywiście. Spodnie, o ile mi wiadomo, nie mutują...

Wziął następną kartkę. To był nieciekawny świstek: zeznania dyrektora Studia Specjalnego przy Zarządzie Radia i Telewizji. Idiotyczna instytucja. Zapisują majaczenia różnych pomyślników i nadają dla rozrywki szacownej publiczności. To studio wymyślił chyba Klau-Oszust, który sam był trochę nie tego... Nigdy bym nie pomyślał!... Oszusta dawno już nie ma, a jego obłądny pomysł ciągle straszy... Z zeznań dyrektora wynikało, że Sym był wzorowym obiektem i że byłoby bardzo wskazane, aby odesłano go tam z powrotem... Stop, stop, stop! "Przekazany do dyspozycji Departamentu Badań Specjalnych na podstawie rozporządzenia numer... z dnia..." A oto samo rozporządzenie podpisane przez Fanka... Prokurator doznał jakby słabego olśnienia. Fank... Ty coś tutaj, Wędrowcze... Nie, nie będziemy wyciągać pochopnych wniosków. Policzył do trzydziestu, aby uspokoić się i wyjął z teczki następny dokument, a właściwie dosyć gruby plik dokumentów: "Wyciąg z protokołu Specjalnej Komisji Etnolingwistycznej zwołanej w celu sprawdzenia hipotezy o rzekomo góralskim pochodzeniu M. Syma".

Zaczął nieuważnie czytać, ciągle jeszcze myśląc o Fanku i Wędrowcu, ale nieoczekiwanie dla samego siebie zainteresował się treścią dokumentu. To było bardzo ciekawe opracowanie, łączące w jedną całość i omawiające wszystkie donosy, zeznania i relacje, w ten czy inny sposób dotyczące problemu pochodzenia Maka Syma. Były tam również dane antropologiczne, etnograficzne i lingwistyczne oraz ich analiza; były także wyniki analizy fonogramów, mentogramów i własnoręcznych rysunków podejrzanego. Wszystko to czytało się jak pasjonującą powieść, chociaż wnioski komisji były skąpe i ostrożne. Komisja nie zaliczyła M. Syma do żadnej ze znanych grup etnicznych zamieszkujących kontynent. (Odrębnie przytoczono pogląd znanego paleoantropologa Szapszu, który dopatrywał się w czaszce podejrzanego wielkiego podobieństwa, lecz nie tożsamości z kopalną czaszką tak zwanego Człowieka Starożytnego, żyjącego na Archipelagu ponad sto pięćdziesiąt tysięcy lat temu). Komisja stwierdziła całkowitą normalność psychiczną podejrzanego w chwili badania, ale nie wykluczała, że w niedawnej przeszłości mógł on cierpieć na jedną z form amnezji połączonej z intensywnym rugowaniem właściwej pamięci przez pamięć rzekomą. Komisja dokonała analizy lingwistycznej fonogramów zachowanych w archiwum Studia Specjalnego i doszła do

wniosku, że język, którym w owym czasie mówił podejrzany, nie może być zaliczony do żadnej ze znanych grup językowych, tak żywych, jak i martwych. W związku z tym komisja nie wykluczała możliwości, że język ten mógł być płodem wyobraźni podejrzanego (tak zwany "rybi język"), tym bardziej iż według zapewnień podejrzanego obecnie tego języka nie pamięta. Komisja powstrzymuje się od kategoriycznych stwierdzeń, ale skłonna jest przypuszczać, że w wypadku M. Syma miała do czynienia z mutantem jakiegoś nieznanego dawniej typu... Dobre pomysły przychodzą mądrym ludziom do głowy jednocześnie - pomyślał z zazdrością prokurator i szybko przebiegł oczami "Votum separatum profesora Porrumowarrui". Profesor, góral z pochodzenia, przypomniał o istnieniu w głębi gór półlegendarnego kraju Zartak zamieszkałego przez plemię Ptaszników, które do tej pory pozostaje poza zasięgiem etnografii i któremu cywilizowani górale przypisują władanie siłami magicznymi i umiejętność latania bez pomocy aparatów. Według opowiadań Ptasznicy są nadzwyczaj rośli, ogromnie silni i wytrzymali. Mają również skórę o brązowozłotawym odcieniu. To wszystko w zastanawiający sposób zgadza się z cechami fizycznymi podejrzanego... Prokurator potrząsnął ołówkiem nad profesorem Porru... i tak dalej, a potem odłożył ołówek i powiedział na głos: "Do tej opinii nawet spodnie chyba pasują. Ognioodporne spodnie".

Zjadł jagodę i przejrzał następną kartę. "Wyciąg ze stenogramu procesu sądowego". Mm... A to po co? "Oskarżyciel: Nie zaprzeczy pan, że jest człowiekiem wykształconym? Oskarżony: Mam pewne wykształcenie, ale w historii, socjologii i ekonomii orientuję się bardzo słabo. Oskarżyciel: Fałszywa skromność. Czy zna pan tę książkę? Oskarżony: Tak. Oskarżyciel: Czytał ją pan? Oskarżony: Oczywiście. Oskarżyciel: W jakim celu pan, znajdując się w areszcie śledczym, zajmował się czytaniem monografii ĘRachunek tensorowy we współczesnej fizycet? Oskarżony: Nie rozumiem... Dla przyjemności, a ściślej mówiąc, aby się rozerwać... Tam są bardzo zabawne fragmenty. Oskarżyciel: Spodziewam się, że sąd zdaje sobie sprawę z tego, iż tylko bardzo wykształcony człowiek będzie czytał podobne specjalistyczne i trudne dzieła dla rozrywki i przyjemności..." Co za brednie? Po co mi to podtykają? A co dalej? Massaraksz, znowu proces... "Obrońca: Czy wie pan, jakie środki przeznaczają Płomienni Chorążowie na zwalczanie przestępczości dziecięcej? Oskarżony: Nie bardzo rozumiem pytanie. Co to jest Ęprzestępczość dziecięca? Przestępstwa przeciw dzieciom? Obrońca: Nie, przestępstwa dokonane przez dzieci. Oskarżony: Nadal nie rozumiem. Dzieci nie mogą dokonywać przestępstw..." Hm... Zabawne... A co tam jest na końcu? "Obrońca: Mam nadzieję, że zdołam przekonać sąd o naiwności mojego podopiecznego, naiwności dochodzącej do życiowego idiotyzmu. Klient mój występował przeciwko państwu nie mając o nim najmniejszego wyobrażenia. Nie zna pojęcia przestępczości dziecięcej, dobroczynności, pomocy społecznej..." Prokurator uśmiechnął się i odłożył kartkę. Rozumiem. Rzeczywiście dziwne połączenie: matematyka i fizyka dla przyjemności, a nie wie podstawowych rzeczy. Wypisz, wymaluj profesor- dziwak z trzeciorzędnej powieści. Prokurator przejrzał jeszcze kilka kartek. Nie rozumiem, Mak, czemu się tak trzymasz tej samiczki... Jak jej tam?... Rada Gaal. Kochanką swoją najwyraźniej nie jest, nic jej nie zawdzięczasz... Nie masz z nią nic wspólnego i dureń oskarżyciel zupełnie niepotrzebnie usiłuje zrobić ją w tę sprawę... Odnosi się jednak wrażenie, że trzymając ją na muszce można cię do wszystkiego zmusić. Bardzo to dla nas korzystne, a bardzo niekorzystne dla ciebie... Taak... Krótko mówiąc te wszystkie zeznania sprowadzają się do tego, że jesteś, przyjacielu, niewolnikiem własnego słowa i w ogóle człowiekiem nieelastycznym. Działaczem politycznym nie mógłbyś zostać. Zresztą po co? Hm... Fotografie... To ty taki jesteś!... Sympatyczna twarz, nawet bardzo... Oczy trochę dziwne. Gdzie to cię uwiecznili? Na ławie oskarżonych... Patrzcie no, jaki to świeży, dziarski, jaka niewymuszona poza! Gdzie cię to nauczyli tak wytwornie siedzieć i w ogóle tak się zachowywać? Przecież ława oskarżonych to coś w rodzaju mojego fotela, trudno na niej siedzieć elegancko i z wdziękiem... Ciekawy ludzik... Zresztą to wszystko drobiazgi bez znaczenia, nie o to wcale tu chodzi... Prokurator wygramolił się zza biurka i przeszedł się po gabinecie. Coś mu natrętnie łaskotało mózg, coś podniecało i popychało do działania. Coś w tej teczce znalazłem... Coś ważnego... Coś najważniejszego... Fank? Tak, to jest ważne, bo Wędrowiec używa swojego Fanka tylko do najtrudniejszych robót. Ale Fank jest tylko potwierdzeniem, a w czym leży sedno? Spodnie... Bzdura!... A! Tak, tak, tak. Tego w teczce nie ma. Wziął do ręki słuchawkę.

--- Koch. Co tam było z napadem na konwój?

--- Czternaście dni temu - zaszeleścił natychmiast referent, jakby czytał przygotowany uprzednio tekst - o godzinie siedemnastej trzydzieści trzy na karetki policyjne przewożące oskarżonych w procesie numer 6981-84 z gmachu sądu do więzienia miejskiego dokonano napadu zbrojnego. Napad został odparty. W strzelaninie jeden z napastników został ciężko ranny i zmarł nie odzyskując przytomności. Zwłok nie zidentyfikowano. Śledztwo w sprawie napadu umorzono.

--- Czyja to robota?

--- Nie udało się ustalić.

--- To znaczy?

--- Oficjalne podziemie nie miało z tym nic wspólnego.

--- Przypuszczenia?

--- Możliwe, że działali tam członkowie lewego skrzydła konspiracji, którzy próbowali uwolnić oskarżonego Deka Pottu, pseudo "General". Dek Pottu jest wpływowym, doświadczonym członkiem sztabu znanym ze ścisłych kontaktów z lewym skrzydłem.

Prokurator rzucił słuchawkę. No cóż, wszystko możliwe... Ale mogło być zupełnie inaczej. Przejrzyjmy

jeszcze raz. Południowa granica, debilny rotmistrz... Spodnie... Biegnie z człowiekiem na plecach... Radioaktywna ryba, 77 jednostek... Reakcja na promieniowanie A. "Reakcja na promieniowanie A zerowa w obu znaczeniach". Zerowa. W obu znaczeniach. Prokurator przycisnął ręką gwałtownie rozkołatane serce. Idiota! Zerowa w obu znaczeniach!!!

Znowu chwycił słuchawkę.

--- Koch! Natychmiast przygotować specjalnego kuriera z obstawą. Oddzielny wagon na południe... Nie! Moją elektrodreżynę... Massaraksz! - Pospiesznie wsunął rękę do szuflady i wyłączył wszystkie urządzenia rejestrujące. - Wykonać!

Ciągle jeszcze przyciskając lewą rękę do serca wydobyl z kasetki osobisty blankiet i zaczął szybko, lecz wyraźnie pisać na nim: "Sprawa państwowej wagi. Ścisłe tajne. Do gubernatora wojskowego Wydzielonego Okręgu Południowego. Do bezwłocznego i bezwarunkowego wykonania pod odpowiedzialnością osobistą. Doręczycielowi niniejszego pisma przekazać natychmiast skazanego na katorgę Maka Szyma, sprawa nr 6983. Od momentu przekazania uważać skazanego Maka Szyma za zaginionego bez wieści i na dowód tego umieścić w archiwach odpowiednie dokumenty. Prokurator generalny".

Chwycił drugi blankiet: "Dyspozycja. Rozkazuję wszystkim funkcjonariuszom administracji wojskowej, cywilnej i kolejowej udzielać okazicielowi tego dokumentu, specjalnemu kurierowi prokuratury generalnej i towarzyszącym mu konwojentom, wszelkiej niezbędnej pomocy według kategorii EXTRA. Prokurator generalny..."

Potem dopił wodę, nalał sobie następną szklankę i już wolno, pieczołowicie dobierając każde słowo zaczął pisać na trzecim blankiecie: "Drogi Wędrowcze! Wydarzyła się głupia historia. Dowiedziałem się przed chwilą, że interesujący cię materiał zaginął bez wieści, jak to często bywa w południowych dżunglach..."

Część czwarta

KATORŻNIK

Rozdział XIII

Wystrzał zdruzgotał mu gąsienicę. Po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat opuścił wyjeżdżone koleiny i wydzierając z jezdni odłamki betonu skręcił w gąszcz. Obrócił się wolno na miejscu, naparł szeroką maską na zarośla krzewów i odrzucając z głośnym chrzęstem drżące pnie drzew ukazał w końcu ogromną, brudną rufę z chwiejącym się na zardzewiałych nitach poskręcany arkuszem blachy. Wówczas Zef starannie i dokładnie, aby broń Boże nie zahaczyć kotła, wpakował mu pocisk kumulacyjny prosto w silnik, w mięśnie, ścięgna, zwoje nerwowe. Wtedy jęknął żelaznym głosem, wyrzucił ze stawów kłęb rozżarzonego dymu i zatrzymał się na zawsze. Ale coś jeszcze żyło w jego obrzydliwych trzewiach; ocalałe nerwy nadal posyłały jakieś sprzeczne sygnały; włączyły się i natychmiast wyłączyły układy awaryjne, które syczały i pluły pianą. Pancerny potwór jeszcze drgał jak stary paralityk; jeszcze ledwie poruszał ocalałą gąsienicą; jeszcze groźnie i bezsensownie, jak odwłok rozgniecionej osy, wznosiła się i opadała kratownica wyrzutni raketowej. Zef przez kilka sekund patrzył na tę agonię smoka, a potem odwrócił się i poszedł w las, ciągnąc za sobą na pasie granatnik. Maksym i Dzik ruszyli za nim. Przyszli na cichą polankę, którą Zef z pewnością zapamiętał sobie idąc w tę stronę, zwalili się na trawę i Zef powiedział: "Zapalimy".

Skręcił papierosa jednorękiemu, dał mu przypalić i zapalił sam. Maksym leżał z brodą opartą na rękach i przez rzadki lasek patrzył na ciągle jeszcze umierające monstrum, które żałośnie zgrzytało jakimiś ostatnimi trybami i ze świstem wyrzucało z rozdartych wnętrzości strumienie radioaktywnej pary.

--- Tak się robi i tylko tak - powiedział Zef mentorskim tonem. Jeżeli będziesz robił inaczej, to wytargam za uszy.

--- Dlaczego? - zapytał Maksym. - Chciałem go zatrzymać.

--- A dlatego - odpowiedział Zef - że granat mógł zrykoszetować i rąbnąć w raketę, a wtedy zostałyby z nas mokra plama.

--- Celowałem w gąsienicę - powiedział Maksym.

--- A trzeba celować w rufę! - uciął Zef i zaciągnął się papierosem. ---A w ogóle, dopóki jesteś nowicjuszem, nigdzie nie pchaj się pierwszy. Chyba, że cię o coś poproszę. Jasne?

--- Jasne - odparł Maksym.

Wszystkie te Zefowe subtelności go nie interesowały. Sam Zef też go zresztą nie bardzo interesował. Interesował go Dzik. Ale Dzik jak zwykle obojętnie milczał oparłszy sztuczną rękę na odrapanej osłonie wykrywacza min. Wszystko było jak zawsze i wszystko było nie tak, jakby chciał.

Kiedy tydzień temu nowo przybyłych katorżników ustawiono przed barakami, Zef podszedł prosto do Maksyma i wziął go do swego sto czternastego oddziału saperów. Maksym ucieszył się. Od razu rozpoznał tę ognistą brodę i krzepką, kwadratową figurę i było mu przyjemnie, że odkryto go w tym dławiącym kraciastym tłumie, gdzie wszyscy mieli w nosie wszystkich i nikt nikogo nie obchodził. Poza tym Maksym miał podstawy przypuszczać, że Zef, były słynny psychiatra Allu Zef, człowiek wykształcony i inteligentny nie miał nic wspólnego z tą półkryminalną tłuszcą; że znalazł się na katordze za politykę i jest w jakiś sposób związany z podziemiem. A kiedy Zef przyprowadził go do baraku i wskazał miejsce obok jednorękiego Dzika, Maksym pomyślał, że jego tutejsze losy ułożyły się bardzo pomyślnie. Ale wkrótce zrozumiał, iż się pomylił. Dzik nie chciał rozmawiać. Wysłuchał pospiesznie wyszeptanego opowiadania Maksyma o sprawach grupy, o wysadzeniu wieży, o procesie, a potem beznamytnie wymamrotał: "Nie takie rzeczy się zdarzają..." Ziewnął i odwrócił się plecami. Maksym poczuł się oszukany, a tu jeszcze na pryczę wgramolił

się Zef. "Nieźle się nażarłem" - z czkawką i mlaskaniem zakomunikował Maksymowi i bez żadnego przejścia, nachalnie, z prymitywną natarczywością zaczął wyciągać z niego nazwiska i adresy. Możliwe, że kiedyś był znakomitym uczonym, może, a nawet na pewno miał coś wspólnego z podziemiem, ale teraz czynił wrażenie zwyczajnego, obżartego prowokatora, który z braku lepszego zajęcia postanowił przed snem obrobić głupiego nowicjusza. Maksym pozbył się go nie bez trudu, a kiedy Zef nagle zachrapał jak syty i zadowolony wieprz, długo leżał bez snu i wspominał, ile to już razy oszukali go tu ludzie i zwiodły sytuacje. Nerwy zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa. Przypomnił sobie proces, obrzydliwy i zakłamanym, już wcześniej rozpisany na głosy, przygotowany, zanim jeszcze grupa dostała rozkaz napadu na wieżę i pisemne donosy jakiegoś bydlaka, który wiedział o grupie wszystko, a może nawet był jej członkiem. Przypomnił sobie film nakręcony z wieży w chwili napadu i swój wstyd, kiedy na ekranie rozpoznal siebie walącego z automatu w reflektory... Nie, w jupitery oświetlające scenę tego strasznego spektaklu... W zamkniętym na głucho baraku było okropnie duszno, gryzły pasożyty, katorżnicy bredzili przez sen, a w najdalszym kącie, przy płomyku świeczki własnej roboty różnili w karty i ochryple wrzeszczeli na siebie obozowi promineneci.

Następnego dnia oszukał Maksyma również i las. Nie można było zrobić w nim kroku, aby nie natknąć się na żelazo: na martwe, przerdzewiałe na wskroś żelastwo; na przyczajone żelastwo celujące z ukrycia i gotowe w każdej chwili zamordować; na poruszające się żelastwo, ślepo i bezsensownie rozorywające szczątki dróg. Ziemia i trawa cuchnęły rdzą, na dnie rozpadlin zbierały się radioaktywne bajorka, ptaki nie śpiewały, lecz ochryple wrzeszczały jak w przedśmiertelnej rozpacz. Zwierząt nie było, nie było nawet leśnej ciszy, bo co chwilę ze wszystkich stron rozlegał się łoskot i grzmot wybuchów, w gałęziach kłębiły się sinawe dymy, a porywy wiatru przynosiły jazgot rozklekotanych silników...

Popłynęło pseudożycie: dzień - noc, dzień - noc. Dniem szli do lasu, który nie był lasem, lecz starym pasem umocnień nafaszerowanym automatycznymi urządzeniami bojowymi, samobieżnymi działami, raketami na gaśnicach, miotaczami ognia i gazu. Wszystko to nie umarło w ciągu ponad dwudziestu lat; wszystko nadal żyło swym niepotrzebnym, mechanicznym życiem; wszystko nadal celowało i rzygało ogniem, ołowiem i śmiercią; wszystko to trzeba było zdławić, wysadzić w powietrze i unicestwić, aby oczyścić teren pod budowę nowych wież retransmisyjnych. Nocą Dzik po dawnemu milczał, a Zef ciągle od nowa zaczynał wypytywać i był prostolinijny aż do kretynizmu, to znów nad podziw chytry i zręczny. Była też prymitywna strawa, dziwne pieśni katorżników i legionistów bijący kogoś po twarzy. Dwa razy dziennie wszyscy w barakach lub w lesie skręcali się z bólu pod uderzeniem promieniowania i powieszeni uciekinierzy kotłowali się na wietrze...

Dzień i noc, dzień i noc...

--- Dlaczego pan go chciał zatrzymać? - zapytał nagle Dzik.

Maksym szybko usiadł. To było pierwsze pytanie, jakie zadał mu jednoręki.

--- Chciałem zobaczyć, jak jest zbudowany.

--- Zamierza pan uciekać?

Maksym zerknął na Zefa i powiedział:

--- Nie, wcale nie o to chodzi. Ciekaw jestem, to bądź co bądź skomplikowany pojazd bojowy...

--- A po co panu czołg? - zapytał Dzik. Mówił tak, jakby rudego prowokatora nie było.

--- Nie wiem - powiedział wolno Maksym. - Muszę się jeszcze nad tym zastanowić. Dużo tu ich jest?

--- Dużo - wtrącił się rudy prowokator. - Czołgów jest dużo i durniów też zawsze było pod dostatkiem. -

Ziewnął. - Wielu już próbowało. Wlezą, pogrzebią trochę i dadzą spokój. A jeden taki podobny do ciebie idiota to w ogóle wyleciał w powietrze.

--- Nie szkodzi, ja bym nie wyleciał - powiedział zimno Maksym. - To nie jest zbyt złożona konstrukcja.

--- Chciałbym jednak widzieć, po co on panu - powiedział jednoręki, który leżał na plecach i palił, trzymając skręta w palcach protezy. - Przypuśćmy, że zdoła go pan wyremontować. Co dalej?

--- Spróbuje przedrzeć się przez most! - zarechotał Zef.

--- Czemu nie? - zapytał Maksym. Nie miał zupełnie pojęcia, jak się właściwie zachować. Ten rudy chyba jednak nie jest prowokatorem. Massaraksz, dlaczego się nagle do mnie przyczepili?

--- Nie dotrze pan do mostu - powiedział jednoręki. - Zdadzą pana sto razy rozstrzelać. A jeżeli nawet dotrze pan, to zobaczy, że most jest podniesiony.

--- A po dnie rzeki?

--- Rzeka jest radioaktywna - powiedział Zef i splunął. - Gdyby to była przyzwoita rzeka, nie trzeba by żadnych czołgów. Można przepłynąć w dowolnym miejscu, brzegi nie są strzeżone. - Znowu splunął. - Zresztą wtedy byłyby strzeżone... Nie gorączkuj się więc młodzieńcze. Dostałeś się tu na długo i musisz się przystosować. Kiedy się przystosujesz, wtedy znajdzie się robota. A jeśli nie będziesz słuchał starszych, to jeszcze dzisiaj możesz skręcić kark.

--- Ucieczka nie jest trudna - powiedział Maksym. - Mógłbym uciec choćby zaraz...

--- Coś podobnego! - powiedział Zef z zachwytem w głosie.

--- ...i jeżeli macie zamiar bawić się nadal w konspirację... - ciągnął Maksym, demonstracyjnie zwracając się tylko do Dzika, ale Zef znowu mu przerwał:

--- Mam zamiar wykonać dzisiejszą normę - oświadczył podnosząc się z ziemi --- bo inaczej nie dadzą nam żyć. Idziemy!

Odszedł kaczym krokiem w kierunku lasu i Maksym zapytał jednorękiego:

--- Czyżby on był więźniem politycznym?

Jednoręki spojrział na niego uważnie i odrzekł:

--- Cóż za pomysł?!

Poszli za Zefem, starając się stawiać stopy w jego ślady. Maksym szedł z tyłu.

--- Za co więc siedzi?

--- Za nieprawidłowe przejście ulicy - odpowiedział Dzik i Maksym znów stracił ochotę do rozmowy.

Nie uszli nawet stu kroków, kiedy Zef zakomenderował: "Stój!" i zaczęła się robota. "Padnij!" - wrzasnął Zef. Rzucili się na ziemię, a grube drzewo przed nimi obróciło się z przeciągłym skrzypieniem, wysunęło z wnętrza cienką lufę armatnią i poruszyło nią na boki, jakby czegoś szukało. Później coś zabręczało, rozległ się trzask spłonki i z czarnej gardzieli działa leniwie wypełznął obłoczek żółtego dymu. "Zakisło" - powiedział Zef rzeczowo i podniósł się pierwszy otrzepując spodnie. Drzewo z armatą wysadzili w powietrze. Potem było pole minowe, później wzgórek-pułapka z cekaemem, który nie zakisł i długo przyciskał ich do ziemi hałasując na cały las. Następnie znaleźli się w prawdziwej dżungli drutów kolczastych, przedarli się przez nie z największym trudem, a kiedy byli już po drugiej stronie, otwarto do nich ogień gdzieś z góry. Wszystko dokoła wybuchło i płonęło. Maksym był zupełnie zdezorientowany, jednoręki spokojnie i bez słowa leżał twarzą do ziemi, a Zef walił z granatnika prosto w niebo i nagle wrzasnął: "Biegiem za mną!" - Pobiegli więc, a tam, gdzie przed chwilą leżeli, wybuchł pożar. Zef kłął najgorszymi słowami, a Dzik podśmiewał się z niego. Dotarli do gęstych zarośli, a tam nagle zaświszczało, zasapało i przez gałęzie zaczęły walić zielonkawe obłoki wstrętnie cuchnącego gazu. Znowu trzeba było biec, znowu przedzierać się przez gąszcz, Zef znowu kłął, a jednoręki wymiotował.

Wreszcie Zef zmęczył się i zarządził odpoczynek. Rozpalili ognisko i Maksym jako najmłodszy zabrał się do przyrządzania posiłku, którym była zupa z konserw gotowana w pamiętnym kociołku. Zef i jednoręki, usmoleni i obdarci, leżeli opodal i palili. Dzik wyglądał na bardzo zmęczonego. Był już stary i było mu trudniej niż pozostałym.

--- Nie mogę zrozumieć - powiedział Maksym - w jaki sposób zdołaliśmy przegrać wojnę przy takim zagęszczeniu sprzętu bojowego.

--- A kto ci powiedział, żeśmy ją przegrali? - zapytał leniwie Zef.

--- Przecież nie wygraliśmy - powiedział Maksym. - Zwycięzcy tak nie żyją.

--- We współczesnej wojnie nie ma zwycięzców - zauważył jednoręki. - Ma pan oczywiście rację. Wojnę przegraliśmy. Tę wojnę przegrali wszyscy. Wygrali tylko Płomienni Chorążowie.

--- Płomiennym Chorążym też nie jest lekko - powiedział Maksym mieszając polewkę.

--- Tak - powiedział poważnym tonem Zef. - Bezsenne noce i trudne rozmyślenia nad losem swego narodu... Zmęczeni i dobrzy, wszystkowiedzący i wszystkorozumiejący... Massaraksz, zapomniałem, jak tam dalej idzie, dawno gazet nie czytałem...

--- Wierni i dobrzy - poprawił jednoręki. - Poświęcający się bez reszty postępowi i walce z chaosem.

--- Odwykłem od takich słów - powiedział Zef. - My tu słyszymy raczej "pyskacz" i "morda"... Chłopak, jak ci tam...

--- Maksym.

--- Tak, racja... Mieszaj, mieszaj, Mak. Uważaj, żeby się nie przypaliło!

Maksym mieszał. Później Zef oświadczył, że już czas, że nie ma siły dłużej czekać. Zupę zjedli w całkowitym milczeniu. Maksym czuł jednak, że coś się zmieniło, że coś dzisiaj zostanie powiedziane. Ale po obiedzie jednoręki znowu się położył i zaczął patrzeć w niebo, Zef z nieartykułowanym pomrukiem zabrał kociołek i wytarł jego dno kawałkiem chleba. "Warto by coś ustrzelić... - mamrotał. - Żreć się chce, jakbym nic do pyska nie brał... Tylko apetyt sobie niepotrzebnie zaostrzyłem..." Maksym poczuł się niezręcznie i próbował nawiązać rozmowę o polowaniu w tych okolicach, ale bez skutku. Jednoręki leżał z zamkniętymi oczami i zdawał się spać. Zef wysłuchał do końca przemowy Maksyma i warknął tylko: "Jakie tu znów polowanie, wszystko zakażone, aktywne!..." - i również wyciągnął się na plecach.

Maksym westchnął, wziął kociołek i powłókł się do strumyka, który usłyszał w pobliżu. Woda w strumieniu była przezroczysta, wyglądała na smaczną i czystą. Maksym poczuł pragnienie i zaczerpnął ręką. Niestety, kociołka nie wolno było tu myć, pić też nie było warto: strumyk był wyraźnie radioaktywny. Maksym przykucnął, postawił kociołek obok siebie i zamyślił się.

Najpierw nie wiedząc czemu pomyślał o Radzie i o tym, jak zawsze sama myła naczynia po posiłku i nie pozwalała sobie pomagać pod śmiesznym pretekstem, że to nie jest męska robota. Uprzytomnił sobie, że ona go kocha, i odczuł dumę, gdyż do tej pory jeszcze żadna kobieta go nie kochała. Gwałtownie zapragnął zobaczyć Radę i zaraz potem ze skrajnym brakiem konsekwencji ucieszył się, że jej przy nim nie ma. To nie jest miejsce dla kobiet - pomyślał. - To nie jest miejsce nawet dla najgorszych mężczyzn. Należałoby tu wpuścić ze dwadzieścia tysięcy automatów utylizacyjnych, a może po prostu rozpylić te wszystkie lasy z całą ich zawartością i wyhodować nowe, wesole. Mogą być zresztą ponure, byleby były czyste i mroczne w sposób naturalny.

Potem przypomniał sobie, że został tu zesłany dożywotnio i zdumiał się naiwności tych, którzy go tutaj wpakowali nie biorąc od niego żadnego słowa i wyobrażając sobie, że będzie tu dobrowolnie wegetował i w dodatku pomagał im ciągnąć przez te lasy na południe linię wież promiennikowych. W aresztanckim wagonie

usłyszał, że lasy rozpościerają się na setki kilometrów, a sprzęt bojowy trafia się nawet na pustyni...No nie, długo tu się nie zatrzymam. Massaraksz, jeszcze wczoraj te wieże wysadzałem w powietrze, a teraz będę oczyszczał teren pod ich budowę? Dostyc już narobiłem głupstw!

Dzik mi nie wierzy. Zefowi wierzy, a mnie nie. Ja nie wierzę Zefowi i zdaje się, że się mylę. Pewnie Dzikowi wydają się tak samo nachalny i podejrzany, jak mnie wydaje się Zef... No, dobrze. Dzik mi nie wierzy, więc znowu jestem sam. Mogę oczywiście liczyć na spotkanie z Generałem lub Kopytem, ale to jest zbyt mało prawdopodobne: katorżników jest tu podobno ponad milion, a obszary ogromne... Tak, na takie spotkanie nie ma co liczyć... Można wprawdzie spróbować zorganizować grupę z nieznajomych, ale - massaraksz! - wstyd się przyznać, nie nadaję się do tego. Jestem zbyt łatwowierny... Chwileczkę, ustalmy najpierw warunki zadania. Czego ja chcę?

Przez kilka minut ustalał warunki zadania.

W każdym razie trzeba stąd uciekać - pomyślał. Spróbuję oczywiście zebrać jakąś grupę, ale jeżeli nic z tego nie wyjdzie, ucieknę sam. No i koniecznie czołg. Broni wystarczy tu na sto armii. Broń wprawdzie jest mocno zdezelowana, bądź co bądź rdzewieje tu już ponad dwadzieścia lat, ale spróbujemy ją doprowadzić do porządku, rozeznac się w miejscowej automatyce. Czyżby Dzik miał mi nie uwierzyć? - pomyślał niemal z rozpaczą, chwycił kociołek i pobiegł z powrotem do ogniska.

Zef i Dzik nie spali. Leżeli głowa przy głowie i o coś cicho, lecz gorąco się spierali. Zef ujrawszy Maksyma powiedział pospiesznie: "Wystarczy" - i wstał. Zadarł do góry rude brodzisko, wytrzeszczył ślepią i wrzasnął: --- Gdzie cię nosi, massaraksz? Kto ci pozwolił oddalać się? Trzeba pracować, bo inaczej nie dadzą żarcia, trzydzieści trzy razy massaraksz!

Wtedy już Maksym nie wytrzymał. Zdaje się, że po raz pierwszy w życiu huknął na człowieka pełnym głosem:

--- Niech pana diabli wezmą, Zef! Czy pan w ogóle potrafi myśleć o czymkolwiek innym niż żarcie? Od rana do nocy słyszę tylko jedno: żreć, żreć, żreć! Zeżryj pan moje konserwy!!!

Cisnął kociołek na ziemię, chwycił plecak i zaczął przekładać pasy przez ręce. Zef, przygnieciony falą akustyczną, patrzył na niego ogłupiały, ziejąc czarną jamą w ognistej brodzie. Potem paszczęka zatrzasnęła się, rozległo się bulgotanie, charkot i Zef zarechotał na cały las. Dzik mu wtórował, ale można się było tego jedynie domyślać, bo "śmiech" Zefa pokrywał wszystko. Maksym również trochę niepewnie się roześmiał. Było mu nieprzyjemnie, że nakrzyczał na Zefa.

--- Massaraksz - wykrztusił wreszcie Zef. - To dopiero głosik!... - Nie, przyjacielu - zwrócił się do Dzika. - Zapamiętaj moje słowa. A zresztą powiedziałem: wystarczy... Wstać! - ryknął. - Do roboty, jeżeli chcecie... Hmm... Żreć dziś wieczorem...

I to wszystko. Pohałasowali, pośmieli się, spoważniali i ruszyli dalej. Maksym z pasją rozbrajał miny, wyłamywał z gniazd sprzężone karabiny maszynowe i odkręcał głowice bojowe rakiet sterujących z otwartych wyrzutni. Znowu był ogień, fetor, syk strumieni gazów łzawiących i wstrętny odór gnijących zwierzęcych trupów rozstrzelanych przez automaty. Stali się jeszcze brudniejsi, jeszcze bardziej źli i obdarci, a Zef ciągle chrypiał do Maksyma: "Naprzód, naprzód! Jeżeli chcesz żreć wieczorem, naprzód!" Jednoręki Dzik zupełnie opadł z sił i włókł się daleko z tyłu, wspierając się na swoim wykrywaczu min jak na szczudle. Ostatnie godziny sprawiły, że Maksym miał już Zefa zupełnie dosyć, więc niemal się ucieszył, kiedy rudobrody nagle ryknął i z wielkim rumorem zapadł się pod ziemię. Maksym, wycierając pot z brudnego czoła brudnym rękawem, podszedł niespiesznie do miejsca wypadku i zatrzymał się na skraju mrocznej wąskiej szczeliny ukrytej w trawie. Szczelina była głęboka i ciemna, jej wnętrze tchnęło wilgocią i zimnem, a z ciemności dobiegały tylko jakieś pobrzękiwania i niewyraźne przekleństwa. Przykuśtykał Dzik, który również zajrzał do szczeliny, i zapytał Maksyma:

--- Zef jest tam? Co on tam robi?

--- Zef! - zawołał Maksym pochylając się nad dziurą. - Zef, gdzie pan jest?

Ze szczeliny zadudniło:

--- Złazcie tutaj! Skaczcie, tu jest miętko...

Maksym zerknął pytająco na jednorękiego, który pokręcił głową.

--- To nie dla mnie - powiedział. - Niech pan skacze, zrzućę wam linkę.

--- Kto tu jest?! - ryknął nagle z dołu Zef. - Będę strzelał, massaraksz!

Maksym spuścił nogi do szczeliny, odepchnął się i skoczył. Niemal natychmiast zapadł się po kolana w jakąś miękką masę i usiadł. Zef był gdzieś w pobliżu. Maksym zamknął oczy i przez kilka sekund siedział nieruchomo, przyzwyczajając się do ciemności.

--- Chodź tutaj, Mak, tutaj ktoś jest - zadudnił Zef. - Dzik! - krzyknął. - Skacz!

Dzik odparł, że zmęczył się jak pies i z przyjemnością posiedzi na górze.

--- Jak chcesz - odpowiedział Zef. - Ale moim zdaniem to jest Twierdza. Potem będziesz żałował...

Jednoręki powiedział coś niewyraźnym, słabym głosem. Chyba go mdliło i nie miał teraz głowy do żadnej Twierdzy. Maksym otworzył oczy i rozejrzał się. Siedział na stercie ziemi pośrodku długiego korytarza o nierównych cementowych ścianach. Dziura w stropie była albo otworem wentylacyjnym, albo przestrzeliną. Zef stał o jakieś dwadzieścia metrów dalej i też się rozglądał, świecąc na wszystkie strony latarką.

--- Co to jest - zapytał Maksym.

--- Skąd niby mam wiedzieć? - odparł swarliwie Zef. - Może jakiś schron, a może naprawdę Twierdza.

Wiesz, co to jest Twierdza?

--- Nie - odpowiedział Maksym i zaczął wygramalać się ze sterty ziemi.

--- Nie wiesz... - burknął Zef nieuważnie, wciąż rozglądając się i szperając promieniem latarki po betonowych ścianach. - Co ty wobec tego w ogóle wiesz... Massaraksz! - wykrzyknął. - Ktoś tu przed chwilą był...

--- Człowiek?

--- Nie wiem. Prześliznął się wzdłuż ściany i zniknął... A Twierdza, przyjacielu, to taka zabawka, że dzięki niej moglibyśmy w ciągu dnia skończyć naszą robotę... Aha, ślady...!

Przykucnął. Maksym przykucnął obok niego i zobaczył łańcuszek śladów odbitych w kurzu pod ścianą.

--- Dziwne tropy - powiedział.

--- Tak, przyjacielu - powiedział Zef nerwowo się rozglądając. - Ja takich śladów też nie widziałem.

--- Jakby ktoś przespacerował się na pięściach - powiedział Maksym. - Zacisnął rękę i odbił ją obok śladów.

--- Podobne - powiedział z szacunkiem Zef. Poświecił w głąb korytarza, gdzie coś słabo połyskiwało, zakręcił albo ślepa ściana. - Zajrzemy tam? - zapytał.

--- Cicho - powiedział Maksym. - Proszę milczeć i nie ruszać się.

W podziemiu panowała tępa, wilgotna cisza, ale korytarz nie był martwy. Ktoś w przodzie - Maksym nie potrafił określić, kto to jest i jak daleko się znajduje - stał przytulony do ściany. Ten ktoś był niewielki, słabo i obco pachnący, obserwujący ich i niezadowolony z ich obecności. To było coś zupełnie nieznanego, o całkiem nieuchwytnych intencjach.

--- Koniecznie musimy iść? - zapytał Maksym.

--- Dobrze by było - odparł Zef.

--- Dlaczego?

--- Trzeba się rozejrzeć, może to rzeczywiście Twierdza... Gdybyśmy znaleźli Twierdzę, to wówczas, przyjacielu, sytuacja zupełnie by się odmieniła. Ja osobiście w Twierdzę nie wierzę, ale skoro ludziska gadają, to może istotnie coś w tym jest... Może nie wszyscy kłamią...

--- Tam ktoś jest - powiedział Maksym. - Nie mogę się zorientować kto.

--- Tak? Hm... Jeśli to jest Twierdza, to wedle legendy gnieźdzą się tu resztki garnizonu albo... Podobno siedzą tu ludziska i nie wiedzą, że wojna się skończyła, podobno w trakcie najgorszych walk ogłosili neutralność, zamknęli się w podziemiu i zagrozili, że wysadzą w powietrze cały kontynent, jeśli ktoś ich będzie niepokoił...

--- A mogliby?

--- Jeśli to jest Twierdza, to mogą wszystko... Ta-ak... Przecież na górze ciągle są jakieś eksplozje, strzelanina... Bardzo możliwe, iż oni uważają, że wojna jeszcze się nie skończyła... Księżę tu jakiś dowodził czy inny hrabia... Dobrze byłoby spotkać się z nim i pogadać.

Maksym znów nadstawił ucha.

--- Nie - powiedział zdecydowanie. - Nie ma tam żadnego księcia ani hrabiego. Tam jest jakieś zwierzę... Nie, to nie zwierzę... Albo?

--- Co albo?

--- Powiedział pan: zostały tu resztki garnizonu albo...

--- A... No, to tylko takie babcine bajki... Chodźmy się rozejrzeć.

Zef załadował granatnik, wsunął go pod pachę i ruszył naprzód, przyświecając sobie latarką. Maksym szedł obok niego. Przez kilka minut posuwali się korytarzem, a potem natrafili na poprzeczną ścianę i skręcili w prawo.

--- Okropnie pan hałasuje - powiedział Maksym. - Przed nami coś się dzieje, a pan tak sapie...

--- To co, mam nie oddychać? - natychmiast zjeżył się Zef.

--- Pańska latarka też mi przeszkadza! - dodał Maksym.

--- Jak to przeszkadza? Przecież jest ciemno...

--- W ciemności widzę, a przez pańską latarkę zupełnie nie mogę się zorientować... Wie pan co? Pójdę przodem, a pan niech tu zostanie. W przeciwnym razie niczego się nie dowiemy.

--- No, jeśli tak uważasz... - powiedział Zef dziwnie jak na niego niepewnym tonem.

Maksym znów zmrużył oczy, odpoczął od migotliwego światła, pochylił się i ruszył wzdłuż ściany, starając się zachowywać zupełnie cicho. Nieznany stwór był gdzieś w pobliżu i Maksym z każdym krokiem się do niego zbliżał. Korytarz ciągnął się bez końca. Z prawej pokazały się drzwi. Wszystkie były stalowe i wszystkie zamknięte. W korytarzu panował lekki przeciąg. Powietrze było wilgotne, wypełnione zapachem pleśni i czegoś nieznanego, żywego i ciepłego. Z tyłu ostrożnie hałasował Zef, który najwyraźniej czuł się nieswojo. Sposprzegłszy to, Maksym zaśmiał się w duchu. Odprężył się dosłownie na sekundę i w czasie tej sekundy nieznany zniknął. Dopiero co był tuż, tuż w przodzie, a potem w mgnieniu oka jakby rozpułnął się w powietrzu i równie momentalnie zmaterializował się za plecami, też niemal o krok.

--- Zef! - zawołał półgłosem Maksym.

--- Jestem! - oddudnił rudobrody.

Maksym wyobraził sobie, jak nieznany stoi między nimi i kręci głową łowiąc ich głosy.

--- On jest między nami - powiedział Maksym. - Niech panu nie przyjdzie do głowy strzelać.

--- Dobra - powiedział Zef po chwili milczenia. - Jak on wygląda?

--- Nie wiem - odparł Maksym. - Miękki.

--- Zwierzę?

--- Chyba nie.

--- Przecież powiedziałeś, że widzisz w ciemnościach!

--- Ja widzę nie oczami - powiedział Maksym. - Cicho!

--- Nie oczami... - warknął Zef i zamilkł.

Nieznany postać chwilę, przeszedł pod drugą ścianą, zniknął i po jakimś czasie znów objawił się w przodzie. On też jest ciekawy, pomyślał Maksym i spróbował wzbudzić w sobie uczucie sympatii do tego stworzenia. Coś jednak mu przeszkadzało - prawdopodobnie nieprzyjemne połączenie niezwierzęcego intelektu z na poły zwierzęcym wyglądem. Znow ruszył do przodu. Nieznany cofał się, zachowując stały dystans.

--- Co słysząc? - zapytał Zef.

--- Wciąż to samo - odparł Maksym. - On nas gdzieś prowadzi albo stara się zwabić w pułapkę.

--- A damy sobie radę?

--- Nie zamierza nas atakować. Sam jest ciekawy. Zamilkł, bo nieznany znowu zniknął. W tej samej chwili Maksym pojął, że korytarz się skończył. Dookoła rozpościerało się wielkie pomieszczenie, zbyt jednak ciemne, żeby dało się cokolwiek wyraźniej dojrzeć. Maksym wyczuwał obecność metalu, szkła, woń rdzy i wibrację prądu wysokiego napięcia. Przez parę sekund stał bez ruchu, potem, zorientowawszy się, gdzie jest wyłącznik, sięgnął do niego ręką, ale w tym momencie nieznany znowu się pojawił. I to nie sam. Był z nim drugi, podobny, ale nieidentyczny. Stali pod tą samą ścianą co i Maksym, bo słyszał ich oddechy, szybkie i wilgotne. Znieruchomiał w nadziei, że podejną bliżej, ale nie podchodzili, więc wówczas zwęził maksymalnie źrenice i nacisnął klawisz wyłącznika.

Widocznie w instalacji było jakieś zwarcie, bo lampy zapłonęły jedynie na ułamek sekundy. Potem gdzieś z trzaskiem wyskoczyły bezpieczniki i światło znowu zgasło. Maksym jednak zdążył zobaczyć, że nieznane istoty były niewielkie wzrostu dużego psa, stały na czworakach, były pokryte ciemną sierścią i miały wielkie, ciężkie głowy. Ich oczu nie zdołał dostrzec. Dziwne istoty natychmiast zniknęły, jakby nigdy ich nie było.

--- Co się tam u ciebie dzieje? - zapytał Zef z niepokojem. - Co to za błysk?

--- Zapalałem światło - odparł Maksym. - Proszę tu przyjść.

--- A tego widziałeś?

--- Prawie nie widziałem - odparł Maksym. - Jednak podobne są do zwierząt. Coś jakby wielkogłowe psy...

Na ścianach pojawiły się odbłaski latarki. Zef ruszył do przodu mówiąc:

--- A, psy... Wiem, że są takie w lesie. Żywych wprawdzie nigdy nie widziałem, ale zastrzelone wiele razy...

--- Nie - powiedział Maksym z powątpiewaniem w głosie. - To jednak nie są zwierzęta.

--- Zwierzęta, zwierzęta - powiedział Zef. Głos jego dudnił pod wysokim stropem. - Niepotrzebnie się baliśmy. A ja już pomyślałem, że to jakieś wampiry... Massaraksz! Przecież to jest Twierdza!

Zatrzymał się pośrodku hali, szperając promieniem latarki po ścianach, po rzędach cyferbłatów i tablicach rozdzielczych. Połyskiwało szkło, nikiel, wyplwowały plastyk.

--- Gratuluję ci, Mak. Jednak ją znaleźliśmy. A ja, głupi, nie wierzyłem... Co to takiego? Aha, mózg elektronowy, i to w dodatku pod prądem! Cholera, że też tu nie ma Kowala...! Słuchaj, a ty przypadkiem się w tym nie orientujesz?

--- W czym mianowicie? - zapytał Maksym zbliżając się do niego.

--- W całej tej maszynerii... To przecież jest pulpity sterowniczy! Gdyby go tak rozszyfrować, to cały kraj byłby nasz! Całe to żelastwo na górze jest przecież stąd sterowane! Żeby tak się w tym wszystkim zorientować, massaraksz!

Maksym zabrał mu latarkę, ustawił tak, żeby uzyskać rozproszone światło, i rozejrzał się. Wszędzie leżał kurz, leżał już od wielu lat, a na stole w kącie na zetłalym papierze stał ubrudzony czymś czarnym papier i obok niego widelec. Przeszedł wzdłuż pulpity, dotknął jakiegoś pokrętła, spróbował włączyć komputer, ale dźwignia włącznika została mu w palcach...

--- Wątpię - powiedział wreszcie. - Wątpię, aby stąd dało się czymś poważniejszym sterować. Po pierwsze dlatego, że tutaj wszystko jest zbyt prymitywne... Najprawdopodobniej to tylko jeden z posterunków obserwacyjnych albo podstacja kontrolna... Tutejsza maszyna jest bardzo słaba, nie wystarczy jej mocy do kierowania bodaj dziesięcioma czołgami... W dodatku wszystko się tutaj rozsypało i rozłazi się w rękach. Prąd wprawdzie jest, ale napięcie ma poniżej normy. Pewnie kocioł całkiem się zmulił... Nie, Zef, to nie jest takie proste, jak się panu wydaje.

Zauważył nagle wystające ze ściany długie rury połączone gumowym półhelmem obserwacyjnym. Przysunął sobie aluminiowe krzeselko, usiadł na nim i przytknął oczy do okularów. Ku jego zdziwieniu optyka była w znakomitym stanie, ale jeszcze bardziej zdumiało go to, co zobaczył. W polu widzenia miał zupełnie nieznany krajobraz: białozółtą pustynię, wydmy piaszczyste i szkielet jakiejś metalowej konstrukcji... Wiał tam silny wiatr, po diunach biegły strumyki piasku, zamglony horyzont związał się we wklęsłą czarę.

--- Niech pan spojrzy - zwrócił się do Zefa. - Gdzie to jest?

Zef oparł granatnik o pulpity, podszedł i popatrzył.

--- Dziwne - powiedział po pauzie. - To jest pustynia. To, przyjacielu, o jakieś czterysta kilometrów stąd... - Oderwał się od okularów i podniósł oczy na Maksyma. - Ileż ci dranie władowali w to roboty... I co osiągnęli? Teraz tylko wiatr hula po wydmach, a jaki to był piękny kraj! Pamiętam, jak jeszcze przed wojną rodzice zabrali mnie tam na wakacje... - Wstał. - Chodźmy stąd w diabły - powiedział z goryczą i wziął latarkę. - Nic

tu nie wymyślmy. Trzeba będzie zaczekać, aż złapią Kowala i tu go przysła. Tyle, że go z pewnością od razu rozstrzelają... No jak, idziemy?

--- Tak - powiedział Maksym przyglądając się dziwnym śladom na podłodze. -- - To mnie interesuje o wiele bardziej - oświadczył.

--- Całkiem niepotrzebnie - burknął Zef zarzucając granatnik na ramię. - Tu z pewnością mnóstwo innych zwierzaków się włóczy.

Ruszył do wyjścia: Maksym, zerkając wciąż na ślady, pospieszył za nim.

--- Głodny jestem - powiedział Zef.

Znaleźli się w korytarzu. Maksym zaproponował wyłamanie którychś drzwi, ale zdaniem Zefa nie miało to najmniejszego sensu.

--- Całą tą sprawą trzeba zająć się poważnie - powiedział. - Stracimy na próżno czas, a nie wyrobiliśmy jeszcze dzisiejszej normy. Tutaj trzeba przyjść z fachowcem...

--- Na pańskim miejscu zbytnio bym na tę Twierdzę nie liczył. Po pierwsze wszystko tu przegniło, a po wtóre to podziemie już jest zajęte.

--- Niby przez kogo? Aha, mówisz o tych psach...? Ty też? Jedni gadają o wampirach, a ty...

Zef zamilkł. Korytarzem przetoczył się gardłowy krzyk, wielokrotnie odbił się od betonowych ścian i ucichł. Od razu gdzieś z tyłu dobiegł taki sam głos. To były bardzo znajome dźwięki, ale Maksym nie mógł sobie przypomnieć, gdzie je słyszał.

--- To one krzyczą po nocach! - powiedział Zef. - A myśmy myśleli, że to ptaki...

--- Dziwny krzyk - zauważył Maksym.

--- Nie wiem, czy dziwny - mruknął Zef - ale z pewnością dość przerażający. Kiedy nocą zaczynają wrzeszczeć w lesie, to aż dreszcz człowieka przechodzi. Ileż to o tych krzykach ludziska bajek opowiadali! Pewien kryminalista chwalił się nawet, że zna ten język. Tłumaczył go.

--- I cóż on takiego tłumaczył? - zapytał Maksym.

--- Brednie. Nie ma mowy o żadnym języku...

--- A gdzie jest ten kryminalista?

--- Zaginął bez wieści - odparł Zef. - Był w oddziale budowlanym, który zabłądził w lesie. Skręcili w lewo i daleko przed nimi pokazała się przymglona plama światła. Zef wyłączył latarkę i schował ją do kieszeni. Szedł teraz przodem i nagle gwałtownie się zatrzymał. Maksym omal na niego nie wpadł.

--- Massaraksz - wymamrotał Zef.

Na posadzce w poprzek korytarza leżały ludzkie kości. Zef zerwał granatnik z ramienia i rozejrzał się nerwowo.

--- Tego tu nie było - mruknął.

--- Tak - powiedział. - Te kości ktoś tu przed chwilą położył.

Z tyłu, z głębi podziemia rozległ się nagle cały chór przeciągłych, gardłowych wrzasków. Wrzaski nakładały się na echo i wydawało się, że krzyk dobywa się z tysiąca gardeł, skandujących chórem jakieś dziwne czterosylabowe słowo. Maksym wyczuł w nim groźną, pogardliwą ironię. Potem chór umilkł równie nagle, jak się odezwał. Zef głośno sapnął i opuścił przygotowany do strzału granatnik. Maksym znów spojrzał na szkielet.

--- Według mnie to jest aluzja - powiedział.

--- Według mnie również - burknął Zef. - Chodźmy stąd szybciej.

Niemal biegiem dotarli do dziury w stropie, wdrapali się na stertę ziemi i zobaczyli nad sobą zaniepokojoną twarz Dzika, który leżał piersią na krawędzi szczeliny, przez którą przerzucił linkę z pętlą na końcu.

--- Co tam u was? - zapytał. - To wy krzyceście?

--- Zaraz ci wszystko opowiem - powiedział Zef. Zamocowałeś linkę?

Wygramolili się na górę. Zef skręcił sobie i jednorękiemu po papierosie, zapalił i przez dłuższą chwilę milczał, najwidoczniej usiłując sobie wyrobić jakiś pogląd na to, co zaszło w podziemiach.

--- Dobra - powiedział wreszcie. - No więc tak. Krótko. To jest Twierdza. Tam są pulpity, mózg i różne inne. Wszystko w żalonym stanie, ale energia jest i zdołamy to wykorzystać, kiedy tylko znajdziemy ludzi, którzy się na tym znają... To nie wszystko. - Zaciągnął się i szeroko rozwarł usta wypuścił kłąb dymu, zupełnie jak uszkodzony miotacz pocisków gazowych. - Wszystko wskazuje na to, że tam gnieźdzą się psy. Pamiętasz, opowiadałem ci? Psy z ogromnymi głowami... To one wrzeszczały... A jeśli dobrze się zastanowić, to może i nie one, bo widzisz... Jak by ci tu powiedzieć... Kiedyśmy się z Makiem tam włóczyli, ktoś położył w korytarzu ludzki szkielet. To wszystko.

Jednoręki popatrzył na niego, potem na Maksyma.

--- Mutanci? - zapytał.

--- Możliwe - odparł Zef. - Ja w ogóle nikogo nie widziałem, ale Mak utrzymuje, że widział psy... Tylko nie oczami. Czym ich właściwie widziałeś, Mak?

--- Oczami też ich widziałem - powiedział Mak. - I chcę przy okazji dodać, że nikogo poza tymi waszymi psami tam nie było. Wiedziałbym, gdyby było inaczej. I te wasze psy wcale nie są tym, za co je uważacie. To nie są zwierzęta.

Dzik nie powiedział słowa. Wstał, zwinął linkę, zawiesił ją u pasa i usiadł obok Zefa.

--- Diabli ich wiedzą - wymamrotał Zef. - Może to istotnie nie są zwierzęta... Tutaj wszystko może się

zdarzyć. Tu jest Południe...

--- A może właśnie te psy są mutantami? - zapytał Maksym.

--- Nie - odpowiedział Zef. - Mutanci to po prostu bardzo zniekształceni ludzie. Dzieci najzwyczajszych w świecie rodziców. Mutanci. Wiesz, co to takiego jest?

--- Wiem - odparł Maksym. - Ale rzecz w tym, jak daleko mutacja może zajść.

Przez jakiś czas wszyscy milczeli. Potem Zef powiedział:

--- No, skoro jesteś taki wykształcony, to dość tego gadania. Wstawaj! - Podniósł się z ziemi. - Pozostało nam niewiele, ale czasu też za dużo nie mamy. A żreć się chce... - mrugnął do Maksyma - wręcz patologicznie. Wiesz, co to znaczy "patologicznie"?

Pozostała jeszcze do oczyszczenia południowo-zachodnia część kwadratu, ale niczego tam nie oczyszczali. Dostyc dawno musiało tam eksplodować coś bardzo potężnego. Po starym lesie pozostały tylko na pół zgniłe, powalone pnie i ścięte równo jak brzytwą, opalone karpiny. Spośród tego cmentarzyska strzelał już ku górze młody, rzadki zagajnik. Ziemia poczerniała, zwęgliła się i była naszpikowana sproszkowaną rdzą. Żadna broń po takim wybuchu nie mogła ocaleć i Maksym zrozumiał, że Zef nie przyszedł tam pracować. Na ich spotkanie z krzaków wylazł zarośnięty człowiek w brudnej aresztanckiej kapocie. Maksym go poznał: to był pierwszy tubylec, jakiego tu spotkał, stary pomocnik Zefa zwany Naczyniem Frasośliwości.

--- Poczekajcie - powiedział Dzik - ja z nim pogadam.

Zef kazał Maksymowi usiąść, a sam zaczął przewijać onuce mamrocąc w brodę bandycki romans "Jam chłopak zuch i znają mnie przedmieścia". Dzik podszedł do Naczynia Frasośliwości i zaczął z nim szeptem rozmawiać. Maksym doskonale ich słyszał, ale nie mógł niczego zrozumieć, bo mówili jakimś żargonem, z którego zdołał wyłowić jedynie kilkakrotnie powtórzone słowo "poczta". Niebawem przestał podsłuchiwać. Czuł się zmęczony i brudny. Dziś było zbyt wiele bezsensownej pracy i bezsensownego napięcia, zbyt długo oddychał dziś wszelkim paskudztwem i otrzymał zbyt wiele rentgenów. Znow przez cały dzień nie zrobił nic prawdziwie pożytecznego i bardzo mu się chciało wracać do baraku.

Potem Naczynie Frasośliwości zniknęło, a Dzik wrócił, przysiadł koło Maksyma i powiedział:

--- No, porozmawiajmy.

--- Wszystko w porządku? - zapytał Zef.

--- Tak - odparł Dzik.

--- Przecież ci mówiłem - powiedział Zef oglądając onucę pod światło. - Ja mam na takich niucha.

--- No więc, Mak - powiedział Dzik. - Sprawdziliśmy pana tak dokładnie, jak tylko w naszej sytuacji jest to możliwe. Generał za pana ręczy. Od dzisiaj będzie pan mnie podlegał.

--- Bardzo się cieszę - powiedział Maksym z krzywym uśmiechem. O mało mu się nie wyrwało: "Ale za pana Generał nie poręczył" - opanował się jednak i dorzucił tylko: - Słucham pana.

--- Generał donosi, że nie boi się pan radioaktywności i promieniowania emiterów. Czy to prawda?

--- Tak.

--- To znaczy, że pan w każdej chwili może przepłynąć Błękitną Żmiję i że to panu nie zaszkodzi?

--- Mówiłem już, że mogę uciec choćby zaraz.

--- Nie chcemy, aby pan uciekał... To znaczy, jeżeli dobrze zrozumiałem, że samochody patrolowe też nic panu nie mogą zrobić?

--- Ma pan na myśli ruchome emitory? Tak.

--- Bardzo dobrze - powiedział Dzik. - Wobec tego pańskie zadanie na najbliższy okres stało się całkiem jasne. Będzie pan kurierem. Kiedy panu rozkażę, przepłynie pan rzekę i z najbliższego urzędu pocztowego wyśle pan depeszę, którą doręczę. Jasne?

--- To jest dla mnie jasne - powiedział wolno Maksym. - Nie rozumiem natomiast czegoś innego...

Dzik patrzył na niego nieruchomymi oczyma. We wzroku tego suchego, żylastego starca, zimnego i nieubłaganego wojownika, wojownika od czterdziestu lat, a może nawet od kołyski, straszliwego i zachwycającego wytworu świata, gdzie wartość życia ludzkiego równa się zeru, czytał Maksym swoje losy zdeterminowane jego wolą. Ten człowiek nie znał niczego poza walką, wszystko poza walką odrzucił i niczego poza walką nie miał. To samo miało czekać Maksyma.

--- Tak? - powiedział pytająco Dzik.

--- Rozmówmy się od razu do końca - powiedział twardo Maksym. - Nie chcę działać na ślepo. Nie zamierzam zajmować się sprawami, które moim zdaniem są bezsensowne i niepotrzebne.

--- Na przykład? - zapytał Dzik.

--- Wiem, co to znaczy dyscyplina. Wiem też, że bez dyscypliny cała nasza robota nic nie jest warta.

Uważam jednak, iż dyscyplina winna być świadoma, a podkomendny powinien być przekonany o sensowności rozkazu. Każę mi pan być kurierem. Jestem gotów nim być, choć stać mnie na więcej, ale będę kurierem, jeśli to konieczne. Muszę jednak wiedzieć, że depesze, które będę nadawał, nie spowodują bezsensownej zguby i tak już nieszczęśliwych ludzi.

Zef zadarł brodę do góry, ale Dzik i Maksym powstrzymali go identycznymi gestami.

--- Kazano mi wysadzić wieżę - ciągnął Maksym. - Nie wytłumaczono mi, po co to jest potrzebne.

Wiedziałem, że jest to głupie i śmiertelnie niebezpieczne przedsięwzięcie, ale rozkaz wykonałem. Straciłem trzech towarzyszy, a potem okazało się, że to była pułapka prokuratury. Mówię więc: dość tego! Nie mam zamiaru nadal wysadzać wież. Co więcej, zamierzam wszelkimi sposobami przeciwdziałać tego rodzaju

akcjom.

--- Toś głupi - powiedział Zef. - Smarkacz!

--- Dlaczego? - zapytał Maksym.

--- Poczekaj, Zef - powiedział Dzik. Ciągłe nie spuszczał wzroku z Maksyma. - -- Innymi słowy, chce pan znać wszystkie plany naszego sztabu?

--- Tak - powiedział Maksym. - Nie chcę działać na ślepo.

--- Aleś ty, braciszku, bezczelny! - oświadczył Zef. - Brak mi słów, żeby opisać, jakiś ty bezczelny... Słuchaj, Dzik, on mi się podoba! Co jak co, ale nosa to ja mam...

--- Żąda pan zbyt wielkiego zaufania - powiedział zimno Dzik. - Na takie zaufanie należy zasłużyć pracą w organizacjach podstawowych.

--- A robota dołowa polega na zwalaniu idiotycznych wież? - powiedział Maksym. - Jestem w podziemiu wprawdzie dopiero od kilku miesięcy, ale przez cały ten czas słyszałem tylko jedno: wieże, wieże, wieże... A ja nie chcę wysadzać wież, bo to nie ma sensu!... Chcę walczyć z tyranią, głodem, chaosem, korupcją i kłamstwem... Z systemem kłamstw, a nie z systemem wież! Rozumiem oczywiście, że wieże was gnębią, po prostu fizycznie unicestwiają. Ale nawet z wieżami walczyć jakoś po kretyńsku. Nie ma cienia wątpliwości, że wieże są tylko przekąźnikami, a co za tym idzie, należy atakować ośrodek nadawczy zamiast likwidować poszczególne przekąźniki.

Dzik i Zef odezwali się równocześnie.

--- Skąd pan wie o istnieniu ośrodka nadawczego? - zapytał Dzik.

--- A gdzie ty to centrum znajdziesz? - zaciekał się Zef.

--- To, że ośrodek istnieje, musi być jasne dla każdego jako tako rozgarniętego inżyniera - powiedział Maksym pogardliwie. - Natomiast odszukanie ośrodka jest właśnie tym zadaniem, którym powinniśmy się zajmować. Nie biec pod ogień cekaemów, nie tracić niepotrzebnie ludzi, lecz właśnie szukać ośrodka.

--- Po pierwsze, sami doskonale o tym wiemy - powiedział Zef gotując się ze złości. - A po drugie, massaraksz, nikt nie zginął na darmo! Każdy jako tako rozgarnięty inżynier, ty zafajdany smarkaczu, powinien zrozumieć, że po wysadzeniu kilku wież naruszymy system retransmisji i zdołamy wyzwolić cały rejon kraju! Ale do tego potrzebna jest umiejętność niszczenia wież i my się tego uczyliśmy, rozumiesz to czy nie? I jeżeli jeszcze raz powiesz, że nasi chłopcy ginęli na darmo...

--- Chwileczkę - powiedział Maksym. - Proszę zabrać ręce. Wyzwolić rejon... No dobrze, a co dalej?

--- Byle smarkacz przychodzi i mówi nam, że ginie niepotrzebnie - pinił się Zef.

--- A co dalej? - powtórzył Maksym z naciskiem. - Legioniści podciągną ruchome emitery i wykończą was?

--- Diabła tam! - powiedział Zef. - Do tego czasu ludność całej okolicy przejdzie na naszą stronę i wtedy tak łatwo nie podejdą. Co innego garstka tak zwanych wyrodków, a co innego dziesięć tysięcy rozwścieczonych chłopów...

--- Zef, Zef! - powiedział Dzik ostrzegawczym tonem.

Zef niecierpliwie machnął na niego ręką.

--- ...dziesięć tysięcy rozwścieczonych chłopów, którzy zrozumieli i raz na zawsze zapamiętali, że ich od dwudziestu lat bezczelnie kantowano...

Dzik machnął ręką i odwrócił się.

--- Zaraz, zaraz - powiedział Maksym. - Co pan mówi? Z jakiej to niby racji ci chłopci nagle rozumieją? Przecież oni was na strzepy rozszarpia, bo uważają, że to jest obrona przeciwbalistyczna.

--- A ty jak uważasz? - zapytał Zef z dziwnym uśmiechem.

--- No, ja wiem - odparł Maksym. - Powiedziano mi...

--- Kto?

--- Doktor... i Generał... Czyżby to była tajemnica?

--- Może już dosyć na ten temat? - zapytał Dzik cicho.

--- Dlaczego dosyć? - zaoponował Zef równie cichym i jakimś bardzo kulturalnym głosem. - Dlaczego właściwie dosyć, powiedz mi, Dziku? Wiesz, co ja o tym sądzę. Wiesz, dlaczego zostanę tu do końca życia. Ja natomiast wiem, co ty o tym sądzisz. Czemu więc dosyć? Obaj uważamy, że trzeba o tym krzyczeć na każdym rogu ulicy, a kiedy przychodzi okazja, nagle przypominamy sobie o dyscyplinie konspiracyjnej i zaczynamy posłusznie iść na rękę tym wszystkim liberałom, cesarystom i krzewicielom oświaty. A teraz mamy przed sobą tego chłopca. Przecież widzisz, jaki on jest. Czy i tacy nie powinni wiedzieć?

--- Może właśnie tacy nie powinni wiedzieć - równie cicho odpowiedział Dzik.

Maksym, nic nie rozumiejąc, przenosił wzrok z jednego na drugiego. Jego towarzysze stali się nagle bardzo do siebie niepodobni, skurczyli się jakoś, oklapli i w Dziku nie wyczuwało się już tego stalowego charakteru, o który połamano sobie zęby tyle już prokurator i sądów polowych, a z Zefa opadła cała jego beztroska wulgarność, ujawniła się natomiast jakaś skryta rozpacz, poczucie krzywdy i pokora... Jakby nagle przypomnieli sobie coś, o czym powinni byli i uczciwie starali się zapomnieć.

--- Opowiem mu - powiedział Zef. Nie pytał o pozwolenie i nie zasięgał rady. Po prostu komunikował. Dzik zmilczał i Zef zaczął opowiadać.

To, co opowiedział, było potworne. To było potworne samo przez się, potworne również i dlatego, że nie pozostawiało cienia wątpliwości. Dopóki mówił - niezbyt głośno, spokojnie, czystym, literackim językiem, milknąc uprzejmie, kiedy Dzik wtrącał jakieś krótkie uwagi - Maksym ze wszystkich sił starał się znaleźć

jakaś lukę w tym nowym obrazie świata. Daremnie. Obraz był spójny, prymitywny, beznadziejnie logiczny i tłumaczył wszystkie znane Maksymowi fakty. To było największe i najstraszliwsze odkrycie spośród wszystkich odkryć, dokonanych przez Maksyma na jego zaludnionej wyspie.

Promieniowanie wież nie było przeznaczone dla wyrodków. Oddziaływało na układ nerwowy każdej istoty ludzkiej z tej planety. Fizjologiczny mechanizm tego oddziaływania nie był znany, lecz jego istota sprowadzała się do tego, że mózg poddany napromieniowaniu tracił zdolność krytycznej analizy rzeczywistości. Człowiek myślący zamieniał się w człowieka wierzącego i zaślepionego, wierzącego fanatycznie, wbrew bijącym w oczy faktom. Człowiekowi znajdującemu się w polu promieniowania można było, za pomocą najprymitywniejszych środków, wmówić każdą rzecz i poddany takiej sugestii uważał włączane mu do głowy brednie za święte i jedyne prawdy, gotów był dla nich żyć, cierpieć i umierać. Pole działało zawsze. Niezauważalne, wszechobecne i wszechprzenikające. Wypromieniowywała go nieustannie gigantyczna sieć wież pokrywająca cały kraj. Niczym tytaniczny odkurzacz wysysało z milionów umysłów wszelkie wątpliwości na temat tego, co krzyczały gazety, broszurki, radio i telewizja, co powtarzali nauczyciele w szkołach i oficerowie w koszarach, co głoszone z kościelnych ambon. Płomienni Chorążowie kierowali wolę i energię milionowych mas tam, dokąd tylko zechcieli. Mogli zmusić i zmuszali tłumy do ubóstwiania siebie; mogli wzbudzać i wzbudzali nieubłaganą nienawiść do wrogów zewnętrznych i wewnętrznych; mogli, gdyby im przyszła na to ochota, pognać miliony pod karabiny maszynowe i armaty, a te miliony umierałyby z najwyższym zachwytem; mogli zmusić miliony do wzajemnego wyrzynania się w imię czegokolwiek; mogli dla kaprysu wywołać epidemię samobójstw... Mogli wszystko.

Dwa razy na dobę, o dziesiątej rano i dziesiątej wieczorem gigantyczny odkurzacz włączano na pełną moc i przez pół godziny ludzie nie byli już ludźmi. Wszystkie wewnętrzne napięcia, narosłe w podświadomości z powodu sprzeczności hipnotycznych urojeń z rzeczywistością, wyzwały się w paroksyzmie rozpasanego entuzjazmu, w ekstatycznej euforii samoponiżenia i adoracji. Takie nawały promieniste całkowicie tłumity odruchy, zabijały instynkty i zastępowały je potwornym kompleksem wdzięczności i uwielbienia dla Płomiennych Chorążych. W takim stanie napromieniowywano całkowicie tracił zdolność rozumowania i działał jak robot, któremu wydano rozkaz.

Niebezpieczni dla Chorążych mogli być jedynie tacy ludzie, którzy ze względu na swą fizjologiczną odrębność byli niepodatni na sugestię. Nazywano ich wyrodkami. Pole ciągle nie działało na nich w ogóle, zaś nawały promieniste wywoływały jedynie nieznośne bóle. Wyrodków było stosunkowo niewielu, ale byli to jedyni czuwający ludzie w tym królestwie somnambulików. Tylko oni zachowali zdolność trzeźwej oceny świata rzeczywistego, oddziaływania nań, zmieniania i kierowania światem. Największy koszmar krył się w tym, że właśnie oni dostarczali społeczeństwu elity władzy. Wszyscy Płomienni Chorążowie byli wyrodkami, ale większość wyrodków nie była Płomiennymi Chorążymi. Ci bowiem, którzy nie zdołali lub nie zechcieli wejść do elity, albo też nie wiedzieli, że taka elita istnieje, a więc wyrodki-żądni władzy, wyrodki-rewolucjoniści i wyrodki-mieszczanie zostali uznani za wrogów ludzkości i odpowiednio traktowani.

Maksym poczuł taką rozpacz, jakby nagle odkrył, że jego zaludniona wyspa jest w rzeczywistości zamieszkała nie przez ludzi, lecz przez marionetki. Ogromny aparat propagandy hitlerowskiej to był drobiazg w porównaniu z systemem promienników. Radio można było wyłączyć, przemówień Goebbelsa można było nie słuchać, gazet można było nie czytać, ale uwolnienie się od pola było niemożliwe. W historii mieszkańców Ziemi niczego podobnego nie było, a zatem na ludzkie doświadczenia w tym wypadku nie można było liczyć. Plan zdobycia jakiegoś większego obszaru był zwykłym awanturnictwem. Ogromna maszyna do ogłupiania była zbyt prosta, aby mogła ewoluować i zbyt wielka na to, żeby dała się zniszczyć niewielkimi siłami. W kraju nie było żadnego czynnika, który mógłby wyswobodzić ogromny naród nie mający pojęcia o tym, że nie jest wolny; naród, który - jak się wyraził Dzik - wypadł z biegu historii. Maszyna była niezniszczalna od wewnątrz i częściowo unicestwiona natychmiast się odbudowywała. Na zakłócenia zewnętrzne reagowała błyskawicznym atakiem, nie troszcząc się przy tym o los swych poszczególnych elementów. Jedyna nadzieja kryła się w fakcie, że maszyna miała Centrum, pulpit sterowniczy, mózg. To Centrum teoretycznie można było zniszczyć, doprowadzić maszynę do stanu nietrwałej równowagi i spróbować przestawić ten świat na inne tory, zawrócić na drogę historii. Ale lokalizacja Centrum była największą, najpilniej strzeżoną tajemnicą. Nie było też nikogo, kto mógłby je zniszczyć. To było coś zupełnie innego niż atak na wieżę. To była poważna operacja wymagająca ogromnych środków i przede wszystkim armii niepodatnych na promieniowanie. Niepodatnych, to znaczy odpornych z natury lub zaopatrzonych w skuteczne, proste i łatwo dostępne urządzenia ochronne. Niczego podobnego nie było i nic nie wskazywało na to, że kiedyś będzie. Kilkaset tysięcy wyrodków nie stanowiło jednolitej masy. Ludzie ci byli rozproszeni, skłóceni i przesładowani, wielu zaś w ogóle należało do kategorii tak zwanych "wyrodków legalnych". Gdyby nawet udało się ich zjednoczyć i uzbroić, to Promienni Chorążowie natychmiast wytrzebiliby tę małą armię, kierując przeciwko niej ruchome emiterzy włączone na pełną moc...

Zef dawno już zamilkł, a Maksym nadal siedział z opuszczoną głową i dłużył patykiem w czarnej, suchej ziemi. Potem Zef odchrząknął i powiedział:

--- Tak, kolego. Tak to wygląda naprawdę.

Zdawało się, że zaczął już żałować, iż opowiedział, jak to wygląda naprawdę.

--- Na co więc liczycie?! - wyrwało się Maksymowi.

Zef i Dzik milczeli. Maksym podniósł głowę, zobaczył ich twarze i wymamrotał:

--- Wybaczcie... Ja... Prawdę mówiąc... Przepraszam.

--- Powinniśmy walczyć - powiedział równym głosem Dzik. - Walczymy więc i będziemy walczyć nadal. Zef ujawnił panu jedną ze strategii sztabu. Istnieją też inne, równie niedoskonałe i ani razu w praktyce nie wypróbowane. Wie pan, u nas wszystko jest w stadium załączkowym. Dojrzałej teorii walki nie można stworzyć z niczego.

--- Proszę mi powiedzieć - powiedział wolno Maksym - to promieniowanie... Czy ono działa jednakowo na wszystkie narody waszego świata?

Zef i Dzik wymienili spojrzenia.

--- Nie rozumiem - powiedział Dzik.

--- Chodzi mi o to czy istnieje tu jakiś naród, wśród którego znalazłoby się przynajmniej kilka tysięcy takich jak ja?

--- Wątpię - powiedział Zef. - Chyba że wśród tych... mutantów. Massaraksz, nie obraź się, Mak, ale jesteś przecież oczywistym mutantem. Szczęśliwa mutacja, jedna szansa na milion.

--- Nie obrażam się - powiedział Maksym. - A więc mutanci... To tam dalej na Południe?

--- Tak - odparł Dzik, który uważnie wpatrywał się w Maksyma.

--- A co tam właściwie jest na tym Południu? - zapytał Maksym.

--- Las, potem pustynia... - odpowiedział Dzik.

--- I mutanci?

--- Tak. Półzwierzęta. Pomyłone dzikusy. Proszę posłuchać, Mak, niech pan sobie tym głowy nie zawraca.

--- Widział ich pan kiedyś?

--- Widziałem tylko martwych - powiedział Dzik. - Chwytają ich czasami w lesie, a potem wieszają przed barakami dla pokrępienia serc.

--- Za co?

--- Za szyję! - ryknął Zef. - Dureń! To dzikie bestie! Są nieuleczalni i stokroć niebezpieczniejsi od wszystkich drapieżników! Napatrzyłem się na nich, ty takich nawet we śnie nie oglądałeś...

--- A po co tam budują wieże? - indagował Maksym. - Chcą ich oswoić?

--- Niech pan da spokój, Mak - powtórzył Dzik. - To jest zupełnie beznadziejne. Oni nas nienawidzą... A zresztą wolna droga. Nikogo siłą nie trzymamy.

Nastąpiło milczenie. Później daleko za ich plecami rozległ się znajomy jazgotliwy hurgot. Zef uniósł się.

--- Czołg... - powiedział w zadumie. - Ukatrupić go?... To niedaleko, osiemnasty kwadrat... Nie, jutro. Maksym nagle zdecydował się:

--- Ja się nim zajmę. Idźcie, dogonię was.

Zef popatrzył na niego z powątpiewaniem.

--- A czy potrafisz? - zapytał. - Jeszcze wylecisz w powietrze...

--- Mak! - powiedział jednoręki. - Niech się pan zastanowi!

Zef ciągle patrzył na Maksyma, a potem nagle wyszczerzył zęby.

--- A, to do tego ci potrzebny czołg! - powiedział. - Spryciarz z ciebie, chłopcze. Nieee, mnie nie oszukasz. No dobrze, idź, kolację ci zostawię. Jak otrzeźwiejesz, będziesz miał co żreć... Pamiętaj tylko, że to paskudztwo często bywa zaminowane, gmeraj w nim ostrożnie... Idziemy, Dzik. On nas dopędzi. Dzik chciał coś jeszcze powiedzieć, ale Maksym już wstał i poszedł w kierunku przesieki. Rozmowy go znużyły. Szedł szybko nie odwracając się i nie wypuszczając granatnika spod pachy. Teraz, kiedy już podjął decyzję, zrobiło mu się lżej na duszy, bo powodzenie zamierzonego przedsięwzięcia zależało jedynie od jego wiedzy i zręczności.

Rozdział XIV

Nad ranem Maksym wyprowadził czołg na szosę i obrócił go maską na południe. Mógł już jechać, ale wyszedł z przedziału kierowcy, zeskokczył na pogruchotany beton i przysiadł na krawędzi rowu wycierając trawą zabrudzone ręce. Rdzawy olbrzym spokojnie terkotał obok. Ostry wierzchołek jego rakiety celował w mętne niebo.

Maksym przepracował całą noc, ale nie czuł zmęczenia. Tubylcy budowali solidnie i machina zachowała się w niezłym stanie. Żadnych min oczywiście wewnątrz niej nie było, były natomiast ręczne urządzenia sterowe. Jeżeli nawet ktoś w tych czołgach wylatywał w powietrze, to mogło się to zdarzyć wyłącznie z powodu zużycia kotła lub też zupełnego analfabetyzmu technicznego. Kocioł dawał zaledwie około dwudziestu procent mocy nominalnej, a mechanizmy trakcyjne były porządnie zdezelowane, ale Maksym był zadowolony, bo wczoraj nie liczył nawet i na to.

Dochodziła szóstka rano. Rozwidniło się już zupełnie. Zwykle o tej porze katorżników ustawiano w kraciaste kolumny, pospiesznie karmiono i wyganiano do roboty. Nieobecność Maksyma z pewnością już zauważono i pewnie uznano go za zbiegą, co równało się wyrokowi śmierci. Może zresztą Zef wymyślił jakieś wytłumaczenie: ranę, zwichniętą nogę lub coś podobnego.

W lesie zrobiło się cicho. "Psy", nawołujące się przez całą noc, ukryły się teraz pewnie w swoich podziemiach i zacierając łapy śmieją się pewnie z tego, jak nastraszyły wczoraj dwunogich. Tymi "psami" trzeba się będzie solidnie zająć, ale teraz nie ma na to czasu. Ciekawe, czy są wrażliwe na promieniowanie? Dziwne stworzenia... Nocą, kiedy grzebał w silniku, dwa z nich sterczały za krzakami, obserwując go uważnie, a potem przyszedł trzeci i wdrapał się na drzewo, żeby lepiej widzieć. Maksym wysunąwszy się z

włazu pomachał do niego ręką, a potem dla dowcipu odtworzył najwierniej jak potrafił czterosylabowe słowo, które wczoraj skandował chór. "Pies" siedzący na drzewie okropnie się rozżłościł, błysnął oczami, zjeżył sierść na całym ciele i zaczął wykrzykiwać jakieś gardłowe obelgi. Dwójka kryjąca się w krzakach poczuła się tym widać zaszokowana, bo natychmiast zniknęła bez śladu. Natomiast awanturnik długo się nie mógł uspokoić: syczał, pluł, udawał, że chce napaść i szczyrzył białe, rzadkie kły. Wyniósł się dopiero nad ranem, kiedy zrozumiał, że Maksym nie ma zamiaru stanąć z nim do uczciwego pojedynku... Wątpliwe, aby te istoty były rozumne w ludzkim znaczeniu tego słowa, ale z pewnością stanowią jakąś zorganizowaną siłę, skoro potrafiły wypędzić z Twierdzy garnizon z księciem-hrabią na czele... Ale to wszystko na razie domysły i legendy...

Dobrze byłoby się teraz umyć: był cały ubrudzony rdzą, a że i kociół trochę przeciekał, więc skóra piekła go od promieniowania. Jeżeli Zef i jednoręki zgodzą się jechać, trzeba będzie osłonić kociół kilkoma arkuszami pancerza zerwanego z burt...

Daleko w lesie coś huknęło i przetoczyło się echem. Saperzy skazańcy rozpoczęli codzienną pracę. Bezsens, bezsens... Znow huknęło, odezwał się cekaem, poterkotał i zacichł. Było już zupełnie widno. Zapowiadał się pogodny dzień. Niebo było bezchmurne i jednolicie białe, jak błyszczące mleko. Beton szosy lśnił od wilgoci, lecz w pobliżu czołgu rosy nie było, bo od jego pancerza promieniowało niezdrowe ciepło. Potem zza wdzierających się na drogę krzewów pojawili się Zef i Dzik. Zobaczyli czołg i przyspieszyli kroku. Maksym wstał i poszedł im naprzeciw.

--- Żyje! - wykrzyknął Zef zamiast powitania. - Tak też myślałem. Twoją kaszkę, bracie, tego... Nie było w co zabrać. Ale chlebek przyniosłem, wcinaj.

--- Dziękuję - powiedział Maksym biorąc grubą pajdę.

Dzik stał oparty o wykrywacz min i patrzył na niego.

--- Wcinaj i zmykaj - powiedział Zef. - Tam, bracie, przyjechali po ciebie. Zdaje się, że chcą cię dodatkowo przesłuchać...

--- Kto? - zapytał Maksym przestając żuć.

--- Nie zameldował się nam - powiedział Zef. - Jakiś zupak obwieszony medalami jak choinka. Wrzeszczał na cały obóz, dlaczego ciebie nie ma, o mało mnie nie zastrzelił... A ja tylko oczy wytrzeszczam i melduję: tak i tak, zginął śmiertelnie walecznych na polu minowym.

Obszedł czołg dokoła i powiedział: "Co za obrzydlistwo" - siadł na poboczu i zaczął skręcać papierosa.

--- Dziwne - powiedział Maksym, odgryzając w roztargnieniu kawałek chleba. --- Dodatkowe przesłuchanie? Po co?

--- Może to Fank? - zapytał półgłosem Dzik.

--- Fank? Średniego wzrostu, kwadratowa twarz, skóra mu się łuszczy?

--- Nic podobnego - powiedział Zef. - Wielki dragal, pryszczaty, głupi jak stołowe nogi - legion.

--- To nie Fank - powiedział Maksym.

--- Może z rozkazu Fanka? - zapytał Dzik.

Maksym wzruszył ramionami i przełknął ostatni kęs.

--- Nie wiem - powiedział. - Poprzednio sądziłem, że Fank ma coś wspólnego z konspiracją, a teraz nie wiem nawet, co o tym myśleć.

--- W takim razie chyba rzeczywiście będzie dla pana lepiej wyjechać - rzekł Dzik. - Chociaż, prawdę mówiąc, nie wiem, co jest gorsze: mutanci czy ta żandarmśka szarża.

--- Dobra, niech jedzie - powiedział Zef. - Kurierem u ciebie nie będzie, a tak przynajmniej przywiezie jakieś informacje z Południa... Jeżeli go tam ze skóry nie obedną.

--- Wy oczywiście nie pojedziecie ze mną - powiedział Maksym twierdząco.

Dzik pokręcił głową.

--- Nie - powiedział. - Życzę powodzenia.

--- Zrzuć raketę - poradził Zef. - Możesz na niej wylecieć w powietrze. Co jeszcze?... Po drodze masz dwa posterunki. Łatwo je przeskoczysz, byleś się tylko nie zatrzymywał. Posterunki zwrócone są na Południe. Dalej będzie gorzej. Potworne promieniowanie, brak żarcia, mutanci, a jeszcze dalej piaski i ani śladu wody.

--- Dziękuję - powiedział Maksym. - Do widzenia.

Wskoczył na gąsienicę, uniósł pokrywę włazu i zsunął się w gorący półmrok. Położył już ręce na dźwigniach, kiedy przypomniał sobie, że pozostało mu jeszcze jedno pytanie. Wychylił się na zewnątrz.

--- Słuchajcie - powiedział. - Czemu prawdziwe przeznaczenie wież ukrywa się przed szeregowymi konspiratorami?

--- Dłatego, że większość w sztabie ma nadzieję przejąć kiedyś władzę i wykorzystywać wieże po staremu, ale do innych celów - odpowiedział Dzik smutnym głosem.

Zef odwrócił się i splunął.

--- Jakie są te inne cele? - zapytał Maksym.

--- Wychowanie mas w duchu dobra i wzajemnej miłości - powiedział Dzik.

Przez kilka sekund patrzyli sobie w oczy. Zef stał odwrócony i pracowicie zaklejał językiem papierosa.

Później Maksym powiedział: "Życzę wam, abyście przeżyli" i wrócił do swoich dźwigni. Czołg zahuczał, zajazgotał, zachrzęścił gąsienicami i potoczył się do przodu.

Kierować pojazdem było bardzo niewygodnie. Siedzenia kierowcy nie było, a sterta traw i gałęzi, którą

Maksym ułożył sobie w nocy, bardzo szybko się rozpełzła. Widoczność była paskudna, nie mógł rozpędzić się jak należy, bo przy szybkości około trzydziestu kilometrów na godzinę silnik zaczynał dławić się i łomotać, a kabina wypełniała się odorem spaliny. Inna rzecz, że ten atomowy potwór miał ciągle jeszcze doskonałe właściwości terenowe. Było mu wszystko jedno, po czym jedzie. Krzaków i płytkich wyrw w ogóle nie zauważał, powalone drzewa zgniatał na miążgę, młode drzewka wyrastające ze szczelin betonu z największą łatwością zagarniał pod siebie, a przez głębokie jamy wypełnione zatęchłym błockiem przepelzał, parskając przy tym jak zadowolony bawół. Kurs też trzymał doskonale i skierować go w inną stronę było niesłychanie trudno.

Szosa była stosunkowo prosta, w kabinie brudno i duszno, więc Maksym w końcu zablokował ręczną dźwignią gaz, wyszedł na zewnątrz i usadowił się wygodnie na skraju wjazdu pod kratownicową wyrzutnią rakiety. Czołg szedł do przodu tak pewnie, jakby to był jego pierwotny kurs wyznaczony starym programem. Machina miała w sobie coś z prostoduszności olbrzyma i Maksym, który lubił maszyny, poklepał ją nawet na znak aprobaty po pancerzu.

Można było żyć. Po obu stronach drogi odpełzał do tyłu las, silnik klekotał miarowo, na wierzchu promieniowania prawie się nie czuło, wietrzyk był względnie czysty i przyjemnie chłodził rozpaloną skórę. Maksym uniósł głowę i popatrzył na rozchybotany czubek rakiety. Chyba rzeczywiście trzeba ją będzie zrzucić. Wybuchnąć to ona nie wybuchnie, bo dawno już "skisła" - sprawdził to jeszcze w nocy - ale waży z dziesięć ton, po co taszczyć taki ciężar? Czołg lał sobie do przodu, a Maksym zaczął badać wyrzutnię, szukać zaczepów mocujących. Znalazł je wreszcie, ale mechanizm był zardzewiały i trzeba się było trochę pomęczyć. Kiedy się tak trudził, czołg dwukrotnie na zakrętach zjeżdżał z szosy i gniewnie porykując zaczynał łamać drzewa w lesie. Maksym musiał więc spieszyć do dźwigni, poskramiać żelaznego idiotę i wyprowadzać go znów na drogę. W końcu zaczepy puściły, rakietę przechyliła się, ciężko łupnęła na beton i niechętnie stoczyła się do rowu. Czołg podskoczył i zaczął jechać żwawiej, a zaraz potem Maksym zobaczył pierwszy posterunek.

Na skraju lasu stały dwa duże namioty, autofurgon i dymiąca kuchnia polowa. Dwóch obnażonych do pasa legionistów polewało się nawzajem wodą z manierek. Pośrodku szosy stał i patrzył na zbliżający się czołg wartownik w czarnej pelerynie, a po prawej stronie drogi sterczały dwa słupy połączone u góry poprzeczką. Z poprzeczki coś zwisało, coś białego, długiego, sięgającego niemal do ziemi. Maksym zeskokczył do kabiny, aby nie było widać jego kraciastej kapoty i wystawił na zewnątrz tylko głowę. Wartownik gapiąc się ze zdumieniem na czołg, wycofał się na pobocze i niezdecydowanie spoglądał w kierunku furgonu. Półnaczy legionieści przestali się myć i również zagapili się na czołg. Hurgot gąsienic wywabił z furgonu jeszcze kilku ludzi. Jeden z nich był w mundurze z oficerskimi dystynkcjami. Byli bardzo zdziwieni, lecz nie zaniepokojeni. Oficer pokazał ręką na czołg i wszyscy się roześmieli. Kiedy Maksym zrównał się z wartownikiem ten coś do niego krzyknął. Maksym krzyknął w odpowiedzi: "Wszystko w porządku, zostań na miejscu..." Wartownik niczego nie zrozumiał z powodu łoskotu silnika, ale na jego twarzy odbiło się zadowolenie. Przepuściwszy czołg znowu wyszedł na środek szosy i ustawił się w poprzedniej pozycji. Było jasne, że niebezpieczeństwo minęło.

Maksym obrócił głowę i zobaczył z bliska to, co zwisało z poprzeczki. Patrzył przez chwilę, potem szybko zmrużył oczy, przysiadł i bez żadnej potrzeby chwycił za dźwignie. Nie trzeba było patrzeć - pomyślał. - Diabeł mnie podkusił obrócić głowę! Zmusił się do otwarcia oczu. Nie - pomyślał. - Trzeba patrzeć! Trzeba się przyzwyczajać. Trzeba poznawać. Nie ma sensu się cofać, skoro już się wzięłam za tę robotę. To pewnie był mutant, bo śmierć nie może tak człowieka okaleczyć. Tylko życie to potrafi. Ono mnie też okaleczy i nic na to nie można poradzić. Nie trzeba się przed tym bronić, trzeba się przyzwyczajać. Może mam przed sobą setki kilometrów dróg obstawionych szubienicami...

Kiedy znów wychylił się z wjazdu i popatrzył do tyłu, posterunku nie było już widać. Ani posterunku, ani samotnej szubienicy przy drodze. Dobrze byłoby jechać teraz do domu... Tak sobie jechać, jechać i jechać, aż wreszcie byłby dom, mama, ojciec, koledzy... Dobrze byłoby przyjechać, przebudzić się, umyć i opowiedzieć im okropny sen o zaludnionej wyspie... Spróbował wyobrazić sobie Ziemię, ale nie potrafił. Trudno było uwierzyć, że gdzieś są czyste, wesołe miasta pełne dobrych, mądrych ludzi, którzy sobie ufają; że nie ma tam rdzy, obrzydliwych zapachów, radioaktywności, wulgarnych bydlęcych pysków, czarnych mundurów i przerażających legend pomieszanych z jeszcze gorszą rzeczywistością. Nagle po raz pierwszy uprzytomnił sobie, że na Ziemi mogło się przydarzyć coś podobnego i że teraz byłby taki sam jak wszyscy tu dokoła: ciemny, oszukany, uwielbiający i oddany. Szukałeś sobie zajęcia - pomyślał. - No więc masz teraz zajęcia. Zajęcia trudne i okrutne, ale wątpliwe, abyś kiedykolwiek znalazł sobie inne równie ważne...

Przed nim na szosie pojawił się jakiś pojazd pełną gębą w tę samą stronę, na południe. Był to niewielki, gąsienicowy traktor ciągnący za sobą metalową kratownicę na przyczepie. W otwartej kabinie siedział człowiek w kraciastej kapocie i palił fajeczkę. Człowiek popatrzył na czołg, na Maksyma i odwrócił się. Co to za kratownica? - pomyślał Maksym. - Jakie znajome kształty... - Potem nagle pojął, że to sekcja wieży. Warto by ją teraz zrzucić do rowu - pomyślał - i ze dwa razy się po niej przejechać. Obejrzał się do tyłu i wyraz jego twarzy najwyraźniej przeraził kierowcę ciągnika, bo nagle zahamował i postawił jedną nogę na osłonie gąsienicy, jakby miał zamiar zeskokczyć na ziemię. Maksym odwrócił się.

Jakieś dziesięć minut później zobaczył drugą strażnicę. To był wysunięty posterunek ogromnej armii kraciastych niewolników, a może akurat nie niewolników, lecz najbardziej wolnych ludzi w kraju: dwa

prowizoryczne domki z dachami błyszczącymi cynkową blachą, niewysokie sztuczne wzgórza, a na nim szary, niski bunkier z czarnymi szczelinami strzelnic. Nad bunkrem wznosiły się już pierwsze sekcje wieży. Wokół stały samobieżne dźwigi i traktory, poniewierały się rozrzucone bezładnie elementy kratownicowej konstrukcji. Las w przestrzeni kilkuset metrów po obu stronach szosy został wytrzebiony i po otwartym terenie gdzieś krztałi się ludzie w kraciastej odzieży. Za domkami widniał długi, niski barak, taki sam jak w centralnym obozie. Odrobinę dalej, przy samej szosie sterczała drewniana wieżyczka z pomostem, po którym przechadzał się wartownik w szarym wojskowym mundurze i głębokim hełmie. Obok niego sterczał cekaem na trójnogu. Pod wieżyczką stało jeszcze kilku innych żołnierzy. Mieli wygląd ludzi wymęczonych przez nudę i komary. Chyba też dlatego wszyscy palili.

No, tutaj też się obejdzie bez kłopotów - pomyślał Maksym. - Tu jest koniec świata i wszyscy mają wszystko głęboko w nosie. Ale pomylił się. Żołnierze przestali opędzać się od komarów i zagapili się na czołg. Potem jeden z nich, chudy i bardzo do kogoś podobny, poprawił hełm na głowie, wyszedł na środek szosy i podniósł rękę do góry. Nie powinieneś tego robić - pomyślał Maksym z żalem. - Po co ci to potrzebne?

Postanowiłem tędy przejechać i przejadę... - Ześliznął się w dół, usadowił się wygodnie przy dźwigniach i postawił nogę na pedale akceleratora. Teraz dodam gazu - pomyślał Maksym - ryknę jak należy i on odskoczy... A jeśli nie odskoczy - dodał w duchu z nagłą złością - to cóż, na wojnie, jak na wojnie... Nagle rozpoznał tego żołnierza. Przed nim na drodze stał Gaj, wychudły, zmęczony, zarosnięty szczecina, w workowatym żołnierskim kombinezonie. "Gaj... - wymamrotał Maksym. - Biedaku... Co mam teraz robić?" - Zdjął nogę z pedału i wyłączył sprzęgło. Czołg zwolnił i zatrzymał się. Gaj opuścił rękę i bez pośpiechu podszedł do niego. Wtedy Maksym aż się zaśmiał z radości. Wszystko się bardzo dobrze złożyło. Znowu włączył sprzęgło i przygotował się.

--- Hej! - krzyknął Gaj groźnym głosem i zastukał kolbą po panczeru. - Coś za jeden?

Maksym milczał śmiejąc się tylko cichutko.

--- Jest tam kto? - w głosie Gaja pojawił się cień niepewności.

Potem jego podkute obcasy załomotały po panczeru, lewy wąż się otworzył i Gaj wsunął się do kabiny. Zobaczył Maksyma, otworzył usta i w tej samej chwili Maksym chwycił go za kombinezon, szarpał ku sobie, powalił na gałęzie pod nogami i przycisnął... Czołg ryknął ogłuszająco i skoczył do przodu. Rozwałę silnik - pomyślał Maksym. - Gaj szarpał się i podskakiwał. Hełm opadł mu na twarz, niczego nie widział i tylko szamotał się na osłep, próbując wydobyć spod siebie automat. Przedział wypełnił się nagle hukami i jazgotem, najwidoczniej w rufę uderzyły automaty i cekaem. To nie było groźne, ale nieprzyjemne i Maksym z niecierpliwością patrzył, jak wolno zbliża się ściana lasu. Jeszcze trochę, jeszcze i oto już pierwsze krzewy... Ktoś kraciasty umknął z drogi... Nareszcie dokoła rozpościerał się las, kule nie stukają po panczeru i szosa w przodzie jest wolna na setki kilometrów.

Gaj wreszcie wyciągnął spod siebie automat, ale wtedy Maksym zdarł z niego hełm, zobaczył jego spoconą twarz z wyszczerzonymi zębami i roześmiał się, kiedy wściekłość, przerażenie i żądza krwi ustąpiły miejsca najpierw zmieszaniu, potem zdumieniu, a wreszcie radości. Gaj poruszył wargami, najwidoczniej powiedział: "Massaraksz!" Maksym porzucił dźwignię i przycisnął go do siebie, mokrego, chudego i zarosniętego, objął i wytarosił, a potem wypuścił i trzymając za ramiona powiedział: "Gaj, przyjacielu, jakże się cieszę!" - Absolutnie nic nie było słyhać, wyrżał więc przez wizjer i zobaczył, że szosa była nadal pusta. Zabłokował z powrotem ręczny gaz, wgramolił się na górę i pociągnął za sobą Gaja.

--- Massaraksz! - powiedział oszołomiony Gaj. - To znowu ty!

--- Nie cieszysz się? Bo ja bardzo! - Maksym dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo nie chciało mu się jechać na Południe w pojedynkę.

--- Co to wszystko znaczy? - krzyknął Gaj. Pierwsza radość już minęła i teraz niespokojnie rozglądał się na boki. - Dokąd ty mnie wieszysz? Po co?

--- Na Południe! - odrzyknął Maksym. - Mam już dosyć twojego gościnnego kraju!

--- Ucieczka?

--- Tak!

--- Zwariowałeś? Darowano ci życie!

--- Kto mi podarował życie?! Życie jest moje! Należy tylko do mnie!

Rozmawiali z trudem, bo trzeba było krzyczeć i jakoś mimo woli zamiast przyjacielskiej pogawędki wychodziła kłótnia. Maksym zeskoczył do kabiny i zmniejszył obroty. Czołg zwolnił i przycichł. Kiedy Maksym wyszedł na zewnątrz, Gaj siedział naburmuszony i zdecydowany.

--- Mam obowiązek przyprowadzić cię z powrotem - oświadczył twardo.

--- A ja mam obowiązek wyrwać cię stąd - odparł na to Maksym równie twardym tonem.

--- Nie rozumiem... Zupełnie zwariowałeś! - Stąd nie można uciec. Trzeba wrócić... Massaraksz, wracać również nie możesz, bo cię rozstrzelają... A na Południu nas zjedzą... Niech cię diabli wezmą razem z twoim szaleństwem! Przylepiłeś się do mnie jak fałszywa moneta...

--- Poczekaj, nie wrzeszcz - powiedział Maksym. - Zaraz ci wszystko wytłumaczę.

--- Nie chcę nic słyszeć. Zatrzymaj czołg!

--- Poczekaj - namawiał Maksym. - Daj mi opowiedzieć!

Ale Gaj nie życzył sobie żadnych opowiadań. Gaj żądał, aby ten bezprawnie zagarnięty pojazd został bezzwłocznie zatrzymany i zawrócony. Maksym został dwukrotnie, trzykrotnie i czterokrotnie zwymyślany od

bałwanów. Wrzask "massaraksz" zagłuszał łoskot silnika. Sytuacja, massaraksz, była okropna. Była, massaraksz, bez wyjścia! Przed nimi, massaraksz, była pewna śmierć. Za nimi, massaraksz, również. Maksym był zawsze durniem i wariatem, massaraksz, ale ten jego wybryk, massaraksz, będzie z pewnością ostatnim, massaraksz i massaraksz...

Maksym nie sprzeciwiał mu się. Przyszło mu nagle do głowy, że pole ostatniej wieży najprawdopodobniej kończy się gdzieś w tej okolicy, a pewnie nawet już się skończyło, bo ostatni posterunek powinien stać na samej granicy skrajnego pola... Niech się wygada, na zaludnionej wyspie słowa się nie liczą... Wymyślaj sobie, wymyślaj, ja cię i tak wyciągnę, nic tam po tobie... Od kogoś trzeba zacząć, będziesz więc pierwszym. Nie chcę, abyś był marionetką, gdybyś nawet lubił być marionetką.

Zwymyślawszy Maksyma Gaj zeskoczył do kabiny i zaczął tam majstrować usiłując zatrzymać czołg. Nie udało mu się to, wyszedł więc, już w hełmie, bardzo rzeczowy i milczący. Najwyraźniej zamierzał zeskoczyć w biegu i wrócić. Rozpierała go złość. Maksym spojrzał nań, chwycił za spodnie, posadził obok siebie i zaczął wyjaśniać sytuację.

Mówił ponad godzinę, przerywając tylko wtedy, kiedy musiał wyrównać bieg czołgu na zakrętach. Mówił, a Gaj słuchał. Początkowo usiłował przerywać, zatykał uszy i chciał zeskakiwać w biegu. Ale Maksym mówił i mówił, powtarzał jedno i to samo po kilka razy z rzędu, wyjaśniał, tłumaczył, przekonywał. Gaj wreszcie zaczął słuchać uważniej, potem zamyślił się, posmutniał, wepchnął obie ręce pod hełm i gwałtownie podrapał się w czuprynę, a później nagle sam przeszedł do natarcia i zaczął po inkwizytorSKU wypytywać Maksyma, skąd to wszystko wie i kto mu udowodni, że to wszystko nie jest kłamstwem, i jak można w to uwierzyć, skoro to jest oczywisty wymysł... Maksym przygważdżał go faktami, a kiedy faktów brakowało, przysięgał, że mówi prawdę, a kiedy i tego było mało, nazywał Gaję tępakiem, marionetką i robotem. Tymczasem czołg toczył się ciągle na Południe, coraz głębiej wdzierając się do kraju mutantów.

--- No dobrze! - powiedział wreszcie Maksym z wściekłością. - Zaraz to wszystko sprawdzimy. Według moich obliczeń już dawno wyjechaliśmy ze strefy promieniowania, a obecnie jest mniej więcej za dziesięć dziesiątą. Co wy wszyscy robicie o dziesiątej?

--- O dziesiątej zero, zero - mruknął ponuro Gaj - jest poranny apel.

--- Właśnie. Ustawiacie się w szeregi, zaczynacie ryczej idiotyczne hymny i pękacie z entuzjazmu.

Pamiętasz?

--- Entuzjazm mamy we krwi - oświadczył Gaj.

--- Entuzjazm wbijają wam do waszych zakutych pałek - zaproponował Maksym. --- Nie szkodzi, zaraz zobaczymy, jaki to entuzjazm masz we krwi. Która godzina?

--- Za siedem - powiedział mrocznie Gaj.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

--- No? - zapytał Maksym.

Gaj spojrzał na zegarek i niepewnym głosem zaśpiewał: "Naprzód, legioniści, naprzód, dzielni chłopcy..."

Maksym obserwował go z ironicznym uśmiechem. Gaj zająknął się i pomylił słowa.

--- Przestań się na mnie gapić! - powiedział ze złością. - Przeszkadzasz mi! A w ogóle, jaki może być entuzjazm poza szykiem?

--- Daj spokój - powiedział Maksym. - Poza szykiem zdarzało ci się wrzeszczeć tak samo jak i w szyku.

Strach było patrzeć na ciebie i na wujaszka Kaana. Jeden ryczy "Marsz bojowy", drugi wyśpiewuje "Chwałę Płomiennym". W dodatku jeszcze Rada... No gdzie entuzjazm? Gdzie twoja miłość do Chorążych?

--- Nie waż się! - powiedział Gaj. - Nie waż się tak mówić o Chorążych. Nawet jeśli to, co opowiedziałeś, jest prawdą, to Chorążych po prostu oszukano.

--- Któż to ich oszukał?

--- Nnno... Mało łajdaków...

--- To znaczy, że Chorążowie nie są wszechmocni? To znaczy, że nie o wszystkim wiedzą?

--- Nie życzę sobie rozmawiać na ten temat - uciał Gaj.

Posmutniał, zgarbił się, twarz mu się jeszcze bardziej skurczyła, oczy zmętniały, dolna warga opadła.

Maksym przypomniał sobie nagle Fiszte-Cebulę i Kotrę- Pięknisia z aresztanckiego wagonu. To byli narkomani, nieszczęśliwi ludzie, którzy nawykli do zażywania szczególnie silnych środków odurzających. Męczyli się straszliwie bez tej swojej trucizny, nie jedli, nie pili, i całymi dniami siedzieli tak właśnie, ze zgasłymi oczami i opadniętą wargą.

--- Boli cię coś? - zapytał Gaj.

--- Nie - odpowiedział Gaj bełkotliwie.

--- To czemuś tak się nastroszył?

--- Tak jakoś... - Gaj rozpiął kołnierzyk i niemrawo pokręcił głową. - Jakoś mi niedobrze... Położę się, co?

Nie czekając na odpowiedź Maksyma zsunął się do kabiny i zwinął się tam w kłębek na podściółce z gałęzi.

Tak to wygląda! - pomyślał Maksym. - To nie jest takie proste, jak przypuszczałem... Nawala promienista?...

Nie, z pola wyjechaliśmy prawie dwie godziny temu... Może to właśnie brak pola jest dla niego szkodliwy?

Może zachoruje? Patrzył przez otwór wjazdu na bladą twarz przyjaciela i rosło w nim przerażenie. W końcu nie wytrzymał, zeskoczył do środka, wyłączył silnik, wyciągnął Gaję na zewnątrz i położył na trawie u pobocza drogi.

Gaj spał i mamrotał coś przez sen. Później dostał silnych drgawek, skręcał się, kurczył i wsuwał dłonie pod

pachy, jakby chciał je rozgrzać. Maksym ułożył jego głowę na swoich kolanach, przycisnął mu palcami skronie i postarał się skupić. Dawno już nie robił psychomasażu, pamiętał jednak, że najważniejsze przy tym to odseparować się od wszystkiego, skoncentrować się i włączyć chorego w swój własny, zdrowy układ nerwowy. Siedział tak z piętnaście minut, a kiedy się ocknął, Gaj wyraźnie lepiej się poczuł: twarz mu się zaróżowiła, oddech wyrównał, przestał też marznąć. Maksym zrobił mu poduszkę z trawy, posiedział jeszcze trochę przy nim odpędzając komary, a potem przypomniał sobie, że mają przed sobą długą drogę, reaktor przecieka, co dla Gaja jest niebezpieczne i że wobec tego trzeba temu jakoś zaradzić.

Porządnie się natrudził, zanim zdjął z przedziewiałych nitów kilka arkuszy burtowego pancerza, a potem umocował te blachy na ceramicznej przegrodzie oddzielającej reaktor i silnik od kabiny kierowcy. Pozostał mu do zamocowania jeszcze jeden arkusz, kiedy nagle poczuł, że w pobliżu pojawił się ktoś postronny. Wychylił się ostrożnie przez otwór włazu i wszystko w nim zamarło i zlodowaciało.

Na szosie, o dziesięć kroków od czołgu, stali trzej ludzie. W pierwszej chwili nie poznał, że to byli ludzie. Byli wprawdzie ubrani, dwóch zaś trzymało na ramionach żerdkę, z której zakrwawioną głową w dół zwisało jakieś niewielkie kopytne zwierzę podobne do jelenia, a na szyi trzeciego w poprzek ptasiej piersi kołysał się potężny karabin o niezwykłym wyglądzie, ale jednak... Mutanci - pomyślał Maksym. - Tak wyglądają mutanci. Wszystkie zasłyszane kiedyś legendy i opowiadania wypłynęły z pamięci i stały się naraz bardzo prawdopodobne. Zdzierają żywcem skórę. Ludożercy. Dzikusy. Bestie... Zaciśnął zęby, wskoczył na pancerz i stanął wyprostowany na cały wzrost. Wówczas ten, który miał karabin, śmiesznie zadreptał krótkimi nóżkami wygiętymi w pałąk, ale nie ruszył się z miejsca. Podniósł tylko okropną rękę z dwoma długimi palcami o wielu stawach, głośno zasyczał, a potem wymówił skrzekliwym głosem:

--- Jeść chcesz?

Maksym rozlepił wargi i powiedział:

--- Tak.

--- Strzelać nie będziesz? - poinformował się posiadacz karabinu.

--- Nie - odpowiedział Maksym z uśmiechem. - Nie będę.

Rozdział XV

Gaj siedział przy koślawym topornym stole i czyścił automat. Minęła dziesiąta rano, świat był szary, bezbarwny, suchy i wyzuty z radości, martwy, mętny i chory. Nie chciało się myśleć, nie chciało się niczego widzieć i słyszeć - chciało się po prostu położyć głowę na blacie stołu, opuścić ręce i umrzeć. Po prostu umrzeć - i nic więcej.

Izdebka była malutka i miała jedno jedyne nie oszklone okienko, wychodzące na ogromny, pokryty gruzami i porośnięty szarorudymi krzakami pusty plac. Tapety na ścianie pokoiku wyblakły i pozwijają się w strąki - z gorącą albo ze starości --- parkiet rozsechł się, a w jednym kącie był wypalony do podłoża. Po dawnych mieszkańcach nic w izdebce nie zostało poza dużą fotografią za rozbitym szkłem, na której, jeśli się jej uważnie przyjrzeć, można było rozróżnić jakiegoś starszego pana z idiotycznymi bokobrodami i w śmiesznym kapelusiku, przypominającym kształtem blaszany talerz.

Mdło się od tego wszystkiego robiło, człowiek miał ochotę zdechnąć albo zawyć jak bezdomny pies, ale Maksym rozkazał: "Czyść!" "Za każdym razem - rozkazał Maksym, postukując swym żelaznym palcem po stole - za każdym razem, kiedy cię to dopadnie, siadaj i czyść automat..." No to trzeba czyścić. Przecież Maksym rozkazał, a nie byle kto! Gdyby nie Maksym, Gaj już dawno położyłby się i umarł. Prosił go przecież: "Nie odchodź ode mnie w tym czasie, posiedź, polecz". Nie. Powiedział, że teraz trzeba samemu. Powiedział, że to nie jest groźne dla życia, że w końcu musi przejść, że trzeba tylko przemóc się i wziąć się w garść...

Dobra - pomyślał smętnie Gaj - dam sobie radę. Przecież Maksym mi to rozkazał. Nie człowiek, nie Ogniwładny, nie Bóg tylko Maksym. I powiedział jeszcze: "Wściekaj się! Jak tylko to cię dopadnie, staraj się przypomnieć, kto i po co cię do tego przyuczył, wściekaj się i zbieraj w sobie nienawiść. Wkrótce ci się przyda, bo nie jesteś sam, jest was ponad czterdzieści milionów, takich samych jak ty ogłupionych i zatrutych biedaków". Trudno uwierzyć, massaraksz, przecież całe życie człowiek był w wojsku, przez całe życie wiedział, na jakim świecie żyje, wszystko było jasne i proste, kiedy stało się w szeregu i dobrze było być takim samym jak wszyscy. Dobrze było. Ale musiał zjawić się, rozkochać w sobie, złamać karierę, a potem dosłownie za kołnierz wyciągnąć z szeregu i rzucić w inny świat, w inne życie, w którym i cel jest niejasny, i środki do jego osiągnięcia niejasne, i gdzie - po stokroć massaraksz! - trzeba o wszystkim myśleć samemu... Tak. Złapał za kołnierz, podsunął pod nos wszystko co najdroższe i rodzime, pokazał gniazdo i sztandar - i dowiedział, że wszystko to szambo, paskudztwo i łgarstwo... Jak się przyjrzeć, to rzeczywiście wszystko wygląda bardzo nieładnie, rzygać się chce na wspomnienie samego siebie i najlepszych kumpli, a o panu rotmistrzu Czaczcu to już w ogóle szkoda gadać! Gaj z wściekłością wbił na miejsce zamek, szczęknął zapadką i sflaczał. Znowu napadła go apatia i zabrakło siły woli, żeby wstawić magazynek. Paskudnie, och, jak paskudnie się poczuł!

Otworzyły się zwichrowane, skrzypiące drzwi i w szparze ukazał się malutki, zaaferowany pyszczyk, dość nawet sympatyczny, jeśli komuś nie przeszkadza tysa czaszka i zaczerwienione powieki bez rzęs. To była Tanga, córeczka sąsiadów.

--- Wujaszek Mak kazali przyjść na plac! Tam już wszyscy się zebrali i tylko na was czekają!

Gaj popatrzył na nią ciężkim wzrokiem. Zobaczył chude ciało w sukieneczynie z workowego płótna,

nienormalnie cienkie patyczkowate łapki pokryte brunatnymi plamami, krzywe nóżki ze spuchniętymi kolanami i omal nie wymiotował. Zrobiło mu się wstyd. Przecież ten dzieciak nie jest winien, że tak wygląda. A kto jest winien? Odwrócił oczy i powiedział:

--- Nie pójdę. Powiedz, że źle się czuję. Zachorowałem.

Drzwi znów skrzyknęły i kiedy uniósł oczy, dziewczynki już nie było. Ze złością rzucił automat na pryczę, podszedł do okna i wyrżał. Dziewczynka pędziła między resztkami ścian, wąwozem, który kiedyś był ulicą; ruszył za nią jakiś berbec, przekuśtykał parę kroczków, potknął się, przewrócił, uniósł głowę, poleżał przez chwilę, a potem ryknął dudniącym basem. Z gruzów wybiegła matka. Gaj odskoczył od okna, potrząsnął głową i wrócił do stołu. Nie, nie umiem się przyzwyczać, nie mogę. Widać zły ze mnie człowiek... Ale jakbym dorwał tego, kto za to wszystko odpowiada! Dlaczego jednak nie mogę się przyzwyczać? Mój Boże, przez ten miesiąc tyle się tu różności napatrzyłem, że wystarczy na sto koszmarnych snów.

Mutanci żyli w małych wspólnotach. Niektórzy koczowali, polowali, szukali lepszego miejsca, szukali drogi na Północ omijającej karabiny maszynowe legionistów i straszliwe okolice, gdzie wariowali i marli jak muchy od paraliżującego bólu głowy; niektórzy prowadzili osiadły tryb życia na farmach i w wioszczynach ocalałych po przetoczeniu się frontu i eksplozjach trzech bomb jądrowych, z których jedna wybuchła nad miastem, a dwie w jego okolicach, pozostawiając po sobie kilometrowe łysiny błyszczącego jak lustra żuźla. Osiedli siali cherlawą, zdegenerowaną pszenicę i uprawiali swoje dziwne ogródki, w których pomidory były jak jagody, a jagody jak pomidory, hodowali pokraczne bydło, na które strach było patrzeć, a co dopiero mówić o jedzeniu. To był żalosny ludek, ci mutanci, dzięki południowe wyrodki, o których opowiadano w koszarach różne brednie i o których sam Gaj opowiadał różne brednie - ciche, spokojne, chorowite, okaleczone ludzkie karykatury. Normalni tu byli tylko starcy, ale tych zostało bardzo niewielu, co do jednego chorych i skazanych na szybką śmierć. Ich dzieci i wnuki też nie miały się najlepiej. Dzieci rodziło się im bez liku, ale niemal wszystkie umierały albo przy porodzie, albo we wczesnym niemowlęctwie. Te, które przeżywały, były bardzo słabe i wątłe, ciągle doskwierały im jakieś nieznanne choroby, wyglądały jak potworki, ale wszystkie były spokojne, posłuszne i nad wiek rozwinięte. Co tam zresztą dużo mówić, mutanci okazali się niezłymi ludźmi, serdecznymi, gościnnymi i zacnymi... Tylko że patrzeć na nich nie było można. Nawet Maksyma z początku skręcało na ich widok, ale szybko się przyzwyczał. Ale Maksym to Maksym...

Gaj wstawił magazynek do automatu, podparł głowę ręką i zamyślił się. Tak, Maksym...

Co prawda, tym razem Maksym wpadł na zupełnie kretyński pomysł. Postanowił zebrać mutantów, uzbroić ich i wyprzeć legion z początku chociażby za rzekę. Śmieszne! Przecież te biedaki ledwie chodzą i od byle czego umierają - podniesie taki woreczek zboża i od tego umiera - a on chce iść z nimi na legion. Nie wyszkoleni, słabi... Niechby nawet zebrał tych, jak im tam, zwiadowców... Na całą tę armię bez Maksyma wystarczy jeden rotmistrz, a jeśli wliczyć Maksyma, to dość będzie kompanii pod dowództwem rotmistrza. Zresztą Maksym sam to już chyba rozumiał, ale od miesiąca latał po lesie od wsi do wsi, od grupki do grupki i przekonywał starców albo ludzi szanowanych, tych, których wspólnoty słuchają. Latał, namawiał i mnie też wszędzie ze sobą ciągnął... Nic z tego nie wyszło. Starcy nie chcą iść i swoich zwiadowców też nie puszczają... A teraz w dodatku ta narada... Nie pójdę.

Świat jakby trochę pojaśniał. Już można było od biedy patrzeć dokoła, krew trochę szybciej zaczęła krążyć w żyłach, zbudziły się niejasne nadzieje, że dzisiejsze zebranie skończy się niczym, że Maksym przyjdzie i powie: dość tego, nie mamy tu nic więcej do roboty, pora ruszyć dalej. I ruszą dalej na południe, na pustynię, gdzie podobno też żyją mutanci-wyrodki, ale nie tacy okropni jak tutaj, bardziej podobni do ludzi i nie tacy chorzy. Podobno mają tam coś w rodzaju państwa, a nawet wojsko. Może z nimi można będzie do czegoś dojść... Tyle że tam wszystko jest radioaktywne, bo podobno władowali tam masę bomb, żeby wszystko skazić... Były podobno takie specjalne bomby.

Przypomniawszy sobie o skażeniu promieniotwórczym Gaj sięgnął do swojego tornistra i wyjął pudełko z żółtymi tabletkami. Wrzucił dwie pigułki do ust i język skołowaciał mu od nieznośnej goryczy. Cholerne paskudztwo, ale bez niego tu ani rusz, bo tutaj też wszystko jest radioaktywne. A na pustyni pewnie trzeba będzie to żreć garściami... I tak dobrze, że książę-hrabia dał mi te pigułki. Bez nich od razu bym wyciągnął kopyta. W ogóle ten książę-hrabia jest w porządku, nie traci w tym piekle głowy, leczy, pomaga, odwiedza ludzi, zorganizował całą fabrykę lekarstw.

Drzwi otworzyły się i do izby wszedł Maksym. Nagi, w samych szortach, szczupły, gwałtowny w ruchach i bardzo zły. Na jego widok Gaj nadał się i zaczął patrzeć w okno.

--- No, no, przestań się wygłupiać - powiedział Maksym. - Idziemy!

--- Nie chcę ---odparł Gaj. - Niech ich szlag trafi! Rzygać mi się chce, jak na nich patrzę.

--- Nie gadaj głupstw! - ofuknął go Maksym. - To wspaniali ludzie i bardzo cię szanują. Nie zachowuj się jak smarkacz.

--- Eee tam! Szanują... - burknął Gaj.

--- I to jeszcze jak! Onegdaj książę-hrabia prosił, żebyś tu został. Ja - powiada - -- niedługo umrę, więc potrzebny jest prawdziwy człowiek, który mnie zastąpi.

--- Akurat, zastąpić... - burknął Gaj, czując jednak, że mu się robi cieplej na sercu, że wbrew woli opuszcza go wewnętrzne napięcie.

--- Boszku też mnie ciągle piłuje, bo nie ma odwagi zwrócić się wprost do ciebie. Niechaj - powiada - Gaj zostanie z nami. Bronić będzie, uczyć będzie, przyzwoitych ludzi wychowywać będzie... Wiesz przecież, jak

Boszku rozmawia...

Gaj poczerwieniał z zadowolenia, chrząknął i powiedział chmurnie, wciąż jeszcze patrząc w okno:

--- No dobra... Automat brać?

--- Weź - odparł Maksym. - Nigdy nie wiadomo...

Gaj wziął automat pod pachę i wyszli z pokoju - Gaj przodem, Maksym tuż za nim - zbiegli po zmurszałych schodach, przebili się przez gromadę dzieciaków rojących się w kurzu przed progiem i ruszyli ulicą w stronę placu. Ulica, plac... Zostały z nich tylko nazwy. Iluż tu ludzi zginęło w jednej chwili! Podobno dawniej było tu wielkie, piękne miasto. Zgubili kraj, gady. Mało, że ludzie wymordowali i okaleczyli, to jeszcze napuścili rozmaitego paskudztwa, jakiego tu jak świat światem nigdy nie było. Zresztą nie tylko tutaj...

Książę-hrabia opowiadał, że przed wojną żyły w lesie zwierzęta podobne do psów - Gaj zapomniał, jak się nazywały - bardzo mądre i dobre zwierzęta, które wszystko rozumiały i wszystko w lot chwyciły. No i oczywiście zaczęły je tresować do celów wojskowych. A potem znalazł się jeden taki mądrała, który rozszyfrował ich język, bo okazało się, że mają własny język, i to dość rozwinięty, i że w ogóle lubią wszystko naśladować, a w dodatku mają tak zbudowane gardła, że niektórych można było nawet nauczyć gadać po ludzku - nie całego języka, rzecz jasna, ale najzmysłniejsze zapamiętywały po jakieś pięćdziesiąt, a nawet siedemdziesiąt słów. Jednym słowem cudaczne to były zwierzęta. Powinniśmy żyć z nimi w przyjaźni, uczyć je i od nich się uczyć i wzajemnie sobie pomagać, bo zwierzęta te podobno wymierały... Zamiast tego nauczyli je wojaczki, nauczyli szpiegować i chodzić na zwiady. A potem zaczęła się wojna i nikt już nie miał do nich głowy, nikt do niczego już nie miał głowy. No i proszę, pojawiły się wampiry. Też mutanty, tyle że nie ludzkie, ale zwierzęce. Bardzo groźne bestie. W Południowym Okręgu Specjalnym wydano nawet odrębną dyrektywę w sprawie walki z nimi, a książę-hrabia to wprost powiedział: koniec z nami, wszyscy tu wymrzemy i zostaną same tylko wampiry...

Gaj przypomniał sobie, jak kiedyś w lesie Boszku ze swoimi myśliwymi ustrzelił jelenia, na którego polowały wampiry i zaczęła się bójka. A jakie to z mutantów wojaki? Wypalili po razie ze swoich staroświeckich fuzji, rzucili je, usiedli i zasłonili oczy rękami, żeby nie patrzeć, jak wampiry złączą ich rozrywać na strzępy. I Maksym też, o dziwo, stracił głowę... Nie tyle stracił głowę, ile, jak by tu powiedzieć, nie chciało mu się bić. No i Gaj musiał sam sobie radzić. Kiedy skończył się magazynek, walił po łbach kolbą automatu. I tak dobrze, że wampirów było mało, wszystkiego sześć sztuk. Dwa utłukli, jeden uciekł, a trzy ogłuszone i ranne związali i postanowili rano zanieść do wsi na egzekucję. A w nocy Gaj obudził się i widzi: Maksym wstaje i po cichu do nich. Posiedział z nimi, polecił, jak to on potrafi, złożeniem rąk, a potem rozwiązał. Bestie, rzecz jasna, dały nogę i tyleśmy je widzieli. Gaj go pyta: "Coś ty, Mak, po coś to zrobił?" "Sam nie wiem - Mak na to - ale czuję, że nie wolno ich wieszać. Ani ludzi nie wolno, ani tych... To nie są żadne psy ani wampiry..."

Zresztą co tam wampiry! A nietoperze? Te, które Czarownikowi usługują? Przecież to latające strachy, a nie nietoperze! A kto po nocach łązi ciężko pod wiejskimi domami i kradnie dzieci? Przy czym sam do chałupy nie wchodzi, tylko dzieci same z zamkniętymi oczami, śpiące, do niego wylazą... Może to zresztą i bajka, ale co nieco Gaj widział na własne oczy. Jak dziś pamięta, książę-hrabia zaprowadził ich kiedyś do najbliższego wejścia do Twierdzy. Przychodzą. Zieloniutka łączka, cicha i spokojna, za nią pagórek, a w pagórku jaskinia. Patrzą - rany boskie! - cała łączka przed wejściem zawałona zdechłymi wampirami. Co najmniej dwadzieścia sztuk, a wszystkie całe, nie pokaleczone, ani kropli krwi na trawie. I co najdziwniejsze - Maksym obejrzał je i powiedział, że wampiry nie są martwe, tylko zdrętwiałe, jakby je ktoś zahipnotyzował... Tylko pytanie: kto? Okropne miejsca. Tutaj człowiek może pokazać się tylko za dnia, a i to ostrożnie. Gdyby nie Maksym, Gaj dałby stąd drapaką i ani by się obejrzał. Ale, Bogiem a prawdą, dokąd tu uciekać? Dokoła lasy, w lasach potwory, czołg utonął w bagnie... Uciekać do swoich? Wydawałoby się, że nie ma nic naturalniejszego, jak uciekać do swoich. Ale jacy oni teraz swoi? Jeśli dobrze pomyśleć, to też przecież potwory, kaleki i manekiny, słusznie Maksym mówi. Co to za ludzie, którymi można kierować jak maszynami? Nie, to nie są swoi...

Doszli do placu, rozległego pustkowia, pośrodku którego czernił się jakiś stopiony na żużel pomnik, i skręcili do cudem ocalałego domku, w którym zwykle zbierali się przedstawiciele wspólnot, żeby wymienić plotki, poradzić się w sprawie siewów albo polowania, albo też zwyczajnie posiedzieć, podrzemać, posłuchać opowieści księcia-hrabiego o dawnych czasach.

W domku, w dużym czystym pokoju, było już pełno ludzi. Na nikogo nie dało się bez wstępu patrzeć. Nawet książę-hrabia - niby człowiek, a nie mutant - też wyglądał okropnie: cała twarz pokryta bliznami po oparzeniach. Weszli, przywitali się, usiedli w kole, wprost na podłodze. Boszku, siedzący obok paleniska, zdjął z ognia czajnik i nalał im po filiżance herbaty - mocnej, smacznej, ale gorzkiej. Gaj wziął swoją filiżankę, przepiękną, bezcenną filiżankę z królewskiej porcelany, postawił ją obok siebie, a potem oparł czoło o dziurkowaną osłonę lufy automatu i zamknął oczy, żeby nikogo nie widzieć.

Naradę rozpoczął książę-hrabia. To nie był żaden książę ani żaden hrabia, tylko naczelny chirurg Twierdzy. Kiedy nieprzyjaciel zaczął rozbijać Twierdzę bombami atomowymi, garnizon zbuntował się, wywiesił białą flagę (w tę flagę swoi natychmiast rąbnęli termojądrowym pociskiem); prawdziwego księcia, dowódcę Twierdzy, żołnierze rozerwali na strzępy, wyłukli wszystkich oficerów, a potem zorientowali się, że nie ma komu dowodzić, a bez dowództwa ani rusz: wojna trwa, nieprzyjaciel atakuje, swoi atakują, a żaden z żołnierzy nie zna planów Twierdzy, która zmieniła się dla nich w gigantyczną pułapkę. W dodatku

ekspłodowały bomby bakteriologiczne, cały arsenał, i zaczęła się dżuma. Krótko mówiąc tak jakoś samo wyszło, że połowa garnizonu rozbiegła się na wszystkie strony, z pozostałej połowy trzy czwarte wymarło, a resztę wziął pod swoją komendę naczelnym chirurg, którego w czasie buntu żołnierze nie ruszyli, bo to jednak był lekarz. Jakoś też przyjęło się nazywać go raz księciem, raz hrabią, najpierw żartem, a potem serio, a Maksym dla pewności tytułował go księciem-hrabią.

--- Przyjaciele! - powiedział książę-hrabia. - Musimy obgadać propozycje naszego przyjaciela Maka. To bardzo ważne propozycje. Jak bardzo są one ważne, możecie przekonać się sami, bo nawet sam Czarownik raczył tu do nas przyjść i może zechce z nami mówić...

Gaj uniósł głowę. Rzeczywiście: w kącie, oparty plecami o ścianę, siedział Czarownik we własnej osobie. Strach było na niego patrzeć, a nie patrzeć się nie dało. To była postać! Nawet Maksym patrzył na niego jakoś tak z dołu do góry i mówił do Gaja: "Czarownik, mój kochany, to jest ktoś. To jest figura!" Czarownik był niski, krępy i czysty. Nogi i ręce miał króciutkie, lecz silne i w ogóle nie był taki znów potworny: w każdym razie słowo "potworny" zupełnie do niego nie pasowało... Miał ogromną czaszkę pokrytą krótkim, sztywnym włosiem przypominającym srebrzyste futerko, malutkie usta z dziwnie ułożonymi wargami, jakby zamierzał właśnie gwizdnąć przez zęby, twarz niby szczupłą, ale z workami pod oczyma, a same oczy długie i wąskie z pionowymi kocimi źrenicami. Mówił mało, wśród ludzi pokazywał się rzadko, mieszkał sam w piwnicy na odległych krańcach miasta, ale niezwykle jego zdolności sprawiały, że cieszył się ogromnym autorytetem. Po pierwsze był bardzo mądry i wiedział wszystko, chociaż liczył sobie co najwyżej dwadzieścia lat i nigdzie z tego byłego miasta nie wytknął nawet nosa. Kiedy wynikały jakieś problemy, ludzie szli do niego z czolobitną prośbą o radę. Z reguły nic nie odpowiadał, co oznaczało, że problem jest nieważny, że można go rozwiązać dowolnie i nic się przez to nie zmieni... Ale jeśli pytanie było naprawdę ważne - dotyczące na przykład pogody albo terminów siewu - zawsze udzielał rady i nigdy się nie pomylił. Chodzili do niego tylko starsi, którzy za bardzo nie rozpowiadali, co się tam działo, ale ludzie gadali, że nawet odpowiadając, Czarownik nie otwierał ust. Popatrzy tylko i od razu człowiek wie, co ma robić. Po wtóre miał władzę nad zwierzętami. Różnymi. Nad czworonogami, ptakami, owadami i żabami. Nigdy nie żądał od ludzi ani jadła, ani odzienia. Wszystko dostarczały mu zwierzaki. A obsługiwały go ogromne nietoperze, z którymi podobno mógł się dogadać, a one rozumiały go i słuchały. Dalej opowiadali, że Czarownik zna niewiadome. Nikt tego niewiadomego nie potrafił zrozumieć. Dla Gaja to była po prostu kupa nic nie znaczących słów: czarny pusty Świat przed nastaniem Wszechświatłości; martwy lodowaty Świat po zgaśnięciu Wszechświatłości; bezbrzeżna pustynia z wieloma Wszechświatłościami... Nikt nie umiał wytłumaczyć, co to wszystko oznacza, a Mak tylko kręcił głową i wykrzykiwał z zachwytem: "To się nazywa intelekt!"

Czarownik siedział na nikogo nie patrząc, na ramieniu trzymał przestępującego niezręcznie z nogi na nogę ślepego nocnego ptaszka. Od czasu do czasu sięgał do kieszeni, wyjmował z niej jakieś okruszki i wkładał je ptakowi do dzioba. Nocne straszycło na chwilę jakby zamierało, potem zadzierało głowę do góry i wyciągając szyję jakby z trudem przetykało.

--- To bardzo ważne propozycje - ciągnął książę-hrabia - i dlatego proszę was, abyście uważnie słuchali, a ciebie, Boszku, kochany, proszę o parzenie jak najmocniejszej herbaty, bo widzę, że niektórzy już zaczynają podrzemywać. Nie wolno drzemać, nie wolno. Weźcie się w garść, bo może w tej chwili decydują się wasze losy...

Zebrani zamruczeli coś z aprobatą. Jakiegoś jednookiego odciągnęli za uszy od ściany, gdzie zamierzał sobie trochę pospać i posadzili w pierwszym rzędzie.

--- Przecież ja nieumyślnie... - mamrotał jednooki. - Ja tylko ociupinę. Ja tak dlatego, że mówić trzeba krótko, bo inaczej, zanim dojdzie do końca, to już zaczynam zapominać początek...

--- Dobrze - zgodził się książę-hrabia. - Będę mówił krótko. Żołnierze spychają nas na południe, na pustynię. Strzelają bez ostrzeżenia, a w rozmowy się nie wdają. Z tych rodzin, które usiłowały przedrzeć się na północ, nikt nie wrócił. Pewnie wszyscy zginęli. Oznacza to, że najdalej za dziesięć lub piętnaście lat wyprą nas ostatecznie na pustynię, gdzie wszyscy zginiemy bez pokarmu i wody. Powiadają, że na pustyni też żyją ludzie. Ja w to nie wierzę, ale wielu szanowanych starostów wierzy i utrzymuje, że ci mieszkańcy pustyni są równie okrutni i krwiożerczy jak żołnierze. A my jesteśmy ludźmi spokojnymi i walczyć nie umiemy. Wielu z nas umiera i z pewnością nie dożyjemy ostatecznego końca, ale kierujemy dziś narodem i mamy obowiązek myśleć nie tylko o sobie, lecz także o naszych dzieciach. Boszku - powiedział - podaj z łaski swojej trochę herbaty szanownemu Piekarzowi, bo wygląda na to, że nasz czcigodny Piekarz zasnął.

Piekarza obudzili, wetknęli mu do płamistej ręki gorącą filiżankę: sparzył się, zasyczał, a książę-hrabia mówił dalej:

--- Nasz przyjaciel Mak proponuje wyjście. Przyszedł do nas od strony żołnierzy. Żołnierzy nienawidzi i mówi, że nie można liczyć na ich litość, bo wszyscy oni tam są ogłupieni przez tyranów i marzą tylko o tym, żeby nas wyniszczyć. Mak chciał z początku uzbroić nas i poprowadzić do boju, ale przekonał się, że jesteśmy słabi i walczyć nie możemy. Wówczas postanowił dotrzeć do mieszkańców pustyni, w których też wierzy, porozumieć się z nimi i poprowadzić ich na żołnierzy. Czego oczekuje od nas? Żebyśmy się na to zgodzili, przepuścili mieszkańców pustyni przez nasze tereny i żywili ich, dopóki będzie trwała wojna. Nasz przyjaciel Mak zaproponował jeszcze, żebyśmy pozwolili mu zebrać naszych zwiadowców, którzy będą się chcieli do niego przyłączyć. Wtedy on nauczy ich walczyć i poprowadzi za rzekę, żeby wznieść tam

powstanie. Tak pokrótce przedstawia się cała sprawa. Musimy teraz podjąć decyzję, więc proszę, żebyście się wypowiedzieli.

Gaj zerknął z ukosa na Maksyma. Przyjaciel Mak siedział na podwiniętych nogach, ogromny, brunatny i nieruchomy jak skała. Nawet nie jak skała, tylko jak gigantyczny akumulator, gotowy w każdej chwili do błyskawicznego wyładowania. Patrzył w przeciwną stronę, na Czarownika, ale wzrok Gaja poczuł natychmiast i odwrócił w jego stronę głowę. I nagle Gaj pomyślał, że przyjaciel Mak już nie jest ten sam, co dawniej. Przypomnił sobie, że Mak już dawno nie uśmiechał się swym cudownym oślepiającym uśmiechem, że już dawno nie śpiewał swoich góralskich pieśni i że jego oczy utraciły swą dawną miękkość i życzliwą ironię, stwardniały i zeszkliły się, jakby to nie były już oczy Maksyma, tylko rotmistrza Czaczku. I przypomniał sobie jeszcze Gaj, że już od dawna przyjaciel Mak przestał wtykać nos we wszystkie kąty jak wesoły ciekawski psiak, zrobił się powściągliwy, surowy i po dorosłemu rzeczowy, że zaczął się zachowywać tak, jakby celował samym sobą w jemu tylko samemu znaną tarczę. Bardzo, ale to bardzo zmienił się przyjaciel Mak od momentu, kiedy władowali w niego pełny magazynek z ciężkiego wojskowego pistoletu. Przedtem żałował wszystkich i każdego, a teraz nie żałuje nikogo. No cóż, może właśnie tak powinno być... Ale jednak wymyślił straszliwą rzecz, bo chce doprowadzić do rzezi, wielkiej rzezi...

--- Coś nie bardzo zrozumiałem - odezwał się łysawy potworek, sądząc z odzieży nietutejszy. - Czego on chce? Żeby barbarzyńcy tu do nas przyszli? Przecież oni wybiją nas do nogi. Co to, czy ja nie znam barbarzyńców? Wytłuką wszystkich, ani jednego człowieka nie zostawią.

--- Przyjdą tutaj jako przyjaciele - powiedział Mak - albo nie przyjdą wcale.

--- Niech już lepiej wcale nie przychodzą - powiedział tysoń. - Z barbarzyńcami lepiej nie zaczynać. Ja tam wolałbym już iść pod karabiny maszynowe, bo przynajmniej człowiek zginąłby z ręki swoich. Mój ojciec był żołnierzem, z Twierdzy...

--- Niby masz rację - powiedział z zastanowieniem w głosie Boszku. - Ale przecież z drugiej strony barbarzyńcy mogą przepędzić żołnierzy i nas nie ruszyć. Wtedy dopiero wszystkim będzie dobrze.

--- A dlaczego mieliby nas nie ruszyć? - zaproponował jednooki. - Wszyscy nas zawsze ruszali, a ci ni z tego, ni z owego nie ruszą?

--- Przecież on się z nimi dogada - wyjaśnił Boszku. - Nie ruszajcie leśnych, powie im, i już, a inaczej w ogóle tam nie ważcie się iść...

--- Kto? Kto się dogada? - zapytał Piekarz, kręcąc na wszystkie strony głową.

--- No, Mak. Mak się z nimi dogada...

--- Ach, Mak... No, jeśli Mak się z nimi dogada, to może i nie ruszą.

--- Dać ci herbaty, Piekarzu? - zapytał Boszku. - Przecież zasypiasz.

--- Wypchaj się swoją herbatą!

--- Wypij filiżankę, tylko jedną filiżaneczkę. Nie zrobisz tego dla mnie? Jednooki nagle wstał.

--- Pójdę sobie - powiedział. - Nic z tego nie wyjdzie. I Maka zabiją, i nas nie oszczędzą. Dlaczego mieliby nas oszczędzać? Przecież i tak za dziesięć lat będzie po nas. W mojej wspólnocie już od dwóch lat nie rodzą się dzieci. Chciałby człowiek spokojnie dożyć do śmierci i już. A w ogóle decydujcie sami, mnie tam wszystko jedno.

Wyszedł, niezręcznie kołysząc pokręconym ciałem i ciężko potknął się o próg.

--- Tak to jest, Mak - kiwając głową odezwał się Pijawka. - Nie gniewaj się na nas, ale my nikomu nie wierzymy. Jak można wierzyć barbarzyńcom? Oni przecież mieszkają na pustyni, jedzą piasek i piaskiem popijają. To straszni ludzie. Zrobieni są z żelaznego drutu i ani śmiać się, ani płakać nie umieją. Co my dla nich?... Mech pod nogami. Przyjdą tutaj, pobiją żołnierzy, osiądą w naszych okolicach, las oczywiście wypalą... Po co im las? Oni lubią pustynię. I znowu będzie z nami koniec. Nie, nie wierzę. Nie wierzę, Mak, żeby coś dobrego z tego wyszło.

--- Tak - powiedział Piekarz. - Nie potrzebujemy tego, Mak. Daj nam przynajmniej umrzeć spokojnie, nie ruszaj nas. Nienawidzisz żołnierzy, chcesz ich zniszczyć, ale nam co do tego? W nas nie ma nienawiści do nikogo. Użał się nad nami, Mak. Nikt się przecież nad nami nie litował. I ty, chociaż jesteś dobrym człowiekiem, też się nad nami nie litujesz... Nie litujesz się, prawda, Mak?

Gaj znowu zerknął na Maksyma i zmieszany odwrócił oczy.

Maksym zaczerwienił się. Spąsował jak burak, pochylił głowę i zasłonił twarz ręką.

--- Nieprawda - powiedział. - Współczuję wam, ale nie tylko wam jednym współczuję. Ja...

--- Nieee, Mak - upierał się przy swoim Piekarz. - Ty tylko się nad nami spróbuj ulitować. Jesteśmy przecież najniebezpieczniejszymi ludźmi na świecie, doskonale o tym wiesz. Zapomnij o twojej nienawiści, ulituj się i nic więcej...

--- A z jakiej racji on ma się nad nami litować? - wykrzyknął Orzesznik, aż po oczy zabandażowany brudnymi szmatami. - On sam jest żołnierzem, a kto to kiedy słyszał, żeby żołnierze się nad nami litowali? Nie urodził się jeszcze taki żołnierz, żeby nas pożałował...

--- Kochani, kochani! - powiedział surowym głosem księżę-hrabia. - Mak jest naszym przyjacielem. Pragnie naszego dobra, chce zniszczyć naszych wrogów...

--- Zastanówmy się jednak, co z tego może wyjść - powiedział nietutejszy tysoń. - Założmy nawet, że barbarzyńcy będą silniejsi od żołnierzy... Pobiją żołnierzy, rozwalą ich przekłete wieże, zagarną całą Pólnoc.

Zalóżmy. Co nam to szkodzi, że oni się tam będą wyrzynać. Ale co my z tego będziemy mieć. Tylko nieszczęście. Wtedy już na pewno będzie z nami koniec: na Południu będą barbarzyńcy, na Północy ci sami barbarzyńcy, nad nami barbarzyńcy. Nie jesteśmy im potrzebni, a skoro nie jesteśmy potrzebni - to do nogi. To raz... Przypuśćmy teraz, że żołnierze odeprą barbarzyńców i przewali się ta wojna przez nas na Południe. Co wtedy? Wtedy też z nami koniec: na Północy żołnierze, na Południu żołnierze i nad nami żołnierze. A żołnierzy przecież znamy...

Zebranie rozkrzyczało się, rozbrzęczało, że niby racja, że łysy dobrze mówi, ale łysy jeszcze nie skończył. --- Dajcie skończyć! - oburzył się. - Czegoście się tak rozwrzeszczeli? Nie możecie chwili zaczekać? To jeszcze nie wszystko. Może jeszcze być tak, że barbarzyńcy wytluką żołnierzy, a żołnierze barbarzyńców. Życie nie umierać! Akurat! Znow nic z tego... Dlatego, że jeszcze są wampiry. Dopóki żołnierze żyją, to wampiry się chowają, kryją się przed kulą, bo żołnierze mają rozkaz strzelać do wampirów. A jak żołnierzy zabraknie, to dopiero będzie z nami koniec. Zeżrą nas wampiry i nawet kości nie zostawiają!

To przypuszczenie straszliwie zdenerwowało zebranych.

--- Słusznie mówi! - rozległy się głosy. - Ci z bagien mają dobrze w głowach poukładane... Tak, bracia, o wampirach na śmierć zapomnieliśmy... A one nie śpią, one czekają tylko na swoją godzinę... Nie potrzebujemy niczego, nie chcemy żadnej zmiany, Mak, niech wszystko idzie, jak idzie... Dwadzieścia lat jakoś przeżyliśmy, i jeszcze jakieś dwadzieścia pociągniemy, a może uda się i dłużej...

--- I zwiadowców oddawać też mu nie wolno! - uniósł się łysy. - To nie szkodzi, że oni sami chcą... Im tam wszystko jedno, oni w domach nie mieszkają. Taki na przykład Sześciopalczyk siedzi bez przerwy po tamtej stronie rzeki i - wstyd powiedzieć! - grabi tam i pije. Im dobrze, oni się tych przeklętych wież nie boją, głowy ich nie boją. A co zrobią ludzie? Zwierzyna ucieka na Północ. Kto ją nam przypędzi z Północy, jak nie zwiadowcy? Nie dawać! I w dodatku trzeba ich porządnie wziąć w karby, bo zupełnie się rozpuścili. Mordują tam, żołnierzy wykradają i torturują, zupełnie jak nieludzi... Nie puszczać, bo zupełnie się rozpuszczają...

--- Nie puszczać, nie puszczać... - potwierdziło zebranie. - Co my bez nich zrobimy? A myśmy ich przecież karmili i poili, myśmy ich urodzili i wychowali. Powinni o tym pamiętać, a oni tylko patrzą, jak by tu urwać się i porozrabiać...

Łysy wreszcie się uspokoił, usiadł na podłodze i zaczął chciwie chleptać zimną herbatę. Zebranie też przycichło. Starcy siedzieli nieruchomo, starając się nie patrzeć na Maksyma.

Boszku, kiwając żałośnie głową, wymamrotał:

--- Że też musimy tak żyć! Żadnego ratunku. I co myśmy komu zawinili?

--- Niepotrzebnie nas wydali na świat, ot co - powiedział Orzesznik. - Bez zastanowienia nas rodzili, nie w czas... - Wyciągnął pustą filiżankę do Boszku. --- I my też niepotrzebnie płodzimy dzieci. Na zgubę, na zatracenie...

--- Równowaga... - zadudnił nagle ochryply głos. - Już panu to mówiłem, Mak, a pan nie chciał mnie zrozumieć...

Nie wiadomo było, skąd ten głos dobiega. Wszyscy milczeli, patrząc ponuro w ziemię. Tylko ptaszysko na ramieniu Czarownika przestępowało z nogi na nogę, otwierając i zamykając żółty dziób. Sam Czarownik siedział nieruchomo, zacisnąwszy wąskie wargi i przymknąwszy oczy.

--- Ale teraz, mam nadzieję, zrozumiał pan - ciągnął jakby ptak. - Chce pan zakłócić tę równowagę. No cóż, to jest możliwe, bo pan potrafi tego dokonać. Ale po co? Prosi pana ktoś o to? Widzi pan, że nie. Wobec tego, co panem powoduje?

Ptak nastroszył pióra i schował głowę pod skrzydło, a głos wciąż się rozlegał z dawną siłą. Teraz Gaj zrozumiał, że mówi sam Czarownik, nie rozchylając warg i nie poruszając najmniejszym mięśnieniem twarzy. To było przerażające i to nie tylko dla Gaja, lecz dla każdego z zebranych, nawet dla księcia-hrabiego. Jeden tylko Maksym patrzył na Czarownika bez lęku, a nawet jakby wyzywająco.

--- Niecierpliwość poruszonego sumienia! - rzekł Czarownik. - Pańskie sumienie jest rozpieszczone przez nieustanną pielęgnację i zaczyna jęczeć przy najmniejszym dyskomforcie, a pański rozum skłania się przed nim z największym szacunkiem zamiast po prostu krzyknąć i postawić to wydelikaczone sumienie na miejscu. Pańskie sumienie oburza się na istniejący porządek rzeczy, a pański rozum posłusznie i pospiesznie szuka dróg zburzenia tego porządku. Ale porządek rządzi się własnymi prawami. Te prawa powstają wskutek dążeń ogromnych mas ludzkich i mogą się zmienić jedynie po zmianie tych dążeń... A zatem z jednej strony mamy dążenia ogromnych mas ludzkich, z drugiej zaś - pańskie sumienie, uosobienie pańskich dążeń. Pańskie sumienie popycha pana do zmiany porządku rzeczy, to znaczy do pogwałcenia praw tego porządku, który jest wynikiem dążeń mas ludzkich, to znaczy do zmiany dążeń milionów ludzi na obraz i podobieństwo pańskich dążeń. To jest śmieszne i antyhistoryczne. Pański zaćmiony i otumaniony przez obolałe sumienie rozum utracił zdolność do rozróżniania realnego dobra mas od korzyści mniemanych, wydumanych przez pańskie sumienie. A rozum powinien być odgradzony od jakichkolwiek wpływów. Jeśli pan nie chce lub nie potrafi utrzymać niezależności własnego rozumu, no cóż, tym gorzej dla pana. I nie tylko dla pana. Powie pan, że w tym mieście, z którego pan przyszedł, ludzie nie mogą żyć z nieczystym sumieniem. No cóż, niech pan przestanie żyć. To też niezłe wyjście --- i dla pana, i dla innych.

Czarownik zamilkł i wszystkie głowy zwróciły się w stronę Maksyma. Gaj niezupełnie zrozumiał, o czym tu była mowa. Najwidoczniej było to echo jakiegoś dawniejszego sporu. Pojął Gaj za to, że Czarownik uważa Maksyma za człowieka mądrego, ale kapryśnego, działającego raczej dla zachcianki niż z konieczności. To

było przykre. Maksym był, rzecz jasna, bardzo dziwnym facetem, ale nigdy siebie nie oszczędzał i zawsze życzył wszystkim dobra - i to nie dla jakiegoś tam kaprysu, lecz z najgłębszego przekonania. Oczywiście czterdzieści milionów ludzi ogłupionych promieniowaniem żadnych zmian nie chciało, ale przecież zostali ogłupieni, co było okropnie niesprawiedliwe...

--- Nie mogę się z panem zgodzić - powiedział zimno Maksym. - Obolałe sumienie stawia zadania, a rozum je rozwiązuje. Sumienie wytycza ideały, a rozum szuka dróg ich osiągnięcia. To właśnie jest funkcja rozumu: szukanie dróg. Bez sumienia rozum pracuje tylko sam dla siebie, to znaczy na jałowym biegu. Co się zaś tyczy sprzeczności moich dążeń z dążeniami mas... Istnieje określony ideał: człowiek winien być wolny duchowo i fizycznie. W tym świecie masy jeszcze nie uświadamiają sobie tego ideału, więc droga doń jest tu niezmiernie długa i ciężka. Ale kiedyś trzeba zacząć, a ja zamierzam zacząć natychmiast.

--- Słusznie - z nieoczekiwaną łatwością zgodził się Czarownik. - Sumienie istotnie wytycza ideały. Ale ideały właśnie dlatego noszą nazwę ideałów, że znajdują się w rażącej sprzeczności z rzeczywistością. Przecież właśnie tylko to chcę powiedzieć, jedynie to powtarzam: nie należy niańczyć się ze swoim sumieniem, trzeba je jak najczęściej wystawiać na zimny przeciąg nowej rzeczywistości i nie lękać się plam i blizn, które wskutek tego mogą się na nim pojawić... Zresztą pan sam doskonale to rozumie, tylko jeszcze po prostu nie nauczył się nazywania rzeczy po imieniu. Ale i tego się pan nauczy. Oto pańskie sumienie wytyczyło zadanie: obalić tyranie Płomiennych. Rozum zanalizował sytuację i udzielił rady: ponieważ tyranii od wewnątrz rozsadzić się nie da, trzeba zaatakować ją od zewnątrz, rzucić na nią barbarzyńców... Nic to, że leśni ludzie zostaną rozdeptani, że koryto Rzeki wypełni się trupami, ale zacznie się wielka wojna, która być może doprowadzi do obalenia tyranów. Trzeba zrobić wszystko dla urzeczywistnienia szlachetnego ideału. No cóż, powiedziało lekko zde gustowane sumienie, będą musiało dla dobra wielkiej sprawy otrząsnąć ze swych skrzydełek nieco pyłku niewinności.

--- Massaraksz... - syknął Maksym, pałowy na twarzy i tak zły, jakim Gaj go jeszcze nigdy nie widział. - Tak, massaraksz! Tak! Wszystko jest dokładnie tak, jak pan mówi! A co innego można zrobić? Za Rzeką ludzie zostali przekształceni w chodzące kukły.

--- Słusznie, słusznie - powiedział Czarownik. - Inna rzecz, że sam plan jest nie najlepszy: barbarzyńcy rozbiją się o wieże i dadzą drapaka, a nasi biedni zwiadowcy do niczego poważniejszego w gruncie rzeczy się nie nadają. W ramach tego samego planu mógłby pan nawiązać kontakt na przykład z Imperium Wyspiarskim... Nie o to chodzi. Obawiam się, że pan w ogóle przyszedł zbyt późno, Mak! Niech pan tylko nie myśli, że chcę pana zniechęcić. Nic podobnego, przecież widzę, że pan jest siłą. Zresztą pańskie pojawienie się samo przez się oznacza nieuchronne zakłócenie równowagi na powierzchni naszego malutkiego światka. Proszę działać. Tylko niechaj pańskie sumienie nie przeszkadza panu jasno myśleć, a rozum, kiedy trzeba, niechaj nie waha się odsunąć sumienia na bok... I radzę jeszcze pamiętać o jednym: nie wiem, jak tam w pańskim świecie, ale w naszym żadna siła nie może długo pozostawać bezpańska. Zawsze znajdzie się ktoś, kto postara się ją oswoić lub podporządkować sobie - niezauważalnie lub pod byle jakim pretekstem. To wszystko, co chciałem powiedzieć.

Czarownik nadspodziewanie zwinnie wstał - ptak na jego ramieniu przysiadł i rozłożył skrzydła - prześlizgnął się na krótkich nóżkach wzdłuż ściany i zniknął za drzwiami. I natychmiast za nim zaczęli rozchodzić się wszyscy zebrani. Wychodzili pojękując, postępując i sapiąc, nie rozumieawszy właściwie ani słowa z tego, co zostało na końcu powiedziane, ale najwyraźniej zadowolony z tego, że wszystko pozostaje po staremu, że Czarownik nie pozwolił na niebezpieczną awanturę, ulitował się, nie dał skrzywdzić i można teraz będzie żyć, jak dawniej, bo przecież czeka ich jeszcze cała wieczność: dziesięć lat albo i więcej... Ostatni podreptał Boszku z pustym czajnikiem i w pokoju został tylko Gaj i Mak z księciem-hrabią, a poza tym w kącie mocno spał Piekarz, niepomierne zmęczony umysłowym wysiłkiem. W głowie Gaja było pusto, a w duszy niespokojnie. Zrozumiał tylko jedno: nieszczęsne moje życie - przez pierwszą jego połowę byłem kukłą, narzędziem, w czyichś rękach, a resztę pewnie przyjdzie spędzić jako włóczęga bez ojczyzny, bez przyjaciół, bez jutra...

--- Jest pan zmartwiony? - zapytał Maksyma księżę-hrabią przeprasającym tonem.

--- Nie, nie bardzo - odpowiedział Mak. - Raczej na odwrót, poczułem nawet pewną ulgę. Czarownik ma rację, moje sumienie jeszcze nie jest gotowe do podejmowania podobnych spraw. Będę musiał chyba jeszcze trochę się porozglądać. Potrenować sumienie... - Roześmiał się jakoś nieprzyjemnie. - Co mi pan może zaproponować, księżę-hrabió?

Starzec uniósł się z trudem i rozcierając zdrętwiałe boki przespacerował się po pokoju.

--- Po pierwsze nie radzę panu zapuszczać się na pustynię - powiedział. - Bez względu na to, czy są tam barbarzyńcy, czy też ich nie ma, nic odpowiedniego dla siebie pan tam nie znajdzie. Może warto, zgodnie z radą Czarownika, nawiązać kontakt z wyspiarzami, chociaż Bóg mi świadkiem, nie mam najmniejszego pojęcia, jak można by to zrobić. Chyba trzeba iść nad morze i zaczynać stamtąd, o ile wyspiarze też nie są mitem i jeśli będą chcieli z panem rozmawiać... Najsłuszniejsze wydaje mi się wrócić, skąd pan przyszedł, i działać tam w pojedynkę. Proszę sobie przypomnieć, co powiedział Czarownik: pan jest siłą. A ponadto ma pan rację: sieć wież musi mieć Centrum, a władza nad Północą należy do tego, kto tym Centrum dysponuje. Powinien pan dobrze to zapamiętać.

--- Obawiam się, że to nie dla mnie - odpowiedział z wahaniem Maksym. - Nie mogę na razie powiedzieć dlaczego, ale to nie dla mnie. Czuję to. Nie chcę przejmować władzy przy pomocy Centrum. Co do jednego

ma pan rację: nie mam czego szukać ani tu, ani na pustyni. Pustynia jest zbyt daleko, a tutaj nie mam się na kim oprzeć. Ale powinienem jeszcze wielu rzeczy się dowiedzieć: jest przecież jeszcze Pandeia i Chontia, są jeszcze góry, jest jeszcze gdzieś Imperium Wyspiarskie... Słyszał pan o białych łodziach podwodnych? Nie? A ja słyszałem i Gaj słyszał, a obaj znamy człowieka, który je widział i z nimi walczył. A zatem wypiarze mogą walczyć... No dobrze - Maksym zerwał się na równe nogi. - Nie ma co zwlekać. Dziękuję, książę-hrabio, bardzo pan nam pomógł. Idziemy, Gaj.

Wyszli na plac i zatrzymali się obok stopionego pomnika. Gaj smętnie popatrywał na boki. Dokoła w rozpalonym tumanie wibrowały szarozółte ruiny, było duszno i smrodliwie, ale już nie chcieli się stąd odchodzić, porzucać to straszliwe, ale już znane miejsce i znowu wędrować przez lasy, zdawać się na grę ślepych przypadków, które czyhają tam na człowieka na każdym kroku... Wróciłby teraz człowiek do swojej izdebki, pobawił się z łysą Tangą, zrobiłby jej w końcu obiecany od dawna gwizdek z pustej gilzy, nie pożałował biednemu dzieciakowi pocisku wystrzelonego na wiwat, massaraksz...

--- Dokąd pan ostatecznie zamierza iść? - zapytał książę-hrabia, osłaniając twarz przed kurzem swoim zdefasonowanym, wypłowiłym na słońcu kapeluszem.

--- Na zachód - odparł Maksym. - W stronę morza. Daleko stąd do morza?

--- Trzysta kilometrów... - powiedział książę-hrabia roztargnionym głosem. - Trzysta kilometrów przez bardzo skażone tereny. Proszę posłuchać! - ożywił się nagle - a może zrobimy tak? - Zamilkł na dłuższą chwilę i Gaj zaczął już niecierpliwie przestępować z nogi na nogę w przeciwieństwie do Maksyma, który spokojnie czekał. - Ech, na co mi on! - powiedział wreszcie książę-hrabia. - Szczerze mówiąc przechowywałem go dla siebie... Myślałem, że kiedy już będzie naprawdę źle, to wsiądę i wrócę do domu, a tam choć kula w łeb... Ale teraz już na to za późno...

--- Samolot? - szybko zapytał Maksym, patrząc z nadzieją na księcia-hrabiego.

--- Tak. "Orzeł Górski". Mówi coś panu ta nazwa? No jasne, że nie... A panu, młody człowieku? Też nie... Sławny to był bombowiec, moi panowie. Osobisty Bombowiec Jego Cesarskiej Wysokości, Kawalera Czterech Złotych Sztandarów, Najjaśniejszego Księcia Pirnu, "Orzeł Górski"... Żołnierzom, jak pamiętam, kazali wykuwać tę nazwę na pamięć... Szeregowy taki to a taki! Podaj nazwę osobistego bombowca Jego Cesarskiej Wysokości! A ten podaje... Tak... No więc udało mi się go uratować. Z początku chciałem nim ewakuować rannych, ale było ich zbyt wielu. Potem, kiedy wszyscy ranni umarli... Co tam zresztą wspominać. Weź go sobie, mój drogi. Leć. Paliwa starczy na pół świata...

--- Dziękuję - powiedział Maksym. - Dziękuję, książę-hrabio. Nigdy tego panu nie zapomnę.

--- Co tam ja... - odezwał się starzec. - Nie po to go panu daję... Ale jeśli coś się panu uda, to o tych tutaj proszę nie zapomnieć.

--- Uda się - powiedział Maksym. - Uda się, massaraksz! Musi się udać z sumieniem czy bez sumienia!... A ja nikogo nigdy nie zapomnę.

Rozdział XVI

Gajowi jeszcze nigdy nie zdarzyło się lecieć samolotem. Mało tego, nigdy w życiu prawdziwego samolotu nie widział. Śmigłowce policyjne i latające platformy sztabowe widział nieraz, a nawet kiedyś brał udział w obławie z powietrza: ich sekcję załadowali do śmigłowca i wysadzili przy szosie, którą gnał tłum wychowywanych, którzy podnieśli bunt z powodu okropnego jedzenia. Ten powietrzny skok pozostawił mu jak najgorsze wspomnienia: śmigłowiec leciał bardzo nisko trzęsło i kołysało tak, że wywracało wnętrze, a w dodatku był jeszcze ogłupiający gwizd śmigła, benzynowy smród i tryskające zewsząd fontanny gorejącego oleju.

Ale tu wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Osobisty Bombowiec J. C. W. K. C. Z. S. N. K. P. "Orzeł Górski" wywarł na Gaju niezatarte wrażenie. To była tak potwornej wielkości machina, że po prostu nie mieściło się w głowie, iż może oderwać się od ziemi i unieść w powietrze. Jej długachne, żebrowane cielsko ozdobione niezliczonymi złotymi emblematami ciągnęło się bez końca jak ulica. Groźnie i majestatycznie rozpościerały się gigantyczne skrzydła, pod którymi mogłaby się ukrywać cała brygada. Było do nich tak daleko, jak do dachu domu, ale łopaty sześciu ogromnych śmigieł niemal dotykały ziemi. Bombowiec stał na trzech kołach o średnicy przekraczającej parokrotnie wzrost przeciętnego człowieka, z których dwa podpierały część dziobową, trzecie zaś etażerkowaty ogon. Do zawieszanej na zawrotnej wysokości błyszczącej szkłem kabiny prowadziła srebrzysta nitka lekkiej aluminiowej drabinki. Tak, to był prawdziwy symbol starego Imperium, symbol wspaniałej przeszłości, symbol byłej potęgi panującej nad całym kontynentem. Gaj z zadartą do góry głową stał na szmacianych nogach i rozplýwał się z zachwytu, nic więc dziwnego, że głos jego przyjaciela Maka spadł nań jak grom z jasnego nieba:

--- Massaraksz, ale landara!... Przepraszam pana, książę-hrabio, tak mi się tylko wyrwało...

Innego nie mam - powiedział sucho książę-hrabia. - Zresztą to jest najlepszy bombowiec świata. W swoim czasie Jego Cesarska Wysokość odbył nim...

--- Tak, tak naturalnie - zgodził się pospiesznie Maksym. - Jeszcze raz przepraszam, ale nie spodziewałem się czegoś równie wielkiego...

Na górze, w kabinie pilotów, zachwyt Gaja osiągnął szczyty. Kabina była cała ze szkła. Masa dziwacznych przyrządów, zdumiewająco wygodne miękkie fotele, jakieś dźwignie i manetki, pęki różnobarwnych kabli i leżące na podporządku cudaczne hełmy... Książę-hrabia coś pospiesznie tłumaczył Maksymowi, pokazując

poszczególne przyrządy i przesuwając manetki, Mak w roztargnieniu mamrotał: "No tak, rozumiem, rozumiem...", a Gaj, którego posadzili na fotelu, żeby nie plątał się pod nogami, z automatem na kolanach, żeby nie daj Boże niczego nie uszkodził, wytrzeszczał tylko oczy i bezmyślnie gapił się na te wszystkie wspaniałości.

Bombowiec stał w starym zapadającym się hangarze na skraju lasu. Przed nim rozpościerało się równe jak stół, szarozielone pole bez najmniejszej kępki, bez jednego bodaj krzaczka. Za polem, o jakieś pięć kilometrów, znów zaczynał się las, a nad tym wszystkim wisiało białe niebo, które stąd, z kabiny, wydawało się zupełnie bliskie. Gaj był okropnie zdenerwowany. Nie bardzo zapamiętał, jak pożegnali się ze starym księciem-hrabią. Książę-hrabia coś mówił i Maksym też coś mówił; chyba obaj się śmiali, a potem książę-hrabia niespodziewanie się rozplakał i wreszcie szczęknęły drzwiczki. Gaj nagle stwierdził, że jest przywiązany do fotela szerokimi pasami, a Maksym w sąsiednim fotelu szybko i pewnie przerzuca jakieś manetki i naciska jakieś klawisze.

Zapaliły się cyferblaty na tablicach rozdzielczych, rozległ się trzask i coś jakby odgłos strzałów armatnich, kabina zadygotała, wszystko wokół wypełniło się nagle ciężkim łoskotem, malutki książę-hrabia daleko w dole wśród pochylonych krzewów i jakby płynącej trawy chwycił obiema rękami za rondo kapelusza i cofnął się. Gaj odwrócił się i zobaczył, że łopaty ogromnych śmigieł zniknęły, przekształciły się w ogromne rozmyte kręgi, a całe szerokie pole ruszyło nagle i popęzło do tyłu, odbiegając coraz szybciej i szybciej... Nie było już księcia-hrabiego, nie było hangaru, było tylko pole lecące błyskawicznie naprzeciw, koszmarna trzęsionka i obezwładniający ryk. Gaj z trudem obrócił głowę i stwierdził z przerażeniem, że gigantyczne skrzydła wyginają się płynnie, jakby miały za chwilę odpaść, ale w tym momencie przestało nagle trząść, pole pod skrzydłami zapadło się i uciekło. Poczul się tak, jakby ktoś spowijał mu całe ciało w grubą warstwę miękkiej waty, a pod bombowcem nie było już pola ani nawet lasu, który zamienił się w czarnozieloną szczotkę, w ogromny, po wielokroć łatany koc, odpływając wolno do tyłu. Wówczas Gaj domyślił się, że leci.

Z zachwytem popatrzył na Maksyma. Przyjaciel Mak siedział w niedbałej pozie z lewą ręką na poręczu fotela, a prawą leciutko poruszał największym i pewnie najważniejszym lewarkiem. Oczy miał przymrużone, a usta ściągnięte, jakby pogwizdywał. Tak, to był wielki człowiek. Wielki i niepojęty.

On chyba wszystko może - pomyślał Gaj. - Teraz kieruje tą ogromną, skomplikowaną machiną, którą widzi po raz pierwszy w życiu. To przecież nie jakiś tam czołg czy samochód, tylko samolot... Nie wiedział nawet, że te legendarne aparaty jeszcze się gdzieś zachowały... A on bawi się nim jak zabawką, jakby od kołyski nic innego nie robił, tylko latał w powietrznych przestworzach. To niepojęte: wydaje się, że on wiele rzeczy widzi po raz pierwszy, ale momentalnie orientuje się w sytuacji i robi to, co potrzeba. I to nie tylko z maszynami... Przecież nie tylko maszyny od razu rozpoznają w nim gospodarza. Gdyby chciał, to nawet rotmistrz Czaczu by się do niego łąsił. Czarownik, na którego nawet patrzeć strach, od razu uznał go za równego. Książę-hrabia, człowiek uczony, naczelny chirurg, arystokrata, można powiedzieć, też natychmiast wyczuł w nim coś wzniosłego... Taki aparat podarował, zawierzył. A ja chciałem Radę za niego wydać. Co tam dla niego Rada? Przelotna sympatia, więcej nic... Gdzie tam Radzie do niego! Jemu pasowałaby jakaś przynajmniej hrabianka albo inna księżniczka. A ze mną się przyjaźni! Kto by pomyślał... I gdyby mi teraz powiedział, że bym wyskoczył, to cóż, może bym i wyskoczył, bo to przecież Maksym... A ilu to ja już rzeczy przez niego się dowiedziałem, ile zobaczyłem! W życiu bym się sam tego nie dowiedział i nie zobaczył... I czego się jeszcze dowiem, co zobaczę, czego się jeszcze od niego nauczę...

Maksym poczuł na sobie jego spojrzenie, poczuł jego zachwyt i oddanie. Odwrócił głowę i szeroko, po staremu się uśmiechnął. Gaj z najwyższym trudem się powstrzymał, żeby nie chwycić jego potężnej, brunatnej ręki i nie przypaść do niej w pełnym wdzięczności pocałunku. O władco mój, dumo moja i obrońco, rozkazuj! Oto jestem przed Tobą, należę do Ciebie, rzuć mnie w ogień, połącz mnie z płomieniem. Rzuć mnie na tysiące wrogów, na gardziele armat, naprzeciw milionom kul... Gdzie są Twoi wrogowie? Gdzie są ci tępi, obrzydliwi ludzie w czarnych mundurach? Gdzie ten wściekły oficerek, który ośmielił się przestrzelić Ci Twoją Boską Rękę? O, czarny zbrodniarzu, rozerwę ci pazurami na strzępy, przegryzę ci gardło... Ale nie teraz jeszcze, nie... Mój władca coś mi rozkazuje, czegoś ode mnie chce. Mak, Mak, błagam, zwróć mi swój uśmiech! Dlaczego się już nie uśmiechasz? Tak, tak, jestem głupi, nie rozumiem Cię, ale to wszystko przez ten wspaniały ryk Twojej posłusznej maszyny... Ach, o to chodzi... Massaraksz, ależ ze mnie idiota, no jasne, hełm... Tak, tak zaraz zakładam... Rozumiem, to taki sam hełmofon, jak w czołgu... Słucham Cię, Najpiękniejszy! Rozkazuj! Nie, nie wcale nie chcę się opamiętać! Nic się ze mną nie dzieje, po prostu jestem Twój, pragnę umrzeć za Ciebie, wydaj mi jakiś rozkaz... Tak, będę milczał, zamknę się... To mi rozerwie płuca, ale będę milczał, skoro Ty mi rozkazujesz... Wieża? Jaka wieża? Tak, widzę wieżę... Ci czarni zbrodniarze, podli ludożercy, mordercy dzieci powtykali te wieże, gdzie się tylko dało, ale my ruszamy żelaznym krokiem i zmieciemy te wieże z ogniem w oczach... Prowadź, prowadź swą posłuszną maszyną na tę wstrętną wieżę! I daj mi bombę, skoczę z nią i nie chybię, zobaczysz! Daj mi bombę, bombę! O!... Oo!... Ooo!!!

Gaj z trudem odetchnął i rozerwał kołnierz kombinezonu. W uszach mu dzwoniło, w oczach migotało. Świat był zasnuty mgłą, ale mgła szybko ustępowała, tylko bolały wszystkie mięśnie i pobolewało gardło. Potem zobaczył twarz Maksyma - ciemną, chmurną i nawet jakby okrutną. Wspomnienie czegoś rozkosznego wypłynęło na moment i natychmiast znikło, i nie wiedzieć czemu bardzo mu się zachciało stanąć na baczność i strzelić obcasami. Zresztą Gaj doskonale rozumiał, że nie powinien tego robić, bo Maksym

bardzo się rozzłości.

--- Narozrabiałem? - zapytał przepraszającym tonem i trwożliwie rozejrzał się na boki.

--- To ja narozrabiałem - odparł Maksym. - Zupełnie zapomniałem o tym paskudztwie.

--- O czym?

Maksym wrócił na swój fotel, położył rękę na dźwigni i zaczął patrzeć przed siebie.

--- O wieżach - powiedział wreszcie.

--- O jakich znów wieżach?

--- Skręciłem za daleko na północ i dostaliśmy się w zasięg promienników.

Gajowi zrobiło się wstyd.

--- Wrzeszczałem hymn legionu? - zapytał.

--- Gorzej - odparł Maksym. - Nie przejmuj się, na przyszłość będziemy ostrożniejsi.

Ogromnie zakłopotany Gaj odwrócił się, usiłując sobie za wszelką cenę przypomnieć, co on też takiego robił, i zaczął przypatrywać się światu w dole. Żadnej wieży nie zobaczył i oczywiście nie zobaczył też już ani hangaru, ani pola, z którego wystartowali. W dole przesuwiał się wolno wciąż ten sam połatany koc, a poza tym było widać rzekę, bladą metaliczną żmijkę znikającą w opalizującej mgiełce daleko w przodzie, gdzie w niebo winna wznosić się ogromna ściana morza... Co też takiego ja gadałem? - zachodził w głowę Gaj. --- Pewnie musiałem pleść okropne brednie, bo Maksym jest bardzo zły i zaniepokojony. Massaraksz, może odezwały się we mnie moje żandarmskie zwyczaje i czymś Maka obraziłem. Gdzie jest ta przeklęta wieża? Mamy świetną okazję, żeby zrzucić na nią bombę.

Samolot nagle podskoczył do góry. Gaj przygryzł język, a Maksym chwycił lewarek dwoma rękami. Coś było nie w porządku, coś się zdarzyło. Gaj lękliwie rozejrzał się dokoła i stwierdził z ulgą, że skrzydło jest na miejscu, a śmigła się kręca. Wówczas popatrzył do góry. W białawym niebie nad głową wolno rozpląwały się jakieś smoliste czarne plamy. Zupełnie jak krople tuszu w wodzie.

--- Co to? - zapytał.

--- Nie wiem - odpowiedział Maksym. - Dziwna rzecz... - dodał jeszcze jakieś dwa niezbrane słowa, a potem niepewnie powiedział: - Atak... kamieni niebieskich. Brednie, to się nie zdarza. Prawdopodobieństwo równe zero całych, zero-zero... Przyciągam je, czy co?

Znów powiedział parę niezrozumiałych słów i zamilkł.

Gaj chciał zapytać, co to są te kamienie niebieskie, ale akurat w tym momencie zauważył kącikiem oka jakiś dziwny ruch w dole z prawej strony. Przypatrzył się mu. Nad brudnozielonym kocem lasu wolno wypiętrzała się ciężka żółtawa chmura. Nie od razu zrozumiał, że to dym. Potem w trzewiach chmury błysnęło i ten błysk jakby wypchnął do góry długie czarne cielsko. W tej samej chwili horyzont nagle gwałtownie się przechylił, stanął dęba i Gaj kurczowo wczepił się w poręcz. Automat ześlizgnął mu się z kolan i potoczył po podłodze. "Massaraksz... - syknął w słuchawkach głos Maksyma. - To tak! Ale ze mnie dureń!" Horyzont wyrównał się, Gaj poszukał wzrokiem żółtej sterty dymu, nie znalazł, zaczął patrzeć do przodu i wprost na kursie zobaczył, jak nad lasem uniosła się fontanna różnobarwnych rozbryzgów, znów wypiętrzyła się żółta chmura i błysnął ogień, znów długie czarne cielsko wolno uniosło się w niebo i przekształciło się w oślepiająco białą kulę. Gaj zasłonił ręką oczy. Biała kula szybko zbladła, napełniła się czernią i rozpląnęła się na kształt gigantycznego kleksa. Podłoga pod nogami zaczęła się zapadać, Gaj zaczął łowić powietrze szeroko otwartymi ustami; przez chwilę miał wrażenie, iż żołądek wyskoczy mu gardłem. W kabinie pociemniało, poszarpany czarny dym zbliżył się i prześlizgnął w bok, horyzont znów się przekrzywił, a las był teraz zupełnie blisko z lewej strony. Gaj zmrużył oczy i skurczył się w oczekiwaniu ciosu, bólu, śmierci - brakowało mu powietrza, a wszystko dokoła trzęsło się i dygotało. "Massaraksz... syczał w słuchawkach głos Maksyma. - Trzydzieści trzy razy massaraksz..." Coś krótko i gwałtownie załomotało w ściankę, jakby ktoś z bezpośredniej odległości wypuścił serię z karabinu maszynowego, w twarz uderzył strumień lodowatego powietrza, helm pofrunął, a Gaj skulił się jeszcze bardziej, chowając głowę przed wiatrem i ogłuszającym rykiem. Koniec - myślał. - Ostrzeliwują nas. Zaraz nas strącą i spalimy się... Ale nic się nie działo. Bombowiec jeszcze parę razy podskoczył, jeszcze parę razy zapadł się w jakieś dziury i znów uniół się do góry, a potem łoskot silników nagle umilkł i nastąpiła przerażająca cisza, wypełniona świszczącym wyciem wiatru wdzierającego się do kadłuba przez przestrzeliny.

Gaj odczekał chwilę, a potem ostrożnie uniół głowę, starając się nie podstawić twarzy pod lodowate strumienie powietrza. Maksym był na miejscu. Siedział wyprężony w fotelu, trzymał lewarek obiema rękami i zerkał raz na przyrządy, to znów przed siebie. Mięśnie pod brązową skórą miał napięte. Bombowiec leciał jakoś dziwnie, z nienaturalnie zadartym do góry dziobem. Silniki nie pracowały. Gaj popatrzył na skrzydło i zamarł z przerażenia.

Skrzydło się paliło.

--- Pożar! - ryknął i spróbował poderwać się z miejsca. Pasy nie puściły.

--- Siedź spokojnie - powiedział Maksym przez zęby nie odwracając głowy.

Gaj wziął się w garść i zmusił się do patrzenia przed siebie. Bombowiec leciał całkiem nisko. Od pędzących w dole czarnych i zielonych plam mieniło się w oczach. A w przodzie wznosiła się już do góry błyszcząca metalicznie powierzchnia morza. Rozbijemy się w diabły - pomyślał z rezygnacją. - Przeklęty książę-hrabia ze swoim przeklętym bombowcem. Też mi, massaraksz, strzęp imperium! Szlibyśmy spokojnie na piechotę i nic by się nam nie stało, a teraz, jak nie rozbijemy się, to spalimy, a jak się nie spalimy, to utoniemy.

Maksym zmartwychwstanie, a ze mną koniec. Nie chcę.

--- Nie szarp się - powiedział Maksym. - Trzymaj się mocno. Zaraz...

Las w dole nagle się skończył. Gaj zobaczył przed sobą pędzącą wprost na niego sfalowaną stalowoszarą powierzchnię i zamknął oczy.

Uderzenie. Trzask. Przerazający syk. Znów uderzenie. I jeszcze jedno. Wszystko leci w diabły, wszystko zginęło, koniec ze wszystkim... Gaj wrzeszczy z przerażenia. Jakaś ogromna siła chwyciła i usiłuje wyrwać go z fotela razem z pasami, razem z wszystkimi bebechami, z rozczarowaniem rzuca z powrotem, wszystko dokoła trzeszczy i pęka, śmierdzi spalenizną i pluje ciepłą wodą. Potem wszystko cichnie. W ciszy słychać plusk i szmer wody. Coś syczy i potrzaskuje, podłoga zaczyna się wolno kołysać. Chyba można już otworzyć oczy i zobaczyć, jak jest na tamtym świecie.

Gaj otworzył oczy i zobaczył Maksyma, który pochylony nad nim odpinał mu pasy.

--- Umiesz pływać?

To znaczy, że jednak żyjemy.

--- Umieję - odparł Gaj.

--- No to w drogę.

Gaj ostrożnie wstał, oczekując ostrego bólu w zmaltretowanym i połamanym ciele, ale ciało okazało się w porządku. Bombowiec łagodnie kołysał się na niskiej fali. Lewego skrzydła nie miał, prawe trzymało się jeszcze na płacie dziurkowanej blachy. Wprost przed dziobem był brzeg - widocznie podczas wodowania samolot gwałtownie wykręcił.

Maksym podniósł automat, zarzucił go na ramię i otworzył drzwiczki. Do kabiny natychmiast zaczęła wlewać się woda, okropnie zaśmierdziała benzyną, podłoga zaczęła się wolno przechylać.

--- Naprzód! - zakomenderował Maksym i Gaj, przecisnąwszy się obok niego, posłusznie chlupnął do wody. Zapadł się z głową, wynurzył się i plując wodą popłynął do brzegu. Brzeg był blisko, twardy brzeg, po którym można chodzić i na który można przewracać się, podać bez niebezpieczeństwa utraty życia. Maksym, bezszelestnie rozcinając wodę, płynął obok niego. Massaraksz, on nawet pływa jak ryba, jakby urodził się w wodzie... Gaj, sapiąc i parskając, ze wszystkich sił pracował rękami i nogami. Płynąc w kombinezonie i butach było bardzo ciężko, więc ucieszył się, kiedy zaczepił nogą o piaszczyste dno. Do brzegu był jeszcze kawałek drogi, ale stanął i poszedł, rozcierając przed sobą brudną, zalaną plamami oleju wodę. Maksym płynął nadal, wyprzedził go i jako pierwszy wyszedł na niski piaszczysty brzeg. Kiedy Gaj, zataczając się, podszedł do niego, stał na szeroko rozkraczonych nogach i patrzył w niebo. Gaj też popatrzył w niebo. W niebie rozplątało się mnóstwo czarnych kleksów.

--- Mieliśmy szczęście - mruknął Maksym. - Było ich z dziesięć sztuk.

--- Czego? - zapytał Gaj, wytrząsając sobie z ucha wodę.

--- Rakiet... Zupełnie o nich zapomniałem. Ileż to lat czekały, aż przylecimy i wreszcie się doczekały. Że też się nie domyśliłem!

Gaj pomyślał z niezadowoleniem, że też mógł się tego domyślić, a jednak się nie domyślił. A mógł przecież jeszcze dwie godziny temu powiedzieć: jak niby mamy lecieć, Mak, kiedy w lesie jest pełno szybów rakietowych? Nie książę- hrabio, dziękujemy za dobre chęci, ale lepiej niech pan sam lata swoim bombowcem... Popatrzył na morze. "Orzeł Górski" już niemal całkiem zatonał i tylko jego etażerkowaty ogon sterczał z wody.

--- No dobra - powiedział Gaj. - Wygląda na to, że do Imperium Wyspiarskiego teraz się nie dostaniemy. Co zrobimy?

--- Przede wszystkim - odpowiedział Maksym - zażyjemy lekarstwo. Wyjmuj.

--- Po co? - zapytał Gaj, który bardzo nie lubił książęcych pigulek.

--- Bardzo brudna woda - odparł Maksym. - Cała skóra mnie pali. Łykniemy sobie od razu po cztery albo nawet po pięć sztuk.

Gaj pospiesznie wydobyl słoiczek, wysypał na dłoń z dziesięć żółtych kuleczek i zjedli tę porcję na spółkę.

--- A teraz idziemy - powiedział Maksym. - Weź swój automat.

Gaj wziął automat, splunął palącą goryczą wypełniającą mu usta i zapadając się w piasku ruszył za Maksymem wzdłuż brzegu. Było gorąco, kombinezon szybko podsechł, tylko w butach jeszcze chlupało. Maksym szedł szybko i pewnie, jakby dokładnie wiedział, dokąd trzeba iść, chociaż wokół nie było widać niczego poza morzem z lewej i rozległej plaży z prawej strony i wysokich wydm o jakiś kilometr od wody, za którymi od czasu do czasu pojawiały się kędzierzawe wierzchołki leśnych drzew.

Przeszli jakieś trzy kilometry, a Gaj wciąż myślał, dokąd to oni idą i gdzie się w ogóle znajdują. Pytać nie chciał, chciał się sam zorientować w sytuacji, ale przypomniał sobie wszystkie okoliczności doszedł jedynie do wniosku, że gdzieś przed nimi powinno być ujście Błękitnej Żmii, idą zaś na północ - nie wiadomo dokąd i nie wiadomo po co... Myślenie wkrótce mu się znudziło. Przytrzymując ręką broń, dopędził truchcikiem Maksyma i zapytał wprost, jakie teraz mają właściwie plany.

Maksym odpowiedział mu skwapliwie, że jakichś określonych planów teraz nie mają i muszą liczyć jedynie na przypadek. Pozostaje im mieć nadzieję, że jakaś biała łódź podwodna podpłynie do brzegu, a oni będą przy niej pierwsi, zanim pojawią się legionieści. Ponieważ jednak oczekiwanie na taki przypadek wśród suchych piasków jest wątpliwą przyjemnością, trzeba spróbować dotrzeć do Kurortu, który powinien być gdzieś tu w pobliżu. Miasto naturalnie już dawno zostało zniszczone, ale źródła z pewnością się zachowały i

w ogóle będzie przynajmniej jakiś dach nad głową. Przenocujemy w mieście, a potem się zobaczy. Możliwe, że trzeba będzie spędzić na wybrzeżu nawet parę tygodni.

Gaj zauważył ostrożnie, że ten plan wydaje mu się trochę dziwny, z czym Mak natychmiast się zgodził i z nadzieją w głosie zapytał, czy Gaj nie ma przypadkiem w zapasie jakiegoś innego planu, mądrzejszego i konsekwentniejszego. Gaj powiedział, że niestety żadnego innego planu nie ma, ale że trzeba pamiętać o żandarmskich patrolach czołgowych, które, o ile mu wiadomo zapuszczają się wzdłuż wybrzeża bardzo daleko na Południe. Maksym zachmurzył się i powiedział, że to bardzo źle, że trzeba uważać i nie dać się zaskoczyć, po czym przez jakiś czas dokładnie wypytywał Gaja o taktykę patroli. Dowiedziawszy się, że czołgi patrolują raczej morze niż brzeg i że można się przed nimi z łatwością ukryć na wydmach, uspokoił się i zaczął gwizdać jakiś nieznany marsz.

Przy wtórze tego marszu przeszli jeszcze jakieś dwa kilometry, a Gaj wciąż się zastanawiał, jak się mają zachować, jeśli patrol ich jednak zauważy. Wreszcie wymyślił i powiedział o tym Maksymowi.

--- Jeśli nas wykryją, to nałgamy, że porwały mnie wyrodky, a ty popędziłeś za nimi i odbiłeś mnie. Potem błądziliśmy razem po lesie, błądziliśmy, aż wreszcie dotarliśmy tutaj.

--- A co to nam da? - zapytał Maksym bez większego entuzjazmu.

--- A to - odpowiedział Gaj ze złością - że nas przynajmniej nie kropną na miejscu.

--- Co to, to nie! - powiedział twardo Maksym. - Nigdy już nie pozwolę się kropnąć i ciebie też nie dam...

--- A jeśli natkniemy się na czołg? - zapytał z zachwytem Gaj.

--- Co tam czołg! - odparł lekceważąco Maksym. - Myślałby kto, czołg...

Pomilczał chwilę, a potem nagle powiedział rozmarzonym głosem:

--- A wiesz, nieźle byłoby zdobyć czołg.

Gaj zauważył, że ta myśl bardzo mu się spodobała.

--- Miałeś znakomity pomysł, Gaj. Tak właśnie zrobimy - powiedział Maksym. --- Zdobędziemy czołg. Jak tylko oni się pojawią, natychmiast wystrzel w powietrze. Ja założę ręce na kark, a ty poprowadzisz mnie pod bronią wprost do nich. A tam już sobie poradzę. Tylko trzymaj się z boku, nie kręć mi się pod nogami i, co najważniejsze, więcej już nie strzelaj.

Gaj wpadł w entuzjazm i natychmiast zaproponował, żeby wyszli na grzbiet wydmy, bo tam będą z daleka widoczni. Tak też zrobili. Wdrapali się na wydmy.

I od razu zobaczyli białą łódź podwodną.

Za wydmami otwierała się niewielka płytką zatoczka, a łódź wznosiła się nad wodą o jakieś sto kroków od brzegu. Właściwie nie przypominała w ogóle okrętu, groźnej łodzi podwodnej, a już na pewno nie była biała. Gaj pomyślał z początku, że to albo cielsko jakiegoś ogromnego dwugarbnego zwierzęcia, albo dziwacznej kształtu skała, nie wiedzieć w jaki sposób wyrosła wśród piasku. Ale Maksym od razu zorientował się, co to jest, a nawet wyraził przypuszczenie, że łódź podwodna została porzucona, że stoi tu już przynajmniej od paru lat i że utkwiała w piasku.

Tak też było. Kiedy dotarli do zatoczki i zeszli nad wodę, Gaj zobaczył, że długi kadłub i obie nadbudówki pokryte są rdzawymi plamami, biała farba złuszczyła się, a rozbite działo pokładowe celuje lufą w wodę. W poszyciu zieją czarne dziury z okopconymi krawędziami i nic żywego, rzecz jasna, tam w środku nie mogło zostać.

--- Czy to na pewno biała łódź podwodna? - zapytał Maksym. - Widziałeś je przedtem?

--- Według mnie, to ona - odparł Gaj. - Nigdy nie służyłem na wybrzeżu, ale pokazywali nam fotografie, mentogramy, opisywali. Był nawet taki mentofilm "Czołgi w obronie brzegowej". To ona. Wygląda na to, że sztorm wyniósł ją na brzeg, rzucił na mieliznę i wtedy akurat napatoczył się patrol... Widzisz, jak ją podziurawili? Wygląda jak rzeszoto.

--- Tak, chyba masz rację - mruknął Maksym. - Obejrzymy ją sobie z bliska?

Gaj zawahał się.

--- W ogóle to można - powiedział niepewnie.

--- A o co chodzi?

--- Jak by ci tu powiedzieć...

Rzeczywiście, jak mu to powiedzieć? Kapral Serembesz, stary wiarus, opowiadał kiedyś w ciemnej po capstrzyku koszarowej sali, że na białych okrętach pływają niezwykle marynarze, tylko nieboszczyki. Odśługują po raz drugi swoje lata, a niektórzy z nich to tchórze, którzy zginęli w strachu. Morskie demony szperają po dnie, łowią topielców i mustrują ich na okręty... Czegoś takiego przecież Makowi nie można opowiedzieć, bo wyśmiejcie, a śmiać się tu nie ma z czego... Albo taki na przykład czynny szeregowiec Leptu, zdegradowany oficer, po większym pijaństwie mówił po prostu: "Wszystko to szczeniaki, chłopaki, te wszystkie wasze wyrodky i mutanty, nawet promieniotwórczość da się przeżyć i pokonać... Ale módlcie się, żeby Bóg was strzegł przed białą łodzią podwodną; lepiej już od razu iść na dno, niż chociażby jej dotknąć. Ja to, chłopaki, dobrze wiem..." Nikt nie miał pojęcia, za co Leptę zdegradowali, ale było pewne, że dawniej służył na wybrzeżu, gdzie dowodził kutrem pościgowym.

--- Rozumiesz - powiedział Gaj rozdygotanym głosem - ludzie wierzą w różne przesady, opowiadają najrozmaitsze legendy. Nie będę ci ich powtarzał, ale rotmistrz Czachu mówił, że wszystkie te łodzie podwodne są zaraźliwe i że nie wolno na nie wchodzić... Jest nawet podobno taki rozkaz, żeby wszystkie rozbite łodzie...

--- Dobra - przerwał mu Maksym. - Poczekaj tutaj, a ja pójde zobaczyć, jaka tam zaraza panuje...

Gaj nie zdążył nawet powiedzieć słowa, tylko otworzył usta, kiedy Maksym już skoczył do wody, zanurkował i długo nie pokazywał się na powierzchni. Gaj już zaczął się bać, że utonął, kiedy czarnowłosa głowa wynurzyła się przy obdrapanej burcie, dokładnie pod wielką dziurą. Zwinnie i bez wysiłku, jak mucha po ścianie, brunatna postać wdrapała się na przechylony pokład, podbiegła do nadbudówki dziobowej i zniknęła. Gaj spazmatycznie odetchnął, podreptał w miejscu i przespacerował się kilka kroków nad wodą, nie spuszczać wzroku z martwego zardzewiałego potwora.

Było cicho, nawet fale nie szemrały w tej martwej zatoczce. Puste białe niebo, puste i wymarłe białe wydmy, wszystko suche, gorące, zastygłe. Gaj z nienawiścią popatrzył na zardzewiały wrak. Ależ ja mam pecha - inni służą przez całe lata i nie widzą żadnych okrętów podwodnych, a tu masz ci los, spadliśmy z nieba, zrobiliśmy parę kroków i proszę bardzo... Że też ja się na coś takiego zdecydowałem? To wszystko przez Maksyma. Jak zacznie gadać, to człowiekowi się zdaje, że wszystko jest w porządku, nie ma nad czym się zastanawiać i bać się też nie ma czego... A może nie bałem się dlatego, że wyobrażałem sobie łódź żywą, białą, elegancką, z ubranymi na biało marynarzami na pokładzie. A tutaj żelazny trup... Miejsce też jakieś tu nieżywe, nawet wiatru nie ma. A przecież był wiatr, doskonale pamiętam; kiedy szliśmy, w twarz nad dmuchał odświeżający, wilgotny wietrzyk. - Rozejrzył się nerwowo na boki, usiadł na piasku, położył obok siebie automat i zaczął wolno ściągać prawy but. - Szlag trafi, co za cisza! A jeśli on nie wróci? Jeśli poślknęła go ta żelazna padlina i już nie puści? Tfu, tfu, tfu!

Drgnął i wypuścił but. Nad zatoczką przetoczył się długi, przerażający dźwięk, wycie - nie wycie, pisk - nie pisk, jakby diabli przeciągali zardzewiałym nożem po grzesznej duszy. Dzięki Bogu, to tylko otworzyły się jakieś żelazne drzwi, zardzewiała pokrywa włazu. - Tfu, na psa urok! Aż się spościłem ze strachu. Otworzył właz, to znaczy, że zaraz wyjdzie... Nie, nie wychodzi...

Przez kilka minut Gaj z wyciągniętą szyją wpatrywał się w łódź podwodną i nadstawiał ucha. Cisza. Ta sama straszna cisza, tylko jeszcze straszniejsza po żelaznym zgrzycie. A może właz się nie otworzył, tylko zamknął? Sam się zamknął... Przed zmartwiałymi oczami Gaja stanął taki widok: ciężkie stalowe drzwi same zamykają się za Maksymem, a potem gruby rygiel sam wsuwa się na miejsce... Gaj oblizał wyschnięte wargi, przełknął grudkę lepkiej śliny i krzyknął: "Hej, Mak!" Nie udało mu się krzyknąć, zasyczał tylko... Mój Boże, żeby przynajmniej rozległ się jakiś dźwięk! "Hej!" - wrzasnął rozpaczliwie. "Eeee..." - odpowiedzieli ponuro wydmy i znów zrobiło się cicho.

Cisza. I nie ma już sił, żeby krzyknąć...

Nie spuszczać oczu z okrętu Gaj trzęsącymi się rękami wymacał leżący na piasku automat, odbezpieczył go na oślep i nie celując wypuścił całą serię w zatokę. Zatrzeszczało krótko i cicho, jakby strzelał w watę. Na gładkiej wodzie ukazały się malutkie rozbryzgi, rozeszły się kręgi. Gaj uniósł lufę wyżej i znów nacisnął spust. Tym razem narobił hałasu: pociski zadudniły o metal, zawyły rykoszety, rozdundniło się echo. I nic. Nic a nic. Ani jednego dźwięku więcej, jakby był tam sam, jakby nigdy nikogo więcej nie było na świecie. Jakby trafił tu nie wiadomo jak, jakby to okropne miejsce tylko mu się przyśniło. Ale nie mógł się z tego koszmaru ocknąć, nie mógł się przebudzić. I teraz zostanie tu na zawsze sam.

Gaj, nie wiedząc co robi, tak jak stał, w jednym bucie wszedł do wody. Najpierw wolno, potem coraz szybciej, aż wreszcie zaczął biec wysoko zadzierając nogi po pas w wodzie, na przemian popłakując i klnąc na czym świat stoi. Zardzewiały olbrzym był coraz bliżej. Gaj brnął przez brudną wodę, potem rzucił się wpław. Dotarł do burty, spróbował się na nią wdrapać, ale nie zdołał; podpłynął pod rufę, uczeplił się jakiejś liny i obdzierając sobie do krwi łokcie i kolana wgramolił się na pokład, po czym stanął, zalewając się łzami. "Hej!" - krzyknął zdławionym głosem.

Cisza.

Pokład był pusty, dziurkowana blacha pokryta była suchymi wodorostami, jakby żelazo obrosło skołtunioną szczeciną. Nadbudówka dziobowa zwisała nad głową niczym ogromny plamisty grzyb, w jej pancerzu ział z boku wielki poszarpany otwór. Łomocąc butem w stalowy pokład, Gaj wyminął nadbudówkę i zobaczył żelazne klamry wiodące na górę. Były jeszcze wilgotne. Zarzucił automat na plecy i zaczął się wspinać. Wspinał się długo, całą wieczność, w dusznej ciszy, na spotkanie niechybnej śmierci, na spotkanie wiecznej śmierci. Wreszcie dotarł na górę i zatrzymał się na czworakach. Potwór już na niego czekał, właz był otwarty na oścież, jakby od stu lat się nie zamykał i nawet zawiasy znowu przerdzewiały - zapraszał do środka. Gaj podczołgał się do czarnego otworu i zajrzał do środka. W głowie mu się zakręciło, zawirowało. Z żelaznej gardzieli sprasowaną masą wylewała się cisza, całe lata zleżałej, sfermentowanej ciszy. Gaj nagle wyobraził sobie, jak tam, w złotym zgnitym świetle, przywalony tonami tej ciszy walczy na śmierć i życie sam przeciw wszystkim jego dobry przyjaciel Mak, walczy z ostatnich sił i woła: "Gaj! Gaj!", a cisza z krzywym uśmiechem leniwie przetyka te krzyki i nieustannie napiera, tłamsi Maka, dusi go i dławi. Tego nie można było znieść, więc Gaj dał nurka w otwór włazu.

Plakał i spieszył się, pędził i gnał, aż wreszcie potknął się, upadł i przeleciał kilka metrów. Spadł na piasek. To był żelazny korytarz, słabo oświetlony kilkoma zakurzonymi żarówkami i zawalony tonami piasku, który przez wiele lat dostawał się z góry przez otwór szybu. Gaj zerwał się - wciąż jeszcze się spieszył, wciąż jeszcze bał się spóźnić - i pobiegł na oślep przed siebie z krzykiem:

--- Jestem tutaj, Mak!... Idę... Idę...

--- Czemu się tak drzesz? - zapytał poirytowanym głosem Maksym, wyłaniając się jakby ze ściany. - Co się

stało? Skaleczyłeś się w palec?

Gaj stanął i opuścił bezwolnie ręce. Był bliski omdlenia. Serce waliło mu jak wściekłe, w głowie szumiało. Musiał oprzeć się o ścianę i spróbować dobyć głosu. Nie udało się. Maksym patrzył na niego przez chwilę ze zdziwieniem, potem chyba zrozumiał, bo przecisnął się na korytarz - drzwi wjazdu znów przenikliwie skrzypnęły - podszedł do niego, wziął za ramiona, potrząsnął, przycisnął do siebie i objął. Przez parę sekund Gaj w błogiej radości przytulał twarz do jego piersi, aż wreszcie przyszedł do siebie.

--- Myślałem... że cię tutaj... że ty tu... że już cię...

--- Już dobrze, dobrze - powiedział Maksym czule. - To moja wina, trzeba cię było od razu zawołać. Ale znalazłem tu dziwne rzeczy. Bardzo dziwne...

Gaj odsunął się, wytarł nos mokrym rękawem, potem równie mokrą ręką otarł twarz i dopiero wtedy poczuł wstyd.

--- Nie było cię i nie było - powiedział gniewnie, patrząc w bok. - Wołam, strzelam... Nie mogłeś się odezwać?

--- Massaraksz, nic nie słyszałem - powiedział przepaszającym tonem Maksym. - Rozumiesz, znalazłem tu wspaniały odbiornik. Nawet nie przypuszczałem, że potraficie tutaj robić sprzęt takiej klasy.

--- Odbiornik, odbiornik... - burczał Gaj, przeciskając się przez uchylone drzwi. - Znalazłeś sobie zabawkę, a ja przez ciebie o mało nie zwariowałem. Co oni tu mają?

Było to dość obszerne pomieszczenie z zetłętym dywanem na podłodze, z trzema półokrągłymi plafonierami na suficie, z których paliła się tylko jedna. Pośrodku stał okrągły stół, a wokół niego fotele. Na ścianach wisiały jakieś dziwne fotografie w ramkach i obrazy, spod których zwisały złachmanione strzepy atlasowego obicia. W kącie zgrzytał i wył wielki odbiornik. Gaj nigdy takich dotąd nie widział.

--- To jest coś w rodzaju mesy - powiedział Maksym. - Rozejrzyj się, tu jest na co patrzeć.

--- A załoga? - zapytał Gaj.

--- Nie ma nikogo. Ani żywych, ani martwych. Dolne przedziały są zalane wodą. Pewnie wszyscy są tam...

Gaj popatrzył na niego ze zdziwieniem. Maksym odwrócił się. Twarz miał zatroskaną.

--- Muszę ci powiedzieć - odezwał się po chwili - że chyba dobrze się stało, że nie dolecieliśmy do Imperium. Rozejrzyj się, rozejrzyj.

Siadł przed odbiornikiem i zaczął kręcić gałkami, a Gaj rozglądał się niezdecydowany, nie wiedząc od czego zacząć. Wreszcie podszedł do ściany i zaczął przypatrywać się rozwieszonym na niej fotografiom. Przez dłuższą nie mógł pojąć, co to za zdjęcia. Potem ołśniło go: rentgenogramy. Patrzący nań niewyraźnie, wszystkie takie same, wyszczerzone czaszki. Na każdym zdjęciu był nieczytelny napis, jakby czyjś autograf. Członkowie załogi? Jakież sławy? Gaj wzruszył ramionami. Wujaszek Kaan pewnie by się w tym wszystkim zorientował, ale on...

W kącie zobaczył wielki plakat, piękny plakat, trójkolorowy. Tyle tylko, że trochę zapleśniały. Na plakacie było błękitne morze, z którego wychodził, wspierając się jedną nogą o czarny brzeg pomarańczowy przystojniak w cudacznym mundurze, bardzo muskularny i z nieproporcjonalnie małą głową, składającą się w połowie z potężnej szyi. W jednym ręku atleta ścisnął zwój papieru z niezrozumiałym napisem, a drugą wbił w brzeg płonąca pochodnię. W górnej części plakatu było coś napisane wielkimi ogoniastymi literami. Litery były znajome, ale układały się w słowa, których w ogóle nie dawało się wymówić.

Im dłużej Gaj patrzył na plakat, tym mniej mu się on podobał. Nie wiadomo czemu przypomniał sobie plakat wiszący w koszarach: widniał na nim czarny zuch legionista (też z małą główką i potężnymi mięśniami), odważnie odcinający gigantycznymi nożycami głowę paskudnego smoka, który wynurzył się z morza. Na ostrzach nożyc, bodajże, było napisane: na jednym "Legion", a na drugim - "Bojowy". Aha... - pomyślał Gaj, po raz ostatni spoglądając na plakat. - To się jeszcze zobaczy. Zobaczymy, kto kogo przypiecze, massaraksz!

Odwrócił się od plakatu, zrobił parę kroków i zdębiał.

Z elegancko lakierowanej półki patrzyła nań szklanymi oczami znajoma twarz, kwadratowa, z jasną grzywką nad brwiami i wyraźną blizną na prawym policzku... Rotmistrz Pudurasz. Płomienny bohater, dowódca kompanii w Brygadzie Martwych-Niezapomnianych, pogromca jedenastu białych okrętów podwodnych, poległy w nierównej walce. Jego popiersie uwiecznione bukietem nieśmiertelników wznosiło się na każdym placu koszarowym, a jego głowa z wyschniętą, żółtą, martwą skórą stała nie wiadomo czemu tutaj. Gaj cofnął się. Tak, to jest prawdziwa głowa. A tam jeszcze jedna - nieznaną ostrą twarz... I jeszcze jedna... I jeszcze jedna... Ile ich tu jest!

--- Mak! - powiedział Gaj. - Widziałeś?

--- Tak - odparł Maksym.

--- To są głowy! - powiedział Gaj. - Prawdziwe głowy...

--- Obejrzyj sobie albumy leżące na stole.

Gaj z trudem oderwał się od przerażającej kolekcji, odwrócił się i niepewnie podszedł do stołu. Odbiornik coś krzyczał w nieznanym języku, wybuchał muzyką i trzaskami, aż wreszcie powiedział poważnym, aksamitnym głosem: "Wyniszczenie, całkowite i ostateczne wyniszczenie..."

Gaj na chybił trafił wziął jeden z albumów i otworzył twarde, oklejone skórą okładki. Portret. Dziwna długa twarz z kędzierzawymi bokobrodami zwisającymi z policzków na ramiona, włosy nad czołem wygolone, nos haczykowaty, niezwykle wykrój nozdrzy. Nieprzyjemna twarz. Taki z pewnością nigdy się nie uśmiecha.

Nieznany mundur, jakieś znaczki czy medale w dwóch rzędach. Ale typ... Pewnie jakaś szarża. Gaj odwrócił stronę. Ten sam typ w towarzystwie innych typów na mostku białej łodzi, tak samo ponury, chociaż pozostali szczerzą zęby. Na dalszym planie, nieostro, coś w rodzaju nabrzeża, jakieś budowle, rozmyte sylwetki cudacznycy drzew... Następna strona. Gajowi zaparło dech w piersi - płonący "smok" z rozbitą wieżyczką; z otwartego włazu zwisa ciało legionisty-czołgisty, jeszcze dwa ciała jedno na drugim leżą opodal, a nad nimi stoi ten sam typ, rozkraczony, z pistoletem w opuszczonej ręce i w czapce przypominającej gilzę artyleryjską. Dym unoszący się ze "smoka" przysłania prawie wszystko, ale i tak można rozpoznać znajomą okolicę - ten sam brzeg, piaszczysta plaża i za nią łańcuch wydmy... Gaj przewracając kolejną stronicę aż się sprężył i nie na darmo. Tłum mutantów, chyba ze dwudziestu, wszyscy nadzy, całe mnóstwo potworków związanych jednym postronkiem. Kilku zaferowanych piratów w wysokich czapkach, z dymiącymi pochodniami, a z boku znów ten typ, coś widać pokazuje, bo wyciągnął prawą rękę do przodu, a lewą wsparł na rękojeści kordzika. Ależ te potworki są przerażające, strach patrzeć... Ale dalej było jeszcze straszniej. Ta sama kupa mutantów, ale już spalona. Typ stoi opodal, wacha kwiatek odwrócony do trupów plecami i rozmawia z innym typem.

Ogromne drzewo w lesie, całe obwieszane ciałami. Ludzie są powieszani za ręce, za nogi i to już nie mutanci: jeden ubrany jest w kraciasty kombinezon wychowywanego, inny - w czarną kurtkę legionisty. Starzec przywiązany do słupa. Twarz wykrzywiona od krzyku. A typ oczywiście też jest: z zatroskaną twarzą sprawdza wielką lekarską strzykawkę.

Potem znów powieszani, paleni, spaleni mutanci, wychowywani, legionieści, rybacy, chłopci, mężczyźni, kobiety, starcy, dzieciaki. Panoramiczne zdjęcie: linia plaży, na wydmach cztery płonące czołgi, na pierwszym planie dwie czarne figurki z podniesionymi do góry rękami... Dość! Gaj zatrzasnął i odrzucił album, posiedział kilka sekund, potem z głośnym przekleństwem rzucił wszystkie albumy na podłogę, zerwał się i podbiegł do Maksyma.

Maksym wyłączył odbiornik.

--- To z nimi chcesz się dogadywać?! - wrzasnął mu Gaj w plecy. Chcesz ich tutaj sprowadzić?! Tego kata, tego oprawcę?! - Podskoczył do sterty albumów i kopnął je z rozmachem.

--- Nie wściekaj się - powiedział Maksym. - Ja już nic więcej nie chcę. I nie ma co na mnie wrzeszczeć, jeśli to wy sami jesteście winni, jeśli sami zapaskudziliście wasz świat, jeśli zezwierzęciliście się jak ostatnie bydłota! Co teraz z wami robić - Nagle wyrósł przed Gajem i chwycił go za kłapy kombinezonu. - Co ja mam teraz z wami zrobić? - ryknął. - Co? Co? Nie wiesz? Gadaj!

Gaj w milczeniu kręcił szyją i bez przekonania usiłował się bronić. Maksym puścił go.

--- Sam wiem - powiedział ponuro. - Nikogo tu nie wolno przyprowadzać. Same bestie dokoła... Na nich samych należałoby kogoś nasłać. - Chwycił z podłogi jeden z albumów i zaczął gwałtownie przerzucać kartki. - Taki świat zapaskudzili! - wykrzykiwał. - Taki świat! Patrz, jaki świat!

Gaj patrzył mu przez ramię. W tym albumie nie było żadnych okropności, tylko po prostu różne krajobrazy na zdumiewająco pięknych i wyraźnych kolorowych fotografiach. Błękitne zatoki obramowane bujną zielenią, oślepiająco białe miasta nad morzem, wodospad w górskim wąwozie, jakaś wspaniała autostrada ze strumieniami różnobarwnych samochodów i jakieś starożytne zamki, i ośnieżone szczyty nad chmurami, i ktoś wesoło pędzi na nartach po górskim zboczu, i roześmiane dziewczęta bawią się w morskim przyboju.

--- Gdzie to wszystko teraz jest? - mówił Maksym. - Gdzieście to wszystko podzieli? Zamieniliście na żelazo? Ech wy... ludzie... - Rzucił album na stół. -- Idziemy.

Z wściekłością napał na drzwi, ze zgrzytem otworzył je na oścież i niemal pobiegł korytarzem.

Na pokładzie zapytał:

--- Jesteś głodny?

--- Uhm... - odparł Gaj.

--- W porządku - powiedział Maksym. - Zaraz coś zjemy. Skacz do wody.

Gaj pierwszy dotarł do brzegu, od razu rozebrał się i rozłożył odzież do suszenia. Maksym wciąż jeszcze pływał i Gaj obserwował go z rosnącym niepokojem: zbyt głęboko nurkował jego przyjaciel Mak i zbyt długo zostawał pod wodą. Przecież tak nie wolno, to niebezpieczne... I w ogóle jak mu na tak długo starcza powietrza? Wreszcie Maksym wyszedł na brzeg, ciągnąc za skrzelą ogromną rybę. Ryba była kompletnie oglupiała i zupełnie nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że została złapana gołymi rękami. Maksym rzucił ją daleko na piasek i powiedział:

--- Ta się chyba nada. Prawie nieaktywna. Też pewnie mutant. Zażyj pigułki, a ja ją zaraz przyrządzę. Można ją jeść na surowo, nauczę cię, jak to się robi, jak się przygotowuje sasimi. Nigdy nie jadłeś? Dawaj nóż! Gaj podał mu nóż, a Maksym szybko i sprawnie oprawił rybę.

Potem, kiedy już najedli się sasimi - było całkiem niezłe, trudno się uskarżać -- - i położyli się nago na gorącym piasku, Maksym po dłuższej chwili milczenia zapytał:

--- Co by się stało, gdybyśmy zostali złapani przez patrol, gdybyśmy się im poddali? Gdzie by nas wysłali?

--- Jak to gdzie? Ciebie do miejsca odbywania kary, a mnie na miejsce służby. Bo co?

--- Jesteś pewien?

--- Jasne... Zgodnie z instrukcją samego generała-komendanta. A dlaczego pytasz?

--- Zaraz pójdziemy szukać legionistów - powiedział Maksym.

--- Zdobywać czołg?

--- Nie. Łgać, jak proponowałeś. Zostałeś porwany przez wyrodków, a katorżnik cię uratował.
--- Jak to? - Gaj usiadł. - Jakże tak? I ja też? Z powrotem pod promieniowanie?
Maksym milczał.
--- Przecież znów zrobią ze mnie marionetkę - powiedział bezradnie Gaj.
--- Nie - powiedział Maksym. - To znaczy naturalnie tak... Ale to już nie będzie zupełnie tak, jak dawniej. Będziesz oczywiście trochę marionetką, ale marionetką, która wierzy już w coś innego, słusznego. To naturalnie też nie jest... Ale jednak lepsze, o wiele lepsze...
--- Ale po co? - wykrzyknął zrozpaczony Gaj. - Po co ci to potrzebne?
Maksym przeciągnął dłońmi po twarzy.
--- Widzisz, Gaj, przyjacielu - powiedział z wahaniem - zaczęła się wojna. Albo myśmy napadli na Chontyjczyków, albo oni na nas. Jednym słowem wybuchła wojna.
Gaj patrzył na niego z przerażeniem. Wojna... Rada... Mój Boże, po co to wszystko? Znow się zaczęło...
--- Musimy być tam - ciągnął Maksym. - Mobilizacja już została ogłoszona, wszystkich wzywają do szeregów, nawet katorżnikom dają amnestię i do szeregów... Musimy być razem, Gaj. Najlepiej, gdybym dostał się pod twoje dowództwo.
Gaj prawie go nie słuchał. Wczepił się palcami we włosy i kiwał się na boki, powtarzając w duchu: Po co to, po co to wszystko? Niech was szlag trafi, dranie, niech was trzydzieści trzy razy szlag trafi!
Maksym potrząsnął go za ramię.
--- Weź się w garść! - powiedział ostro. - Nie rozsypuj się. Musimy teraz walczyć, a nie histeryzować. - Znow przetał rękami twarz. - Prawda, z tymi waszymi przeklętymi wieżami... Massaraksz, żadne wieże im nie pomogą. Ubieraj się i idziemy. Musimy się spieszyć.
--- Szybciej, Fank, szybciej. Spieszę się.
--- Tak jest. Rada Gaal... Została usunięta spod władzy pana prokuratora generalnego i znajduje się w naszych rękach.
--- Gdzie?
--- U nas, w willi "Kryształowy Łabędź". Uważam za swój obowiązek jeszcze raz wyrazić wątpliwość co do celowości tej akcji. Wątpię, aby tego rodzaju kobieta mogła nam pomóc w spacyfikowaniu Maka. O takich łatwo się zapomina i jeśli nawet Mak...
--- Sądzi pan, że Mądrała jest głupszy od nas?
--- Nie, ale...
--- Mądrała wie, kto wykradł kobietę?
--- Obawiam się, że tak.
--- W porządku, niech wie. W tej sprawie wszystko jest jasne. Co więcej?
--- Sendi Cziczaku spotkał się z Histerykiem. Histeryk najwidoczniej zgodził się skontaktować go z Baronem, pod warunkiem...
--- Stop. Co za Cziczaku? Łysy Czik?
--- Tak.
--- Sprawy podziemia mnie teraz nie interesują. O Maku wszystko? Wobec tego proszę słuchać uważnie. Ta cholerna wojna pokrzyżowała mi wszystkie plany. Wyjeżdżam i wrócę za jakieś trzydzieści do czterdziestu dni. Przez ten czas musi pan zakończyć sprawę Maka. Niech mu pan da jakąś funkcję. Niechaj pracuje. Wolności osobistej proszę mu nie ograniczać, ale musi zrozumieć - wystarczy tu jakaś subtelna aluzja - że od jego zachowania zależy los Rady... Proszę pokazać mu instytut i opowiedzieć, nad czym pracujemy... w rozsądnych granicach, rzecz jasna. I pod żadnym pozorem nie wolno mu spotkać się z Radą! Niech pan mu o mnie opowie, opisze jako mądrego, dobrego, sprawiedliwego człowieka, wybitnego naukowca, niech mu pan da do przeczytania moje artykuły... poza ściśle tajnymi. Proszę mu też dać do zrozumienia, że jestem w opozycji do rządu. Mak ani przez chwilę nie powinien zapragnąć uciec z instytutu. To wszystko. Pytania?
--- Tak. Ochrona?
--- Żadnej. To nie ma sensu.
--- Inwigilacja?
--- Bardzo ostrożna... Albo lepiej nie. Niech pan go nie spłoszy. Najważniejsze, żeby nie chciał porzucić instytutu... Massaraksz, że też akurat teraz muszę wyjechać! Teraz już wszystko jasne?
--- Przepraszam, Wędrowcze, jeszcze tylko jedno pytanie.
--- Słucham?
--- Kim on jest? Po co on panu?

Wędrowiec wstał, podszedł do okna i powiedział nie odwracając głowy:

--- Boję się go, Fank. To bardzo, ale to bardzo niebezpieczny człowiek.

Rozdział XVII

O jakieś dwieście kilometrów od granicy chontyjskiej, kiedy eszelon utknął na długo na bocznicy w pobliżu jakiejś zapyziałej stacyjki, świeżo upieczony szeregowy drugiej kategorii Zef dogadał się z konwojentem i skoczył do polowej kuchni po wrzątek. Wrócił niebawem bez gorącej wody, ale za to z przenośnym odbiornikiem. Powiedział, że na stacji panuje totalny bałagan, do pociągów ładują się dwie brygady naraz, generałowie zajęci skakaniem sobie do oczu zagapili się, wobec czego on, Zef, wmieszał się w otaczający ich tłum ordynansów, pucybutów i adiutantów - i pożyczzył sobie ten odbiornik od jednego z nich.

Wagon powitał tę wiadomość soczystym i radosnym porykiwaniem. Cała czterdziestka natychmiast stłoczyła się wokół Zefa. Przez dłuższy czas panowało zamieszanie, ktoś dostał w zęby, żeby za bardzo się nie pchał, wszyscy klęli i gardłowali, dopóki Maksym wreszcie nie ryknął: "Cicho, łobuzy!" Wtedy wszyscy się uspokoili, a Zef włączył odbiornik i zaczął łapać wszystkie stacje po kolei.

Od razu dowiedział się ciekawych rzeczy. Po pierwsze okazało się, że wojna się jeszcze nie zaczęła. Żadnych krwawych starć nie było. Spietrana Chontyjska Liga Bojowa wrzeszczała na cały świat, że ci bandyci, ci uzurpatorzy, ci tak zwani Płomienni Chorążowie wykorzystali obrzydliwą prowokację swoich najmitów z osławionej Chontyjskiej Unii Sprawiedliwości i teraz koncentrują swoje siły wzdłuż granic tak już bardzo przez los doświadczonej Chontii. Ze swej strony Unia Sprawiedliwości wyklinała Ligę Chontyjską, tych płatnych agentów Płomiennych Chorążych niezwykle barwnie i szczegółowo opowiadała, jak ktoś przeważającymi siłami wyparł wykrwawione w poprzednich walkach pododdziały przez granicę i nie pozwala im wrócić, która to okoliczność posłużyła tak zwanym Płomiennym Chorążym za pretekst do barbarzyńskiej agresji, której należy się lada moment spodziewać. Zarówno Liga, jak i Unia, używając niemal tych samych wyrażań, robiły przy tym niejasne aluzje do jakichś pułapek atomowych, gotowych spopielić podstępного wroga.

Poza tym Zef złapał kilka transmisji nadawanych w jemu tylko znanych językach i powiedział, że księstwo Ondol jeszcze o dziwo istnieje, a co więcej, nadal dokonuje zbójceckich rajdów na wyspę Chazzalg (nikt w wagonie poza Zefem nigdy dotąd nie słyszał ani o tym księstwie, ani o wyspie). Jednak eter przede wszystkim wypełniony był plugawymi kłótniami dowódców jednostek i związków taktycznych, które usiłowały przecisnąć się dwoma rozklekotanymi torami kolejowymi na teren Głównego Przyczółka.

Kryminaliści uważali, że najważniejsze to przejść granicę, a tam już każdy będzie sobie panem, a poza tym każde zdobyte miasto będą na trzy dni oddawać wojsku. Polityczni byli nastroszeni o wiele bardziej pesymistycznie, na nic dobrego nie liczyli i oświadczały głośno, że posyłają ich na rzeź, że mają po prostu zdetonować swoimi ciałami miny atomowe, że nikt z tego nie wyjdzie żywy, więc dobrze byłoby dotrzeć do linii frontu i tam zapaść, żeby ich nikt nie znalazł. Punkty widzenia dyskutantów były tak ze sobą sprzeczne, że z prawdziwej rozmowy nic nie wyszło i dysputa przerodziła się wkrótce w monotonne wyklinanie parszywych dekonników, którzy już od dwóch dni nie dają nic do żarcia i pewnie już zdążyli wyłopać całą żołnierską gorzałę. Katorżnicze "wojsko" mogło na ten temat gadać do rana, więc Maksym z Zefem wydostali się z tłumu i wdrapali się na prycze byle jak zbite z nie heblowanych desek.

Zef był głodny i zły i zamierzał trochę pospać, ale Maksym mu nie dał. - Później będziesz spał - powiedział. - Jutro pewnie będziemy już na froncie, a do tej pory porządnie nie porozmawialiśmy, niczego nie ustaliliśmy... - Zef odwarknął, że nie ma czego ustalać, że jutro się wszystko wyjaśni, że Maksym nie jest przeciw ślepy i sam widzi, w jakim szambie się znaleźli, że z tymi baranami nie da się dojść do ładu. Maksym na to, że na razie nie chodzi o żaden ład, że do tej pory nie wiadomo, na co komu ta wojna, więc niechaj Zef będzie uprzejmy nie spać, kiedy się do niego mówi i łaskawie podzieli się swoimi przypuszczeniami.

Zef jednak nie zamierzał być uprzejmy i wcale tego nie ukrywał. Burczał, ziewał, przewijał onuce, kłął, ale ponaglany i przyciskany wreszcie się rozgadał i sformułował swoje poglądy na przyczyny wojny. Takich możliwych przyczyn było jego zdaniem co najmniej trzy. Być może zadziały wszystkie naraz, może przeważała któraś z nich, a może też istniała czwarta, która mu jak dotąd nie przyszła do głowy. Przede wszystkim gospodarka. Dla każdego jest oczywiste, że kiedy gospodarka się wali, wtedy najlepiej jest zorganizować wojenkę i od razu wszystkim zatkać mordy. Dzik, który zęby zjadł na badaniu wpływu gospodarki na politykę, przepowiadał tę wojnę już parę lat temu. Wieże wieżami, a nędza nędzą. Nie da się długo przekonywać głodnego, że jest syty, bo tego żadna psychika nie wytrzyma, a rządzenie narodem wariatów nie należy do największych przyjemności, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że chorzy umyślowo są odporni na promieniowanie... Inną możliwą przyczyną jest kwestia kolonialna. Rynki zbytu, niewolnicy, tanie surowce, wszystko, w co Płomienni Chorążowie mogli zainwestować swoje prywatne kapitały.

Wreszcie należy pamiętać, że już od wielu lat toczy się wojna podjazdowa między Departamentem Zdrowia Publicznego a wojskiem. Tu idzie na noże. Departament Zdrowia Publicznego to firma potężna i niemal wszechmocna, ale jeśli działania wojenne zakończą się choćby połowicznym sukcesem, panowie generałowie rozgniotą "uzdrowicieli" jak pluskwy. Inna rzecz, że kiedy z wojny nic nie wyjdzie, rozgnieceni zostaną panowie generałowie i dlatego nie można wykluczyć, że to wszystko jest sprytną prowokacją Departamentu Zdrowia Publicznego. Na to zresztą wygląda, jeśli przyjrzeć się bałaganowi, jaki wszędzie panuje, i pamiętać o tym, że już od tygodnia wrzeszczymy na cały świat, a działania wojenne jeszcze się nie zaczęły. A może, massaraksz, w ogóle się nie zaczęły...

Kiedy Zef doszedł do tego miejsca, szczęknęły zderzaki, wagon drgnął, z zewnątrz dobiegły krzyki, tupot nóg, gwizdy i pociąg ruszył. Kryminaliści ryknęli zgodnym chórem żałośliwą pieśń: "I znów ni żarcia, ni gorzały..."

--- Dobra - powiedział Maksym. - Całkiem składnie to wyłożyłeś. No, a jak twoim zdaniem potoczy się wojna, jeśli jednak wybuchnie? Co się wtedy stanie?

Zef odwarknął wściekle, żeby się Maksym od niego odczepił, na to pytanie mógłby mu odpowiedzieć tylko jakiś cholerny generał i bez żadnego przejścia wyłożył wszystko, co na ten temat myśli. Z jego relacji wynikało, że podczas krótkiej przerwy między wojną światową a domową Chontyjczycy zdążyli odgrodzić się od swego byłego suwerena potężnym łańcuchem min atomowych. Poza tym Chontyjczycy mieli bez

wątpienia artylerię atomową, a ich politykierom starczyło rozumu na to, żeby całego tego dobytku nie zmarnować w wojnie domowej, tylko zachować dla nas. Tak że atak na terytorium chontyjskie potoczy się prawdopodobnie w następujący sposób. Przodem z Głównego Przyczółka puszcza ze trzy albo cztery karne brygady pancerne, podeprą je z tyłu korpusem armijnym, a za wojskiem puszcza patrole legionistów z promiennikami na ciężkich czołgach. Wyrodki takie jak ja będą rwać się do przodu, ratując się przed nawałą promienistą, żołdactwo będzie rwało się do przodu w przystępie promienistego entuzjazmu, a odchylenia od normy, które niewątpliwie się zdarzą, będą natychmiast likwidowane ogniem żandarmerii. Jeśli Chontyjczycy nie są głupi, to otworzą ogień z dział dalekonośnych do czołgów żandarmerii, ale wszystko wskazuje na to, że jednak są głupi, wobec czego zajmą się sobą - Liga w tym zamieszczeniu napadnie na Unię, a Unia wcepi się zębami w gardło Ligi. Tymczasem nasze dzielne wojska wedrą się głęboko na terytorium nieprzyjaciela i dopiero wtedy znacznie się niesłychanie interesujące przedstawienie, którego już niestety nie zobaczymy. Nasza wspaniała pięść pancerna utraci zwartość i zacznie rozpełzać się po kraju, nieuchronnie wychodząc ze strefy działania promienników. Jeśli Maksym nie nałgał o reakcji Gaja, u rozproszonych natychmiast zacznie się głód promienisty, tym silniejszy, że legionieści podczas ataku nie będą żalowali energii na popędzanie mięsa armatniego...

--- Massaraksz! - ryknął Zef. - Po prostu widzę, jak ci kretyni wyłażą z czołgów, kładą się na ziemi i błagają o kulę w łeb. I dobrzy Chontyjczycy, nie mówiąc już o chontyjskich żołnierzach, zirytowani tym całym zamieszczeniem, z największą satysfakcją spełnią ich prośbę. Wyobrażasz sobie tę rzeź? Pociąg nabierał szybkości i wagonem zaczęło silnie rzucać. W kącie kryminaliści rznęli w kości o konwojenta; pod sufitem podskakiwała lampa, na dolnej pryczy ktoś monotonicznie mamrotał - chyba się modlił.

Papierosowy dym szczypał w oczy.

--- Myślę, że sztabowcy wzięli to pod uwagę - kontynuował Zef - więc żadnych błyskawicznych rajdów nie będzie. Zacznie się ślamazarna wojna pozycyjna, aż Chontyjczycy, przy całej ich głupocie, zorientują się, o co tu chodzi i zaczną polować na promienniki. A w ogóle to nie wiem, co będzie - zakończył. - Nie wiem nawet, czy nam dadzą rano coś do żarcia. Pewnie nie dadzą, bo niby z jakiej racji?

Milczeli przez chwilę. Potem Maksym powiedział:

--- Jesteś pewien, że postąpiliśmy prawidłowo? Że nasze miejsce jest tutaj?

--- Rozkaz sztabu - burknął Zef.

--- Rozkaz rozkazem - rozłożył się Maksym - ale my też mamy własny rozum. Może lepiej byłoby uciec razem z Dzikim. Może w stolicy byłibyśmy pożyteczniejsi.

--- Może tak, a może nie. Dzik liczy na bombardowania atomowe. Wiele wież zostanie zniszczonych, wokół nich powstaną wolne rejony... A jeśli bombardowań nie będzie? Nikt nic nie wie, Mak. Doskonale sobie wyobrażam, jaki cyrk panuje teraz w sztabie... - Zef zamyslił się, gładząc brodę. - Dzik gadał o tych bombardowaniach, ale jestem prawie pewien, że nie po to ruszył do stolicy. Ja go znam i to nie od dziś. Pewnie chce się do kogoś dobrać. Tak że całkiem możliwe, że i u nas w sztabie polecą głowy...

--- To znaczy, że i w sztabie jest bałagan - powiedział wolno Maksym. - Też nie są przygotowani.

--- Jak mogą być przygotowani? - zdziwił się Zef. - Kiedy jedni chcą zniszczyć wieże, a inni pragną je zachować, oczywiście z jak najszlachetniejszych pobudek. Podziemie to nie jest partia polityczna, tylko przekładaniec.

--- Tak, przekładaniec... - powtórzył Maksym. - Smutne. Miałem nadzieję, że podziemie jednak zamierza jakoś wykorzystać wojnę, trudności, ewentualną sytuację rewolucyjną...

--- Podziemie ni cholery nie wie - mruknął ponuro Zef. - Skąd niby mamy wiedzieć, co to jest wojna z promiennikami na karku?

--- Nic nie jesteście warci - powiedział Maksym, nie umiając się powstrzymać.

Zef natychmiast eksplodował.

--- No, ty! - ryknął. - Wolnego! Coś ty za jeden, żeby określać naszą wartość? Skądżeś przylazł, massaraksz, żeby żądać od nas tego i siamtego? Prosisz o zadanie bojowe? Służę uprzejmie. Wszystko zobaczyć, przeżyć, wrócić, zameldować. To ci się wydaje zbyt łatwe? Znakomicie! Tym lepiej dla nas. I dość tego. Odczep się ode mnie, massaraksz, chce mi się spać.

Demonstracyjnie odwrócił się do Maksyma plecami i nagle ryknął na graczy w kości:

--- Hej, wy tam, grabarze! Spać! Marsz na prycze! I to migiem, bo oberwiecie!

Maksym położył się na plecach, założył ręce pod głowę i zagapił się w niski sufit wagonu. Po suficie coś łażyło. Cicho, ale wściekle klócili się układający do snu grabarze. Sąsiad z lewej jęczał i popiskiwał we śnie - był skazany i spał pewnie po raz ostatni w życiu. I wszyscy oni dokoła - chrapiący, posapujący, jęczący, przewracający się z boku na bok - spali chyba po raz ostatni w życiu. Świat był mętnożółty, duszny i beznadziejny. Postukiwały koła, gwizdał parowóz, przez malutkie zakratowane okienko wdierał się do wagonu odór spalenizny.

Wszystko tu zgniło - myślał Maksym. - Ani jednego żywego człowieka. Ani jednej jasnej głowy. I znów wpadłem jak śliwka w kompot, bo liczyłem na coś lub na kogoś. Na nikogo nie można tu liczyć. Tylko na siebie. A co ja sam mogę? Na tyle znam historię, żeby wiedzieć, że jeden człowiek nic nie znaczy... A może Czarownik ma rację? Może się wycofać? Spokojnie i zimno z wyżyn swojej wiedzy o nieuchronnej przyszłości spojrzeć na to, jak kipi, gotuje się i topi surowiec, jak podrywają się do boju i padają naiwni,

niezręczni, nieudolni bojownicy, jak czas wykuwa z nich stalowy miecz i hartuje go w strumieniach krwawego błota, jak tryska z niego trupami zgorzelina... Nie, nie potrafię. Nawet myśleć w takich kategoriach nie potrafię. Równowaga sił, to jednak dziwna rzecz. Ale przecież Czarownik powiedział, że ja też jestem siłą. Jest też konkretny wróg, czyli jest gdzie tę siłę przyłożyć. Kropną mnie tutaj - pomyślał nagle. - Nie ma dwóch zdań. Ale nie jutro! - krzyknął na siebie. - To się stanie wówczas, kiedy ujawnię się jako siła, nie wcześniej. A i to się zobaczy. Centrum - pomyślał. - Centrum. Oto czego trzeba szukać, na co nakierować organizację. Już ja nimi pokieruję, już oni będą zajmować się prawdziwą robotą! Ty też zajmiesz się prawdziwą robotą, przyjacielu. Ale chrapie! Chrap, chrap, jutro cię wyciągnę... Dobra, trzeba spać. Ciekawe, kiedy się wreszcie po ludzku prześpię? W dużym przestronnym pokoju, na świeżym prześcieradle... Co to za głupie zwyczaje tu panują z tym niezmiennianiem pościeli? Tak, na świeżym prześcieradle, a przed snem poczytać dobrą książkę, potem zwinąć ścianę do ogrodu, zgasić światło i usnąć. A rano zjeść śniadanie z ojcem i opowiedzieć mu o tym wagonie. Mamie o tym naturalnie opowiadać nie wolno... Mamo, nie bój się, jestem zdrowy i cały i jutro nic mi się nie stanie... A pociąg wciąż jedzie, dawno się nie zatrzymywał, widocznie ktoś doszedł do wniosku, że bez nas wojny nie da się zacząć... Jak tam Gaj w swoim kaprałskim wagonie? Pewnie nie najlepiej, tam u nich teraz panuje entuzjazm. Dawno nie myślałem o Radzie. Pomyślę więc o niej... Nie. Nie teraz... No dobra, Maksymie, moje ty biedne mięso armatnie, śpij. - Rozkazał sobie spać i natychmiast zasnął.

We śnie widział Słońce, Księżyc, gwiazdy. Wszystko naraz, taki to był dziwny sen.

Niedługo pospał. Pociąg zatrzymał się, zazgrzytały kółka odsuwanych drzwi i donośny głos ryknął: "Czwarta kompania! Wskakiwać!" Była piąta rano, świtało, była mgła i prószył drobny deszczyk. Karna kompania konwulsyjnie ziewając i trzęsąc się z zimna niechętnie zaczęła gramolić się na zewnątrz. Kaprale byli już na miejscu, z brutalną niecierpliwością łapali za nogi, ściągali na ziemię, a szczególnie flegmatycznym dawali po łbie i wrzeszczeli: "Załogami zbiórka! Zbiórka! Gdzie leziesz, bydłaku? Z którego plutonu? Ty, mordziasty, ile razy mam ci powtarzać? Dokąd, dokąd? Biegiem, biegiem, biegiem! Załogami zbiórka!"

Jakoś tam rozbili się na załogi, ustawili się przed wagonami. Jakiś biedaczysko zgubił się we mgle i teraz biegał, szukał swojego plutonu, a wszyscy na niego wrzeszczeli. Ponury, niewyspany Zef ze skołtunioną brodą chrypiał dudniącym basem: "Poganiajcie, poganiajcie, my już wam dzisiaj powojujemy..."

Przebiegający kaprał dał mu mimochodem w ucho. Maksym natychmiast podstawił mu nogę i kaprał zarył pyskiem w błoto. Załogi ryknęły śmiechem. "Brygada, baczność!" - ryknął ktoś niewidoczny. Rozszczękali się dowódcy batalionów, zawtórowali im dowódcy kompanii, rozbiegli się dowódcy plutonów. Nikt nie stanął na baczność, blitzaergerzy kulili się z rękami wsuniętymi w rękawy, podskakiwali na miejscu, a szczęśliwi bogacie otwarcie palili; w szeregu zaczęły się rozmowy o tym, że nic do żarcia znów pewnie nie dadzą, więc niech ich szlag trafi z taką wojną. "Brygada, spocznij! - ryknął Zef donośnym głosem. - Do latryn rozejść się!" Załogi zaczęły się skwapliwie rozchodzić, ale znowu podskoczyli kaprale, a wzdłuż wagonów rozciągnęła się nagle rzadka tylariera legionistów w błyszczących czarnych płaszczach i z automatami gotowymi do strzału. Za nimi nad pociągiem rozlała się pełna przestrachu cisza; załogi ustawiły się pospiesznie, równały, a niektórzy z blitzaergerów z przyzwyczajenia zakładali ręce na karki i szeroko rozstawiali nogi.

Żelazny głos dobiegający z mgły powiedział niezbyt głośno, ale bardzo dobitnie: "Jeśli jeszcze jakiś łobuz otworzy paszczękę, to każe strzelać". Wszyscy zamarli. Wolno wlekły się minuty oczekiwania. Mgła powoli rzedła, odsłaniając nędzne zabudowania stacyjki, mokre szyny i słupy telegraficzne. Z prawej, przed frontem brygady, zamajaczyła ciemna grupka ludzi. Dobiegały stamtąd przytłumione głosy, ktoś krzyknął ze złością: "Wykonać rozkaz!"

Maksym zerknął przez ramię - z tyłu nieruchomo stali legionści i patrzyli na nich spod kapturek podejrzliwie i z nienawiścią.

Od grupki oderwała się przysadzista postać w kombinezonie maskującym. To był dowódca brygady eks-pułkownik Anipsu, zdegradowany i uwięziony za handel służbowym paliwem.

Anipsu pomachał przed sobą laską, podrzucił głowę i rozpoczął przemówienie:

--- Żołnierze! Tak jest, nie pomyliłem się, zwracając się do was jak do żołnierzy, chociaż my wszyscy - i ja również - jesteśmy na razie zwykłymi wyrzutkami społecznymi. Bądźcie wdzięczni, że pozwolono wam dziś ruszyć do boju. Za parę godzin niemal wszyscy zdechniecie - i bardzo dobrze... Ale ci, którzy ocaleją, będą mieli jedwabne życie. Żołnierskie racje, gorzała i tak dalej. Teraz pójdziemy na pozycje wyjściowe i wsiądziecie do maszyn. To żadna robota przejechać czołgiem półtorej setki kilometrów. Czołgiści z was, jak ze mnie baletnica, ale za to wszystko, do czego się dorwiecie, będzie wasze. To wam mówię ja, wasz towarzysz broni Anipsu. Nie ma drogi odwrotu, jest tylko droga naprzód. Kto spróbuje się cofnąć, tego spałę na miejscu. To w szczególności dotyczy kierowców... Nie ma pytań. Brygada! W prawo zwrot. Czwórkami naprzód. Bydło! Czwórkami, powiedziałem! Kaprale, co z wami? Stonogi! Kaprale, ustawcie te świnię czwórkami! Massaraksz...

Z pomocą legionistów kapralom udało się ustawić brygadę w kolumnę czwórkową, po czym znów padła komenda baczność. Maksym znalazł się o parę kroków od dowódcy brygady. Eks-pułkownik był kompletnie zalany. Chwiał się, wsparty na lasce, nieustannie potrząsał głową i pocierał ręką fioletową mordę. Dowódcy batalionów, też pijani w trupa, trzymali się za jego plecami. Jeden kokietyjnie chichotał, drugi z tępych uporem usiłował zapalić papierosa, a trzeci wciąż łapał za kaburę i toczył po szeregach nabiegłymi krwią oczami. Blitzaergerzy z zawiścią pociągali nosami i mruclili coś z aprobatą. - Starajcie się, starajcie... -

mamrotał Zef. - My już wam nawojujemy... - Zirytowany Maksym szarpnął go za łokieć.

--- Zamknij się! - powiedział przez zęby. - To przestało być śmieszne.

W tym momencie do pułkownika podeszło jakichś dwóch - rotmistrz żandarmerii z fajką w zębach i tęgi cywil w długim płaszczu z postawionym kołnierzem i w kapeluszu. Cywil wydał się Maksymowi dziwnie znajomy, więc zaczął mu się uważnie przypatrywać. Cywil coś powiedział półgłosem do pułkownika. "Czego? - beknął pułkownik i wybałuszył na niego mętne ślepią. Cywil znów zaczął coś mówić, wskazując kciukiem przez ramię na kolumnę katorżników. Żandarm obojętnie pykał fajkę. "A to dlaczego?" - ryknął pułkownik. Cywil wyjął jakiś papier; pułkownik odsunął papier ręką. "Nie dam --- powiedział. - Oni wszyscy co do jednego muszą zdechnąć..." Cywil upierał się przy swoim. "A ja mam gdzieś! - oświadczył pułkownik. - I pański Departament też mam gdzieś. Oni wszyscy zdechną. Słusznie mówię?" - zapytał rotmistrza. Rotmistrz przytaknął. Cywil chwycił pułkownika za rękaw kombinezonu i szarpnął. Wojak o mało nie spadł ze swojej łaski. Rozchichotany dowódca batalionu wybuchnął idiotycznym śmiechem. Twarz pułkownika poczerwiała z oburzenia, a ręka sięgnęła do kabury i wyciągnęła ogromny pistolet. "Liczę do dziesięciu - zakomunikował cywilowi. - Raz... dwa..." Cywil splunął i ruszył wzdłuż kolumny, wpatrując się w twarze katorżników, a pułkownik wciąż liczył. Kiedy wreszcie doszedł do dziesięciu, otworzył ogień. Wtedy rotmistrz nieco się ożywił i skłonił go do schowania pistoletu. "Wszyscy powinni zdechnąć - oświadczył pułkownik. - Razem ze mną. Brygada, na moją komendę... Do piekła naprzód, marsz!"

I brygada ruszyła. Brnąc błotnistą, rozjeżdżoną przez czołgi drogą, ślizgając się i potykając, katorżnicy zesłi w równie błotnistą dolinkę, skręcili i pomaszerowali w bok od torów. Tu kolumnę dopędzili dowódcy plutonów. Gaj maszerował obok Maksyma; był blady, twarz miał napiętą i z początku długo milczał, chociaż Zef od razu zapytał go, co słychać. Dolinka stopniowo poszerzała się, pojawiły się krzewy, a w przodzie zamajaczył lasek. Na poboczu tkwił przechylony na bok, na poły zatopiony w bagnie ogromny niezgrabny czołg, jakiś zabytkowy, zupełnie niepodobny do czołgów z patroli nadbrzeżnych - z kwadratową wieżyczką i małutkim działkiem. Koło czołu krzątali się ponurzy ludzie w wyszmelcowanych kurtkach. Blitztraegerzy szli luźnym krokiem, ręce mieli w kieszeniach, a sztywne kołnierze kombinezonów uniesione do góry. Wielu ostrożnie rozglądało się na boki, czy przypadkiem nie udałoby się cichcem dać nogi. Krzaczki wyglądały bardzo zachęcająco, ale na zboczach doliny, co jakieś dwieście, trzysta metrów majaczyły czarne postacie z automatami. Z przeciwka, zapadając się w wybojach, nadpełzły trzy samobieżne cysterny. Ich kierowcy mieli ponure miny i nie patrzyli na katorżników. Deszcz się wzmagał, humory się pogarszały. Ludzie szli w pokornym milczeniu, coraz rzadziej się rozglądając, niczym bydło prowadzone na rzeź.

--- Słuchaj kapralu - warknął Zef - czy nam ostatecznie nie dadzą nic do żarcia?

Gaj wyjął z kieszeni pajdę chleba i wetknął mu ją do ręki.

--- To wszystko - powiedział. - Do samej śmierci.

Zef zanurzył pajdę w brodzie i zaczął pracowicie ruszać szczękami.

To idiotyczne - pomyślał Maksym. - Przecież wiedzą, że idą na pewną śmierć! A jednak idą. To znaczy, że na coś liczą? Że każdy z nich ma jakiś plan? No tak, przecież oni nic nie wiedzą o promieniowaniu. Każdy myśli, że gdzieś tam po drodze skręci w bok, wyskoczy z czołgu i ukryje się, a idioci niechaj atakują. O promieniowaniu trzeba pisać w ulotkach, krzyczeć na rogach ulic, organizować podziemne radiostacje, chociaż odbiorniki działają tylko na dwóch częstotliwościach. To nic, można nadawać w pauzach audycji oficjalnych. Nie na wieże tracić ludzi, tylko na kontrpropagandę... Zresztą o tym później się pomyśli, potem, a teraz nie wolno się rozpraszać. Teraz trzeba notować najdrobniejsze szczegóły, szukać najmniejszej szczeliny. Na stacji nie było ani czołgów, ani armat, tylko legionieści z automatami. O tym trzeba pamiętać. Dolina jest bardzo dobra, głęboka, a strażę pewnie zdejmą, jak tylko przejdziemy... Co tam zresztą strażę, i tak wszyscy popędzą naprzód, gdy tylko zostaną uruchomione promienniki. - Niesłuchanie plastycznie wyobraził sobie, jak to będzie. Zastartują promienniki. Czołgi blitztraegerów runą z rykiem do przodu. Za nimi pancerny wał regularnego wojska. Cały pas przyfrontowy opustoszeje... - Trudno wyobrazić sobie głębokość tego pasa, bo nie znam przecież zasięgu promienników, ale będzie to co najmniej dwa do trzech kilometrów. W pasie szerokości trzech kilometrów nie zostanie ani jeden człowiek o niezmałomym rozsądku. Poza mną... Zresztą jakie tam trzy kilometry! Więcej. Wszystkie nadajniki stacjonarne, wszystkie wieże też zostaną włączone i to z pewnością na maksymalną moc. Cały rejon nadgraniczny oszaleje. Massaraksz, co zrobić z Zefem, przecież on tego nie wytrzyma... - Maksym zerknął z ukosa na poruszającą się miarowo ryżą brodę światowej znakomitości naukowej. - No nic, wytrzyma. W najgorszym razie będę musiał mu pomóc, chociaż obawiam się, że nie będę miał na to czasu. Jest jeszcze Gaj, z którego nawet oka nie można spuścić. Tak, będzie trochę roboty. No dobra. W końcu i tak w tym piekle ja będę panem i nikt mnie nie zdola powstrzymać. Pewnie zresztą nikt nie będzie chciał mnie powstrzymać.

Minęli lasek i natychmiast dobiegło ich dudnienie głośników, terkot pracujących silników czołgowych i wściekle pokrzykiwanie. Na trawiastym zboczu wznoszącym się ku północy stały trzy szeregi czołgów. Między nimi snuli się ludzie brodzący w niebieskawym dymie spalin.

--- A oto i nasze trumny! - wykrzyknął wesoło ktoś w przodzie.

--- Popatrz, co oni nam dają - powiedział Gaj. - Przedwojenny sprzęt, imperialne śmiecie, puszki od konserw. Słuchaj, Mak, czy my tutaj zdechniemy? To przecież pewna śmierć...

--- Jak daleko jest do granicy? - zapytał Maksym. - I co tam w ogóle jest za tym szczytem?

--- Równina - odparł Gaj. - Gładka jak stół. Granica jest stąd o jakieś trzy kilometry, a potem zaczynają się

wzgórza, ciągnące się do samej...

--- Jakiejś rzeczki nie ma?

--- Nie.

--- Wąwozy?

--- Nie... Nie pamiętam. Bo co?

Maksym chwycił go za rękę, mocno uściśnął.

--- Nie trać ducha, chłopcze - powiedział. - Wszystko będzie dobrze.

Gaj patrzył na niego z rozpaczliwą nadzieją. Oczy mu się zapadły, skóra napięta się na kościach policzkowych.

--- Naprawdę? - powiedział. - Bo ja nie widzę żadnego wyjścia. Broń odebrali, w czołgach zamiast pocisków ślepaki, karabinów maszynowych nie ma. Z przodu śmierć, z tyłu śmierć.

--- Aha! - wykrzyknął złośliwie Zef, dłubiąc w zębach. - Narobiłeś w portki? To co innego niż tłuczenie katorżników po zębach.

Kolumna weszła w przerwę między rzędami czołgów i zatrzymała się. Już nie dało się rozmawiać. Wprost na trawie stały ogromne leje gigantofonów, z których doskonale postawiony, magnetofonowy bas głosił: "Tam na szczycie zbocza kryje się podstępny wróg. Tylko naprzód. Tylko naprzód. Lewarki do siebie i naprzód. Na wroga. Naprzód... Tam na szczycie zbocza kryje się podstępny wróg... Lewarki do siebie i naprzód..." Potem głos urwał w pół słowa i zaczął wrzeszczeć pułkownik. Stał na masce swojego łązika, a batalionowi trzymali go za nogi.

--- Żołnierze! - dał się pułkownik. - Dość gadania! Wszyscy do czołgów! Przede wszystkim kierowcy, bo pozostałych mam gdzieś. Ale każdego, który zostanie... - Wyciągnął swoją armatę i pokazał wszystkim. - Rozumiecie, idioci? Panowie dowódcy kompanii, rozprowadzić załogi do czołgów!

Zaczęła się przepychanka. Pułkownik, chwając się na masce jak żerdź, nadal coś wykrzykiwał, ale nie było słychać co, bo gigantofony znów zaczęły wbijać do łbów, że na szczycie jest wróg i dlatego trzeba ściągnąć lewarki do siebie. Wszyscy blitztraegerzy rzucili się do trzeciego rzędu czołgów. Rozpoczęła się bójka, w powietrzu zamigotały podkute buty. Ogromny szary tłum mrowił się wolno wokół tylnych czołgów. Niektóre czołgi ruszyły, z ich pancerzy posypali się ludzie. Pułkownik zupełnie posiniał z wysiłku i wreszcie zaczął strzelać w powietrze. Z lasu nadbiegała czarna tyraliera legionistów.

--- Idziemy - powiedział Maksym, chwycił Gaja i Zefa za ramiona i poprowadził biegiem do skrajnego czołgu w pierwszym rzędzie - żalostnego, plamistego wraku ze smętnie opuszczoną lufą działa.

--- Poczekaj... - opierał się Gaj. - Przecież my jesteśmy czwarta kompania, nasz czołg stoi tam, w drugim rzędzie...

--- Idź, idź! - powiedział ze złością Maksym. - A może masz ochotę pobawić się w dowódcę plutonu?

--- Stary wiarus! - powiedział Zef. - Uspokój się szczeniaku.

Ktoś z tyłu chwycił Maksyma za pas. Maksym nie odwracając się spróbował się uwolnić. Nie udało się. Obejrzał się. Jedną ręką wczepiony w pas, a drugą wycierając rozbity do krwi nos, leciał za nim czwarty członek załogi, kierowca, kryminalista przezwiskiem Haczyk.

--- Aha - mruknął Maksym. - Zapomniałem o tobie. Ciągnij się, nie zostawaj w tyle...

Pomyślał z niezadowoleniem, że w całym tym zamieszaniu zapomniał o człowieku, który w jego planie miał odegrać wcale ważną rolę. W tym momencie rozgdały się automaty żandarmów, po pancerzach zabębniły pociski, trzeba więc było pochylić się i biec na wyścigi ze śmiercią. Maksym wpadł za ostatni w szeregu czołg i zatrzymał się.

--- Na moją komendę - powiedział. - Haczyk, zapalaj silnik. Zef, do wieży! Gaj, sprawdź dolne włązy. Tylko porządnie sprawdzaj, bo inaczej łeb ci ukręcę!

Ruszył wokół czołgu, sprawdzając gaśnice. Dokoła strzelali, wrzeszczeli, monotennie dudniły gigantofony, ale nie pozwolił się rozproszyć tym hałasom, tylko pomyślał przelotnie: głośniki, Gaj, nie zapomnieć. Traki były w niezłym stanie, ale koła napędowe budziły pewne obawy. "Nie szkodzi, ujdzie w tłoku, przecież nie wybieram się nim w podróż dookoła świata..." Spod czołgu zwinnie wydostał się Gaj umorusany jak nieboskie stworzenie i z rękami porozbijanymi do krwi.

--- Pokrywy przerdzewiały! - krzyknął. - Nie zamykałem ich, niech będą otwarte... Dobrze zrobiłem?

--- Tam na szczycie zbocza kryje się podstępny wróg! - dał się magnetofonowy głos. - Tylko naprzód. Tylko naprzód. Lewarki do siebie...

Maksym chwycił Gaja za kołnierz i przyciągnął do siebie.

--- Kochasz mnie? - powiedział, wpatrując się w jego rozszerzone oczy. - Wierzysz mi?

--- Tak! - wyszeptał Gaj.

--- Tylko mnie słuchaj. Nie słuchaj nikogo innego, tylko mnie. Cała reszta to łgarstwo. Jestem twoim przyjacielem, tylko ja i więcej nikt. Zapamiętaj. Rozkazuję: zapamiętaj!

Ogłupiały Gaj szyciutko kiwał głową, powtarzając niemal niesłyszalnie:

--- Tak, tak. Tak, tylko ty. Więcej nikt...

--- Mak! - wrzasnął ktoś wprost w ucho.

Maksym odwrócił się. Stał przed nim ten dziwnie znajomy cywil w długim płaszczu, ale już bez kapelusza. Massaraksz... Kwadratowa łuszcząca się twarz, czerwone podbite oczy. To przecież Fank! Policzek zadrapany do krwi, wargę rozbita.

--- Massaraksz! - wrzeszczał Fank, starając się przekrzykując ogłuszający hałas. --- Ogluchł pan, czy co? Poznaje mnie pan?

--- Fank! - powiedział Maksym. - Skąd się pan tu wziął?

Fank wytarł krew z warg.

--- Idziemy! - krzyknął. - Szybciej!

--- Dokąd?

--- W diabły stąd! Szybciej!

Chwytał Maksyma za kombinezon i pociągnął. Maksym odrzucił jego rękę.

--- Zabiją nas! - wrzasnął. - Legioniści.

Fank potrząsnął głową.

--- Idziemy! Mam dla pana przepustkę! - I widząc, że Maksym go nie słucha, dodał: - Szukam pana po całym kraju. Ledwie znalazłem. Idziemy!

--- Nie jestem sam! - krzyknął Maksym.

--- Nie rozumiem!

--- Nie jestem sam! - ryknął Maksym. - Jest nas trzech. Sam nie pójdę!

--- Brednie! Niech pan nie gada głupstw! Co to za idiotyczna szlachetność? Za długo pan żył? - Fank zadławił się krzykiem, złapał się za gardło i dostał ataku kaszlu.

Maksym rozejrzył się błyskawicznie. Blady, rozdygotany Gaj trzymał go za rękaw i naturalnie wszystko słyszał.

Do sąsiedniego czołgu dwóch legionistów wbijało kolbami wierzgającego blitztraegera.

--- Jedna przepustka! - wychrypiął Fank. - Jeden! - Pokazał jeden palec.

Maksym potrząsnął głową.

--- Jest nas trzech! - Pokazał trzy palce. - Nigdzie bez nich nie pójdę!

Z bocznego wjazdu wysunęła się miotlasta broda Zefa. Fank oblizał wargi. Najwyraźniej nie wiedział, co ma począć.

--- Kim pan jest? - krzyknął Maksym. - Po co jestem panu potrzebny?

Fank zerknął nań przelotnie i zagapił się na Gaja.

--- Ten jest z panem? - krzyknął.

--- Tak. Ten też!

Fankowi dziko błysnęły oczy. Wsunął rękę pod płaszcz, wyciągnął pistolet i wycelował lufą w Gaja. Maksym z całej siły rąbnął go w rękę od dołu i pistolet wyleciał wysoko w powietrze. Maksym, sam jeszcze nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co się stało, odprowadził go pełnym zadumy wzrokiem. Fank pochylił się, wsuwając uszkodzoną rękę pod pachę. Gaj krótkim precyzyjnym ruchem, jak na ćwiczeniach, uderzył go w szyję i Fank zwałił się na ziemię jak podcięty. Koło nich wyrosli nagle legioniści, wyszczerzeni jak wilki, spoceni z wysiłku i wściekłości.

--- Do wozu! - ryknął Maksym do Gaja, po czym pochylił się i chwycił Fanka pod pachy.

Fank był tęgi i z trudem zmieścił się we wjeździe. Maksym wślizgnął się za nim, ale nie dość szybko, żeby nie zarobić kolbą ciosu poniżej krzyża. W czołgu było ciemno i zimno jak w piwnicy i okropnie cuchnęło ropą. Zef odciągnął Fanka od wjazdu i ułożył na podłodze.

--- Co to za facet? - wrzasnął.

Maksym nie zdążył odpowiedzieć. Haczyk, który od dłuższego czasu bezskutecznie piłował starter, nareszcie uruchomił silnik. Wszystko zatrzęsło się i zadudniło. Maksym machnął ręką i wślizgnął się do wieży, a potem wytknął głowę na zewnątrz. Między czołgami nie było już nikogo poza legionistami. Wszystkie silniki pracowały, panował piekielny hałas, gęsta chmura spalin pokrywała zbocze. Niektóre czołgi poruszały się, z niektórych wież wystawały głowy; blitztraeger wyglądający z sąsiedniego czołgu dawał Maksymowi jakieś znaki, wykrzykiwał spuchniętą, posiniaczoną gębą. Nagle zniknął; silniki ryknęły na wysokich obrotach i wszystkie czołgi z rykiem i brzękiem jednocześnie skoczyły naprzód w górę zbocza. Maksym poczuł, że ktoś go chwycił w poprzek pasa i ciągnie w dół. Pochylił się i zobaczył wytrzeszczone, zidiociałe oczy Gaja. Tak samo jak wówczas, w bombowcu, Gaj chwycił Maksyma rękami, nieustannie coś mamrotał, a jego twarz stała się wstrętą, wyzbyta chłopięcej zadziorności i naiwnego rycerstwa -- - samo tylko zbydłecenie i gotowość mordowania. Zaczęło się - pomyślał Maksym, usiłując z obrzydzeniem pozbyć się nieszczęśliwego chłopaka. - Zaczęło się, zaczęło... Włączyli promienniki, zaczęło się.

Czołg spazmatycznymi szarpnięciami wdrapał się na zbocze, strzępy darni leciały spod gąsienic. Z tyłu przez kłęby siwych spalin nie było już nic widać, a z przodu nagle otworzyła się szara gliniasta równina, w oddali zamajaczyły płaskie wzgórza na chontyjskiej stronie i lawina czołgów, nie zmniejszając prędkości, runęła w tamtą stronę. Szyku już nie było, rozpadł się, czołgi pędziły na złamanie karku potracając się nawzajem i bezsensownie kręcąc wieżami. Jeden w pełnym biegu zgubił gąsienicę, zawirował w miejscu i przewrócił się; druga gąsienica też spadła i niczym ciężka stalowa żmija wystrzeliła w niebo, podczas gdy koła napędowe nie przestawały wściekle się kręcić. Z dolnych wjazdów wyskoczyło dwóch ubranych na szaro ludzi i wymachując rękami popędziło naprzód, tylko naprzód, na podstępного wroga. Błysnął ogień, przez chrzęst żelastwa i dym przebił się dźwięczny odgłos strzału armatniego i natychmiast wszystkie czołgi zaczęły strzelać, długie języki czerwonego płomienia tryskały z dział, czołgi przysiadły, podskakiwały, otaczały się czarnymi chmurami dymu prochowego, a Maksym wciąż patrzył, nie mogąc się oderwać od

tego oszalamiającego swym zbrodniczym bezsenssem widowiska, cierpliwie oddzierał od siebie kleszczowate ręce Gaja, który ciągnął, wołał, błagał i marzył tylko o tym, żeby osłonić go własną piersią przed wszelkim niebezpieczeństwem. Ludzie, nakręcane zabawki, bestie... Ludzie. Potem Maksym się ocknął. Pora była już najwyższa, żeby zabrać Haczykowi stery. Zszedł na dół, mimochodem poklepał po ramieniu Gaja, rozejrzał się po ciasnej, dygoczącej metalowej skrzyni, o mało nie udusił się w gazolinowym czadzie, dostrzegł trupioblada twarz Fanka i Zefa zwijającego się z bólu pod półką amunicyjną. Odepchnął łaszącego się Gaja i przeczłogał się do przedziału kierowcy. Haczyk trzymał lewarki ściągnięte na siebie i ze wszystkich sił dodawał gazu. Śpiewał, darł się tak przeraźliwym głosem, że było go słychać, było słychać słowa "Hymnu dziękczynnego". Teraz trzeba było jakoś go uspokoić, zając jego miejsce i odszukać w tym dymie odpowiedni wąż lub głębokie zapadlisko albo jakieś wzgórze, za którym można byłoby się ukryć przed skutkami wybuchów jądrowych. Ale Maksymowi nie udało się zrealizować tego planu. Gdy tylko zaczął ostrożnie rozginać pięści Haczyka zmartwiałe na uchwytach lewarków, oddany Gaj, widząc, że jego władcy okazuje się nieposłuszeństwo, wślizgnął się z boku i zadał oszalamemu kryminaliście potężny cios wielkim kluczem w głowę. Haczyk osiadł, zwiotczał i wypuścił dźwignię. Maksym z wściekłością odepchnął Gaja, ale było już za późno i nie było czasu na współczucie i ratowanie. Odciągnął trupa, usiadł i chwycił stery. Przez szczelinę obserwacyjną prawie nic nie było widać: tylko kawałek gliniastego gruntu porośniętego rzadką trawą, a dalej już tylko tuman niebieskawych spalin. Nie było mowy, żeby w tym tumanie dało się coś odnaleźć. Pozostawało jedno: zwolnić i ostrożnie poruszać się do chwili, kiedy czołg zagłębi się między wzgórzami. Zresztą zwalniać też nie można, bo jeśli miny atomowe zaczną wybuchać już teraz, kiedy czołg znajduje się na równinie, to można będzie oślepnąć albo w ogóle się spalić. Gaj łasił się i zaglądał mu z oddaniem w twarz, czekając na rozkazy.

--- To nic, przyjacielu... - mamrotał Maksym, odpychając go łokciem. - To przejdzie. Wszystko przejdzie, wszystko... Pocierp jeszcze trochę.

Gaj widział, że się do niego mówi i łkał z rozpaczą, że znów jak wtedy, w samolocie, nie słyszy ani słowa. Czołg przeskoczył przez gęsty obłok czarnego dymu; z lewej ktoś się palił. Przeskoczył i natychmiast musiał gwałtownie skręcić, żeby nie najechać na zwłoki zmiążdżonego gąsienicami człowieka. Z dymu wyłonił się i natychmiast zniknął przekrzywiony słup graniczny, za nim zaczęły się postrzępione, wbite w ziemię zasieki z drutu kolczastego. Z dobrze zamaskowanego okopu wysunął się na moment człowiek w dziwnym białym hełmie, potrząsnął wściekle rękami i natychmiast zniknął, jakby zapadł się pod ziemię. Chmura dymu w przodzie powoli rzedła i Maksym zobaczył brunatne, obłe wzgórze i całkiem blisko przed sobą rufę czołgu, który nie wiedzieć czemu poruszał się na ukos w stosunku do generalnego kierunku jazdy, i jeszcze jeden płonący czołg. Maksym skręcił w lewo, celując w głębokie, porośnięte krzewami siodło między dwoma dość wysokimi wzgórzami. Był już blisko, kiedy z przeciwna bluzgnął ogień i cały czołg zadygotał, zadudnił pod straszliwym uderzeniem. Zaskoczony Maksym dał pełny gaz, krzaki i obłoczek białawego dymu nad nimi skoczyły naprzeciw, przemknęły białe hełmy, wykrzywione w nienawiści twarze i uniesione do góry pięści, a potem pod gąsienicami zatrzeszczało pękające żelazo. Maksym zacisnął zęby, odbił ostro w prawo i poprowadził czołg jak najdalej od tego miejsca po zboczu tak stromym, że wóz omal się nie przewrócił na bok, strawersował wzgórze i wjechał wreszcie do wąskiego jaru porośniętego młodzieńkami drzewkami. Tam postanowił się zatrzymać.

Otworzył przedni właz i rozejrzał się wychylony do pasa. Miejsce było dobre, czołg ze wszystkich stron osłonięty był wysokimi brunatnymi zboczami. Maksym zgasił silnik i natychmiast usłyszał, jak Gaj ochryplym falsetem wyrzaskuje jakieś wiernopoddańcze brednie, jakąś kretyńską rymowanek, jakąś toporną odę na cześć najwspanialszego i najukochańszego Maka; taką pieśń mógłby ułożyć pies, gdyby nauczył się paru słów ludzkiego języka.

--- Zamilcz! - rozkazał Maksym. - Wyciągnij tych ludzi z czołgu i ułóż na ziemi. Stój, jeszcze nie skończyłem! Rób to ostrożnie, bo to moi najmilszy przyjaciele, nasi najukochańsi przyjaciele.

--- A ty dokąd się udasz? - zapytał Gaj z przerażeniem.

--- Będę niedaleko.

--- Nie odchodź... - rozjęczał się Gaj. - Albo zezwól, żebym z tobą poszedł...

--- Nie słuchasz mnie! - powiedział Maksym surowym tonem. - Rób, co ci kazałem. I rób to ostrożnie! Pamiętaj, że to są nasi przyjaciele.

Gaj zaczął lamentować, ale Maksym już go nie słuchał. Wyskoczył z czołgu i pobiegł w górę zbocza. Gdzieś niedaleko nadal toczyły się czołgi, ryczały z wysiłkiem silniki, chrzęściły gąsienice, od czasu do czasu strzelały działa. Wysoko w niebie przeleciał z gwizdem ciężki pocisk. Maksym pochylony wbiegł na szczyt wzgórz, przykucnął między drzewkami i jeszcze raz serdecznie pogratulował sobie wyboru takiej znakomitej kryjówki.

W dole - dosłownie na wyciągnięcie ręki - znajdowała się szeroka luka między wzgórzami i przez tę lukę z pokrytej dymem równiny wlewał się ciasny, nieprzerwany pancerny potok. Gąsienica w gąsienicę szły czołgi - niskie, spłaszczone, z ogromnymi talerzowatymi wieżami i długimi lufami armatnimi. To już nie byli katorżnicy, to szła regularna armia. Przez kilka minut Maksym, ogłuszony i zaskoczony, oglądał to widowisko, przerażające i nieprawdopodobne, jakby żywcem przeniesione z filmu historycznego. Powietrze drgało i wibrowało od wściekłego hałasu, wzgórze trzęsło się pod nogami jak przerażone zwierzę, a mimo

wszystko Maksymowi wydawało się, że czołgi toczą się w ponurej, groźnej ciszy. Doskonale wiedział, że tam, pod pancernymi blachami, oglupiali żołnierze dławią się krzykiem, ale wszystkie wazy były szczelnie zaśrubowane i wydawało się, że każdy wóz jest po prostu kawałem martwego metalu. Kiedy przejechały ostatnie czołgi, Maksym obejrzał się za siebie, popatrzył w dół i jego czołg stojący krzywo wśród drzew wydał mu się blaszaną zabawką, staroświecką karykaturą prawdziwego pojazdu bojowego. Tak, dołem przetoczyła się Siła, przetoczyła się po to, żeby zderzyć się z inną Siłą i przypomniawszy sobie o tej innej Siłie, Maksym pospiesznie zbiegł w dół, w zarośla.

Wyminał czołg i zatrzymał się.

Leżeli rządkiem: biały jak ściana Fank podobny do trupa; skurczony, pojękujący Zef z niebieskawymi palcami wbitymi w rudą czuprynę i wesoło uśmiechnięty Haczyk z martwymi oczami lalki. Rozkaz został wykonany precyzyjnie. Ale Gaj w poszarpanym mundurze zalany krwią też leżał opodal, z twarzą odwróconą od nieba i szeroko rozrzuconymi rękami. Trawa wokół niego była zryta i wydeptana, ponieważ się w niej spłaszczony biały hełm pokryty ciemnymi plamami, a z połamanych krzewów sterczały jeszcze czyjeś nogi w wysokich butach.

--- Massaraksz... - wymamrotał Maksym, wyobrażając sobie z przerażeniem, jak przed kilkoma minutami zwały się tu na śmierć i życie dwa warczące psy, każdy walczący ku chwale swego właściciela...

I w tym momencie owa inna Siła zadała odwetowy cios.

Maksyma cios ten trafił w oczy. Ryknął z bólu, zacisnął ze wszystkich sił powieki i upadł na Gaja już wiedząc, że pada na martwe ciało, ale starając się je osłonić. To było zupełnie odruchowe, bo o niczym nie zdążył pomyśleć ani niczego poczuć poza bólem oczu - padał jeszcze, kiedy mózg się wyłączył.

Kiedy otaczający świat znów stał się dostępny ludzkiemu postrzeganiu, świadomość włączyła się ponownie. Minęło zapewne tylko kilka sekund, ale Maksym ocknął się pokryty rzęsistym potem, z zeschniętym gardłem i takim szumem w głowie, jakby go ktoś rąbnął deską w ucho. Wszystko się zmieniło. Świat stał się purpurowy, świat był zasypany liśćmi i połamanymi gałęziami, świat był wypełniony rozżarzonym powietrzem, z czerwonego nieba sypały się wyrwane z korzeniami krzewy, płonące konary, bryły gorącej, suchej ziemi. I panowała rozedrgana bólem cisza. Żywych i martwych rozrzuciło na wszystkie strony. Zasypany liśćmi Gaj leżał o jakieś dziesięć kroków. Obok niego siedział Zef: jedną ręką nadal trzymał się za głowę, a drugą zasłaniał oczy. Fank stoczył się na dół, utknął w jakimś zapadlisku i teraz pełzał tam, trąc twarzą o ziemię. Czołg też zepchnęło w dół i przekręciło. Oparty plecami o gaśienicę martwy Haczyk nadal wesoło się uśmiechał...

Maksym zerwał się, rozrzucając pokrywające go gałęzie. Podbiegł do Gaja, uniósł go, zajął w szklane oczy, przytulił policzki do policzka, przeklął po trzykroć ten świat, w którym jest tak samotny i bezradny, gdzie martwi pozostają martwymi na zawsze, bo niczego nie ma, nie ma ich czym ożywić... Zdaje się, że płakał, młócił pięściami ziemię, deptał biały hełm. Potem Zef zaczął wyć z bólu. Maksym przyszedł do siebie i nie patrząc na nic, nic już więcej nie czując poza nienawiścią i żądzą mordy, powłókł się znów na górę, na swój punkt obserwacyjny...

Tam też wszystko się zmieniło. Krzewy zniknęły i zbocze wzgórze płonęło. Na północy purpurowe niebo zlewało się ze zwartą ścianą czarnobrunatnego dymu, a nad tą ścianą wypiętrzały się olbrzymie w oczach jaskrawopomarańczowe, jakby oleiste chmury. I tam, gdzie wznosiły się roztrzaskane pod ciosem niebiańskiej opoki niezliczone tysiące ton rozpalonego prochu, spopielonych na atomy nadziei życia i przeżycia, do tego piekielnego pieca rozpalonego przez nieszczęsnych durniów dla innych nieszczęsnych durniów, ciągnął z południa, niczym do paleniska lekki wilgotny wietrzyk.

Maksym popatrzył w dół, w lukę między wzgórzami. Luka była pusta; zryta gaśienicami i stopiona atomowym płomieniem ziemia dymiła, migotała tysiącem ogników; to tliły się i dopalały gałęzie zdmuchnięte z drzew. A równina na południu wydawała się bardzo rozległa i bardzo pusta; nie pokrywały jej już spaliny i gazy prochowe, była czerwona pod czerwonym niebem i gdzieniegdzie tylko upstrzona uszkodzonymi wcześniej czołgami katorżników. Przez tę pustą równinę toczyła się już w stronę wzgórz rzadka tyraliera dziwnych pojazdów.

Były podobne do czołgów, tylko zamiast wieżyczki artyleryjskiej miały wysoką stożkową kratownicę z okrągłym matowym przedmiotem na wierzchołku. Jechały dość szybko, miękko kołysząc się na nierównościach i nie były czarne, jak czołgi nieszczęsnych blitztraegerów, ani zielonoszare, jak pojazdy szturmowe armii regularnej - były jaskrawożółte, jak wozy patrolowe żandarmerii... Prawe skrzydło tyraliery już skryło się za wzgórzami i Maksym zdążył naliczyć tylko osiem promienników. W ich zachowaniu dawało się wyczuć beczelną beztroskę panów sytuacji; szły do walki, ale nie uważały za stosowne kryć się lub maskować; umyślnie wystawiały się na pokaz swoją barwą, swoim niezgrabnym pięciometrowym garbem i brakiem normalnego uzbrojenia. Ci, którzy kierowali tymi pojazdami, uważali się chyba za całkowicie bezpiecznych. Zresztą wątpliwe, aby o tym myśleli; po prostu spieszyli naprzód, popędzając promienistymi batami żelazne stado, które toczyło się teraz przez piekło i z pewnością nic nie wiedzieli o tych batkach, podobnie jak nie wiedzieli i o tym, że te baty chłoszczą ich samych. Maksym zobaczył, że lewoskrzydłowy promiennik skręca w jego dolinkę i ruszył mu zboczem naprzeciw.

Szedł wyprostowany. Wiedział, że będzie musiał siłą wygrzebywać czarnych poganiaczy z ich żelaznej skorupy i chciał tego. Nigdy jeszcze w życiu tak niczego nie pragnął, jak pragnął teraz poczuć pod palcami żywe ciało. Kiedy zszedł do dolinki, promiennik był już całkiem blisko. Żółta machina toczyła się wprost na

niego, połyskując ślepo szkiełkami peryskopów, kołysząc ciężko stożkową kratownicą i teraz widać było wyraźnie, że na jej szczycie chwieje się nie w takt podskoków czołgu srebrzysta kula najeżona długimi błyszczącymi igłami.

Nawet im w głowie nie było zatrzymać się, więc Maksym ustąpiwszy czołgowi drogi, przebiegł obok niego kilka metrów i wskoczył na pancerz.

Część piąta

ZIEMIANIN

Rozdział XVIII

Prokurator generalny spał bardzo czujnie, więc mrużenie telefonu rozbudziło go od razu. Nie otwierając oczu podniósł słuchawkę. Szeleszczący głos nocnego referenta powiedział przepaszającym tonem:

--- Siódma trzydzieści, ekscelencjo...

--- Tak - odpowiedział prokurator, ciągle jeszcze nie otwierając oczu. - Tak. Dziękuję.

Włączył światło, odrzucił kołdrę i siadł. Pozostał tak przez kilka chwil wpatrując się w swoje chude, blade nogi i ze smutnym zdziwieniem rozmyślał o tym, że przekroczył już pięćdziesiątkę, ale nie pamięta ani jednego dnia, w którym pozwolono by mu się wyspać. Ciągłe ktoś go budził. Kiedy był rotmistrzem, budził go po pijatyce bydlak ordynans. Kiedy był przewodniczącym trybunału nadzwyczajnego, budził go idiota sekretarz z nie podpisanyymi wyrokami. Kiedy był gimnazjalistą, budziła go matka do szkoły, i to były najobrzydliwsze czasy, najokropniejsze przebudzenia. Zawsze też słyszał: trzeba! Trzeba, panie rotmistrzu... Trzeba, panie przewodniczący... Trzeba, synku... A teraz to "trzeba" sam sobie narzucił.

Wstał, założył szlafrok, prysnął sobie na twarz garść wody kolońskiej, wstawił zęby masując sobie policzki, popatrzył w lustro, skrzywił się nieprzyjaźnie i przeszedł do gabinetu.

Ciepłe mleko już stało na stole, a pod nakrochmaloną serwetką leżały na talerzyku słonawe ciasteczka. To trzeba było wypić i zjeść jak lekarstwo. Najpierw jednak podszedł do kasy pancernej, odciągnął z trudem drzwiczki, wyjął zieloną teczkę i położył ją na stole obok śniadania. Chrupiąc ciasteczka i popijając mleko obejrzał dokładnie teczkę i przekonał się, że nikt jej od wczoraj nie otwierał. Jak wiele się zmieniło! -

pomyślał. - Jak wiele się zmieniło w ciągu zaledwie trzech miesięcy... Spojrzał odruchowo na żółty telefon i przez kilka sekund nie mógł oderwać od niego oczu. Telefon milczał, jaskrawy i elegancki jak luksusowa zabawka, a zarazem straszny jak tykająca maszyna piekielna, której nie można rozbroić... Prokurator gorączkowo, obiema rękami wczepił się w zieloną teczkę i zmrugał oczy. Poczł narastający strach i postanowił wziąć się w garść. Nie, tak do niczego nie dojdziemy, teraz trzeba zachować całkowity spokój, odrzucić wszelkie emocje... Tak czy inaczej nie mam wyboru i muszę ryzykować. A więc zaryzykuję...

Ryzyko zawsze było, trzeba tylko sprowadzić je do minimum... Tak jest, massaraksz, do minimum! Zdaje się, że nie jesteś pewny swego, Mądralo? Wątpisz? Zawsze powątpiewałeś, taki już masz charakter, zuch jesteś! No cóż, postaramy się rozproszyc twoje wątpliwości... Słyszałeś o pewnym człowieku nazwiskiem Maksym Kammerer? Na pewno słyszałeś? Tak ci się tylko wydaje! Nigdy przedtem nic nie słyszałeś o tym człowieku. Usłyszysz dopiero teraz. Bardzo cię proszę: wysłuchaj uważnie i wyrób sobie o nim możliwe obiektywne zdanie. Żadnych uprzedzeń! To dla mnie bardzo ważne, Mądralo. Od tego, prawdę mówiąc, zależy obecnie całość mojej skóry, mojej bladej, niebiesko żyłkowej, tak drogiej mi skóry...

Otworzył teczkę. Przeszłość tego człowieka jest niejasna. Nie jest to wprawdzie najkorzystniejsze przy nawiązywaniu znajomości, ale nie należy wpadać w popłoch; potrafimy obaj wywnioskować nie tylko przyszłość z terażniejszości, lecz również przeszłość. Jeżeli będziemy koniecznie potrzebować przeszłości naszego Maka, to ją w końcu wydedukujemy z jego terażniejszości. To się nazywa ekstrapolacja. Nasz Mak rozpoczyna swoją terażniejszość od tego, że ucieka z katorgi. Nagle. Nieoczekiwanie. Akurat w chwili, kiedy razem z Wędrowcem wyciągamy po niego ręce. Oto paniczny raport gubernatora wojskowego, klasyczny lament idioty, który nabroił i stara się uniknąć kary: nie jest niczemu winien, wszystko robił zgodnie z instrukcją. Nie wiedział, że obiekt ochotniczo zgłosił się od oddziału saperów-samobójców. Obiekt zgłosił się i wyleciał w powietrze na polu minowym. Nie wiedział... My też z Wędrowcem nie wiedzieliśmy. A trzeba było wiedzieć! Obiekt był człowiekiem zdolnym do wszystkiego i powinniśmy być na coś podobnego przygotowani, mój panie Mądralo... Tak, wtedy mnie to zaskoczyło, ale teraz rozumiem, w czym rzecz: ktoś wytłumaczył Makowi, do czego służą wieże, ten doszedł do wniosku, że nie ma czego szukać w kraju Chorażych i prysnął na Południe, pozorując swoją śmierć. Prokurator opuścił głowę i niemrawo potarł czoło. Tak, wtedy się właśnie wszystko zaczęło. To było pierwsze z całej serii moich potknięć: uwierzyłem, że on zginął. Czemu zresztą miałem nie wierzyć? Komu normalnemu przyjdzie do głowy uciekać na Południe do mutantów, narażać się na pewną śmierć? Ale Wędrowiec nie uwierzył!...

Prokurator wziął kolejny raport. O, ten Wędrowiec! Spryciarz Wędrowiec, geniusz Wędrowiec! Powinienem był działać tak jak on! Byłem przekonany, że Mak zginął. Południe to jest Południe. A on usiał całe Zarzecze swoimi agentami. Tłusty Fank - jaka szkoda, że go w swoim czasie nie obłaskawiłem, nie kazałem mu jeść z ręki - ten gruby, wyleniały wieprz wysechł na szczapę szwendając się po całym kraju, węsząc i wypatrując, a jego Kura zdechł na febrę przy Szóstej Trasie. Jego Tapa-Kogucik został schwytany przez górali, a później Pięćdziesiąty Piąty - nie wiem, kto to taki - dostał się w łapy piratów aż gdzieś na wybrzeżu, ale zdążył przekazać wiadomość, że Mak się tam pojawił, poddał się patrolowi i wrócił do swojego obozu. Tak właśnie postępują ludzie z głową: w nic nie wierzą i nikogo nie oszczędzają. Tak właśnie powinienem był wówczas postąpić! Rzucić wszystkie inne sprawy i zająć się wyłącznie Makiem, bo przecież już wtedy rozumiałem,

jaka to straszliwa siła, ten Mak. A ja zamiast tego zacząłem się szarpać z Histerykiem i przegrałem, potem wdałem się w tę idiotyczną wojnę i też przegrałem... Teraz też bym przegrał, ale wreszcie mi się powiodło: Mak pojawił się w stolicy, w legowisku Wędrowca i dowiedziałem się o tym wcześniej niż Wędrowiec. Tak, Wędrowcze, tak, kłapouchu, teraz ty przegrałeś! Że cię też podkuśiło wyjechać właśnie teraz! Przyznam ci się szczerze, że tym razem nie boli mnie nawet to, iż nie wiem dokąd pojechałeś. Nie ma cię i spokój. Oczywiście we wszystkim zaufałeś swojemu Fankowi, a Fank przywiózł ci Maka, ale - kto by mógł pomyśleć! - wojenne przygody wykończyły twojego Fanka. Leży teraz nieprzytomny w Szpitalu Pałacowym - ważna figura, tacy leczą się tylko w Szpitalu Pałacowym! - i moja już w tym głowa, aby pozostał tam tak długo, jak długo będzie mi to potrzebne. Tym razem nie poszkapię! Ciebie więc nie ma, Fanka nie ma, a nasz Mak jest. Bardzo ładnie się składa...

Prokurator poczuł radość, zdał sobie z tego sprawę i natychmiast przywołał się do porządku. Znowu te emocje, massaraksz! Spokojnie, Mądralo. Poznajesz nowego człowieka imieniem Mak i musisz być bardzo obiektywny. Tym bardziej, że ten nowy Mak jest zupełnie niepodobny do starego, że teraz jest zupełnie dorosły i wie, co to są finanse i przestępczość dziecięca... Spoważniał nasz Mak, zokrutniał.

Wkręcił się już do sztabu podziemia (rekomendacje od Memo Gramenu i Allu Zefa) i zaskoczył jego członków planem kontrpropagandy. To był kij w mrowisko, bo znaczyło to przecież, że trzeba szeregowym konspiratorom ujawnić prawdziwe przeznaczenie wież! Ale Mak zdołał ich przekonać!... Nastraszył ich i omotał do tego stopnia, że nie tylko przyjęli zasadę kontrpropagandy, lecz również powierzyli mu opracowanie szczegółów akcji. W sytuacji orientował się szybko i prawidłowo. W sztabie to zrozumieli, pojęli, z kim mają do czynienia. Albo po prostu podświadomie poczuli. Oto ostatni raport: frakcja krzewicieli moralności zaprosiła go do dyskusji nad programem przebudowy światopoglądu społeczeństwa, na co z radością przystał. Od razu zaproponował szereg konkretnych posunięć. Pomysły takie sobie, ale nie o to chodzi - zmiana moralności drogą perswazji to w ogóle kretyizm - ważne jest to, że przestał być terrorystą, niczego nie chce wysadzać i nikogo nie chce zabijać. Ważne jest to, że zajął się działalnością polityczną, usilnie wyrabia sobie autorytet w sztabie, wygłasza mowy, krytykuje i idzie w górę; ważne jest to, że ma własne idee i że pragnie je urzeczywistnić... A właśnie to nam jest na rękę, mój drogi Mądralo...

To również nas cieszy. Raport o stylu życia. Wiele pracuje w laboratorium i w domu, nadal tęskni za tą Radą Gaal, uprawia sport, prawie z nikim się nie przyjaźni, nie pali, niemal nie pije, odżywia się w sposób umiarkowany. Z drugiej zaś strony wykazuje wyraźne upodobanie do luksusu i umie się cenić: przypisany do jego stanowiska samochód przyjął jak coś oczywistego, wyrażając przy tym niezadowolony z jego zbyt małej mocy i brzydoty; jest niezadowolony również z dwupokojowego mieszkania i uważa je za zbyt ciasne i pozabawione podstawowych wygod; to mieszkanie ozdobił zresztą oryginalnymi obrazami i antykami, na które wydał prawie całą zaliczkę... I tak dalej, i tak dalej... Dobry materiał, bardzo dobry... A propos, jakie ma dochody i przywileje? Taak, kierownik tematu w laboratorium syntezy chemicznej... Nieźle go urządzili i z pewnością jeszcze więcej obiecali. Ciekaw tylko jestem, jak mu wytłumaczyli, czego właściwie chce od niego Wędrowiec. To wie ten tłusty wieprz Fank, ale nie powie, prędzej zdechnie... Ech, gdyby tak wszystko od niego wyciągnąć! Z jaką rozkoszą bym go potem wykończył... Ile krwi mi to grube bydle napsuło... Tę Radę też on mi ukradł, a bardzo by mi się teraz przydała... Jaka to świetna broń, kiedy ma się do czynienia z czystym, uczciwym, mężnym Makiem!... Zresztą może to teraz nie jest takie złe. Nie ja przecież trzymam pod kluczem twoją ukochaną, Mak! To Wędrowiec, to wszystko są knowania tego obrzydliwego szantażysty!...

Prokurator drgnął: złoty telefon cichutko brzęknął. Tylko brzęknął i nic więcej. Cichutko, nawet melodyjnie. Ożył na ułamek sekundy i znowu zamarł, jakby tylko chciał przypomnieć o swoim istnieniu... Prokurator nie odrywając od niego oczu potarł czoło drżącymi palcami. Nie, pomyłka... Oczywiście, że pomyłka. Czy to tak trudno o pomyłkę? Telefon jest skomplikowanym urządzeniem, pewnie w nim jakaś przypadkowa iskra przeskoczyła... Wytarł palce o szlafrok. Wtedy telefon zajazgotał. Jak wystrzał w twarz. Jak cięcie szabli po gardle. Jak upadek z dachu na asfalt. Prokurator podniósł słuchawkę. Nie chciał podnosić słuchawki, nie wiedział, że ją podnosi, wyobraził sobie nawet, że nie bierze słuchawki, lecz szybko, na palcach biegnie do sypialni, ubiera się, wyprowadza samochód z garażu i z największą szybkością pędzi... Dokąd?

--- Prokurator generalny, słucham - powiedział ochryple.

--- Mądrala? Tu Kanclerz.

Stało się... Stało się... Zaraz powie: "Przyjedź do nas za godzinkę..."

--- Poznałem po głosie - powiedział bezwolnie. - Witaj... Kanclerzu...

--- Komunikat czytałeś?

--- Nie.

Ach, nie czytałeś? Przyjeżdżaj, my ci przeczytamy...

--- Koniec - powiedział Kanclerz. - przepaskudziłyśmy wojnę.

Prokurator przełknął ślinę. Trzeba coś powiedzieć. Trzeba natychmiast coś powiedzieć. Najlepiej zażartować. Subtelnie zażartować... Boże, pomóż mi subtelnie zażartować!...

--- Milczysz? A co ci mówiłem? Nie leż w blocko, z cywilami trzymaj, nie z wojskowymi. Ech ty, Mądralo!...

--- Jesteś Kanclerzem - wydusił z siebie prokurator - a dzieci nie zawsze przecież słuchają rodziców...

Kanclerz zachichotał.

--- Dzieci... - powiedział. - Wiesz przecież, że napisano: "Jeżeli latorośl twoja nie posłucha cię..." Jak to dalej

idzie, Mądralo?

Mój Boże, mój Boże. "Zetrzyj ją z powierzchni ziemi". Tak właśnie wtedy powiedział: "Zetrzyj go z powierzchni ziemi" - i Wędrowiec wziął ze stołu ciężki, czarny pistolet, flegmatycznie go uniósł, dwa razy wystrzelił, a latorośl objęła rękami przedziurawioną łysinę i zwała się na dywan...

--- Pamięć ci odjęło? - powiedział Kanclerz. - Ech ty, Mądralo! Co zamierzasz robić?

--- Pomyliłem się ... - wychrypiął prokurator. - Błąd... To wszystko przez Histeryka...

--- Pomyliłeś się... No dobra, zastanów się nad tym, Mądralo. Pomyśl. Jeszcze do ciebie zadzwonię.

Koniec. Nie ma go. Nie wiadomo nawet, gdzie do niego telefonować, płakać, błagać... Nie ma sensu.

Nikomu to nie pomogło. No dobra... Poczekaj... Poczekaj, łobuzie!... Z rozmachu uderzył otwartą dłonią o krawędź stołu, żeby zabolalo, żeby do krwi, żeby tak nie drżała... Trochę pomogło, ale dla pewności schylił się, otworzył drugą ręką dolną szufladę biurka, wyjął z niej butelkę, wyciągnął zębami korek i wypił kilka łyków. Zrobiło mu się gorąco. No tak... Spokojnie... Jeszcze zobaczymy. To jest wyścig: kto szybciej. Mądrali tak łatwo nie weźmiecie, z Mądralą będziecie mieć jeszcze wiele zachodu. Mądrali nie da się tak zwyczajnie wezwać. Gdybyście mogli, już byście wezwali... To nic, że on zadzwonił. On tak zawsze... Jest jeszcze trochę czasu. Dwa, trzy albo nawet cztery dni... - Mam jeszcze czas! - huknął na siebie. Nie tracić głowy... Wstał i zaczął krążyć po gabinecie.

Znalazłem na was lekarstwo. Mam Maka. Mam człowieka, który nie lęka się promieniowania, dla którego nie ma przeszkód, który was nienawidzi. Człowieka niewinnego, a więc podatnego na wszelkie pokusy.

Człowieka, który uwierzy mnie. Człowieka, który zapragnie spotkać się ze mną. On już teraz chce się ze mną spotkać: moi agenci już kilkakrotnie napomykali mu, że prokurator generalny jest dobrym i uczciwym urzędnikiem, że jest świetnym znawcą prawa i prawdziwą ostoją praworządności, że Chorażowie niezbyt go lubią i tolerują jedynie dlatego, że wzajemnie sobie nie wierzą... Moi ludzie znaleźli okazję, aby mu ukradkiem mnie pokazać i moja twarz wywarła na nim dodatnie wrażenie... Wreszcie najważniejsze: w głębokim zaufaniu dali mu do zrozumienia, że wiem, gdzie mieści się Centrum! Mak świetnie nad sobą panuje, ale podobno w tym momencie twarz mu się wyraźnie zmieniła... Taki jest ten mój człowiek.

Człowiek, który bardzo chce opanować Centrum i może to zrobić jako jedyny na całym świecie. To znaczy na razie jeszcze go nie mam, ale sieci już rozstawiłem, przynętę wyłożyłem i dziś go zagarnę. Albo zginę. Zginę... Zginę...

Dłużej już nie mógł powstrzymać wyobraźni. Zobaczył ten ciasny pokoik obity ciemnoczerwonym aksamitem, mroczny, zakisły i bez okien; widział goły, odrapany stół i pięć poślaczanych foteli... Fotele były zajęte i kilku jeszcze stało: on, Wędrowiec z oczami zwyrodniałego mordercy i ten łysy oprawca... Ten gadatliwy niedojda wiedział przecież, gdzie jest Centrum. Iluż to ludzi stracił, żeby się dowiedzieć i - gaduła, pijaczyna, chwalipięta - nie potrafił utrzymać języka za zębami! Czyż o takich rzeczach można komukolwiek opowiadać?... Nawet krewniakom, a zwłaszcza takim krewniakom! I to kto! Sam szef Departamentu Zdrowia Publicznego, oczy i uszy Płomiennych Chorażych, pancierz i miecz narodu... Kanclerz powiedział mrużąc oczy: "Zetrzyj go z powierzchni ziemi". Wędrowiec strzelił dwa razy z bliska i Baron warknął z niezadowolaniem: "Znowuście całe obicie zapaprali!" Pozostali po raz już nie wiadomo który zaczęli się zastanawiać, dlaczego w pokoju cuchnie, a ja stałem na gumowych nogach i myślałem: wiedzą, czy nie wiedzą? Wędrowiec szczyrzył zęby z miną zgłodniałego drapieżnika i patrzył na mnie tak, jakby się domyślał... Nie domyślał się, na szczęście. Teraz rozumiem, czemu zawsze tak zabiegał o to, aby nikt nie przeniknął tajemnicy. Od dawna wiedział, gdzie się Centrum znajduje i tylko czekał na sposobność, aby je samemu zagarnąć... Spóźniłeś się, Wędrowcze, spóźniłeś się... Ty, Kanclerzu, też się spóźniłeś i ty, Baronie, również. A o tobie, Histeryku, nawet nie warto wspominać...

Odsunął portierę i przyłożył czoło do zimnej szyby. Już prawie zdławił swój strach i aby rozdeptać go do reszty, zgasić ostatnią iskierkę przerażenia, wyobraził sobie, jak Mak wdziera się do maszynowni Centrum... Ale to samo mógł zrobić Bąbel ze swoją obstawą, z tą zgrają swoich rodzonych i przyrodnych braci, krewniaków, kuzynów i powinowatych, z tą bandą łobuzów, którzy nigdy niczego nie słyszeli o praworządności i zawsze wyznawali jedną tylko zasadę: strzelaj pierwszy. Trzeba było być Wędrowcem, aby podnieść rękę na Bąbla: tego samego wieczoru napadli na niego przed samym progiem jego pałacyku, podziurawili samochód, zabili kierowcę, zabili sekretarkę i w niepojęty sposób sami, wszyscy co do jednego - dwudziestu czterech ludzi z dwoma cekaemami --- zginęli na miejscu. Tak, Bąbel również mógłby wdrzeć się do maszynowni, ale tam by już został, dalej by się nie przebił, bo dalej jest bariera promieniowania depresyjnego. Teraz może już zresztą dwie bariery promieniste. Chyba jednak nie, wystarczy jedna, bo i tak jej nikt nie pokona: wyrodek zwali się nieprzytomny z bólu, a zwykły, lojalny obywatel padnie na kolana i zacznie cicho łkać ogarnięty śmiertelnym przynębeniem... Tylko Mak tamtędy przejdzie, tylko on wsunie swoje zręczne palce w trzewia generatorów i przede wszystkim przełączy Centrum, całą sieć wież na pole depresyjne. Następnie, wtedy już bez żadnych przeszkód, pójdzie do studia radiowego i nastawi tam cykliczną transmisję mowy nagranej uprzednio na taśmę... Cały kraj od chontyjskiej granicy do Zarzecza leży w depresji, miliony durniów zalewają się łzami, nikomu nie chce się nawet palcem ruszyć, a głośniki już ryczą na pełny regulator, że Płomienni Chorażowie są zbrodniarzami, że nazywają się tak i tak, zabijcie ich, znajdują się tam i tam, mówię to wam ja, Mak Sym, Żywy Bóg na ziemi (albo pełnoprawny następca tronu cesarskiego lub Wielki Dyktator... Co będzie wołał). Do broni, mój legionie! Do broni, moja armio! Do broni, moi poddani!... A sam tymczasem wróci do maszynowni, przestawi generatory na pole wyężonej uwagi i oto

już cały kraj słucha z otwartymi gębami starając się nie pominąć żadnego słowa, ucząc się ich na pamięć i powtarzając w duchu. Głośniki ryczą, wieże pracują i tak to trwa przez godzinę, a potem Mak przełącza generatory na entuzjazm. Tylko pół godziny entuzjazmu i koniec z transmisjami!... A kiedy przyjdę do siebie - massaraksz, półtorej godziny potwornego bólu, ale trzeba massaraksz, wytrzymać! - Kanclerza już nie będzie, nikogo już nie będzie, będzie za to Mak, Wielki Mak i jego wierny doradca, dawny prokurator generalny, a obecnie szef rządu Wspaniałego Maka... Do diabła zresztą z rządem, będę po prostu żył, nikt mi nie będzie zagrażał. Potem się zobaczy... Mak nie należy od ludzi, którzy opuszczają pożytecznych przyjaciół. On nie porzuca nawet bezużytecznych przyjaciół, a ja będę bardzo, ale to bardzo użytecznym przyjacielem!...

Przywołał się do rzeczywistości i usiadł przy biurku. Popatrzył na żółty telefon, uśmiechnął się, zdjął słuchawkę zielonego telefonu i wywołał zastępcę Departamentu Badań Specjalnych.

--- Głowacz? Dzień dobry, tu Mądrala. Jak się czujesz? Jak z twoim żołądkiem?... No to pięknie... Wędrowca jeszcze nie ma? Aha! No dobra... Zadzwonili do mnie z góry i kazali przeprowadzić u was małą inspekcję... Nie, nie myślę, że to zwykła formalność, bo ja i tak nic się na waszej robocie nie wyznaję... Przygotuj jednak jakiś raport... Projekt zaleceń pokontrolnych i różne tam takie... Zatrósz się też, aby wszyscy byli na swoich miejscach, a nie tak jak zeszyłem razem... Mhm... Około jedenastej chyba... Zrób tak, abym o dwunastej mógł odjechać ze wszystkimi dokumentami... No, to na razie... Pójdziemy cierpieć. Ty także cierpisz? Czy też może dawno już wymyśliście ochronę, tylko przed zwierzchnikami ją ukrywacie? Żartuję oczywiście... Cześć.

Odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek. Była za kwadrans dziesiąta. Jęknął głośno i powłókł się do łazienki. Znowu ten koszmar... Pół godziny koszmaru, przed którym nie ma ucieczki ani ratunku, przez który żyć się odechciewa... Wielka szkoda, że Wędrowca trzeba będzie oszczędzić!

Wanna już była napełniona gorącą wodą. Prokurator zrzucił szlafrok, zdjął nocną koszulę i wsunął pod język tabletkę przeciwbólową. I tak przez całe życie. Jedna dwudziesta czwarta życia to piekło. Ponad cztery procent... Nie licząc wezwań na górę. No, wezwania wkrótce się skończą, ale te przerwy w życiorysie pozostaną do końca... To się zresztą jeszcze zobaczy. Kiedy wszystko się ustabilizuje, sam się zajmę Wędrowcem... Wpełzł do wanny, ułożył się wygodnie, rozluźnił mięśnie i zaczął się zastanawiać, jak będzie się dobierał Wędrowcowi do skóry. Ale nie zdążył już niczego wymyślić. Znajomy ból uderzył w ciemność, przetoczył się po kręgosłupie, wbił pazury w każdą komórkę, w każdy nerw i zaczął je szarpać, okrutnie, metodycznie, w takt uderzeń oszalałego serca...

Kiedy wszystko się skończyło, poleżał jeszcze chwilę w słodkim rozleniwieniu. Piekielne męki również mają pewne zalety: pół godziny koszmaru darowywało w zamian kilka minut niebiańskiej rozkoszy. Później wyszedł z wanny, wytarł się przed lustrem, uchylił drzwi, odebrał od kamerdynera świeżą bieliznę, ubrał się, wrócił do gabinetu, wypił jeszcze jedną szklankę mleka, tym razem zmieszanego z podgrzaną wodą leczniczą, zjadł odrobinę kleistej mazi z miodem, posiedział trochę bez celu ostatecznie przychodząc do siebie, a wreszcie zadzwonił do dziennego referenta i kazał przygotować samochód.

Do Departamentu Badań Specjalnych prowadziła trasa rządowa, pusta o tej porze dnia i wysadzana kędzierzawymi drzewkami sprawiającymi wrażenie sztucznych. Kierowca pędził nie zatrzymując się pod sygnałami i tylko od czasu do czasu włączał porykującą basem syrenę. Pod wysokimi żelaznymi wrotami departamentu znaleźli się za trzy jedenasta. Legionista w galowym mundurze podszedł do nich, pochylił się, poznał i zasalutował. Brama natychmiast się rozwarła, za nią ukazał się gęsty park, białe i kremowe bloki domów mieszkalnych, a za nimi gigantyczny, szklany prostopadłościan laboratoriów. Wolno przetoczyli się jezdnią z groźnymi zakazami przekraczania określonej szybkości, minęli placyk zabaw dziecięcych, niski pawilon basenu kąpielowego i wesoły, barwny budynek klubu-restauracji... Wszystko to nurzało się w zieleni, w kłębach zieleni, w całych obłokach zieleni. Dokoła było cudownie czyste powietrze i, massaraksz, unosił się jakiś zadziwiający zapach, którego nie ma w żadnym lesie, na polu ani łące. Och, ten Wędrowiec! To wszystko jego pomysły! Kosztowało to potworne sumy, ale za to wszyscy go tu lubią. Tak właśnie należy żyć. Potworne sumy, Sułtan był okropnie niezadowolony, jeszcze i dziś kręci nosem. Ryzyko? Naturalnie, ryzyko było. Wędrowiec je podjął, ale teraz to jest jego folwark, nikt go tu nie zdradzi, nikt mu nogi nie podstawi. Ma w tym swoim departamencie pięćuset ludzi, głównie młodzieży, która gazet nie czyta i nie słucha radia: nie mają na to czasu - mówią - prowadzą ważne badania naukowe... Promieniowanie mija się więc tu z celem, a właściwie godzi w inny cel. Masz rację, Wędrowcze, ja na twoim miejscu też jeszcze długo bym zwlekał z hełmami ochronnymi. Bo że zwlekaasz, to niemal pewne! Ale, u diabła, jak się do ciebie dobrać? Gdyby się znalazł drugi Wędrowiec... To jednak czcze marzenia, drugiej takiej głowy nie znajdzie się na całym świecie i on o tym dobrze wie. Starannie wyławia każdego utalentowanego dzieciaka, tresuje go od najmłodszych lat, oswaja, oddziela od rodziców - ci głupcy nie posiadają się przy tym z radości! - i oto jeszcze jeden żołnierzik uzupełnił jego armię... Jak to jednak dobrze się stało, że Wędrowca teraz nie ma! Samochód zatrzymał się, referent otworzył drzwi. Prokurator wygramolił się na zewnątrz i wszedł po schodach do oszklonego hallu. Głowacz ze swoimi fagasami już na niego czekał. Prokurator z wystudiowaną nudą na twarzy niedbale uściśnął Głowaczowi rękę i pozwolił zaprowadzić się do windy. Do kabiny weszli zgodnie z hierarchią: pan prokurator generalny, za nim pan zastępca szefa departamentu, następnie fagas pana prokuratora generalnego i starszy fagas pana zastępcy szefa. Reszta została w hallu. Do gabinetu Głowacza weszli znów zgodnie ze starszeństwem: pan prokurator generalny przed Głowaczem.

Fagasa pana prokuratora i starszego fagasa Głowacza zostawili w poczekalni. Prokurator natychmiast z wyrazem zmęczenia na twarzy opadł na fotel, a Głowacz kazał podać herbatę.

Przez pierwsze kilka minut prokurator dla rozrywki przypatrywał się Głowaczowi. Głowacz miał wygląd człowieka, który coś paskudnie przeszkrobał. Starał się nie patrzeć w oczy, nieustannie przyglądał włosy, bezmyślnie zacierał ręce, nienaturalnie pokaszliwał i w ogóle wykonywał mnóstwo niepotrzebnych, gorączkowych ruchów. Zawsze tak wyglądał. Wygląd i sposób bycia stanowiły jego podstawowy kapitał. Nieustannie wzbudzał podejrzenie, że ma coś na sumieniu, i ściągał na siebie coraz to nowe, drobiazgowo kontrole. Departament Zdrowia Publicznego zbadał jego życie niemal godzina po godzinie, a ponieważ było bez zarzutu i każde sprawdzenie jedynie potwierdzało ten nieoczekiwany fakt, Głowacz wspinał się po drabinie służbowej z niespotykaną szybkością.

Prokurator wszystko to doskonale wiedział, bo trzy razy osobiście z największą pieczołowitością sprawdzał Głowacza. Teraz jednak, bawiąc się jego widokiem, złapał się nagle na myśli, że ten filut na pewno wie, gdzie jest Wędrowiec, i że okropnie się boi, aby tej informacji z niego nie wyciągnięto. Nie wytrzymał więc i powiedział niedbałym tonem:

--- Pozdrowienia od Wędrowca.

Głowacz spojrzał nań spłoszonym wzrokiem i natychmiast odwrócił oczy.

--- Mmm... Tak... - powiedział gryząc wargi. --- Zaraz nam... Hmm... przyniosą herbatę.

--- Prosił, abys zadzwonił - dodał prokurator jeszcze bardziej niedbale.

--- Co?... Aaa!... Dobrze... Herbata dziś będzie wyjątkowa! Moja nowa sekretarka to po prostu mistrzyni w parzeniu herbaty... To znaczy... Hmm... Dokąd mam zadzwonić?

--- Nie rozumiem - powiedział prokurator.

--- No, chodzi mi o to, że... Hmm... Jeżeli mam dzwonić, to muszę przecież wiedzieć... Hmm... Znać telefon...

On nigdy nie zostawia numeru... - Głowacz nagle chorobliwie poczerwieniał, zaczął się gorączkowo krzątać i poklepywać dłońmi po biurku szukając ołówka. - Gdzie więc kazał zadzwonić?

Prokurator postanowił się wycofać.

--- Zażartowałem - powiedział.

--- Jak?... Co?... - po twarzy Głowacza błyskawicznie przemknęło mnóstwo podejrzanych uczuć. - A! Zażartowałeś?... - Zaniósł się nieszczerym śmiechem. - Aleś mnie nabrał!... A ja już myślałem... Ha-ha-ha!... Jest już herbatka!

Prokurator odebrał z wypielęgnowanych rąk wypielęgnowanej sekretarki szklankę mocnej, gorącej herbaty i powiedział:

--- No dobrze, pożartowaliśmy sobie. Teraz do roboty! Gdzie masz te swoje papierzyska?

Głowacz, wykonując mnóstwo niepotrzebnych ruchów, wydobył z szuflady i podał prokuratorowi projekt protokołu pokontrolnego. Sądząc z tego, jak się przy tym kurczył i związał, projekt był nafaszerowany dezinformacją, a jego autorzy starali się wprowadzić inspektora w błąd i w ogóle byli zakamuflowanymi wywrotowcami.

--- Mmm-tak... - wymamrotał prokurator ssąc kryształek cukru. - Co my tu mamy?... "Protokół inspekcji"... No tak... Laboratorium interferencji... Laboratorium badań spektralnych... Laboratorium promieniowania integralnego... Nic nie rozumiem, zęby można sobie na tym połamać. Jak ty się w tym wszystkim orientujesz?

--- A ja... Hmm... Ja, powiem ci szczerze, również się nie znam. Jestem przecież z zawodu... Hmm...

Administratorem... Ja się w to wszystko nie mieszam...

Głowacz odwracał wzrok, przygryzał wargi, nerwowo burzył fryzurę i teraz było już zupełnie jasne, że nie jest żadnym administratorem, lecz specjalnie przeszkolonym chontyjskim szpiegiem. Ależ typ!...

Prokurator wrócił do protokołu. Rzucił głębką uwagę o przekroczeniu limitów finansowych, którego dopuściła się grupa wzmacniania emisji; zapytał, kto to jest Zoj Barutu, czy to przypadkiem nie krewny Mora Barutu, wybitnego pisarza propagandysty; wyraził niezadowolenie z faktu, że refraktometr bezsoczewkowy, który kosztował masę pieniędzy, nie jest do tej pory należycie wykorzystany; wreszcie podsumował wyniki sekcji doskonalenia propagacji promieniowania stwierdzeniem, że żadnych istotnych postępów nie widzi (dzięki Bogu, dodał w myśli) i że ten jego sąd winien koniecznie znaleźć się w protokole.

Fragment sprawozdania dotyczący prac sekcji ochrony przed promieniowaniem przerzucił szczególnie niedbale. Drepczenie w miejscu - oświadczył. - W ochronie fizycznej prawie nic nie osiągnęliśmy, w fizjologicznej jeszcze mniej... Ochrona fizjologiczna to w ogóle nie dla nas: nie pozwolę się kroić, bo jeszcze idiotę ze mnie zrobicie... za to chemicy to zuchy, następną minutę wywalczyli. W zeszłym roku minutę i dwa lata temu półtorej... To znaczy, że teraz mogę zażyć pigułkę i zamiast trzydziestu minut męczyć się tylko dwadzieścia dwie... No cóż, nieźle... Prawie trzydzieści procent... Zapisz moją opinię: przyspieszyć tempo prac nad ochroną fizyczną, nagrodzić pracowników działu ochrony chemicznej. To wszystko.

Odrzucił kartki Głowaczowi.

--- Każ to przepisać na czysto... Moje uwagi również... A teraz dla formalności zaprowadź mnie... No powiedzmy... Eee... U fizyków byłem zeszłym razem... Zaprowadź mnie do chemików, zobaczą, jak tam u nich...

W asyście Głowacza i dziennego referenta przeszedł się bez pośpiechu po laboratoriach działu ochrony chemicznej. Uśmiechał się uprzejmie do ludzi z jedną naszywką na rękawie, poklepywał czasami po

ramieniu beznaszwykowych, zatrzymywał się przy wyższych stopniem, aby uściśnąć rękę i zapytać, czy nie mają jakichś pretensji do kierownictwa.

Pretensji nie było. Wszyscy zdawali się pracować albo udawali, że pracują. U nich nigdy nic nie wiadomo. Migwały jakieś światełka na jakichś aparatach, bulgotały jakieś płyny w jakichś naczyniach, cuchnęło jakimś paskudztwem, gdzieś męczono zwierzęta. Było czysto, widno i przestronnie, ludzie wyglądali na sytych i zadowolonych, entuzjazmu nie przejawiali, do inspektora odnosili się z szacunkiem, ale bez odrobiny ciepła, nie mówiąc już o właściwej w tym wypadku uniżoności.

W każdym prawie pomieszczeniu - laboratorium czy gabinecie bez różnicy - znajdował się portret Wędrowca: wisiał nad stołami laboratoryjnymi obok tablic i wykresów, na ścianie pomiędzy oknami, nad drzwiami, czasami leżał też pod szkłem na biurku. Były to amatorskie fotografie, rysunki ołówkowe, szkice węglem. Był nawet jeden portret olejny. Można tam było zobaczyć Wędrowca gryzącego jabłko lub grającego w piłkę, Wędrowca wygłaszającego wykład, Wędrowca surowego, zamyślnego, zmęczonego, rozwścieczonego i nawet Wędrowca śmiejącego się na całe gardło. Te łobuzy ośmielały się nawet rysować jego karykatury i wieszać je w najbardziej eksponowanych miejscach!... Prokurator wyobraził sobie, że wchodzi do gabinetu młodszego radcy sprawiedliwości Filtika i odkrywa tam swoją karykaturę. Massaraksz, to było nie do pomyślenia!

Uśmiechał się, poklepywał, ścisnął dłonie, a jednocześnie myślał, że jest tu już po raz drugi w ciągu roku i że wszystko zostało niby po staremu, ale dawniej nie zwrócił jakoś na to uwagi... A teraz zwrócił. Dlaczego dopiero teraz? A dlatego, że Wędrowiec rok lub dwa lata temu nic dla niego nie znaczył. Formalnie był jednym z nich, faktycznie zaś gabinetową figurą bez żadnego wpływu na politykę, bez swego miejsca w polityce i bez własnych politycznych celów. Ale od tego czasu zdołał wiele dokonać. Ogólnopolskowa akcja wyłapywania szpiegów to była jego robota. Prokurator sam prowadził te procesy i był wtedy wstrząśnięty, bo zrozumiał, że ma do czynienia nie z lipnymi szpiegami- wyrodkami, lecz z prawdziwymi, doświadczonymi wywiadowcami Imperium Wyspowego, specjalistami od zbierania informacji naukowych i gospodarczych. Wędrowiec wyłowił ich wszystkich co do jednego i od tej chwili stał się szefem kontrwywiadu specjalnego.

Poza tym to właśnie Wędrowiec wykrył spisek łysego Bąbla, okropnego indywiduum, mocno zasiedziałego i niebezpiecznie knującego przeciw zwierzchnictwu Wędrowca nad kontrwywiadem. Wykrył i sam go załatwił, nikomu w tym nie zaufał. Zawsze występował otwarcie, nigdy nie maskował się i działał tylko w pojedynkę. Nie uznawał żadnych koalicji, żadnych unii, żadnych tymczasowych sojuszków. W ten sposób obalił kolejno trzech szefów Departamentu Wojny, którzy, nim się zdążyli obejrzeć, już byli wzywani na górę. Wreszcie umieścił na tym stolcu Hysteryka, który panicznie bał się wojny. To właśnie Wędrowiec rok temu utopił projekt "Złoto", przedstawiony przez Wiernopoddańczą Radę Przemysłu i Finansów. Wydawało się wtedy, że lada chwila zleci, bo projekt wywołał zachwyt samego Kanclerza, ale Wędrowiec zdołał go jakoś przekonać, że wszystkie korzyści płynące z projektu są chwilowe i że najdalej za dziesięć lat nastąpi powszechne rozprężenie i rozpocznie się epidemia szaleństw. Zawsze potrafił ich jakoś przekonać. Nikt tego nie umiał, ale Wędrowiec potrafił. Wiadomo zresztą, dlaczego. Ten człowiek niczego się nie bał. Tak długo tkwił w swoim gabinecie, aż wreszcie zrozumiał swoją istotną wartość. Pojął, że jest potrzebny wszystkim, bez względu na to, jakbyśmy się z nim nie żarli. A to dlatego, że jedynie on może stworzyć ochronę, tylko on może wybawić nas od męczarni... A smarkacze w białych kitlach rysują jego karykatury.

Referent otworzył kolejne drzwi i prokurator zobaczył swojego Maka. Mak, ubrany w biały kitel z naszywką na rękawie, siedział na parapecie i gapił się przez okno. Gdyby jakiś radca sprawiedliwości pozwolił sobie w godzinach służbowych sterczeć na parapecie i liczyć wrony, można by go z czystym sumieniem zesać na koniec świata jako oczywistego nieroba, a może nawet sabotażystę. W tym zaś wypadku, massaraksz, nie można było słowa powiedzieć. Złapiesz go za kark, a on na to: "Bardzo przepraszam! Przeprowadzam eksperyment myślowy!"

Wielki Mak liczył wrony. Spojrzał przelotnie na gości, wrócił na moment do swego zajęcia, ale natychmiast znów się obejrzał i przypatrywał się im uważniej. Poznał - pomyślał prokurator. - Poznał, mój mądrala...

Uśmiechnął się uprzejmie do Maka, poklepał po ramieniu młodzieńczego laboranta kręcącego arytmetr i zatrzymawszy się pośrodku pokoju rozejrzał się dokoła.

--- Hmm... - rzucił w przestrzeń między Makiem a Głowaczem. - A co się tu u was robi?

--- Panie Sym - powiedział Głowacz czerwieniąc się, mrugając i zacierając ręce --- proszę wyjaśnić panu inspektorowi, co pan... hmm...

--- Przecież ja pana znam - powiedział Wielki Mak, jakoś nieoczekiwanie zjawiając się o dwa kroki od prokuratora. - Proszę mi wybaczyć, pan jest prokuratorem generalnym, prawda?

Tak, z Makiem sprawa była trudna, cały pieczołowicie obmyślony plan od razu wzięt w łeb. Mak nie miał zamiaru czegokolwiek ukrywać, niczego się nie obawiał, był zaintrygowany i patrzył na prokuratora z wyżyn swego ogromnego wzrostu jak na jakieś egzotyczne zwierzę. Trzeba było improwizować.

--- Tak - odrzekł z zimnym zdziwieniem prokurator, przestając się uśmiechać. - -- O ile mi wiadomo, jestem rzeczywiście prokuratorem generalnym, chociaż nie bardzo rozumiem... - Nachmurzył się i spojrzał Makowi prosto w twarz. Mak uśmiechał się od ucha do ucha. - Ba! - wykrzyknął prokurator. - No oczywiście!... Mak Sym, vulgo Maksym Kammerer! Doniesiono mi jednak, że pan zginął. Massaraksz, jak pan tu trafił?

--- To długa i nieciekawa historia - odrzekł Mak machnąwszy ręką. - Ja zresztą też się zdziwiłem ujrzawszy

tu pana. Nigdy nie przypuszczałem, że nasza dłubanina interesuje Departament Sprawiedliwości...

--- Wasza dłubanina interesuje najbardziej nieoczekiwanych ludzi - powiedział prokurator. Wziął Maka pod rękę, odprowadził go w najdalszy kąt pokoju i zapytał konfidenicznym szeptem:

--- Kiedy nam podarujecie pigułki? Prawdziwe pigułki, na całe trzydzieści minut...

--- Czyżby pan również?... - zdziwił się Mak. - Zresztą tak, oczywiście...

Prokurator smętnie pokiwał głową.

--- Nasze błogosławieństwo i nasze przekleństwo - rzekł. - Szczęście naszego narodu i cierpienie jego sterników... Massaraksz, ogromnie się cieszę, że pan żyje, Mak. Muszę się panu przyznać, że proces, w którym pana skazano, był jednym z niewielu w mojej praktyce, które pozostawiły po sobie pewien nieprzyjemny osad niezadowolenia z siebie. Nie, nie, proszę nie zaprzeczać! Zgodnie z literą prawa był pan winien, od tej strony wszystko było w porządku. Napadł pan na wieżę i, zdaje się, zabił legionistę, a za to nikogo po główce się nie gładzi... Ale w gruncie rzeczy... Przyznam się, że ręka mi drgnęła, kiedy podpisywałem wasze wyroki, zwłaszcza pański wyrok... Jakbym skazywał dziecko... Proszę się nie obrażać!... W końcu to była raczej nasza inicjatywa, a nie pańska.

--- Nie obrażam się - powiedział Mak. - Jest pan zresztą bliski prawdy: ten zamach na wieżę był istotnie dziecinadą. W każdym razie jestem wdzięczny prokuratorze za to, że nas wówczas nie rozstrzelano.

--- To było wszystko, co mogłem zrobić - powiedział prokurator. - Pamiętam, jak bardzo zmartwiłem się na wiadomość o pańskiej śmierci... - Roześmiał się i po przyjacielsku uściśnął łokieć Maka. - Szalenie się cieszę, że wszystko tak pomyślnie się skończyło i że mogłem pana osobiście poznać... - Popatrzył na zegarek. - Proszę posłuchać, Mak. Jak to się stało, że pan tu pracuje? Nie, nie, wcale nie zamierzam pana aresztować! To już nie jest moja sprawa, teraz niech się tym zajmuje żandarmeria wojskowa. Interesuje mnie jedynie, co pan robi w tym laboratorium? Czy jest pan chemikiem? I to w dodatku... - wskazał palcem naszywkę.

--- Jestem wszystkim po trosze - powiedział Mak. - Trochę chemikiem, trochę fizykiem...

--- Trochę konspiratorem... - podpowiedział ze śmiechem prokurator.

--- Tylko odrobinę! - powiedział Mak zdecydowanie.

--- Trochę czarodziejem... - ciągnął prokurator.

Mak popatrzył na niego uważnie. --- Trochę fantastą - kontynuował prokurator - trochę awanturnikiem...

--- To już nie są profesje - zaproponował Mak. - To raczej cechy każdego przyzwoitego naukowca.

--- I przyzwoitego polityka - dodał prokurator.

--- Rzadka kombinacja słów - zauważył Mak.

Prokurator spojrział na niego pytająco, potem zrozumiał i roześmiał się.

--- Tak - powiedział. - Działalność polityczna jest dziedziną dosyć specyficzną. Niech pan nigdy nie upadnie tak nisko, aby zajmować się polityką. Niech pan lepiej pozostanie przy swojej chemii. - Spojrział na zegarek i powiedział z irytacją: - Niech to diabli wezmą, zupełnie nie mam czasu, a tak bym chciał dłużej z panem pogwarzyć. Przeglądałem pańskie dossier, bardzo interesująca lektura... Ale pewnie pan również jest bardzo zapracowany?

--- Tak - odrzekł mądrała Mak. - Chociaż oczywiście nie tak bardzo jak prokurator generalny.

--- No proszę! - powiedział prokurator i znów się roześmiał. - A pańscy przełożeni zapewniają nas, że pracujecie tu dniem i nocą... Ja na przykład nie mogę tego o sobie powiedzieć... Prokurator generalny miewa czasami wolne wieczory... Zdziwi się pan zapewne, ale mam do pana wiele pytań. Przyznam się, że miałem ochotę na pogawędkę z panem już wtedy, po procesie. Ale sprawy, ciągle sprawy...

--- Jestem do pańskich usług - powiedział Mak. - Tym bardziej że ja również mam do pana kilka pytań...

No, no! - ofuknął go w myśli prokurator. - Nie trzeba tak otwarcie nie jesteśmy tu sami! Natomiast na głos powiedział z promiennym uśmiechem:

--- Cudownie! Wszystko, co w moich siłach... A teraz proszę mi wybaczyć, muszę już uciekać. Uściśnął ogromną dłoń swojego Maka; Maka, który połknął przynętę i właściwie siedział już na haczyku; Maka, który wyraźnie szedł mu na rękę i chciał się z nim spotkać. Zaraz go podetnę - pomyślał prokurator, zatrzymał się w drzwiach, strzelił palcami, obrócił się i powiedział:

--- Przepraszam, Mak, co pan robi dziś wieczorem? Właśnie uprzytomniłem sobie, że mam dziś wolny wieczór...

--- Dziś? - zastanowił się Mak. - No cóż... Wprawdzie dziś mam...

--- Przyjdźcie we dwójkę! - wykrzyknął prokurator. - Tak będzie jeszcze lepiej! Zapoznam was z żoną, spędzimy piękny wieczór! Ósma godzina panu odpowiada? Przyślę po pana samochód. Zgoda?

--- Zgoda.

Zgodził się! - triumfował w myśli prokurator wizytując pozostałe laboratoria oddziału, uśmiechając się, poklepując i ściskając. Zgodził się! - myślał podpisując protokół w gabinecie Głowacza. - Zgodził się, massaraksz, zgodził się! - krzyczał w duchu wracając do domu...

Wydał dyspozycje kierowcy. Poleciał referentowi zawiadomić departament, że pan prokurator generalny jest zajęty... Nikogo nie przyjmować, wyłączyć telefony i w ogóle zniknąć z oczu, tak zresztą jednak, aby zawsze być pod ręką. Wezwał żonę, pocałował ją w policzek, mimochodem przypomniał, że nie widzieli się już z dziesięć dni i poprosił, aby zarządziła kolację, lekką, smaczną kolację na cztery osoby, była miła przy stole i przygotowała się na spotkanie z bardzo interesującym człowiekiem.

Potem zamknął się w gabinecie, znów położył na biurku zieloną teczkę z dokumentami i zaczął od nowa przetrwać całą sprawę. Niepokojono go tylko raz: kurier z Departamentu Wojny przyniósł ostatni komunikat. Front się rozsypał. Ktoś poradził Chontyjczykom, aby zajęli się oddziałami zaporowymi, ci posłuchali i wczorajszej nocy rozbili pociskami atomowymi około dziewięćdziesięciu pięciu procent czołgów-emitatorów. Żadnych dalszych meldunków o losach armii nie było... To oznaczało koniec. Koniec wojny. Koniec generała Szekagi i generała Ody. Koniec Okularnika, Czajnika, Chmury i innych pomniejszych. Bardzo możliwe, że oznaczało to koniec Barona i Sułtana, a już na pewno koniec Mądrali, gdyby Mądrała nie był mądrałą...

Rozpuścił komunikat w szklance wody i zaczął krążyć po gabinecie. Odczuł ogromną ulgę. Teraz przynajmniej wiedział dokładnie, kiedy go wezwą na górę. Najpierw wykończą Barona i co najmniej dobę będą wybierać pomiędzy Histrykiem a Zębem. Później będą musieli zająć się Okularnikiem i Chmurą. To następna doba. Czajnika załatwią mimochodem, ale za to sam generał Szekagu zajmie im co najmniej dwie doby. A wtedy i dopiero wtedy... Wtedy już ich nie będzie. Nie wychodził z gabinetu aż do samego przyjazdu gościa.

Gość wywarł jak najlepsze wrażenie. Był po prostu wspaniały. Był tak wspaniały, że prokuratorowa, babsztyl zimny i światowy w najokropniejszym tego słowa znaczeniu, której własny mąż od niepamiętnych już czasów nie uważał za kobietę, lecz za wypróbowanego towarzysza broni, natychmiast odmłodziła o co najmniej dwadzieścia lat i zachowywała się szalenie naturalnie. Nie mogłaby zachowywać się naturalniej nawet wtedy, gdyby wiedziała, jaką rolę w jej losie ma odegrać Mak.

--- Czemu pan jest sam? - zdziwiła się. - Mąż zamówił kolację na cztery osoby...

--- Tak, rzeczywiście - potwierdził prokurator. - Sądziłem, że pan przyjdzie z damą swego serca. Pamiętam tę dziewczynę, o mało przez pana nie ucierpiała...

--- Ucierpiała - powiedział spokojnie Mak. - Ale o tym pomówimy później. A teraz, jeśli państwo pozwolą... Kolacja była długa i wesola. Było wiele śmiechu i odrobina alkoholu. Prokurator opowiadał ostatnie plotki, prokuratorowa bardzo sympatycznie wtrącała pieprzne anegdotki, a Mak w humorystyczny sposób opisywał swoje przygody na Południu. Śmiejąc się do łez z jego opowiadania prokurator myślał z przerażeniem, co by teraz z nim było, gdyby Mak przegapił prawdziwe pole minowe...

Kiedy wszystko zjedzono i wypito, prokuratorowa przeprosiła panów i zaproponowała, aby dowiedli, że potrafią obyć się bez kobiety przynajmniej przez godzinę. Prokurator wojowniczo podjął to wyzwanie, chwycił Maka pod ramię i pociągnął do gabinetu częstować winem, którego smak znało zaledwie trzydzieści lub czterdzieści osób w całym kraju.

Rozsiedli się w miękkich fotelach po obu stronach niziutkiego stolika ustawionego w najprzytulniejszym kąciku gabinetu, umoczyli wargi w drogocennym trunku i spojrzeli na siebie. Mądrała Mak najwyraźniej wiedział, po co go tu zaproszono, i prokurator nagle zrezygnował z pierwotnego planu rozmowy, rozmowy chytrej, wyczerpującej, zbudowanej na niedomówieniach i obliczonej na stopniowe zyskiwanie wzajemnego zaufania. Los Rady, intryga Wędrowca, knowania Płomiennych, to wszystko nie miało teraz żadnego znaczenia. Z niesłychaną, doprowadzającą do rozpaczyc pewnością uświadomił sobie, że całe jego mistrzostwo w prowadzeniu podobnych rozmów w tym wypadku nie zda się na nic. Mak albo się zgodzi, albo odmówi. To było równie oczywiste jak to, że prokurator albo będzie żył, albo zostanie zlikwidowany w najbliższych dniach. Ręka mu zdrząła, pospiesznie postawił kielich na stoliku i zaczął bez żadnego wstępu.

--- Wiem, że jest pan konspiratorem, członkiem sztabu i aktywnym przeciwnikiem istniejącego porządku.

Poza tym jest pan zbiegłym katorżnikiem i zabójcą załogi czołgu o specjalnym przeznaczeniu... Teraz parę słów o mnie. Jestem prokuratorem generalnym, zaufanym rządu dopuszczonym do największych tajemnic państwowych i również wrogiem istniejącego porządku. Proponuję panu obalenie Płomiennych Chorążych. Gdy mówię: panu, mam na myśli pana i jedynie pana. Pańskiej organizacji to nie dotyczy. Musi pan zrozumieć, że interwencja podziemia może jedynie wszystko zepsuć. Proponuję panu spis, który bazuje na znajomości najważniejszej tajemnicy państwowej. Odkryję panu tę tajemnicę. Tylko my dwaj powinniśmy ją znać. Jeśli ją pozna jakakolwiek osoba trzecia, zostaniemy natychmiast unicestwieni. Proszę pamiętać, że podziemie i sztab roi się od prowokatorów. Dlatego radzę nikomu nie dowierzać. Dotyczy to zwłaszcza najbliższych przyjaciół...

Prokurator jednym haustem, nie czując żadnego smaku, opróżnił swój kieliszek.

--- Wiem, gdzie się znajduje Centrum. Pan natomiast jest jedynym człowiekiem, który może tym Centrum zawładnąć. Proponuję panu przemyślany plan zdobycia ośrodka nadawczego i dalszego działania. Pan wykonuje ten plan i staje na czele państwa. Ja pozostanę przy panu jako doradca polityczny i gospodarczy, ponieważ nie ma pan o podobnych rzeczach najmniejszego pojęcia. Pański program polityczny jest mi w lowane obojętnością głosu, obojętnością twarzy i pustką bezbarwnych, szklistych oczu.

--- Nie rozumiem - powiedział Maksym ze złością.

Wtedy wąsaty powoli obrócił ku niemu białą twarz, popatrzył jak na powietrze, zadał jakieś pytanie i nagle dlatego, że każda zmiana sytuacji obecnej musi być zmianą na lepsze, bo nic gorszego wyobrazić sobie nie sposób. Skończyłem. Kolej na pana.

Mak milczał. Obracał w placach bezcenny kielich z bezcennym winem i milczał. Prokurator czekał. Nie czuł swojego ciała. Wydawało mu się, że go tam nie ma, że wisi w jakiejś niebiańskiej pustce, patrzy w dół i widzi przytulny kącik rozjaśniony miękkim światłem, milczącego Maka i obok niego w fotelu coś martwego, zeszywniałego i bezgłośnego...

Później Mak zapytał:

--- Jakie mam szanse wyjść cało z ataku na Centrum?

--- Pięćdziesiąt na sto - powiedział prokurator, a właściwie wydało mu się, że powiedział, bo Mak zmarszczył brwi i powtórzył pytanie.

--- Pięćdziesiąt na sto - powiedział ochryple prokurator. - Może nawet więcej. Nie wiem.

Mak znowu długo milczał.

--- Dobrze! - powiedział wreszcie. - Gdzie jest Centrum?

Rozdział XIX

Około południa zadzwonił telefon. Maksym podniósł słuchawkę. Głos prokuratora powiedział:

--- Proszę pana Syma.

--- Słucham - powiedział Mak. - Dzień dobry.

Od razu poczuł, że stało się coś złego.

--- On przyjechał - powiedział prokurator. - Proszę natychmiast zaczynać. Czy to jest możliwe?

--- Tak - odparł Mak przez zęby. - Ale pan mi coś obiecał...

--- Nie zdażyłem - powiedział prokurator. W jego głosie przebijała panika. - Teraz już na nic nie ma czasu.

Niech pan zaczyna zaraz, bezzwłocznie, nie wolno zwlekać ani chwili!

--- Dobrze - powiedział Mak. - To wszystko?

--- On jedzie do was. Będzie tam za jakieś trzydzieści lub czterdzieści minut.

--- Zrozumiałem. Teraz już wszystko?

--- Wszystko. Niech pan działa, Mak. Z Bogiem!

Maksym rzucił słuchawkę i przez kilka sekund siedział nieruchomo zastanawiając się, co robić dalej.

Massaraksz, wszystko rozsypało się na proszek... Zresztą zastanawiać się będzie później... Znow chwycił słuchawkę.

--- Profesora Allu Zefa.

--- Tak! - huknął Zef.

--- Tu Mak...

--- Massaraksz, prosiłem przecież, aby mi dziś nie zwracano głowy!...

--- Zamknij się i słuchaj. Natychmiast zejdź do hallu i czekaj na mnie...

--- Massaraksz, jestem zajęty!

Maksym zgrzytnął zębami i zerknął na laboranta. Laborant przykładnie kręcił korbą arytmometru.

--- Zef! - powiedział Maksym. - Natychmiast zejdź do hallu. Zrozumiałeś? Natychmiast! - Rozłączył się i wykręcił numer Dzika. Miał szczęście: Dzik był w domu. - Tu Mak. Proszę wyjść przed dom i czekać na mnie. Mam pilną sprawę.

--- Dobrze - powiedział Dzik. - Idę.

Maksym rzucił słuchawkę, wyciągnął z szuflady biurka pierwszą z brzegu teczkę i przerzucając papiery zastanawiał się gorączkowo, czy wszystko jest przygotowane. Samochód w garażu, mina w bagażniku, zbiornik paliwa pełny... Broni nie ma, ale to nie szkodzi, po diabła mi broń... Dzik czeka, dokumenty w kieszeni... Zuch jestem, że pomyślałem o Dziku... Może wprawdzie odmówić... Nie, nie odmówi... Ja bym nie odmówił... To wszystko... Zdaje się, że wszystko... Zwrócił się do laboranta:

--- Wezwano mnie. Powiedz, że jestem w Departamencie Budownictwa. Wrócę za godzinę lub dwie. Cześć.

Wsunął teczkę pod pachę, wyszedł z laboratorium i zbiegł po schodach. Zef już się miotał po hallu. Zobaczył Maksyma, zatrzymał się, nastroszył, założył ręce do tyłu i zaczął już z daleka:

--- Czego chcesz, massaraksz?...

Maksym nie zatrzymując się chwycił go pod ramię i pociągnął ku wyjściu. "Co to wszystko znaczy? Dokąd mnie ciagniesz? Po co?..." - opierał się Zef. Maksym wypchnął go za drzwi i po asfaltowej ścieżce pociągnął za róg, pod garaże. Dokoła było pusto, tylko w oddali terkotała kosiarka strzygąca trawniki.

--- Powiedz mi wreszcie, dokąd mnie ciagniesz? - wrzasnął Zef.

--- Milcz! - powiedział Maksym. - Słuchaj. Zbierz natychmiast wszystkich naszych. Ilu zdołasz... Do diabła z pytaniami!... Słuchaj! Wszystkich, jakich znajdziesz. Z bronią. Naprzeciwko bramy jest pawilon, wiesz który?... Zbierzcie się tam i czekajcie. Mniej więcej za pół godziny...

--- No?! - zapytał niecierpliwie Zef.

--- Mniej więcej za trzydzieści minut pod bramę podjedzie Wędrowiec...

--- Wrócił?

--- Nie przerywaj. Mniej więcej za pół godziny pod bramę może podjechać Wędrowiec. Jeżeli nie przyjedzie, to dobrze. Po prostu siedźcie i czekajcie na mnie. A jeżeli podjedzie, zastrzelcie go.

--- Zwariowałeś? - powiedział Zef i zatrzymał się. Maksym poszedł dalej i Zef z przekleństwem pobiegł za nim. - Przecież nas wszystkich wyłukają, massaraksz! Wartownicy!... Szpicle dokoła!...

--- Zróbcie wszystko, co w waszej mocy - powiedział Maksym. - Wędrowca trzeba zastrzelić...

Podeszli do garażu. Maksym otworzył zamek i odsunął wrota.

--- Jakiś szalony pomysł... - powiedział Zef. - Po co? Dlaczego Wędrowca? Zupełnie przyzwoity facet, wszyscy go tu lubią...

--- Jak uważasz - powiedział zimno Maksym. Otworzył bagażnik, przez natłuszczony papier wymacał zapalnik z mechanizmem zegarowym i znow zatrzasnął pokrywę. - Nic ci teraz nie mogę powiedzieć, ale

mamy szansę. Jedyłą szansę... - Usiadł za kierownicą i włożył kluczyk do stacyjki. - Pamiętaj przy tym, że jeżeli nie rąbniecie tego przyzwoitego faceta, to on wykończy mnie. Masz bardzo mało czasu. Do roboty, Zef!

Uruchomił silnik i wyjechał tyłem z garażu. Zef pozostał przy wrotach. Po raz pierwszy Maksym widział takiego Zefa: wystraszonego, oszołomionego i zgubionego. Żegnaj, Zef! - powiedział w duchu na wszelki wypadek.

Samochód podjechał do bramy. Legionista z kamienną twarzą bez pośpiechu zanotował numer, otworzył bagażnik, zajrzał, zatrzasnął pokrywę, wrócił do Maksyma i zapytał:

--- Co pan wywozi?

--- Refraktometr - odpowiedział Maksym podając przepustkę i zezwolenie na wywóz aparatu.

--- Refraktometr RL-7, numer inwentarzowy... - wymamrotał legionista. - Zaraz zapiszę...

--- Szybciej proszę, bardzo mi się spieszy - powiedział Maksym.

--- Kto podpisał zezwolenie?

--- Nie wiem... Pewnie Głowacz.

--- Nie wie pan... Podpisywaliby się wyraźniej i wszystko byłoby w porządku.

Wreszcie otworzył bramę. Maksym wyjechał na szosę i wycisnął ze swego wózka wszystko, co tylko było można. Jeżeli nic z tego nie wyjdzie - pomyślał --- ale będę żywy, trzeba będzie pryskać. Przekląty Wędrowiec! Wyczuł, łobuz, i wrócił... A co będzie, jeżeli nie wyjdzie. Niczego nie przygotowałem. Szkiców Pałacu nie ma, bo Mądrala nie zdążył ich zrobić. Fotografii Płomiennych też nie zdobył... Chłopczy nie są uprzedzeni, nie ma żadnego planu działania... Przekląty Wędrowiec, gdyby nie on, miałbym jeszcze trzy dni na opracowanie planu... A przecież jest jeszcze legion, armia, no i sztab, massaraksz! To od sztabu trzeba zacząć. No, to już sprawa Dzika, on się na tym dobrze zna... Na domiar złego gdzieś tam snują się białe łodzie podwodne. Massaraksz, przecież jeszcze trwa wojna! No tak, wojna, zdaje się, już się skończyła. Zresztą, kto to może wiedzieć, co oni tam jeszcze knują... Skręcił z głównej ulicy w wąski zaułek między dwoma niebotycznymi wieżowcami z różowego kamienia i po brukowanej kocimi łbami jezdni, wzdłuż długiej kolejki ludzi stojących przed piekarnią podjechał do zmurszałego, poczerniałego domku. Dzik już czekał oparty plecami o słup latarni ulicznej i palił papierosa. Kiedy samochód zatrzymał się, rzucił niedopałek i precyzyjnie się przez wąskie drzwiczki usiadł obok Maksyma.

--- Witaj, Mak! - powiedział. - Co się stało.

Maksym zawrócił i znów wydostał się na główną ulicę.

--- Wie pan, co to jest mina termitowa? - zapytał.

--- Słyszałem - odparł Dzik.

--- Dobrze. Z zapalnikami synchronicznymi miał pan kiedyś do czynienia?

--- Wczoraj na przykład - powiedział Dzik.

--- Doskonale.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Na ulicy panował wielki ruch i Maksym się wyłączył, skoncentrował się tylko na tym, aby się przerwać, przebić, precyzyjnie między ogromnymi ciężarówkami i starymi, cuchnącymi autobusami; aby nikogo przy tym nie potrafić i nie być potraconym, aby trafić na zielone światło i znów na otwarty sygnał; aby nie stracić chociażby tej żalosnej szybkości, jaką mogła rozwinąć jego bryczka.

Wreszcie samochodzik wydostał się na Leśną Szosę, znajomą autostradę wysadzaną rozłożystymi drzewami. Zabawne - pomyślał nagle Maksym. - Tą samą drogą wjeżdżałem do tego świata, a właściwie wwoził mnie tędy biedaczysko Fank. Nic wtedy nie rozumiałem i sądziłem, że on jest specjalistą od przybyszów. A teraz wyjeżdżam tą drogą z tego świata i być może ze świata w ogóle. W dodatku zabieram ze sobą porządnego człowieka... Zerknął ukosem na Dzika. Jego twarz była absolutnie spokojna. Siedział z łokciem wystawionym przez okno i czekał na wyjaśnienia. Może się dziwił, może nawet denerwował, ale nie było tego po nim widać i Maksym poczuł się dumny, że taki człowiek mu wierzy.

--- Jestem panu bardzo wdzięczny, Dziku - powiedział.

--- Ach tak? - powiedział Dzik zwracając ku niemu swoją szczupłą, żółtawą twarz.

--- Pamiętaj pan, jak to pewnego razu na zebraniu sztabu wziął mnie pan na stronę i udzielił kilku rad?

--- Pamiętam.

--- Właśnie za te rady jestem panu wdzięczny. Usłuchałem ich.

--- Tak, zauważyłem. Nawet mnie pan tym nieco rozczarował.

--- A jednak miał pan wtedy rację - powiedział Maksym. - Zastosowałem się do pańskich rad i dzięki temu sprawy tak się potoczyły, że zyskałem szansę dotarcia do Centrum.

--- Teraz? - zapytał Dzik odwracając się gwałtownie.

--- Tak. Musiałem się spieszyć i nie zdążyłem niczego przygotować. Mogą mnie zabić i wtedy wszystko będzie na próżno. Dlatego wziąłem pana ze sobą.

--- Proszę mówić dalej.

--- Wejść do budynku, a pan zostanie w samochodzie. Po jakimś czasie podniesie się alarm, może nawet wybuchnie strzelanina. Nie powinien pan na to zwracać uwagi. Będzie pan nadal czekał w samochodzie. Będzie pan czekał... -- - Maksym zamilkł na chwilę i policzył w myśli. - Będzie pan czekał dwadzieścia minut. Jeżeli w tym czasie otrzyma pan uderzenie promieniste, to znaczy, że wszystko poszło dobrze i może pan mdleć z radosnym uśmiechem na ustach... Jeżeli zaś nie, wyjdzie pan z samochodu. W kufrze leży mina z

synchronicznym zapalnikiem nastawionym na dziesięć minut. Wyładuje pan ją na jezdnię, włączy zapalnik i odjedzie. Będzie panika. Ogromna panika. Niech się pan postara wycisnąć z niej wszystko, co się da. Dzik zastanawiał się przez chwilę.

--- Pozwoli mi pan zadzwonić w parę miejsc? - zapytał.

--- Nie ---odparł Maksym.

--- Widzi pan - powiedział Dzik - jeżeli pana nie zabiją, to - o ile dobrze rozumiem - będą panu potrzebni ludzie gotowi do walki. Jeżeli pan zginie, ludzie przydadzą się mnie. Przecież wziął mnie pan właśnie na wypadek, że pana zabiją... Ale ja sam mogę tylko zacząć, a czasu będzie mało i ludzi trzeba uprzedzić w porę. Właśnie chcę ich uprzedzić.

--- Sztab? - zapytał Maksym niechętnie.

--- W żadnym wypadku. Mam własną grupę.

Maksym milczał. Przed nimi wyrastał już szary, czteropiętrowy gmach z kamiennym murem wzdłuż frontonu. Ten sam. Gdzieś tam snuła się Ryba, wrzeszczał i pluł Hipopotam. Tam było Centrum. Koło się zamknęło.

--- Dobrze - powiedział Maksym. - Przy wejściu jest automat. Kiedy wejdę do środka - ale nie wcześniej! - może pan wyjść z samochodu i zadzwonić.

--- W porządku - powiedział Dzik.

Zbliżali się już do rozjazdu autostrady. Nieoczekiwanie Maksym wspomniawszy Radę i wyobraził sobie, co z nią zrobią, jeżeli on się stąd nie wydostanie. Będą ją męczyć. A może nawet nie, może ją właśnie wtedy wypuszczą na wolność. Tak czy inaczej będzie sama... Gaja nie ma, mnie nie będzie...

--- Ma pan rodzinę? - zapytał Dzika.

--- Tak. Żonę.

Maksym przygryzł wargi.

--- Przepraszam, że tak niezręcznie wyszło - wymamrotał.

--- Nie szkodzi - powiedział spokojnie Dzik. - Pożegnałem się. Zawsze się z nią żegnam, kiedy wychodzę z domu... To znaczy, że tu mieści się Centrum? Kto by to mógł pomyśleć... Wszyscy wiedzą, że tu znajduje się centrum radiowe i telewizyjne, a tu, okazuje się, jest również to Centrum...

Maksym podjechał na parking i wcisnął swój wózek między rozklekotaną małodrożówką i luksusową limuzynę rządową.

--- No to już - powiedział. - Niech mi pan życzy szczęścia.

--- Z całego serca... - powiedział Dzik. Głos mu się załamał, chwycił go atak kaszlu. - A jednak dożyłem tego dnia! - wymamrotał.

Maksym przyłożył policzek do kierownicy.

--- Dobrze byłoby ten dzień przeżyć - powiedział. Dzik spojrzał na niego przerażonym wzrokiem. - Nie chce mi się iść - wyjaśnił Maksym. - Och, jak bardzo się nie chce... A propos, niech pan wysłucha i opowie przyjacielom. Nie mieszkanie na wewnętrznej powierzchni kuli. Mieszkanie na zewnętrznej powierzchni kuli. Takich kul jest we wszechświecie bardzo wiele. Na niektórych z nich ludzie żyją znacznie gorzej od was, na niektórych bez porównania lepiej, ale na żadnej nie żyją głupiej... Nie wierzy pan? Nie to nie. Idę...

Otworzył drzwiczki i wysiadł. Minął wyasfaltowany plac parkingowy i zaczął, stopień po stopniu, wspinać się na kamienne schody dotykając w kieszeni przepustki wejściowej, którą wyrobił mu prokurator; przepustki wewnętrznej, którą prokurator dla niego ukradł i zwykłego różowego kartoniku udającego przepustkę, której prokurator nie zdołał ani wyrobić, ani ukraść. Było gorąco, nieprzenikliwe niebo zaludnionej wyspy błyszczało jak aluminium. Kamienne stopnie parzyły przez podeszwy, a może tylko tak mu się wydawało. Wszystko było głupie. Cały ten pomysł był idiotyczny. Po co ja się w to wszystko pakuję, skoro nie zdołałem się przywoicie przygotować?... A jeżeli tam siedzi nie jeden, lecz dwóch oficerów? Jeżeli w tym pokoiku siedzi trzech oficerów czekając na mnie z automatami gotowymi do strzału?... Rotmistrz Czacz strzelał z pistoletu, tu kaliber będzie ten sam, tylko pocisków znacznie więcej. A ja już nie jestem taki jak dawniej. Moja zaludniona wyspa porządnie mnie wymaglowała. Tym razem nie pozwolą mi się odczołgać... Jestem idiotą. Byłem głupi i durniem pozostałem. Kupił mnie pan prokurator, schwytał na haczyk... Dobrze byłoby teraz prysnąć w góry, odetchnąć czystym powietrzem... Nie udało mi się jakoś dotychczas wybrać w tejsze góry. Bardzo lubię góry. Taki mądry, nieufny człowiek, a powierzył mi taką drogocенność! Największy skarb tego świata! Ten obrzydliwy, podły, wstrętny skarb! Niech będzie przeklęty massaraksz i massaraksz, i jeszcze trzydzieści trzy razy massaraksz!

Otworzył szklane drzwi i podał legionście przepustkę wejściową. Potem przeciął na ukos przedsiónek, minął pannicę w okularach, która ciągle przystawiała pieczęcie, przeszedł obok administratora w kaszkieciku, który nadal klócił się z kimś przez telefon, i u wylotu korytarza pokazał drugiemu legionście przepustkę wewnętrzną. Legionista skinął mu głową: można powiedzieć, że się znali, bo ostatnio Maksym bywał tu codziennie.

Poszedł długim korytarzem bez drzwi i skręcił w lewo. Tam był dopiero drugi raz. Pierwszym razem przez pomyłkę. (Czego pan szanowny tutaj szuka właściwie? - Właściwie szukam pokoju numer szesnaście, kapralu. - Pan szanowny się pomylił, to w następnym korytarzu. - Ach tak? Przepraszam bardzo, kapralu...) Podał kapralowi wewnętrzną przepustkę i zerknął na dwóch potężnych żandarmów, stojących nieruchomo po obu stronach drzwi. Potem spojrzał na same drzwi, przez które miał wejść. "Oddział przewozów specjalnych". Kapral uważnie oglądał przepustkę, a następnie, nie odrywając się od tego zajęcia, nacisnął

jakiś guzik na ścianie. Za drzwiami rozległ się dzwonek. Teraz oficer siedzący obok zielonej portieri przygotował się. Albo dwóch oficerów się przygotowało. Albo nawet trzech... Czekają, aż wejdą i jeżeli przestraszą się i wyskoczą z powrotem, powita mnie kapral, żandarmi i legionieści strzegący drzwi bez tabliczki, za którymi pewnie siedzi mnóstwo innych żołnierzy.

Kapral zwrócił przepustkę i powiedział:

--- Proszę przygotować dokumenty.

Maksym wy dostał różowy kartonik otworzył drzwi i znalazł się w pokoju.

Tak jest.

Nie jeden pokój. Trzy. W amfiladzie. Dopiero na końcu trzeciego zielona portiera. Dywanowy chodnik do samej portieri. Co najmniej trzydzieści metrów.

Nie dwóch oficerów. Nawet nie trzech. Sześciu!

Dwóch ubranych w szare wojskowe mundury w pierwszym pokoju. Już wycelowali automaty.

Dwóch w żandarmskiej czerni w drugim pokoju. Jeszcze nie wycelowali, ale zaraz to zrobią.

Dwóch cywilów po obu stronach zielonej portieri w trzecim pokoju. Jeden obrócił głowę i patrzył gdzieś w bok...

No, Mak!

Runął do przodu. Wyszło coś w rodzaju trójskoku z miejsca. Zdażył jeszcze pomyśleć: żeby tylko nie zerwać ścięgien! Stwardniałe powietrze uderzyło w twarz.

Zielona portiera.

Cywil z lewej patrzy w bok, szyja odkryta. Kantem dłoni.

Cywil z prawej prawdopodobnie mruga. Nieruchome powieki opuszczone do połowy. Z wierzchu w ciemność do windy.

W windzie ciemno. Gdzie przycisk? Massaraksz, gdzie ten przycisk?

Wolno, dudniąc załomotał automat i od razu drugi. No cóż, doskonała reakcja. Tu-tut... Tu-tut... Tu-tut... Ale to na razie w drzwi, w to miejsce gdzie mnie zobaczyli. Nie pojęli jeszcze, co się właściwie stało. Zwykły odruch.

Przycisk!

W poprzek portieri skośnie, z góry na dół przesuwa się cień. To pada któryś z cywilów.

Massaraksz, jest! W najwidoczniejszym miejscu...

Nacisnął guzik i kabina ruszyła w dół. Winda była pospieszna i poruszała się dosyć szybko. Zabolą noga odskoczna. Czyżby jednak naderwał?... Zresztą teraz to już nie jest ważne... Massaraksz, przecież się przebiłem!

Kabina zatrzymała się, Maksym wyskoczył i natychmiast w szybie zahaczało, zabrzęczało, poleciały drzazgi. Z góry w dach kabiny strzelano z trzech luf. Dobra, dobra, strzelajcie... Zaraz zrozumiecie, że nie trzeba strzelać, że należy podciągnąć windę z powrotem i zjechać nią na dół...

Rozejrzył się. Massaraksz, znowu nie tak!... Trzy wejścia zamiast jednego. Trzy zupełnie jednakowe tunele... Aha, po prostu generatory czynne na przemian. Jeden pracuje, dwa w konserwacji. Który teraz działa? Tak. Chyba ten...

Rzucił się do środkowego tunelu. Za plecami ryknęła winda. Nie, nie, nie, już za późno... Nie zdążycie, nie ta szybkość... Chociaż tunel, prawdę mówiąc, długi, a noga boli... No, jest zakręt, teraz mi już nic nie możecie zrobić... Dobiegł do generatorów pomrukujących basowo na stalowej płycie, zatrzymał się i kilka sekund odpoczywał z opuszczonymi rękami. No tak, trzy czwarte roboty już zrobiłem. Nawet siedem ósmych. Pozostał drobiazg, połowa jednej trzydziestej czwartej... Teraz oni zjadą windę, wejdą do tunelu, nic pewnie nie wiedzą i promieniowanie depresyjne pogoni ich z powrotem. Co się jeszcze może stać? Rzucają do korytarza granat gazowy. Wątpliwe, skąd by go wzięli? Ale alarm pewnie już podnieśli. Płomienni mogliby oczywiście wyłączyć barierę depresyjną, ale nie, nie zdecydują się na to. Nie zdecydują się i nie zdążą. Muszą przecież zebrać się w piątkę, z pięcioma kluczami, naradzić się i zorientować, czy to przypadkiem nie jest sprawa któregoś z nich, czy to nie prowokacja. No bo rzeczywiście, kto mógłby przeniknąć tutaj, za barierę promienistą? Wędrowiec, jeżeli w tajemnicy wynalazł ochronę? Zatrzymałoby go tych sześciu z automatami. Nikt więc na całym świecie nie zdoła tu dotrzeć, a dopóki oni będą się kłócić, wyjaśniać i radzić, ja zakończę całą robotę.

W tunelu za rogiem załomotały w ciemności automaty. Bardzo proszę. Nie zabraniam. Pochylił się nad urządzeniem rozdzielczym, ostrożnie zdjął osłonę i rzucił do kąta. No tak... Skrajny prymityw. Całe szczęście, że domyśliłem się, aby poczytać trochę na temat tutejszej elektroniki. Wsunął palce między przewody. A gdybym się nie domyślił? Gdyby Wędrowiec przyjechał przedwcześnie? Tak jest, moi panowie. Massaraksz, ależ tu prąd kopie! Tak, moi panowie, znalazłbym się w sytuacji embriomechanika, który musi natychmiast zorientować się w konstrukcji... Nawet nie wiem czego. Maszyny parowej? Embriomechanik by się zorientował... No jak, embriomechaniku, zorientowałbyś się? Wątpię. Massaraksz, czemu tu oni niczego nie izolują?... Aha, tu jesteś... No, z Bogiem, jak mawia pan prokurator generalny!

Usiadł wprost na podłodze przed tablicą rozdzielczą i wytarł grzbietem dłoni pot z czoła. Robotą została wykonana. Potężne uderzenie pola magnetycznego runęło na cały kraj, od Zarzecza aż do granicy chontyjskiej.

Automaty za węglem przestały strzelać. Panowie oficerowie znajdowali się w depresji. Zaraz zobaczymy, jak

wyglądają panowie oficerowie w depresji.

Pan prokurator generalny po raz pierwszy w życiu cieszył się z nawały promienistej. Nie chcę więcej tego typu oglądać!

Płomienni Chorażowie nie zdołali się zorientować ani naradzić i też zwijają się z bólu. Wyciągnęli kopyta, jak mawiał pan rotmistrz Czaczu. Pan rotmistrz Czaczu też jest w głębokiej depresji, co mnie w najwyższym stopniu zachwyca.

Zef z chłopcami też leży. Wybaczcie, chłopcy, ale tak trzeba.

Wędrowiec! Jak to cudownie: straszliwy Wędrowiec również wyciągnął kopyta i rozłożył na podłodze swoje ogromne uszy, największe uszy w kraju. Może go już zresztą trzepnęli. To byłoby jeszcze lepsze.

Rada, moja maleńka, biedna Rada leży w depresji. To nic, kochana, to pewnie nie boli i w ogóle niedługo się skończy.

Dzik.

Poderwał się. Ile czasu minęło? Pomknął tunelem do wyjścia. Dzik oczywiście także leży, ale jeżeli usłyszał strzelaninę, nerwy mogły mu odmówić posłuszeństwa. To wprawdzie w najwyższym stopniu wątpliwe, aby Dzik zaczął histeryzować, ale kto wie!...

Pobiegł do windy. Po drodze zatrzymał się na sekundę, aby przyjrzeć się panom oficerom w depresji. Widok był bardzo nieprzyjemny: wszyscy trzej porzucili automaty i łkali, nie mając siły wytrzeć łez i zasmarkanych nosów. Dobrze, dobrze, popłaczcie sobie. Popłaczcie nad moim Gajem, nad Kotką, nad Gelem, nad moim Leśnikiem... Pewnieście nie płakali od dzieciństwa, a już na pewno nie płakaliście nad tymi, których mordowaliście. Popłaczcie więc chociaż przed własną śmiercią...

Winda błyskawicznie wyniosła go na powierzchnię. Amfilada pokoi była zatłoczona: oficerowie, żołnierze, kaprale, legionieści, cywile... Wszyscy uzbrojeni, wszyscy siedzą lub leżą, wszyscy okropnie smutni; niektórzy głośno płaczą, jeden mamrocze coś, trzęsie głową, bije się pięściami w pierś, ten się zastrzelił...

Massaraksz, straszna rzecz to Czarne Promieniowanie, nie na darmo Płomienni chowali je na czarny dzień. Wybiegł do hallu przeskakując przez bezsilnie tarzających się ludzi, niemal stoczył się po schodach, stanął przy swoim samochodzie i odetchnął z ulgą. Dzikowi nerwy nie odmówiły posłuszeństwa. Stary konspirator leżał na przednim siedzeniu. Oczy miał zamknięte.

Maksym wydobyl z bagażnika bombę, rozpakował ją z papieru, ostrożnie wsunął pod ramię i bez pośpiechu wrócił do windy. Pieczołowicie sprawdził zapalnik, włączył mechanizm zegarowy, umieścił bombę w kabinie i nacisnął guzik. Kabina pomknęła w dół, unosząc w podziemiu ogniste jezioro, które wyrwie się na wolność za dziesięć minut. Ścisłej mówiąc za dziesięć minut i kilkanaście sekund...

Pobiegł z powrotem.

W samochodzie posadził Dzika możliwie prosto, usiadł za kierownicą i wyjechał z parkingu. Szary budynek zwiślał nad nim bezsensowną, ciężką skazaną na zagładę bryłą wypełnioną do granic możliwości skazanymi na zagładę ludźmi, niezdolnymi ani się poruszyć, ani zrozumieć, co się z nimi dzieje.

To było rojowisko, potworne węzowe gniazdo zatłoczone najokropniejszym paskudztwem. Te bydlęta zostały zebrane po to, aby zamienić w bydło wszystkich, których osiągną obrzydliwe zakłęcia radia, trucizna telewizji i promieniowania wież. Wszyscy są tam wrogami i nikt z nich nawet na moment nie zawahałby się posiekać kulami, wydać, ukrzyżować mnie, Dzika, Zefa, Radę, wszystkich moich bliskich i kochanych... A jednak dobrze się stało, że dopiero teraz to sobie uświadomiłem. Przedtem taka myśl by mi przeszkodziła. Od razu przypomniałbym sobie Rybę... A cóż Ryba? - pomyślał. - Co o niej wiem? Że uczyła mnie języka i stała moje łóżko?... No, no, zostaw Rybę w spokoju, przecież doskonale wiesz, że nie chodzi wyłącznie o Rybę. Chodzi o to, że od dziś zaczynasz walczyć na serio, na śmierć i życie, tak samo jak tutaj walczą wszyscy; że będziesz musiał walczyć z tłuszczą, z zaciętrzewioną tłuszczą ogłupioną promieniowaniem; ze sprytnymi, chytrymi, ciemnymi durniami, którzy tym promieniowaniem kierowali; z pełnymi dobrych chęci durniami, którzy przy pomocy tego promieniowania chcieliby zmienić złośliwe, rozwydrzone marionetki w marionetki rzewne, quasi dobre... Oni wszyscy będą starali się zabić ciebie, twoich przyjaciół i twoją sprawę, bo - zapamiętaj to dobrze, zapamiętaj na całe życie! - w tym świecie jest to jedyny sposób przekonywania oponentów...

Tak - pomyślał. - To, co teraz zrobiłem, nosi tutaj nazwę bohaterstwa. Dzik dożył do tego dnia. W ten dzień, jak w piękną bajkę wierzyli Leśnik, Kotka, Zielony, Gel Ketszef, mój Gaj i dziesiątki, setki, tysiące ludzi, których nigdy nie widziałem... A jednak jest mi źle i jeżeli chcę, aby mi nadal wierzyli i szli za mną, to nigdy i nikomu nie powinienem się przyznać, że najciężej mi było nie wtedy, kiedy biegłem pod kule, lecz teraz, kiedy jeszcze czas wrócić i rozbroić minę, a ja zamiast tego pędzę samochodem jak najdalej od przekłętego miejsca...

Pędził prostą autostradą, tą samą, po której pół roku temu Fank wioził go swoją luksusową limuzyną wyprzedzając kolumnę opancerzonych transporterów, pędził, aby przekazać z rąk do rąk Wędrowcowi... Teraz wiem, dlaczego... Czyżby on już wtedy wiedział, że jestem odporny na promieniowanie, że niczego nie rozumiem i że zatańczę, jak mi zagra? Wygląda na to, że wiedział. Wiedział, przeklęty Wędrowiec! To znaczy, że rzeczywiście jest diabłem, najstraszliwszym człowiekiem w kraju, a może nawet na całej planecie. "On wszystko wie" - powiedział prokurator generalny bojaźliwie zezując na boki... No nie, nie wszystko. Wykiwałś Wędrowca, Mak. Wygrałeś z diabłem. A teraz musisz go dobić, póki nie jest za późno, zanim się jeszcze nie ocknął... Może go zresztą już dobili na progu własnego legowiska?... Och, nie wierzę

w to, nie wierzę, to dla naszych chłopców zbyt trudne, Babel miał dwudziestu czterech pociotków z karabinami maszynowymi... Massaraksz! Tak jest, nie wiem, jak się robi rewolucję. Niczego nie przygotowałem, prawie nie mam ludzi, szeregowi konspiratorzy mnie nie znają, a sztab będzie przeciwko mnie... Nie zdążyłem nawet uprzedzić Generała na katordze, aby gotów był poderwać politycznych i pędzić z nimi tutaj. Ale bez względu na sytuację powinienem wykończyć Wędrowca. Muszę wykończyć Wędrowca i przetrzymać kilka godzin, zanim cały legion i armia nie zwał się od głodu promienistego. Nikt z nich przecież nic nie wie o głodzie promienistym, nawet Wędrowiec pewnie nie wie. Skąd zresztą mają wiedzieć, przecież w tym kraju tylko ja wywoziłem biednego Gaja poza granice pola.

Na szosie było pełno samochodów. Wszystkie stały byle jak: w poprzek, na skos, z kołami w rowach. Zmiażdżeni depresją kierowcy i pasażerowie siedzieli na stopniach, zwisali bezsilnie z siedzeń, ponieważ nie wierali się w otępieniu na poboczach. Wszystko to przeszkadzało w jeździe, bo ciągle trzeba było przyhamowywać, wymijając, objeżdżać i Maksym nie od razu zauważył, że z przeciwnika, od strony miasta, również wymijając i objeżdżając, ale prawie wcale nie hamując zbliża się płaski, jaskrawożółty samochód rządowy.

Spotkali się na stosunkowo pustym odcinku drogi i przeskoczyli obok siebie o mało się nie zderzając. Maksym zdołał jednak zauważyć nagą czaszkę, okrągłe zielone oczy i ogromne, odstające uszy. Na ten widok aż cały się skurczył, bo wszystko się rozsypywało... Wędrowiec! Massaraksz! Cały kraj leży w depresji, wszystkie wyrodky są nieprzydatne, a ten diabeł znowu wykręcił się sianem!... To znaczy, że jednak wymyślił swoją ochronę. A broni nie ma! Maksym spojrzał w lusterko: długi, żółty samochód zawracał. No cóż, trzeba będzie obyć się bez broni. Tym razem nie będę miał wyrzutów sumienia... Nacisnął akcelerator. Szybciej, szybciej!... No, kochany, jeszcze!... Żółta, płaska maska zbliżała się, rosła, już widać zielone, uważne oczy nad kierownicą... No, Mak!

Maksym zaparł się, jedną ręką osłonił Dzika i z całej siły nadepnął na pedał hamulca.

W rozdierającym wyciu i jazgocie hamulców żółta maska ze zgrzytem i chrzęstem wbiła mu się w bagażnik i składając się w harmonijkę wypiętrzyła się do góry. Posypały się szyby. Maksym wybił nogą drzwi i wypadł na zewnątrz. Potłukł się okropnie. Ból świdrował w pięcie, w rozbitym kolanie, w obtartej ręce, ale natychmiast o nim zapomniał, bo Wędrowiec już przed nim stał. To było nieprawdopodobne, lecz prawdziwe. Diabeł! Długi, chudy, groźny diabeł z ręką uniesioną do ciosu...

Maksym rzucił się nań, wkładając w ten skok wszystkie siły, jakie mu jeszcze zostały. Chybił! I straszne uderzenie w ciemność... Świat pochylił się, zachybotał, o mało nie upadł, wyprostował się jednak, a Wędrowiec znów sterczał przed oczami, znów naga czaszka, uważne zielone oczy i ręka podniesiona do ciosu... Stój w miejscu, zrób unik, on chybi... Aha!... Gdzie to on patrzy?... No, mnie na to nie weźmiesz... Wędrowiec ze znieruchomiałą twarzą zagapił się na coś ponad głową Maksyma. Maksym rzucił się więc do przodu i tym razem trafił. Długi, czarny człowiek złożył się niczym scyzoryk i upadł na asfalt. Wówczas Maksym obejrzał się do tyłu.

Szary prostopadłościan Centrum był z tego miejsca doskonale widoczny. Nie był już zresztą prostopadłościanem. Spłaszczwał się w oczach, rozpląwał i zapadł w głąb samego siebie. Nad nim unosił się słup drżącego, rozpalonego powietrza, pary i dymu. Coś oślepiająco białego, parzącego nawet z tej odległości, filuternie mrugało spoza długich, pionowych szczelin i otworów okiennych... Dobra, tam wszystko jest w porządku... Maksym triumfalnie obrócił się ku Wędrowcowi. Diabeł leżał na boku i obejmował brzuch długimi rękami. Ze zdemolowanego samochodziku wysunął się Dzik. Wiercił się tam i szamotał, próbując wydostać się na zewnątrz. Maksym podszedł do Wędrowca i pochylił się nad nim. Zastanawiał się, jak uderzyć, aby skończyć za jednym zamachem. Massaraksz, przeklęta ręka nie chce się podnieść na leżącego. Wtedy Wędrowiec rozlepił powieki i powiedział zduszonym głosem:

--- Dumkopf! Rotznase!

Maksym nie od razu zrozumiał, a kiedy zrozumiał, nogi się pod nim ugięły.

--- Idiota...

--- Smarkacz...

--- Idiota...

--- Smarkacz...

Potem z szarej, dudniącej pustki dobiegł głos Dzika:

--- Niech pan się odsunie, Mak. Mam pistolet.

Maksym nie patrząc chwycił go za rękę.

Wędrowiec z trudem usiadł nadal trzymając się za brzuch.

--- Szszzszczeniak... - wysyczał. - Nie stój jak słup. Szukaj jakiegoś samochodu... Szybko, szybko...

Maksym tępo rozejrzał się dokoła. Szosa ożywała. Centrum już nie istniało, zmieniło się w kałużę roztopionego metalu, w parę, w odór; wieże nie pracowały, marionetki przestały być marionetkami. Oszołomieni ludzie przychodzili do siebie, rozglądali się chmurnie dokoła, dreptali wokół swoich samochodów i starali się pojąć, co im się przydarzyło, jak się znaleźli na tej drodze i co robić dalej.

--- Kim pan jest? - zapytał Dzik.

--- Nie pański interes! - powiedział Wędrowiec po niemiecku. Wszystko go bolało, stękał i tracił oddech.

--- Nie rozumiem - powiedział Dzik unosząc lufę pistoletu.

--- Kammerer! - wykrzyknął Wędrowiec. - Zamknijcie gębę swojemu terrorystyce... I szukajcie samochodu...

--- Jakiego samochodu? - zapytał Maksym bezradnie.

--- Massaraksz... - syknął Wędrowiec. Jakoś się podniósł i ciągle jeszcze skurczony, z dłońmi przyciśniętymi do brzucha podszedł chwiejnym krokiem do samochodu Maksyma i wtoczył się do środka. - Siadajcie! Szybko! - powiedział już zza kierownicy. Potem obejrzał się przez ramię na zabarwiony płomieniem słup dymu. - Co pan tam podrzucił? - zapytał beznadziejnym tonem.

--- Minę termitową.

--- Do piwnicy czy do hallu?

--- Do piwnicy - powiedział Maksym.

Wędrowiec jęknął, posiedział chwilę z odrzuconą do tyłu głową, a potem uruchomił silnik. Samochód zatrząsał się i zabręczał.

--- Wsiadajcie wreszcie! - wrzasnął.

--- Kto to jest? - zapytał Dzik. Chontyjczyk?

Maksym pokręcił głową, gwałtownym szarpnięciem otworzył zaklinowane tylne drzwiczki i powiedział do niego: "Proszę!", sam natomiast obszedł samochód dookoła i usiadł obok Wędrowca. Małolitrażówka szarpnęła, coś w niej zapiszczało, trzasnęło, ale jednak potoczyła się po szosie zabawnie kołysząc się na boki, brzęcząc obluźowanymi drzwiami i głośno strzelając tłumikiem.

--- Co pan teraz zamierza robić? - zapytał Wędrowiec.

--- Chwileczkę... - poprosił Maksym. - Niech pan przynajmniej powie, kim pan jest?

--- Jestem pracownikiem Bezpieczeństwa Galaktycznego - powiedział Wędrowiec z goryczą w głosie. - Siedzimy tu już od pięciu lat. Przygotowujemy ratunek dla tej nieszczęsnej planety. Przygotowujemy starannie, pieczołowicie, z uwzględnieniem wszystkich możliwych następstw. Wszystkich, rozumie pan? A pan kim jest? Kto panu dał prawo wtrącać się w nie swoje sprawy, mieszać nam szyki, wysadzać w powietrze, strzelać?... Kim pan jest, powtarzam?

--- Nie wiedziałem... - powiedział Maksym zgaszonym głosem. - Skąd niby miałem wiedzieć?

--- Tak, oczywiście, pan niczego nie wiedział. Ale wiedział pan przecież, iż samodzielna interwencja jest zakazana! Wszyscy członkowie GOZ-u to wiedzą... Powinien wiedzieć i pan. Na Ziemi matka szaleje z rozpacz, jakieś pannice codziennie dzwonią... Co pan zamierzał robić dalej?

--- Zastrzelić pana.

--- Cooo?

Samochód zarzucił.

--- Tak - powiedział pokornie Maksym. - A co mi innego pozostało? Powiedziano mi, że pan jest tu największym złoczyńcą i... - Umilkł zmieszany.

Wędrowiec zerknął na niego z ukosa swym zielonym okiem.

--- I w to nietrudno było uwierzyć, tak?

--- Tak - odparł Maksym.

--- No dobrze. A co dalej?

--- Dalej powinna zacząć się rewolucja.

--- A to niby dlaczego?

--- Przecież Centrum zostało zniszczone, promieniowania już nie ma.

--- No i co z tego?

--- Teraz oni od razu zrozumieją, że są uciskani, że mają okropne życie i powstaną...

--- Kiedy powstaną? - spytał Wędrowiec smutnym głosem. - Kto powstanie? Płomienni Chorążowie żyją i cieszą się doskonałym zdrowiem. Legion jest nie tknięty, armia zmobilizowana, w kraju panuje stan wojenny... Na co pan liczył?

Maksym przygryzł wargi. Można oczywiście wyłożyć temu zasepionemu potworowi swoje plany, perspektywy i tak dalej, ale co to da? Przecież nic nie jest gotowe, przecież wszystko wyszło nie tak, jak trzeba...

--- Liczyć będą oni sami. - Wskazał przez ramię na Dzika. - Niech na przykład ten człowiek zajmie się tym. Moim obowiązkiem było dać im tę możliwość.

--- Pańskim obowiązkiem... - wymamrotał Wędrowiec. - Pańskim obowiązkiem było siedzieć gdzieś w kąciku i czekać, aż pana dopadnę.

--- Pewnie ma pan rację - powiedział Maksym. - Następnym razem wezmę to pod uwagę...

--- Dziś pan odleci na Ziemię - powiedział twardo Wędrowiec.

--- Ani mi się śni! - zaoponował Maksym.

--- Dziś pan wróci na Ziemię! - powtórzył Wędrowiec podniesionym głosem. -- - Mam dość kłopotów i bez pana. Proszę zabrać swoją Radę i zmykać.

--- Rada jest u pana? - zapytał szybko Maksym.

--- Tak. Od dawna. Żywa i zdrowa, proszę się nie martwić.

Samochód wjechał do miasta. Na głównej ulicy huczał, dymił i mrowił się gigantyczny zator. Wędrowiec skręcił w boczną uliczkę i pojechał przez dzielnicę slumsów. Tam wszystko było martwe. Na rogach sterczeli jak słupy funkcjonariusze żandarmerii polowej z rękami założonymi do tyłu i w hełmach na głowach... Tak, tu zareagowano bardzo szybko! Ogólny alarm i wszyscy znaleźli się na swoich miejscach. Zaraz po tym, jak tylko ocknęli się z depresji. Może nie należało od razu wysadzać? Może trzeba było działać zgodnie z planem prokuratora? Nie, massaraksz, nie! Niech wszystko idzie swoim trybem. Niech on na mnie

niepotrzebnie nie krzyczy. Niech oni sami zorientują się w sytuacji, a zorientują się na pewno, jak tylko rozjaśni się im w głowach. Wędrowiec znów wyjechał na magistralę. Dzik delikatnie poklepał go po ramieniu lufą pistoletu.

--- Proszę mnie z łaski swojej wysadzić. O tutaj. Tam stoi grupka ludzi...

Obok kiosku z gazetami stała piątka mężczyzn z rękami głęboko wbitymi w kieszenie płaszczy. Poza nimi na chodnikach nikogo nie było, najwidoczniej nawała promieniowania depresyjnego wystraszyła ludzi, którzy pochowali się w mieszkaniach.

--- A co pan zamierza robić? - zapytał Wędrowiec zwalniając.

--- Odetchnąć świeżym powietrzem - odparł Dzik. - Dziś mamy wyjątkowo piękną pogodę.

--- To jest nasz człowiek - powiedział Maksym. (Wędrowiec okropnie wyszczerzył zęby.) - Przy nim można mówić wszystko.

Samochód zatrzymał się przy krawężniku. Ludzie w płaszczech ostrożnie cofnęli się za kiosk i stamtąd czujnie ich obserwowali.

--- Nasz... - powtórzył Dzik. - To znaczy czyj?

Maksym nie wiedząc co odpowiedzieć popatrzył na Wędrowca. Wędrowiec ani myślał mu pomagać.

--- Zresztą dobrze - powiedział Dzik. - Panu wierzę. Teraz zajmujemy się sztabem. Uważam, że trzeba zacząć od sztabu. Wie pan, o czym mówię. Tam są ludzie, których trzeba zlikwidować, zanim przejmą kontrolę nad ruchem.

--- Dobra myśl - burknął nagle Wędrowiec. - A propos, zdaje się, że pana poznałem. Tik Fesku, pseudo Dzik. Mam rację?

--- Całkowitą - powiedział uprzejmie Dzik. Potem zwrócił się do Maksyma: - A pan zajmie się Chorążymi. To trudne zadanie, ale akurat dla pana. Gdzie pana szukać?

--- Niech pan poczeka - powiedział Maksym. - O mało nie zapomniałem. Za kilka godzin cały kraj zwali się z nóg z głodu promienistego. Wszyscy będą całkowicie bezradni...

--- Wszyscy? - zapytał Dzik z powątpiewaniem.

--- Wszyscy oprócz wyrodków... Ten czas, te kilka dni trzeba wykorzystać.

Dzik chwilę myślał z uniesionymi brwiami.

--- No cóż, doskonale - powiedział. - Jeżeli to prawda... Zresztą będziemy się zajmować właśnie wyrodkami. Ale będę o tym pamiętał. Gdzie więc mam pana szukać?

Maksym nie zdążył odpowiedzieć.

--- Na dawnym miejscu - powiedział Wędrowiec. - Ten sam numer telefonu. Proszę jeszcze posłuchać.

Niech pan tworzy swój komitet. Odbudowujcie organizację, którą mieliście za czasów imperium. Kilku waszych ludzi pracuje u mnie w laboratorium... Massaraksz! - syknął nagle. - Nie ma czasu, potrzebnych ludzi też pod ręką nie ma. Niech cię diabli wezmą, Mak!

--- Najważniejsze - powiedział Dzik kładąc Maksymowi rękę na ramieniu - że nie ma już Centrum. Zuch z pana, Mak. Dziękuję... - Ucisnął Maksymowi ramię i niezręcznie wymachując protezą zaczął gramolić się z samochodu. Potem nagle wybuchnął: - Boże! - powiedział stojąc obok samochodu z zamkniętymi oczami. - Czy go już rzeczywiście nie ma? To przecież... To...

--- Niech pan zatrzśnie drzwi - powiedział Wędrowiec.

Samochód gwałtownie skoczył do przodu. Maksym obejrzał się. Dzik stał pośrodku ludzi w szarych płaszczech i coś mówił, wymachując ręką z pistoletem. Ludzie stali nieruchomo. Jeszcze nie zrozumieli. Albo nie uwierzyli.

Ulica była pusta. Tylko z przeciwka toczyły się transportery z legionistami, a daleko w przodzie, przy zakręcie w stronę Departamentu Badań Specjalnych stały już w poprzek jezdni samochody i przebiegały figurki w czarnych mundurach. Nagle w kolumnie opancerzonych transporterów pojawił się do obrzydliwości znajomy kształt jaskrawopomarańczowego wozu patrolowego z teleskopową anteną na dachu.

--- Massaraksz... - wymamrotał Maksym. - Zupełnie zapomniałem o tym święństwie!

--- O wielu rzeczach zapomniałeś - powiedział Wędrowiec. - Zapomniałeś o ruchomych emiterach, zapomniałeś o Imperium Wyspowym, zapomniałeś o gospodarce... Czy wiesz, że w kraju szaleje inflacja? Czy ty w ogóle wiesz, co to jest inflacja? Czy wiesz, że zbliża się głód, bo ziemia nie rodzi?... Czy wiesz, że nie zdążyliśmy zgromadzić zapasów żywności i lekarstw? Czy wiesz, że twój głód promienisty w jednej piątej przypadków prowadzi do schizofrenii? - Wytarł dłonią potężne, wysokie czoło. - Potrzebujemy lekarzy...

Dwunastu tysięcy lekarzy. Potrzebujemy syntetyzatorów białkowych. Musimy zdezaktywować sto milionów hektarów skażonej gleby... Na początek! Musimy zahamować degenerację biosfery... Massaraksz, potrzebujemy chociażby jednego Ziemianina na Wyspach, w admiralicji tego szalonego zbrodniarza. Nikt nie może się tam utrzymać, nikt z naszych nie może stamtąd chociażby wrócić i opowiedzieć, co się tam właściwie dzieje.

Maksym milczał. Podjechali do samochodów tarasujących drogę. Śniady, krępy oficer w dziwnie znajomy sposób wymachując ręką podszedł do nich i kraczącym głosem zażądał dokumentów. Wędrowiec zirytowanym, niecierpliwym gestem podetknął mu pod nos błyszczący żeton. Oficer ponuro zsalutował i spojrzał na Maksyma. To był rotmistrz... Nie, teraz już brygadier Legionu Bojowego Czaczu. Oczy mu się rozszerzyły.

--- Czy ten człowiek jest z panem, ekscelencjo? - zapytał.

--- Tak. Proszę natychmiast zarządzić, aby mnie przepuszczono.
--- Proszę mi wybaczyć, ekscelencjo, ale ten młody człowiek...
--- Natychmiast przepuścić! - huknął Wędrowiec.
Brygadier znów ponuro zasalutował, obrócił się na obcasach i machnął ręką. Jedna z ciężarówek odjechała i Wędrowiec rzucił samochód w powstałą w ten sposób lukę.
--- Tak to wygląda - powiedział. - A ty myślałeś, że szast prast i po wszystkim... Trzepnąć Wędrowca, powiesić Płomiennych, rozpędzić tchórzy i faszystów ze sztabu i koniec rewolucji...
--- Nigdy tak nie myślałem - powiedział Maksym. Poczut się bardzo nieszczęśliwym, zmiażdżonym, bezradnym i bezdennie głupim chłopaczkiem.
Wędrowiec zerknął nań z ukosa i smętnie się uśmiechnął. Maksym pojął nagle, że to nie żaden Wędrowiec, nie potwór i nie diabeł. Obok niego siedział bardzo już niemłody, bardzo dobry i bardzo wrażliwy człowiek przygnieciony ciężarem wielkiej odpowiedzialności, znużony swoją maską wyrafinowanego mordercy i ogromnie zmartwiony, że zniweczono mu starannie opracowany plan i że w dodatku dokonał tego rodak, Ziemiąnin.
--- Wymknąłeś mi się - powiedział zmęczonym głosem. - Przegapiłem cię, nie doceniłem. Taki sobie, myślałem, chłoptyś. Szkoda go, wpadł jak śliwka w kompot... - Znów się uśmiechnął. Szybkie jednak chłopaki latają w tym GOZ- ie...
--- Niech się pan nie zadręczą - powiedział Maksym. - Ja miałbym do tego większe powody... Przepraszam, jak się pan nazywa?
--- Rudolf.
--- Tak... Ja się nie zadręczam, Rudolfie. Nawet nie mam zamiaru pracować. Robić rewolucję.
--- Lepiej zbieraj się do domu! - poradził Wędrowiec.
--- Jestem w domu! - powiedział Maksym niecierpliwie. - Nie mówmy o tym więcej. Interesują mnie ruchome emitery. Co z nimi można zrobić?
--- Z nimi nic nie trzeba robić - odpowiedział Wędrowiec. - Pomyśl lepiej, co robić z inflacją.
--- Pytałem o emitery - powiedział Maksym.
Wędrowiec westchnął.
--- Emitery są zasilane z akumulatorów - wyjaśnił. - Te zaś specjalne akumulatory można naładować tylko u mnie w departamencie. Za trzy dni zdechną... Ale za miesiąc ma się rozpocząć inwazja... Zwykle udawało się nam zbijać łodzie podwodne z kursu i do wybrzeża docierały tylko pojedyncze sztuki. A teraz przygotowują ogromną flotyllę. Liczyłem na promieniowanie depresyjne, teraz trzeba będzie je po prostu topić. - Zamilkł na chwilę. - Mówisz, że jesteś w domu. Powiedzmy. Czym więc konkretnie zamierzasz się zająć?
Podjechali do departamentu. Ciężkie wrota były szczelnie zamknięte, w kamiennym ogrodzeniu czerniały strzelnice, których uprzednio nie było. Departament upodobił się do twierdzy gotowej odeprzeć oblężenie. W pobliżu pawiloniku stało trzech mężczyzn i ruda broda Zefa płonęła wśród zieleni niczym egzotyczny kwiat.
--- Nie wiem - powiedział Maksym. - Będę robił wszystko to, co mi polecą fachowcy. Jeżeli zajdzie potrzeba, zajmę się inflacją. Jeśli zajdzie konieczność, będę topił łodzie podwodne... Ale swoje naczelne zadanie znam dokładnie: dopóki żyję, nie dopuścić, aby ktokolwiek zbudował tu jeszcze jedno Centrum... Nawet w najlepszych zamiarach.
Wędrowiec milczał, brama była już zupełnie blisko. Zef przedarł się przez żywoptot i wyszedł na drogę. Z ramienia zwiślał mu automat i z daleka było widać, że Zef jest wściekły, niczego nie rozumie i zaraz ze straszliwymi przekleństwami zażąda wyjaśnień, czemu go, massaraksz, oderwano od pracy, zawrócono głowę Wędrowcem i kazano jak smarkaczowi przez blisko dwie godziny sterczeć wśród kwiatów.
Komarowo - Leningrad 1967---1968

K O N I E C
